**Piramidy**

Terry Pratchett

Część I

KSIĘGA WYJŚCIA

Nic tylko gwiazdy, rozsypane w mroku, jakby Stwórca rozbił szybę w swoim samochodzie i nie zatrzymał się, żeby zmieść odłamki.

To otchłań między wszechświatami, lodowata głębia kosmosu, za­wierająca jedynie z rzadka jakąś przypadkową molekułę, kilka za­gubionych komet i...

...krąg czerni przesuwa się lekko, oko na nowo ocenia perspek­tywę, i to, co wydawało się niezmierzoną dalą międzygwiezdnej... czegoś międzygwiezdnego, staje się światem okrytym nocą, a jego gwiazdy to światła tego, co litościwie nazwiemy cywilizacją.

Świat sunie leniwie i okazuje się, że jest on światem Dysku — płaskim, okrągłym, niesionym przez kosmos na grzbietach czterech słoni, stojących z kolei na skorupie Wielkiego A'Tuina, jedynego żółwia, który figuruje na diagramie Hertzsprunga-Russella, żółwia długiego na dziesięć tysięcy mil, obsypanego szronem martwych komet, z krostami kraterów meteorytowych i oczami mającymi al­bedo. Nikt nie zna przyczyny tego stanu rzeczy, ale prawdopodob­nie jest kwantowa.

Wiele z tego, co dziwne, może się zdarzyć w świecie jak ten, umieszczonym na grzbiecie żółwia.

Już się zdarza.

Gwiazdy w dole to ogniska na pustyni i światełka małych wiosek w wysokich górach. Miasteczka to niewyraźne mgławice, miasta to ogromne konstelacje. Wielkie, rozległe miasto Ankh-Morpork, na przykład, błyszczy jak zderzające się galaktyki.

Tu jednak, z dala od głównych skupisk ludności, gdzie Okrągłe Morze styka się z pustynią, błyszczy linia zimnego błękitnego ognia. Ku niebu wznoszą się płomienie lodowate jak zbocza Piekła. Upior­ne światło migocze na piasku.

To piramidy w starożytnej dolinie Djelu oddają w ogniu swoją moc.

Energia spływająca z ich parakosmicznych wierzchołków może — w dalszych częściach — rozjaśnić wiele tajemnic: dlaczego żółwie nienawidzą filozofii, dlaczego przesadna religijność źle wpływa na kozy i co naprawdę robią podręczne.

Z pewnością wyjawi, co nasi przodkowie by pomyśleli, gdyby żyli do dzisiaj. Ludzie współcześni często spekulują na ten temat. Czy podobałoby im się nowoczesne społeczeństwo, pytają; czy za­chwyciłyby ich nasze zdobycze? Oczywiście, pomija to kluczowe za­gadnienie. Nasi przodkowie, gdyby żyli do dzisiaj, myśleliby: „Dla­czego tu jest tak ciemno?”

\* \* \*

Najwyższy kapłan Dios otworzył oczy w chłodzie poranka. Od pewnego czasu prawie nie sypiał. Nie pamiętał już, kie­dy spał po raz ostatni. Sen był zbyt podobny do tego dru­giego stanu, a zresztą i tak go nie potrzebował. Wystarczyło trochę poleżeć — a w każdym razie poleżeć tutaj. Trucizny zmęczenia zni­kały jak wszystko pozostałe. Na pewien czas. Ale czas dostatecznie długi.

Zsunął nogi z płyty w swojej małej komorze. Niemal bez świa­domego ponaglenia mózgu, prawa dłoń chwyciła oplecioną węża­mi laskę, symbol jego urzędu. Dios zatrzymał się jeszcze, by wydrapać kolejny znak na ścianie, owinął się szatą i dziarsko ruszył po­chylonym korytarzem na zewnątrz. W myślach układały się już słowa Inwokacji Nowego Słońca. Noc minęła, nadchodził dzień. Wie­le rad i wskazówek czekało, by ich udzielił, a Dios żył tylko po to, by służyć.

Dios nie miał najdziwniejszej sypialni na świecie. Była to jedy­nie najdziwniejsza sypialnia, z której ktokolwiek wyszedł.

\* \* \*

Słońce sunęło po niebie.

Wielu ludzi zastanawia się, dlaczego to robi. Niektórzy są­dzą, że popycha je gigantyczny skarabeusz. Temu wyjaśnie­niu brakuje jednak pewnej technicznej dokładności. Ma także tę wadę, że — jak wykażą niektóre wydarzenia — może być w istocie prawdziwe.

Słońce dotarło do zachodu i nic szczególnie nieprzyjemnego mu się nie zdarzyło[[1]](#footnote-1), a jego przygasające promienie przypadkiem błysnęły przez okno w mieście Ankh-Morpork i odbiły się od lustra.

Było to lustro wysokości człowieka. Wszyscy skrytobójcy mają w pokojach takie duże lustra, ponieważ byłoby dla człowieka strasz­liwą obrazą, gdyby został zabity przez kogoś nieodpowiednio ubra­nego.

Teppic przyjrzał się sobie krytycznie. Wszystkie pieniądze wydal na kostium z czarnego jedwabiu. Kostium szeleścił bardzo cicho przy każdym ruchu. Był całkiem niezły.

Przynajmniej ból głowy ustawał. Dręczył dziś Teppica od same­go rana i chłopak bał się, że wystartuje do biegu i fioletowe plam­ki będą mu migać przed oczyma.

Westchnął, otworzył czarne puzderko, wyjął pierścienie i wsu­nął je na palce. Inne pudełko mieściło w sobie zestaw noży z klatchiańskiej stali, o ostrzach przyczernionych kopciem z lampy. Roz­maite chytre i skomplikowane aparaty wysupłał z aksamitnych mieszków i wsunął do kieszeni. Dwa *tlingas* o długich ostrzach, słu­żące do rzucania, trafiły do pochewek w butach. Cienką jedwabną linę ze składaną kotwiczką Teppic owinął wokół pasa, na kolczu­dze. Dmuchawkę na skórzanym rzemieniu zawiesił na plecach i ukrył pod płaszczem. Zabrał też cienki metalowy pojemnik z kompletem strzałek; ich ostrza były zabezpieczone korkiem, a drzewca oznaczone kodem Braille'a dla łatwej identyfikacji w ciemności.

Skrzywił się, sprawdził klingę rapiera i zawiesił go na bandolecie przerzuconym przez prawe ramię, by zrównoważyć ciężar wor­ka ołowianej amunicji do procy. Po namyśle otworzył szufladę ko­mody, wyjął pistoletową kuszę, buteleczkę oliwy, zestaw wytrychów, a po krótkim wahaniu dodał też sztylet, mieszek różnych rozmia­rów kolczastych kulek i kastet.

Sięgnął po kapelusz, sprawdził, czy pod podszewką znajduje się kawałek drutu. Potem wcisnął go zawadiacko na głowę, po raz ostatni z satysfakcją spojrzał w lustro, odwrócił się na pięcie i bardzo powoli upadł na podłogę.

\* \* \*

W Ankh-Morpork trwało upalne lato. Właściwie było nawet bardziej niż upalne. Było cuchnące.

Wielka rzeka zmieniła się w gęstą jak lawa maź pomiędzy Ankh, częścią miasta z lepszymi adresami, i Morpork na drugim brzegu. Morpork nie miało dobrych adresów. Morpork było mia­stem bliźniaczym dołu ze smołą. Niewiele można było uczynić, by zmienić Morpork w gorsze miejsce. Bezpośrednie trafienie mete­orytem, na przykład, zostałoby uznane za renowację.

Większą część rzecznego koryta pokrywała warstwa popękane­go, zaschniętego błota. Za dnia słońce przypominało wielki mie­dziany gong przybity do nieba. Żar, który wysuszył rzekę, smażył miasto za dnia i dopiekał nocą, przypalał stare deski, zmieniał tra­dycyjne uliczne błoto w drobny, duszący pył koloru ochry.

Taka pogoda nie była typowa dla Ankh-Morpork. Ze swej natu­ry miasto miało bowiem skłonności do mgieł i mżawek, deszczów i chłodów. Teraz dyszało ciężko niby ropucha na piecu. I nawet w tej chwili, koło północy, upał nie zelżał, okrywając ulice niczym zwę­glony aksamit, przypalając powietrze i tłumiąc oddech.

Wysoko na północnej ścianie budynku Gildii Skrytobójców za­brzmiało ciche szczęknięcie i jedno z okien stanęło otworem.

Teppic, który z ciężkim sercem pozbył się co bardziej masyw­nych elementów uzbrojenia, głęboko wciągnął do płuc gorące, stęchłe powietrze.

Nadszedł czas.

Nadeszła ta noc.

Mówili, że człowiek ma jedną szansę na dwie, chyba że egza­minatorem będzie stary Mericet, gdyż wtedy równie dobrze moż­na od razu poderżnąć sobie gardło.

Mericet w każdy czwartek po południu wykładał Strategię i Teo­rię Trucizn, a Teppic nie radził sobie z tym najlepiej. Internaty aż szumiały od plotek o Mericecie, o liczbie zabójstw, o niesamowitej technice... W swoim czasie Mericet pobił wszelkie rekordy. Podob­no zabił nawet Patrycjusza Ankh-Morpork. Nie obecnego, ma się ro­zumieć. Jednego z nieżyjących.

Może uda się trafić na Nivora, który był wesoły i gruby, lubił dobrze zjeść, a we wtorki prowadził Pułapki i Zapadnie. Teppicowi dobrze wychodziły pułapki i mistrz go lubił. A może przyjdzie Kompt de Yoyo od Języków Współczesnych i Muzyki. Teppic nie miał uzdolnień w żadnym z tych kierunków, ale Kompt był także zapalonym wspinaczem i lubił chłopców, którzy dzielili z nim en­tuzjazm dla wiszenia na jednej ręce wysoko ponad ulicami miasta.

Teppic postawił nogę na parapecie, odwinął linę z kotwiczką, zaczepił ją o rynnę dwa piętra wyżej i wyśliznął się za okno.

Żaden skrytobójca nigdy nie korzysta ze schodów.

\* \* \*

Nadeszła chyba właściwa chwila, by — dla uzasadnienia cią­głości akcji i późniejszych wydarzeń — poinformować, że największy matematyk świata Dysku leżał w tej chwili i spo­kojnie jadł kolację. Interesujące jest to, że ze względu na swoją przy­należność gatunkową, matematyk jadł na kolację swój obiad.

\* \* \*

Dzwony w całym Ankh-Morpork wybiły północ, gdy Tep­pic wspiął się na ozdobny parapet cztery piętra nad ulicą Filigranową. Serce biło mu mocno. Ostatnie resztki blasku po zachodzie słońca oświetlały jakąś ciem­ną sylwetkę. Teppic zatrzymał się obok wyjątkowo obrzydliwego gargulca i rozważył sytuację.

Praktycznie pewna klasowa plotka głosiła, że inhumacja egza­minatora przed testem automatycznie gwarantuje dyplom. Chło­piec wysunął z pochwy na udzie nóż numer trzy i ostrożnie zważył go w dłoni. Oczywiście, każda próba, każdy pochopny ruch, który chybiał, powodował natychmiastową porażkę i utratę przywilejów[[2]](#footnote-2).

Sylwetka stała w absolutnym bezruchu. Teppic spojrzał na labi­rynt kominów, gargulców, otworów wentylacyjnych, mostków i dra­bin, tworzących dachową scenerię miasta.

No tak, myślał. To jakaś kukła. Liczy, że ją zaatakuję, a to ozna­cza, że obserwuje mnie skądś.

Czy potrafię go znaleźć? Nie.

Z drugiej strony, może właśnie mam pomyśleć, że to kukła. Chyba że o tym też pomyślał...

Zabębnił palcami o gargulca i szybko się opanował. Co w ta­kiej sytuacji dyktuje rozsądek?

Daleko w dole IIałaśliwa grupa, zataczając się, przeszła przez kałużę blasku na ulicy.

Teppic schował nóż i wstał.

— Sir — oznajmił głośno. — Jestem.

— Doskonale — odpowiedział niezbyt wyraźnie oschły głos tuż koło jego ucha.

Teppic patrzył prosto przed siebie. Mericet pojawił się przed nim, ścierając w kościstej twarzy szary pył. Wyjął z ust kawałek rur­ki, odrzucił ją i sięgnął pod płaszcz po notatnik. Mimo upału był grubo opatulony. Mericet należał do ludzi, którzy marzną nawet we wnętrzu wulkanu.

— Aha — mruknął. Jego głos wyrażał głęboką dezaprobatę. — Pan Teppic. Dobrze.

— Piękna noc, sir — rzekł Teppic.

Egzaminator rzucił mu lodowate spojrzenie, sugerujące, że uwagi o pogodzie natychmiast zyskują punkt ujemny. Zanotował coś.

— Najpierw kilka pytań — oznajmił.

— Jak pan sobie życzy, sir.

— Jaka jest maksymalna dopuszczalna długość noża do rzutów? — warknął Mericet.

Teppic zamknął oczy. Przez ostatni tydzień czytał jedynie Cordat; teraz widział właściwą stronicę, płynącą kusząco tuż pod powiekami. Nigdy nie pytają o długości i ciężary, powtarzali studenci. Liczą, że wykujesz na blachę długości, ciężary i odległości rzutów, ale nigdy...

Groza zwarła obwody mózgu i pamięć wrzuciła bieg. Stronica wyostrzyła się.

— Maksymalna długość noża do rzutów wynosi dziesięć grubo­ści palca; podczas deszczu dopuszczalne jest dwanaście — wyrecyto­wał. — Odległość rzutu...

— Wymień trzy trucizny nadające się do aplikowania przez ucho.

Dmuchnął wietrzyk, ale nie ochłodził powietrza. Przemieścił jedynie żar.

— Sir... Komarzy agar, achorionowa purpura i mustyk — odparł natychmiast Teppic.

— Dlaczego nie spim? — zapytał Mericet, szybki jak wąż. Teppic otworzył usta. Przestąpił z nogi na nogę, unikając prze­nikliwego wzroku egzaminatora.

— S-sir, spim nie jest trucizną — wykrztusił w końcu. — To nie­zwykle rzadkie antidotum na jady pewnych węży, otrzymywane... — Uspokoił się trochę. Długie godziny poświęcone wertowaniu sta­rych słowników, przyniosły jednak korzyść. — Otrzymywane z wątro­by nadymającej mangusty, która...

— Co oznacza ten symbol? — przerwał mu Mericet.

— ...żyje wyłącznie w...

Teppic umilkł. Przyjrzał się skomplikowanym runom na kar­cie w dłoni Mericeta, po czym znowu wbił wzrok w przestrzeń za uchem egzaminatora.

— Nie mam pojęcia, sir.

Zdawało mu się, że słyszy najcichsze westchnienie, najdelikat­niejszy ślad zadowolonego mruknięcia.

— Ale gdyby odwrócić ją dołem do góry, sir — podjął — byłby to złodziejski symbol, oznaczający „IIałaśliwe psy w domu”.

Przez chwilę trwała cisza. Potem, tuż przy ramieniu chłopca, głos starego skrytobójcy zapytał:

— Czy garotą mogą posługiwać się wszystkie kategorie?

— Sir, regulamin mówi o trzech pytaniach — zaprotestował Teppic.

— Aha... Więc tak brzmi twoja odpowiedź?

— Nie, sir. To była tylko uwaga. Sir, odpowiedź, której pan ocze­kuje, brzmi: wszystkie kategorie mogą nosić garotę, ale tylko skry­tobójcy trzeciego stopnia mogą jej używać, stanowi jedną z trzech możliwości.

— Jesteś tego pewien?

— Tak, sir.

— Może się jeszcze zastanowisz?

Głosem egzaminatora można by smarować osie wozów.

— Nie, sir.

— Doskonale.

Teppic odprężył się nieco. Tunika przylgnęła mu do pleców, chłodna i wilgotna od potu.

— Teraz z prędkością, jaka ci odpowiada, udasz się na ulicę Księ­gowych — przemówił spokojnym tonem Mericet. — Przestrzegając wszystkich znaków i tak dalej. Będę na ciebie czekał w komnacie pod dzwonnicą na rogu Alei Audytu. Aha... Weź to, jeśli łaska.

Wręczył Teppicowi niewielką kopertę.

Teppic oddał pokwitowanie. Potem Mericet wstąpił w plamę cienia za kominem i zniknął.

Tyle jeśli chodzi o ceremonie.

Teppic odetchnął głęboko i wysypał na dłoń zawartość koper­ty. Był to czek gildii na dziesięć tysięcy ankh-morporkiańskich dola­rów, wystawiony na „Okaziciela” — imponujący dokument, opatrzo­ny pieczęcią gildii z podwójnym krzyżem i sztyletem w płaszczu.

Teraz już nie miał odwrotu. Przyjął pieniądze. Albo przeżyje, a w takim wypadku zgodnie z tradycją ofiaruje te pieniądze na fun­dusz pomocy wdowom i sierotom gildii, albo odbiorą ten czek jego trupowi. Czek miał trochę zawinięte rogi, ale Teppic nie znalazł na nim śladów krwi.

Sprawdził noże, przesunął pas z rapierem, obejrzał się i ruszył truchtem.

Przynajmniej tutaj sprzyjało mu szczęście. Według tradycji, pod­czas testów wykorzystuje się najwyżej pół tuzina tras; latem mrowił się na nich tłum studentów, wspinających się na dachy, wieże, oka­py i kolumny miasta. Wspinaczka była popularnym sportem i dzie­dziną współzawodnictwa między internatami. Była też jedną z nie­licznych dziedzin, w których Teppic radził sobie doskonale. Został nawet kapitanem drużyny, która pokonała Dom Skorpiona w finałach Igrzysk Ścianowych. A czekała go jedna z najłatwiejszych tras.

Zeskoczył lekko z dachu, wylądował na parapecie, bez trudu przebiegł wzdłuż milczącego budynku, przesadził wąską szczelinę i znalazł się na dachówkach sali gimnastycznej Reformowanych-Kultystów-Ropiejącego-Boga-SIIamIIarotIIa Stowarzyszenia Mło­dych Mężczyzn. Przebiegł po spadzistym dachu, bez zwalniania tem­pa pokonał dwunastostopową ścianę i trafił na szeroki, płaski dach świątyni Ślepego Io.

Nad horyzontem wisiał pomarańczowy księżyc w pełni. Wiała bryza, niezbyt mocna, ale odświeżająca jak prysznic. Teppic przy­spieszył, ciesząc się chłodnym podmuchem na twarzy. Zeskoczył z krawędzi dachu dokładnie na wąską, drewnianą kładkę ponad Aleją Blaszanej Pokrywki.

Którą to kładkę ktoś — wbrew wszelkim oczekiwaniom — wła­śnie usunął.

\* \* \*

W takich chwilach cale życie przewija się człowiekowi przed oczami...

\* \* \*

Ciotka płakała. Dość teatralnie, uznał Teppic, gdyż starsza pani była twarda jak podeszwa hipopotama. Ojciec wyglą­dał surowo i godnie — jeśli tylko o tym nie zapominał — i próbował usunąć z umysłu kuszące obrazy urwisk i ryb. Służba sta­ła w szeregach wzdłuż sali, od głównego wejścia: podręczne z jednej strony, eunuchowie i lokaje z drugiej. Dygali kolejno, gdy przecho­dził, generując dość ładną sinusoidę, którą największy matematyk Dysku z pewnością by docenił, gdyby nie był akurat zajęty przyjmo­waniem razów kija i słuchaniem krzyków małego człowieczka odzia­nego w coś w rodzaju nocnej koszuli.

— Ale... — Ciotka Teppica wytarła nos. — Ale to przecież fach...

— Nonsens, kwiecie pustyni. — Ojciec poklepał jej dłoń. — To profesja. Co najmniej profesja.

— A jaka między nimi różnica? — zatkała.

Ojciec westchnął.

— Pieniądze, jak rozumiem. Dobrze mu zrobi taka wyprawa. Pozna nowych ludzi, nabędzie ogłady... Będzie miał jakieś zajęcie i uniknie pokus.

— Ale... skrytobójstwo... Jest taki młody i nigdy nie przejawiał żadnych inklinacji... — Otarła oczy. — Nie odziedziczył tego po na­szej części rodziny — dodała oskarżycielskim tonem. — Ten twój szwa­gier...

— Wuj Vyrt — wtrącił ojciec.

— Jeździ po świecie i zabija ludzi!

— Oni chyba nie używają tego słowa. Mówią raczej: konkludu­je lub anuluje. Albo inhumuje. Tak słyszałem.

— Inhumuje?

— Inhumacja to chyba coś w rodzaju ekshumacji, o płynące wo­dy, tylko że zanim cię pochowają.

— Uważam, że to okropne. — Pociągnęła nosem. — Ale słysza­łam od lady Nooni, że tylko jeden chłopiec na piętnastu zdaje koń­cowy egzamin. Może rzeczywiście, pozwólmy mu się wyszaleć.

Król Teppicymon XXVII smętnie pokiwał głową i oddalił się, by pomachać synowi na pożegnanie. Nie był tak mocno jak siostra przekonany o okropnościach skrytobójstwa. Z ociąganiem, ale jed­nak od dawna zajmował się polityką i uważał, że choć skrytobójstwo jest gorsze od debaty, to jednak z pewnością lepsze od wojny, choć pewni ludzie uważają, że wojna to to samo, tylko głośniejsze. Trze­ba też przyznać, że młody Vyrt zawsze miał mnóstwo pieniędzy i czę­sto przybywał do pałacu z kosztownymi podarkami, egzotyczną opa­lenizną i porywającymi opowieściami o ludziach, których poznał w obcych stronach, zwykle na krótko.

Żałował, że w tej chwili Vyrt nie może mu doradzić. Jego wyso­kość także słyszał, że tylko jeden student na piętnastu zostaje praw­dziwym skrytobójcą. Nie był pewien, co dzieje się z pozostałą czter­nastką. Podejrzewał jednak, że marnych studentów w szkole skryto­bójców spotyka coś więcej niż rzucanie w nich kredą przy tablicy i że szkolne obiady niosą z sobą dodatkowe zagrożenie.

Wszyscy za to zgadzali się, że szkoła skrytobójców gwarantuje najlepsze wykształcenie ogólne na świecie. Wykwalifikowany skryto­bójca powinien umieć się zachować w każdym towarzystwie i grać przynajmniej na jednym instrumencie. Każdy inhumowany przez alumnów szkoły gildii mógł spoczywać usatysfakcjonowany, że anu­lował go ktoś o wyrobionym smaku i elegancji.

A poza tym, co chłopca czekało w domu? Królestwo szerokie na dwie mile i długie na sto pięćdziesiąt, w porze wylewu prawie całe pokryte wodą, zagrożone z obu stron przez sąsiadów, którzy tolerowali jego istnienie wyłącznie dlatego, że gdyby go tam nie by­ło, bez przerwy walczyliby ze sobą nawzajem.

Tak, Djelibeybi[[3]](#footnote-3) było kiedyś wielkie — gdy takie prymitywne kraje jak Tsort i Ephebe zamieszkiwały tylko bandy nomadów z ręcz­nikami na głowach. Po tych wspaniałych czasach pozostał tylko ruj­nująco kosztowny pałac, trochę zakurzonych ruin na pustyni i — fa­raon westchnął — piramidy. Zawsze te piramidy.

Jego przodkom bardzo zależało na piramidach. Faraonowi wca­le. Piramidy doprowadziły kraj do bankructwa, wyssały go do sucha lepiej niż rzeka. Jedyną klątwą grobowca, na jaką obecnie mógł so­bie pozwolić, było „Spadaj”.

Jedyne piramidy, jakie nie wzbudzały niechęci, były bardzo ma­łe i stały na granicy ogrodów. Budowano je za każdym razem, gdy zdechł któryś z kotów.

Obiecał to matce chłopca.

Tęsknił za Artelą. Małżeństwo z kobietą spoza królestwa wywo­łało prawdziwą burzę, a niektóre jej obce zwyczaje zdumiewały i fa­scynowały nawet jego. Może to od niej nauczył się tej dziwnej nie­chęci do piramid. W Djelibeybi było to jak niechęć do oddychania. Obiecał jej jednak, że wyśle Teppica do szkoły poza granicami kró­lestwa. Uparła się. „Ludzie tutaj niczego się nie uczą — tłumaczyła — tylko pamiętają”.

Gdyby tylko pamiętała, że nie wolno pływać w rzece...

Spojrzał na służących, ładujących bagaż Teppica do powozu, i po raz pierwszy za pamięci ich obu położył dłoń na ramieniu syna.

Nie wiedział, co ma powiedzieć. Nigdy właściwie nie mieli­śmy czasu, żeby się lepiej poznać, myślał. Tak wiele mogłem mu dać... Jedno czy drugie solidne lanie z pewnością nie poszłoby na marne.

— Em... — zaczął. — Cóż, mój chłopcze...

— Tak, ojcze?

— To... tego... pierwszy raz, kiedy samotnie wyjeżdżasz z do­mu...

— Nie, ojcze. Jak pamiętasz, ostatnie lato spędziłem z lordem Fhem-pta-hem.

— Naprawdę? — Przypomniał sobie, że istotnie, pałac wydawał się wtedy cichszy. Przypisywał to nowym gobelinom.

— Wszystko jedno — rzekł. — Jesteś już młodym mężczyzną, masz prawie trzynaście lat...

— Dwanaście, ojcze — poprawił Teppic.

— Jesteś pewien?

— W zeszłym miesiącu miałem urodziny. Podarowałeś mi płytę grzejną do łóżka.

— Podarowałem? To niezwykłe. Czy wyjaśniłem dlaczego?

— Nie, ojcze. — Teppic spojrzał na łagodne, zakłopotane oblicze rodzica. — To bardzo dobra płyta — dodał pocieszająco. — Bardzo ją lubię.

— Aha. Dobrze. Hm. — Jego wysokość raz jeszcze poklepał syna po ramieniu, jak człowiek, który bębni palcami po biurku i usiłuje myśleć. Jakiś pomysł chyba wpadł mu do głowy.

Służący umocowali kufer do dachu powozu, a woźnica cierpli­wie przytrzymywał otwarte drzwiczki.

— Kiedy młody człowiek wyrusza w świat — zaczął niepewnie władca — są pewne... no, jest bardzo ważne, by pamiętał... Chodzi o to, że świat jest jednak bardzo duży, z rozmaitymi... Oczywiście, zwłaszcza w mieście, gdzie wiele istnieje dodatkowych...

Urwał i niepewnie machnął ręką.

Teppic przyjął to spokojnie.

— Wszystko w porządku, ojcze, Dios, najwyższy kapłan, wytłu­maczył mi, że powinienem regularnie się kąpać i nie oślepnąć. Ojciec zamrugał niepewnie.

— Nie ślepniesz chyba? — zapytał.

— Raczej nie, ojcze.

— Aha. Tak. To doskonale — stwierdził król. — Absolutnie wspa­niale. Naprawdę dobra wiadomość.

— Muszę już ruszać, ojcze. Niedługo skończy się przypływ. Jego wysokość skinął głową i poklepał się po kieszeniach.

— Coś tu miałem... — wymruczał, wyśledził to coś i wsunął Teppicowi do kieszeni niewielką skórzaną sakiewkę.

Znowu spróbował manewru z ramieniem.

— Mały drobiażdżek — szepnął. — Nie mów ciotce. Zresztą i tak nie możesz. Poszła się położyć. To trochę za wiele jak dla niej.

Teppicowi pozostało jeszcze złożyć kurczaka w ofierze przed posągiem Khufta, założyciela Djelibeybi, aby opiekuńcza ręka przodka kierowała jego krokami. Było to małe kurczę, i kiedy Khuft z nim skończył, król zjadł je na obiad.

Djelibeybi było niewielkim, zamkniętym w sobie krajem. Na­wet jego plagi były raczej łagodne. Wszystkie szacowne rzeczne kró­lestwa miewają potężne, nadprzyrodzone plagi, ale Stare Państwo przez ostatnie sto lat stać było jedynie na Plagę Żaby[[4]](#footnote-4).

\* \* \*

Tego wieczoru znaleźli się daleko od delty Djel i przez Okrągłe Morze zmierzali do Ankh-Morpork. Teppic przy­pomniał sobie o sakiewce i zbadał jej zawartość. Z miło­ścią, ale też z typowym dla siebie roztargnieniem, ojciec dał mu na drogę korek, pół puszki smaru do siodeł, niewielką spiżową mone­tę nieustalonej wartości i wyjątkowo starą sardynkę.

\* \* \*

Powszechnie wiadomo, że tuż przed śmiercią zmysły stają się niezwykle wyczulone. Ogólnie uważa się, że mają po­móc właścicielowi wykryć jakiekolwiek możliwe wyjście z trudnej sytuacji, inne niż to najbardziej oczywiste.

To nieprawda. Fenomen ten jest klasycznym przykładem ak­tywności zastępczej. Zmysły rozpaczliwie koncentrują się na czym­kolwiek z wyjątkiem kluczowego problemu. W przypadku Teppica była to rozległa powierzchnia bruku leżąca jakieś piętnaście sążni pod nim i zbliżająca się szybko. Miał nadzieję, że bruk zniknie. Problem polegał na tym, że niedługo zniknie rzeczywiście. Nieważne zresztą, z jakiego powodu, ale Teppic dostrzegał wo­kół siebie wiele rzeczy. Promienie księżyca lśniące na dachach. Zapach świeżego chleba dobiegający z niedalekiej piekarni. Brzęczenie chrabąszcza, który przemknął w górę obok jego ucha. Glos plączą­cego dziecka w oddali i szczekanie psa. Cichy powiew powietrza, ze szczególnym uwzględnieniem jego rozrzedzenia i braku zaczepów.

\* \* \*

Tego roku prawie siedemdziesięciu wstąpiło do szkoły. Skrytobójcy nie mieli trudnych egzaminów wstępnych; do szkoły łatwo było się dostać i łatwo się było z niej wydostać (sztuka polegała na tym, żeby wydostać się w pozycji pionowej). Na dziedzińcu pomiędzy budynkami gildii tłoczyli się chłopcy, mający dwie wspólne cechy: duże kuferki, na których siedzieli, i ubrania na wyrost, w których — mniej więcej — siedzieli. Niektórzy optymiści przynosili ze sobą broń, tę jednak konfiskowano i w ciągu kilku ty­godni odsyłano do domu.

Teppic obserwował ich czujnie. Doceniał teraz zyski, jakie da­wało mu wychowywanie przez rodziców zbyt zajętych własnymi spra­wami, żeby za bardzo się o niego martwić, a nawet dostrzegać jego istnienie.

Matka, jak ją pamiętał, była miłą kobietą, egocentryczną jak ży­roskop. Lubiła koty. Nie tylko je czciła — to akurat robił każdy miesz­kaniec królestwa — ale także naprawdę lubiła. Teppic wiedział, że tradycja nakazuje nadrzecznym królestwom cenić koty, podejrzewał jednak, że zwykle zwierzęta te były pełne gracji i stateczne. Koty mat­ki były małymi, złośliwymi, płaskogłowymi i żółtookimi maniakami.

Ojciec wiele czasu poświęcał na martwienie się o królestwo. Od czasu do czasu oznajmiał, że jest mewą, choć było to pewnie wyni­kiem słabej pamięci. Teppic zastanawiał się niekiedy, jak doszło do jego poczęcia, gdyż rodzice rzadko znajdowali się w tym samym sys­temie współrzędnych, a co dopiero w tym samym stanie ducha.

Fakt ten jakoś jednak nastąpił i życie zmusiło Teppica do wy­chowywania się metodą prób i błędów. Liczni wychowawcy IIamowa­li go lekko, ale czasem mu pomagali. Najlepsi byli ci, których przyj­mował ojciec, zwłaszcza w dni, kiedy fruwał wysoko. Przez jedną cudowną zimę wychowawcą Teppica był starszy już kłusownik, polu­jący na ibisy. Do królewskich ogrodów trafił przypadkiem, w poszu­kiwaniu zabłąkanej strzały.

Były to dni szaleńczych gonitw z żołnierzami, spacerów po mar­twych, rozjaśnionych światłem księżyca ulicach Nekropolii, a przede wszystkim poznawania głuszaka, straszliwie skomplikowanego urzą­dzenia, które — poważnie zagrażając operatorowi — mogło zmienić staw pełen niewinnego ptactwa wodnego w misę pasztetu.

Zbadali też bibliotekę, w tym zamknięte półki — kłusownik miał liczne talenty, zapewniające mu zyskowną rozrywkę przy niesprzyja­jącej pogodzie. Książki wypełniły Teppicowi wiele godzin cichej lek­tury. Najbardziej spodobał mu się „Zamknięty pałac”, przełożony z kIIalijskiego przez Dżentelmena, z ręcznie barwionymi ilustracja­mi, w ściśle ograniczonym nakładzie. Dzieło było niezwykłe, ale po­uczające; i kiedy kolejny wychowawca, tym razem wynajęty przez kapłanów, młody i romantyczny, zaproponował przećwiczenie z chłopcem pewnych technik atletycznych, używanych przez kla­sycznych Pseudopolian, Teppic przez chwilę rozważał propozycję, po czym wieszakiem na kapelusze powalił młodzieńca na ziemię.

Teppic się nie kształcił. Wykształcenie samo opadało na niego niczym łupież.

W świecie na zewnątrz jego umysłu zaczęło padać: kolejne no­we doświadczenie. Oczywiście słyszał o deszczu: że woda spada z nie­ba w małych kawałkach. Po prostu nie spodziewał się, że będzie jej tak dużo. W Djelibeybi nigdy nie padało.

Mistrzowie spacerowali pomiędzy chłopcami niby wilgotne, tro­chę nastroszone czarne ptaszyska. Teppic jednak zerkał na grupkę star­szych uczniów, stojących niedaleko ozdobionego kolumnami wejścia do szkoły. Ci także nosili się na czarno — w różnych kolorach czerni.

Wtedy po raz pierwszy odkrył kolory tercjalne, kolory po tam­tej stronie czerni, kolory otrzymywane w wyniku rozszczepienia czerni w ośmiościennym pryzmacie. Są praktycznie nieopisywalne w niemagicznym środowisku. Gdyby ktoś próbował, pewnie naj­pierw poleciłby wypalić coś nielegalnego, a potem dobrze się przyj­rzeć skrzydłom szpaka.

Starsi krytycznie obserwowali nowo przybyłych.

Teppic przyglądał się im. Jeśli nie liczyć koloru, ich ubrania skrojone były zgodnie z najnowszą modą — obecnie sugerującą sze­rokie kapelusze, podkreślone ramiona, wąskie talie i szpiczaste bu­ty, przez co nadążający za nią sprawiali wrażenie niezwykle eleganc­ko ubranych gwoździ.

Będę taki jak oni, powiedział sobie Teppic.

Chociaż pewnie będę się lepiej ubierał, dodał w myślach.

Przypomniał sobie jedną z tych krótkich, tajemniczych wizyt wuja Vyrta. Siedzieli wtedy na schodach prowadzących nad Djel.

— Atłas i skóra się nie nadają. Ani żadna biżuteria. Nie możesz nosić niczego, co błyszczy, skrzypi albo dźwięczy. Trzymaj się suro­wego jedwabiu i aksamitu. Nie to jest najważniejsze, ilu ludzi inhumujesz, ale to, ilu z nich nie zdoła inhumować ciebie.

\* \* \*

Poruszał się w nierozsądnym tempie, ale teraz mogło mu to pomóc. Wygiął się nad pustką zaułka, rozpaczliwie wy­ciągnął ręce i poczuł, że palce muskają parapet okna. To wystarczyło, żeby go obrócić. Uderzył o popękany tynk z taką siłą, że stracił ostatnie resztki tchu. Zaczął się zsuwać po pionowej ścianie...

\* \* \*

**—**Chłopcze!

Teppic podniósł głowę. Obok stał starszy skrytobójca z fio­letową wstęgą nauczyciela na piersi. Był pierwszym skryto­bójcą — nie licząc wuja Vyrta — którego Teppic widział z bliska. Wy­dawał się całkiem sympatyczny. Chłopiec mógłby go sobie wyobra­zić przy produkcji kiełbas.

— Do mnie mówiłeś? — zapytał.

— Masz wstać, kiedy zwracasz się do mistrza — upomniała go ru­miana twarz.

— Mam?

Teppic był zafascynowany. Zastanawiał się, jak można to osią­gnąć. Dyscyplina jak dotąd nie należała do głównych elementów jego życia. Większość wychowawców tak wyprowadzał z równowagi widok władcy, siedzącego niekiedy na drzwiach, że jak najszybciej kończyli lekcje i zamykali się w pokojach.

— Mam, sir — poprawił nauczyciel. Zajrzał do trzymanych w rę­ku papierów. — Jak ci na imię, chłopcze?

— Książę Pteppic ze Starego Państwa, Królestwa Słońca — wyja­śnił swobodnie Teppic. — Rozumiem, że jesteś ignorantem w sprawach etykiety, ale nie powinieneś mnie nazywać „sir” i powinieneś uderzać czołem o ziemię, kiedy się do mnie zwracasz.

— Pateppic? — powtórzył mistrz.

— Nie. Pteppic.

— Aha. Teppic. — Mistrz zaznaczył imię na liście. Uśmiechnął się szeroko. — Cóż, wasza wysokość — powiedział. — Jestem Grunworth Nivor, twój opiekun. Trafiłeś do Domu Żmii. Wedle mojej wiedzy, na Dysku istnieje przynajmniej jedenaście Królestw Słońca. Do końca tygodnia przedstawisz krótkie wypracowanie, opisujące ich położenie geograficzne, ustrój polityczny, stolice i główne siedzi­by rządu, a także sugerowaną trasę do alkowy dowolnie wybranej głowy państwa. Jednakże na Dysku jest tylko jeden Dom Żmii. Mi­łego dnia, chłopcze.

Nauczyciel odwrócił się i ruszył ku kolejnemu przestraszone­mu uczniowi.

— Nie jest taki zły — odezwał się głos za Teppikiem. — Zresztą wszystko to znajdziesz w bibliotece. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać. Je­stem Chidder.

Teppic odwrócił się. Zwracał się do niego chłopiec mniej wię­cej w jego wieku i podobnego wzrostu. Jego czarny strój — zwykła czerń Pierwszego Roku — wyglądał, jakby przybijano mu go do cia­ła po kawałku.

Chłopiec wyciągnął rękę. Teppic przyjrzał się jej uprzejmie.

— Tak?

— Jak ci na imię, mały?

Teppic wyprostował się. Miał już dosyć takiego traktowania.

— Mały? Wiedz, że w moich żyłach płynie krew faraonów. Chłopak patrzył na niego wcale nieprzestraszony. Pochylił gło­wę w bok i uśmiechnął się lekko.

— A chciałbyś, żeby tam została? — zapytał.

\* \* \*

Piekarnia była tuż obok; garstka pracowników wyszła na stosunkowo świeże przed świtem powietrze, by zapalić pa­pierosa i chwilę odetchnąć po pustynnym żarze pieców. Ich głosy wznosiły się aż do Teppica, ukrytego w cieniu. Ściskał bło­gosławiony okienny parapet i szukał wśród cegieł oparcia dla stóp.

Nie jest tak źle, powtarzał sobie. Bywałeś na gorszych ścianach. Na przykład osiowa elewacja pałacu Patrycjusza zeszłej zimy, kiedy rynny się przepełniły i cały mur pokrywała warstwa lodu. Ta ścianka to niewiele więcej niż trójka, najwyżej 3,2. Ty i Chiddy chodziliście po takich na spacer, zamiast tupać po ulicy. To tylko kwestia perspektywy.

Perspektywa... Spojrzał w dół, na dwanaście sążni nieskończo­ności. Chłopie, weź się w garść. Nie, weź w garść tę ścianę... Prawa stopa znalazła wnękę po wykruszonej zaprawie; palce wsunęły się w nią niemal bez świadomego polecenia mózgu. Mózg w tej chwili był zbyt poruszony, by poświęcać wydarzeniom więcej niż tylko prze­lotną uwagę.

Teppic nabrał tchu, opuścił rękę do pasa, chwycił sztylet i wbił go między cegły, zanim grawitacja zauważyła, co się dzieje. Zawisł zdyszany i czekał, aż znowu o nim zapomni. Potem przesunął ciało w bok i spróbował tego samego manewru po raz drugi.

W dole jeden z piekarzy opowiedział soczysty dowcip i strzepnął z ucha kawałek tynku. Jego koledzy wybuchnęli śmiechem. Teppic tymczasem stanął w ciemności, utrzymując równowagę na dwóch igłach klatchiańskiej stali, i ostrożnie przesunął dłonie wzdłuż ścia­ny do okna, którego parapet zapewnił mu chwilowy ratunek.

Okno było zamknięte. Porządny cios z pewnością by je otwo­rzył, ale równocześnie pchnąłby go w tył, w pustkę. Teppic wes­tchnął, z delikatnością zegarmistrza wyjął z sakiewki diamentowy cyrkiel i powoli wykreślił koło na zakurzonym szkle.

\* \* \*

**—**Sam go nieś — powiedział Chidder. — Takie tu są zasady. Teppic spojrzał na kufer. Pomysł wydał mu się intrygujący.

— W domu mamy do tego ludzi — wyjaśnił. — Eunuchów i tak dalej.

— Powinieneś jednego ze sobą przywieźć.

— Źle znoszą podróże.

W rzeczywistości twardo odrzucił sugestię, że powinien mu to­warzyszyć niewielki orszak. Dios dąsał się przez kilka dni. Nie tak powinien wyruszać w świat członek królewskiego rodu, oznajmił. Teppic nie ustąpił. Był prawie pewien, że skrytobójcy nie powinni chodzić do pracy w towarzystwie podręcznych i trębaczy. Teraz jednak uznał, że pomysł nie był tak całkiem pozbawiony sensu. Szarp­nął kuferek na próbę i udało mu się zarzucić go sobie na ramiona.

— Więc twoja rodzina jest bogata? — zapytał Chidder, idąc koło niego.

Teppic zastanowił się chwilę.

— Nie, właściwie nie. U nas hodują głównie melony, czosnek i takie różne. Poza tym stoją na ulicach i krzyczą „hurra”.

— Mówisz o swoich rodzicach? — zdziwił się Chidder.

— O nich? Nie, mój ojciec jest faraonem. Matka była chyba kon­kubiną.

— Myślałem, że to jakaś roślina.

— Raczej nie. Nigdy jakoś o tym nie rozmawialiśmy. Zresztą umarła, jak jeszcze byłem mały.

— To okropne — stwierdził uprzejmie Chidder.

— Poszła popływać przy świetle księżyca w czymś, co okazało się krokodylem. — Teppic starał się nie okazywać, jak uraziła go reakcja chłopca.

— Mój ojciec pracuje w IIandlu — powiedział Chidder, gdy prze­chodzili pod łukiem wejścia.

— Fascynujące — przyznał grzecznie Teppic. Przytłaczały go te wszystkie nowe doświadczenia. — Nigdy nie byłem w IIandlu, ale słyszałem, że to wspaniali ludzie.

Przez kolejną godzinę czy dwie, Chidder — który kroczył przez życie spokojnie, jakby już dawno je rozpracował — wprowadzał Teppica w rozmaite tajemnice internatów, klas i kanalizacji. Kanaliza­cję, z różnych powodów, zostawił na sam koniec.

— Żadnych? — nie dowierzał.

— Mamy wiadra i inne rzeczy — odparł wymijająco Teppic. — I dużo służby.

— Trochę staromodne jest to twoje królestwo. Teppic kiwnął głową.

— To przez piramidy — wyjaśnił. — Pochłaniają wszystkie pie­niądze.

— Przypuszczam, że są kosztowne.

— Niespecjalnie. Budujemy je z kamieni. — Chłopiec westchnął. — Mamy mnóstwo kamieni. I piasku. Kamień i piasek. W tym jeste­śmy dobrzy. Gdybyś kiedyś potrzebował kamieni i piasku, jesteśmy właściwymi ludźmi. To wykończenie wnętrza jest naprawdę kosztowne. Wciąż nie spłaciliśmy rachunku za dziadkową, a przecież nie była wielka: tylko trzy komory.

Teppic odwrócił się i wyjrzał przez okno. Podczas rozmowy wró­cili do wspólnej sypialni.

— Całe królestwo jest zadłużone — wyznał cicho. — Nawet nasze długi są zadłużone. Właściwie to z tego powodu przyjechałem. Ktoś z rodziny musi zarabiać jakieś pieniądze. Następca tronu nie może się już włóczyć po pałacu i udawać ornamentu. Musi wziąć się do pracy i zrobić coś pożytecznego dla społeczeństwa.

Chidder oparł dłoń o parapet.

— A nie moglibyście zdjąć z piramid trochę towaru? — zapytał.

— Nie żartuj.

— Przepraszam.

Teppic spoglądał posępnie w dół.

— Mnóstwo tu ludzi — zauważył, próbując zmienić temat. — Nie sądziłem, że szkoła będzie taka duża. — Zadrżał. — I taka zimna.

— Ludzie ciągle odpadają. Nie wytrzymują nauki. Najważniej­sze, to wiedzieć, co jest co i kto jest kto. Widzisz tego tam?

Wskazał palcem grupę starszych uczniów, stojących między ko­lumnami przy wejściu.

— Ten wysoki? Z twarzą jak czubek buta?

— To Flimoe. Uważaj na niego. Jeśli zaprosi cię w swojej pra­cowni na grzankę, nie idź.

— A kim jest ten dzieciak z lokami? — zapytał Teppic.

Wskazał chłopca, którym zajmowała się wyblakła z wyglądu ko­bieta. Lizała chusteczkę i ścierała wyimaginowane ślady brudu z je­go twarzy. Kiedy skończyła, poprawiła mu kołnierzyk.

Chidder wyciągnął szyję.

— Och, po prostu nowy dzieciak — wyjaśnił. — Arthur jakiśtam. Maminsynek, jak widzę. Nie przetrwa długo.

— Nie byłbym taki pewny. My też jesteśmy w pewnym sensie maminsynkami, a przetrwaliśmy tysiące lat.

\* \* \*

Szklany krążek wpadł do wnętrza i brzęknął o podłogę. Przez kilka minut nie zabrzmiał żaden inny dźwięk. Po­tem nastąpiło cichutkie puknięcie naczynia z oliwą. Cień, leżący na okiennym parapecie, cmentarzysku much, okazał się rę­ką, z roślinną powolnością pełznącą w stronę IIaczyka.

Zgrzytnął metal i cale okno uchyliło się w trybologicznej ciszy.

Przez minutę czy dwie pełną kurzu przestrzeń wypełniała in­tensywna nieobecność dźwięku, wywoływana przez kogoś porusza­jącego się z najwyższą ostrożnością. Jeszcze raz trysnęła oliwa i szep­nął metal, gdy odsunął się rygiel klapy prowadzącej na dach.

Teppic czekał, aż dogoni go własny oddech, i w tej właśnie chwi­li usłyszał dźwięk. Rozbrzmiewał gdzieś wśród białego szumu, na samej granicy słyszalności, ale nie było wątpliwości co do jego źró­dła. Ktoś czekał przy klapie i właśnie przycisnął ręką kawałek pa­pieru, żeby nie szeleścił na wietrze.

Dłoń Teppica porzuciła rygiel. Starannie dobierając drogę, chłopiec przeszedł po brudnej podłodze i obmacując drewniane ściany, trafił na drzwi. Tym razem nie ryzykował, ale odkorkował butelkę oliwy i odczekał, aż bezgłośna kropla spadnie na zawiasy.

W chwilę później znalazł się po drugiej stronie. Szczur, spokoj­nie patrolujący przewiewny korytarz, ledwie się powstrzymał od po­łknięcia własnego języka, gdy Teppic przepłynął obok.

Na końcu były jeszcze jedne drzwi i labirynt zakurzonych ma­gazynów. Wreszcie znalazł schody. Ocenił, że jest o jakieś piętna­ście sążni od klapy. Po drodze nie zauważył przewodów komino­wych. Nic nie powinno przeszkadzać na dachu.

Przykucnął i wyjął zawiniątko z nożami — aksamitna czerń zna­czyła ciemniejszy prostokąt wśród mroku. Teppic wybrał numer pięć, nóż nie dla każdego, ale skuteczny, jeśli się opanuje posługi­wanie nim.

Wkrótce potem chłopiec wysunął głowę ponad krawędź dachu, z ramieniem odciągniętym w tył, lecz gotowym, by wyprostować się nagle w skomplikowanym oddziaływaniu sil, które złożą się, wysy­łając kilka uncji stali w lot pośród nocy.

Mericet siedział przy klapie i spoglądał na swój notatnik. Wzrok Teppica sięgnął podłużnego pomostu, opartego równo o parapet kilka stóp dalej.

Był pewien, że nie wydał żadnego dźwięku. Mógłby przysiąc, że egzaminator usłyszał odgłos padającego na niego spojrzenia.

Starzec uniósł łysą głowę.

— Dziękuję, panie Teppic — powiedział. — Proszę kontynuować.

Teppic poczuł, że zimny pot występuje mu na skórę. Patrzył na pomost, na egzaminatora, potem na nóż,

— Tak jest, sir — wykrztusił w końcu. W tych okolicznościach nie wydało mu się to wystarczające. — Dziękuję panu, sir — dodał.

\* \* \*

Na zawsze miał zapamiętać swoją pierwszą noc we wspól­nej sypialni. Była dostatecznie obszerna, by pomieścić osiemnastu chłopców Domu Żmii, i dostatecznie pełna przeciągów, by zmieścić całe wielkie zewnętrze. Jej projektant być może pamiętał o wygodzie, ale jedynie po to, żeby unikać jej, kiedy tylko było to możliwe. W rezultacie zbudował pomieszczenie, które mogło być zimniejsze niż powietrze na zewnątrz.

— Myślałem, że każdy dostanie własny pokój — mruknął Teppic. Chidder, który zajął najmniej widoczne łóżko w całej lodówce, skinął mu głową.

— Później — obiecał. Położył się i syknął. — Jak myślisz, ostrzą te sprężyny?

Teppic milczał. Łóżko było nawet wygodniejsze od tego, w któ­rym sypiał w domu. Rodzice, jako szlachetnie urodzeni, akcepto­wali dla swoich dzieci warunki życia, jakie od ręki odrzuciłaby rodzi­na zubożałych komarów.

Wyciągnął się na cienkim materacu i przemyślał wydarzenia minionego dnia. Wpisano go na listę skrytobójców, no dobrze, uczniów skrytobójców, już ponad siedem godzin temu, a jak do­tąd nie dali mu nawet noża do ręki. Oczywiście, jutro też jest dzień...

Chidder pochylił się nad nim.

— Gdzie jest Arthur? — zapytał.

Teppic zerknął na sąsiednie łóżko. Na jego środku leżał smęt­nie mały tobołek ubrań, ale nie było śladu właściciela.

— Myślisz, że uciekł? — zapytał, rozglądając się badawczo.

— To możliwe — zgodził się Chidder. — Często się zdarza. Wiesz, maminsynek, pierwsza noc poza domem...

Drzwi sali otworzyły się wolno i Arthur wkroczył tyłem, ciągnąc za sobą dużego i bardzo opornego kozła. Zwierzę opierało się gwał­townie przez całą drogę między dwoma rzędami łóżek.

Chłopcy przyglądali się w milczeniu. Arthur przywiązał kozia do łóżka, wysypał na koc zawartość tobołka, znalazł kilka czarnych świec, pęczek ziół, łańcuch czaszek i kawałek kredy. Z zaczerwienioną twa­rzą i miną człowieka, który uczyni to, co uważa za słuszne, choćby nie wiem co się działo, wykreślił wokół łóżka podwójny krąg, uklęk­nął i wypełnił przestrzeń między dwiema liniami zestawem symboli okultystycznych — najbardziej ponurym, jaki Teppic w życiu widział. Kiedy skończył, ustawił świece w strategicznych punktach i zapalił je; płonęły nierówno i wydzielały zapach sugerujący, że człowiek tak naprawdę wcale nie chce wiedzieć, z czego zostały zrobione.

Potem wyciągnął krótki nóż z czerwoną rękojeścią, zbliżył się do kozła...

Poduszka trafiła go w głowę.

— A niech go! Pobożniś się znalazł!

Arthur wypuścił nóż i zalał się łzami. Chidder usiadł na łóżku.

— To ty, Cheesewright! — powiedział. — Widziałem. Cheesewright, chudy chłopak o rudych włosach i twarzy, która była jednym wielkim piegiem, rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Tego już za wiele — oświadczył. — Zasnąć nie można od całej tej religii. Przecież tylko małe dzieci odmawiają paciorek przed spa­niem, a my tu mamy się uczyć na skrytobójców...

— Mógłbyś uprzejmie się zamknąć, Cheesewright? — wrzasnął Chidder. — Świat byłby lepszy, gdyby więcej ludzi odmawiało pacierz. Wiem, że sam też nie modlę się tak często, jak powinienem...

Poduszka przerwała mu w pół słowa. Poderwał się z łóżka i wy­machując pięściami, skoczył na rudowłosego przeciwnika.

Gdy reszta chłopców otoczyła walczącą dwójkę, Teppic wyśli­znął się spod koca i podszedł do Arthura, który siedział na brzegu łóżka i szlochał.

Teppic poklepał go po ramieniu, uznając, że czynność ta po­winna dodawać ludziom otuchy.

— Nie masz się o co mazać, mały — rzucił szorstko.

— Ale... Ale zamazali mi wszystkie runy. Już za późno. A to znaczy, że Wielki Orm przyjdzie tu nocą i nawinie moje wnętrzności na kij! i…

— Naprawdę?

— I wyssie mi oczy. Tak mówiła mama.

— O rany... — szepnął zafascynowany Teppic. — Naprawdę? —

Dobrze się złożyło, że zajął łóżko naprzeciw Arthura i teraz będzie miał świetny widok. — A jaka to religia?

— Jesteśmy Ścisłymi Autoryzowanymi Ormitami — wyjaśnił Arthur. Wytarł nos. — A ty nie masz boga?

— Ależ mam — odparł z wAhaniem Teppic. — Z całą pewnością.

— Ale jakoś nie chcesz z nim rozmawiać.

— Nie mogę. — Teppic pokręcił głową. — Nie tutaj. Nie usłyszał­by mnie.

— Mój bóg słyszy mnie, gdziekolwiek jestem — zapewnił z prze­konaniem Arthur.

— Cóż... Mój ma kłopoty, jeśli staniesz po przeciwnej stronie pokoju. To bywa krępujące.

— Nie jesteś chyba Offlianinem? — spytał Arthur. Offler był Bo­giem Krokodylem i nie miał uszu.

— Nie.

— Więc jakiego boga czcisz?

— Trudno powiedzieć, że czczę — mruknął zakłopotany Teppic. — Nie nazwałbym tego czcią. To znaczy owszem, jest w porządku. To mój ojciec, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

Arthur szeroko otworzył zaczerwienione oczy.

— Jesteś synem boga? — wyszeptał.

— Tam, skąd pochodzę, wiąże się to z funkcją króla — tłumaczył pospiesznie Teppic. — Nie jest to zbyt ciężka praca. Wiesz, to wła­ściwie kapłani kierują państwem. On tylko ma dopilnować, żeby co roku wylała rzeka, i wiesz, służy Wielkiej Krowie Niebiańskiej Ko­puły. Kiedyś służył.

— Wielkiej...

— Mojej matce — wyjaśnił Teppic. — To trochę krępujące.

— Czy poraża ludzi?

— Chyba nie. Nigdy o tym nie mówił.

Arthur wskazał ramę łóżka. W całym zamieszaniu kozioł prze­gryzł sznurek i potruchtał za drzwi, obiecując sobie, że już na zawsze skończy z religią.

— Będę miał straszne kłopoty — wyznał Arthur. — Pewnie nie mógłbyś prosić ojca, żeby wytłumaczył wszystko Wielkiemu Ormowi?

— Może mu się uda — mruknął z powątpiewaniem Teppic. — I tak miałem jutro pisać do domu.

— Wielki Orm przebywa zwykle w jednym z Niższych Piekieł, skąd obserwuje wszystko, co robimy. A w każdym razie wszystko, co ja robię. Zostaliśmy już tylko ja i mama, a ona nie robi nic, co war­to by oglądać.

— Powiem mu o tym.

— Myślisz, że Wielki Orm przyjdzie dziś w nocy?

— Raczej nie. Poproszę ojca, żeby z nim porozmawiał i powie­dział, żeby nie przychodził.

Na drugim końcu sali Chidder klęczał Cheesewrightowi na ple­cach i rytmicznie uderzał jego głową o podłogę.

— Powtórz to — rozkazał. — No już. To nic złego...

— To nic złego, że ktoś ma dość odwagi... Niech cię demony porwą, Chidder, ty draniu...

— Nie słyszę cię, Cheesewright.

— Dość odwagi, żeby odmawiać pacierz przy wszystkich, ty zgniły...

— Dobrze. I nie zapominaj o tym.

Po zgaszeniu światła, Teppic leżał w łóżku i myślał o religii. By­ła to z pewnością niezwykle skomplikowana kwestia.

Dolina Djel miała własnych, prywatnych bogów, nie mających nic wspólnego z zewnętrznym światem. Jej mieszkańcy zawsze byli z tego bardzo dumni. Bogowie — mądrzy i sprawiedliwi — kierowali życiem ludzi z wprawą i talentem, co do tego nie było najmniej­szych wątpliwości. Istniały jednak zagadki.

Na przykład ojciec sprawiał, że słońce wschodziło, rzeka wyle­wała i tak dalej. To podstawa, coś, co faraonowie robili od czasów Khufta, nie można kwestionować czegoś tak oczywistego. Problem w tym, czy sprawiał, że słońce wschodziło w Dolinie, czy wszędzie na świecie? Wschód słońca w Dolinie wydawał się rozsądniejszym założeniem, w końcu ojcu lat nie ubywało; trudno jednak sobie wy­obrazić, że słońce wschodzi wszędzie, tylko nie w Dolinie, co z ko­lei prowadziło do niepokojącego wniosku, że słońce by wzeszło, na­wet gdyby ojciec o nim zapomniał, co prawdopodobnie było zgod­ne z rzeczywistością. Teppic musiał przyznać, że nigdy nie widział oj­ca zajmującego się wschodem słońca. Można by się spodziewać przynajmniej sieknięcia z wysiłku tuż przed świtem. Ojciec nigdy nie wstawał przed śniadaniem. A słońce wschodziło i tak.

Długo nie mógł zasnąć. Łóżko, cokolwiek by mówił Chidder, było za miękkie, powietrze za zimne, a co najgorsze, niebo za oknami było za ciemne. W domu rozjaśniałyby je flary nekropolii, bezgłośne płomienie — niesamowite, ale też znajome i uspokajające. Jakby przod­kowie spoglądali na niego ponad rzeką. Teppic nie lubił ciemności. Następnego wieczoru kolejny chłopiec z ich sali, pochodzący gdzieś z dalekiego wybrzeża, trochę zawstydzony, próbował wsadzić jeszcze innego chłopca do wiklinowej klatki, którą zrobił na zaję­ciach Rzemiosła, i podłożyć ogień. W dzień później Snoxall, który miał łóżko przy drzwiach i pochodził z jakiegoś małego państewka wśród lasów, pomalował się na zielono i poprosił o ochotników, któ­rzy by pozwolili owinąć swoje wnętrzności wokół drzewa. W czwar­tek wybuchła niewielka wojna między czcicielami Bogini Matki w jej aspekcie Księżyca, a jej czcicielami w aspekcie wielkiej grubej ko­biety z ogromnymi pośladkami. Wtedy interweniowali nauczycie­le. Wyjaśnili, że religia, choć to piękna rzecz, może doprowadzić za daleko.

\* \* \*

Teppic podejrzewał, że niepunktualność jest niewybaczal­na. Ale z pewnością Mericet musi się zjawić w wieży pierw­szy, a on sam szedł najkrótszą trasą. Starzec nie mógł go przecież wyprzedzić. Nawiasem mówiąc, nie mógł też pierwszy do­biec do pomostu nad zaułkiem... Na pewno zdjął pomost przed spotkaniem, tłumaczył sobie Teppic, a potem wspiął się na dach, kiedy ja wspinałem się po ścianie.

Nie wierzył w ani jedno słowo.

Przebiegł po szczycie dachu, uważając na obluzowane dachów­ki i linki potykaczy. Wyobraźnia w każdym cieniu ukazywała mu przyczajone postacie.

Przed nim wyrosła dzwonnica. Teppic przystanął, żeby ją obej­rzeć. Widział ją już tysiące razy i wspinał się na nią wielokrotnie, chociaż miała najwyżej 1,8, mimo interesującego przejścia przez mosiężną kopułę na szczycie. Była zwykłym elementem krajobra­zu. Przez to teraz wydawała się straszniejsza; wznosiła w górę swą krępą, groźną sylwetkę, dobrze widoczną na tle szarego nieba.

Teppic zbliżał się teraz ostrożniej, ukosem po spadzistym da­chu. Przyszło mu do głowy, że tam, w górze, na kopule, są jego ini­cjały, a obok inicjały Chiddy'ego i setek młodych skrytobójców, i że pozostaną tam, choćby nawet zginął dziś w nocy. Ta myśl dodała mu otuchy. Tyle że nie za bardzo.

Odwinął linę i bez trudu zarzucił ją na gzyms biegnący wokół wieży tuż pod kopułą. Pociągnął i usłyszał cichy brzęk, gdy kotwiczka zaczepiła o mur. Wtedy szarpnął z całej siły, opierając nogę o komin.

Nagle, bez żadnego dźwięku, część gzymsu poruszyła się i runę­ła w dół.

Z trzaskiem uderzyła o dach i zsunęła się po dachówkach. Ko­lejną chwilę ciszy przerwał odległy huk, gdy gzyms roztrzaskał się na ulicy.

Cisza zaległa nad dachami. Tam gdzie stał Teppic, jedynie bry­za poruszała rozgrzanym powietrzem.

Po kilku minutach wynurzył się z cienia komina; na ustach miał dziwny, straszny uśmiech.

Nic, co mógłby wymyślić egzaminator, nie było nieuczciwe. Klien­ci skrytobójcy mieli zwykle dość pieniędzy, żeby opłacić rozmaite po­mysłowe środki obronne, a nawet własnych skrytobójców[[5]](#footnote-5). Mericet nie próbował go zabić; starał się tylko skłonić go, żeby sam się zabił.

Teppic zbliżył się do podstawy wieży i znalazł rynnę. Ku jego zdu­mieniu, nie była pokryta maścią poślizgową, ale delikatnie badające powierzchnię palce natrafiły na zatrute igły, pomalowane na czarno i przyklejone od strony muru. Wyrwał je szczypcami i powąchał.

Destylowany nadymacz... Bardzo kosztowny i o zdumiewają­cym działaniu. Teppic sięgnął do pasa po szklaną fiolkę i zebrał wszystkie igły, jakie udało mu się znaleźć. Potem włożył wzmacnia­ne rękawice i zaczął się wspinać z prędkością ślimaka.

\* \* \*

**—**Może się zdarzyć, że gdy przemierzacie miasto w prawo­witej misji, staniecie przeciwko kolegom z gildii, może na­wet przeciwko jednemu z dżentelmenów, z którymi teraz siedzicie w jednej ławce. Jest to prawidłowe i... Co pan robi, panie Chidder? Nie, proszę nie mówić, chyba wolę nie wiedzieć, proszę się zgłosić po lekcji... właściwe. Każdy, bez żadnego wyjątku, ma prawo się bronić najlepiej, jak potrafi. Jednakże są też inni wrogowie, któ­rzy podążają za wami, i z nimi do walki nie jesteście przygotowani... Kim oni są, panie Cheesewright?

Mericet odwrócił się od tablicy niczym sęp, który właśnie usły­szał jęk konania, i wycelował kredę w Cheesewrighta. Chłopiec wy­trzeszczył oczy.

— Gildia Złodziei, sir? — wykrztusił.

— Podejdź do tablicy, chłopcze.

Wśród chłopców krążyły powtarzane szeptem historie o tym, co Mericet robił z marnymi uczniami. Historie te zawsze były nieja­sne, ale przerażające. Klasa się odprężyła. Mericet zajmował się zwy­kle tylko jedną ofiarą, więc teraz mieli tylko wyglądać na skupio­nych i bawić się pokazem. Zaczerwieniony po uszy Cheesewright wstał i podreptał do tablicy.

Mistrz przyjrzał mu się uważnie.

— No tak — rzekł. — Oto mamy pana Cheesewrighta G., skrada­jącego się po skrzypiących dachach. Widzimy jego zdeterminowa­ne uszy. Widzimy stanowcze kolana.

Klasa zachichotała posłusznie. Cheesewright uśmiechnął się idiotycznie i przewrócił oczami.

— Ale co to za złowieszcze postacie, idące za nim krok w krok? Słucham... Ponieważ tak świetnie się pan bawi, panie Teppic, mo­że zechce pan to wyjaśnić panu Cheesewrightowi?

Teppic zamarł roześmiany.

Wzrok Mericeta wbijał się w niego. Jest jak Dios, najwyższy ka­płan, myślał Teppic. Nawet ojciec boi się Diosa.

Wiedział, co powinien teraz zrobić, ale niech go porwą demo­ny, jeśli zrobi. Powinien się przestraszyć.

— Złe przygotowanie — powiedział. — Niedbałość. Brak koncen­tracji. Brak troski o narzędzia. Aha, i jeszcze nadmierna pewność siebie, sir.

Jeszcze przez chwilę Mericet patrzył mu w oczy, ale Teppic ćwi­czył to z pałacowymi kotami.

Wreszcie nauczyciel uśmiechnął się lekko — co nie miało nic wspólnego z humorem — podrzucił kredę, złapał ją i stwierdził:

— Pan Teppic ma rację. Zwłaszcza w kwestii nadmiernej pew­ności siebie.

\* \* \*

Trafił na gzyms prowadzący do zachęcająco otwartego okna. Na gzymsie był olej i Teppic poświęcił kilka minut, by w szczeliny między kamieniami wkręcić kilka małych IIaków. Potem ruszył dalej.

Bez wysiłku zawisł przy oknie i odczepił od pasa kilka metalo­wych prętów. Były nagwintowane na końcach i po kilku sekundach szybkiej pracy otrzymał z nich jeden, długi na jakieś trzy stopy. Na końcu umocował małe lusterko.

Nie pokazało mu niczego prócz mroku. Zdjął je i ponowił pró­bę, tym razem wsuwając w okno swój kaptur, do którego wcisnął rę­kawice, żeby uzyskać efekt głowy, ostrożnie pojawiającej się na tle jaśniejszego nieba. Był przekonany, że trafi go strzałka lub bełt, ale kaptur pozostał rozsądnie nieatakowany.

Robiło się chłodno, choć noc była upalna. Czarny aksamit świet­nie wygląda, ale to właściwie wszystko, co można o nim powiedzieć. Podniecenie i wysiłek oznaczały, że Teppic nosił teraz ze dwie kwarty lepkiej cieczy.

Ruszył.

Na parapecie znalazł cienką czarną linkę, a na zsuwanej czę­ści okna zębate ostrze. Wystarczyła chwila, by podeprzeć okno ko­lejnym prętem i przeciąć linkę. Okno opadło o ułamek cala.

Teppic uśmiechnął się w ciemności.

Machnięcie dłuższym prętem ujawniło, że za oknem jest pod­łoga, najwyraźniej wolna od przeszkód, a także linka na wysokości piersi. Teppic umocował na pręcie mały IIaczyk, zaczepił linkę i po­ciągnął.

Zabrzmiało tępe stuknięcie bełtu z kuszy, wbijającego się w tynk.

Bryła gliny na końcu tego samego pręta, pchnięta delikatnie po podłodze, zdradziła obecność licznych kolców. Teppic przycią­gnął je i obejrzał. Były miedziane. Gdyby użył magnesu, co jest stan­dardową techniką, na pewno by ich nie znalazł.

Zastanowił się. Miał ze sobą parę wsuwanych kapłanów. Potwor­nie przeszkadzały w skradaniu się po pokoju, ale włożył je mimo wszystko (kapłany to wzmacniane metalem kalosze; ratują skórę twoich butów, jak żartowali skrytobójcy). Mericet był w końcu spe­cjalistą od trucizn. Nadymacz! Jeśli namoczył w nim kolce, Teppic rozsmarowałby się po ścianach. Nie musieliby go grzebać, wystarczyłoby malowanie[[6]](#footnote-6).

Zasady. Mericet musi przestrzegać zasad. Nie może po prostu zabić Teppica bez ostrzeżenia. Musi mu pozwolić zabić się same­mu, przez nieuwagę lub nadmierną pewność siebie.

Zeskoczył lekko na podłogę w pokoju i poczekał, aż oczy przy­zwyczają się do ciemności. Kilka badawczych machnięć prętem nie wykryło dalszych linek; coś cicho zgrzytnęło pod stopą — to kapłan zgniótł kolec.

— Kiedy tylko będzie pan gotów, panie Teppic.

Mericet stał w kącie. Coś notował — Teppic usłyszał cichy zgrzyt ołówka. Starał się zapomnieć o egzaminatorze. Starał się myśleć.

Jakiś człowiek leżał na łóżku, całkowicie zakryty kocem.

To ostatni test. W tym pokoju wszystko się wyjaśnia. O tym nie opowiadają studenci, którzy zdali. Tych, którzy nie zdali, i tak nie można zapytać.

Myśli Teppica pędziły jak oszalałe. W takich chwilach niezbęd­ne było boskie przewodnictwo. Tato, dlaczego cię tu nie ma?

Zazdrościł kolegom, którzy wierzyli w bogów niedotykalnych, żyjących na szczycie jakiejś góry. W takich to naprawdę można uwie­rzyć. Ale bardzo trudno jest uwierzyć w boga, którego codziennie rano widuje się przy śniadaniu.

Zdjął z ramienia kuszę i skręcił jej dobrze naoliwione części. Nie była to najlepsza broń, ale skończyły mu się noże, a w ustach za bardzo zaschło, żeby użyć dmuchawki.

Jakiś głos dobiegł z kąta. To Mericet obojętnie stukał się ołów­kiem po zębach.

Może to tylko manekin? Skąd może wiedzieć? Nie, to na pew­no prawdziwy człowiek. Słyszał takie historie... Może gdyby postukał go prętem...

Potrząsnął głową, uniósł kuszę i wymierzył dokładnie.

— Kiedy tylko pan zechce, panie Teppic. To było to.

To tutaj przekonywali się, czy człowiek potrafi zabić. To właśnie to, o czym starał się nie myśleć. Wiedział, że nie potrafi.

\* \* \*

W oktodniowe popołudnia mieli zajęcia ze Skuteczności Politycznej z lady T'malią, jedną z niewielu kobiet, które doszły w gildii do najwyższych godności. W krainach wo­kół Okrągłego Morza na ogół zgadzano się, że jednym ze sposo­bów na długie życie jest niespożywanie posiłków z tą damą. Biżu­teria na jednej tylko ręce zawierała dość trucizny, by inhumować niewielkie miasteczko. T'malia była oszałamiająco piękna, tą wy­rachowaną urodą, którą uzyskuje się dzięki zespołowi utalento­wanych artystów, manikiurzystów, szminkarzy, gorseciarzy i kraw­ców oraz trzygodzinnej ciężkiej pracy każdego ranka. Kiedy szła, słychać było cichy jęk fiszbinów poddanych niewiarygodnym na­prężeniom.

Chłopcy uczyli się szybko. Gdy mówiła, nie patrzeli na jej figu­rę. Obserwowali jej pałce.

— Zatem — powiedziała — rozważmy sytuację przed stworzeniem gildii. W tym mieście, a także w wielu innych miejscach cywilizacja utrzymuje się i rozwija dzięki dynamicznej grze interesów między licznymi wielkimi i potężnymi kartelami. W dniach przed powsta­niem gildii próba zyskania przewagi wśród tych konsorcjów nie­odmiennie prowadziła do pożałowania godnych kontrowersji, roz­wiązywanych z tragicznymi konsekwencjami. Miało to fatalny wpływ na wspólne dobro mieszkańców miasta. Pamiętajcie, proszę, że gdzie rządzi nieład, tam upada IIandel. A jednak...

Przycisnęła dłonie do łona. Coś zatrzeszczało, jakby galeon wal­czył ze szkwałem.

— W oczywisty sposób niezbędne były wyjątkowe, ale odpowie­dzialne metody łagodzenia nierozwiązywalnych konfliktów. Wtedy to nakreślono podstawowe cele gildii. Jakimż błogosławieństwem!... — nagle uniesiony głos wyrwał kilkudziesięciu młodych ludzi z roz­marzenia — ...było życie w tamtych czasach, kiedy obywatele o nie­złomnych zasadach moralnych postanowili wykuć ostateczne na­rzędzie polityki, nie licząc wojny. Jakież szczęście macie dzisiaj, ucząc się w gildii, która tak wiele wymaga w dziedzinie manier, za­chowania, postawy i sztuk ezoterycznych, a przy tym ofiaruje wam władzę, zastrzeżoną niegdyś jedynie dla bogów. Świat otwiera się przed wami niby mięczak...

W czasie przerwy, za stajnią, Chidder przetłumaczył większą część wykładu.

— Wiem, co to znaczy Rozwiązywać z Tragicznymi Konsekwen­cjami — oznajmił z wyższością Cheesewright. — To znaczy inhumować toporem.

— Wcale nie znaczy — zaprotestował Chidder.

— A skąd wiesz?

— Moja rodzina zajmuje się IIandlem od lat.

— Aha — mruknął Cheesewright. — IIandlem.

Chidder nie tłumaczył szczegółowo, o jaki IIandel mu chodzi. Miał jakiś związek z przenoszeniem obiektów w różne miejsca i za­spokajaniem potrzeb, ale jakich konkretnie obiektów i jakich po­trzeb, nigdy właściwie nie wyjaśnił.

Kiedy już przyłożył Cheesewrightowi, Chidder wyjaśnił, że Roz­wiązywanie z Tragicznymi Konsekwencjami wymagało nie tylko inhumacji ofiary — w możliwie dokładny sposób — ale także włączenie do procesu jej wspólników i pracowników, terenu firmy, domu oraz sporej części okolicy. Dzięki temu każdy od razu widział, że czło­wiek ów był bardzo nierozsądny i zyskał sobie wrogów, którzy po­trafią wpaść w wielki gniew.

— O rany — szepnął Arthur.

— To jeszcze nic — dodał Chidder. — Pewnej Nocy Strzeżenia Wiedźm mój dziadek i jego dział księgowości udali się na konfe­rencję z ludźmi ze strony osiowej. Nigdy nie znaleziono piętna­stu ciał. To bardzo nieprzyjemne wypadki. Niepokoją ludzi inte­resu.

— Wszystkich ludzi interesu, czy tylko tych, którzy spływają rze­ką twarzą w dół? — spytał Teppic.

— Właśnie o to chodzi. Lepiej już, żeby było jak teraz. — Chid­der pokręcił głową. — No wiecie: czysto. Dlatego właśnie ojciec po­wiedział, że powinienem wstąpić do gildii. W dzisiejszych czasach trzeba pilnować interesu i nie można całego czasu poświęcać na reklamę.

\* \* \*

Koniec kuszy drżał lekko.

Teppicowi podobało się w szkole wszystko: wspinaczki, mu­zyka, rozległe wykształcenie. Ale dręczyła go świadomość, że potem ma zabijać ludzi. Nigdy jeszcze nikogo nie zabił.

Na tym rzecz polega, mówił sobie. Teraz wszyscy się dowiedzą, czy potrafisz, ciebie nie wyłączając.

Jeśli teraz mi się nie uda, zginę.

W kącie Mericet zaczął mruczeć jakąś zniechęcającą melodyjkę.

Oto jest cena, jaką płaci gildia za swoje licencje. Pilnuje, żeby nie było nieuważnych, nieprzekonanych czy też — jeśli można tak to określić — morderczo nieskutecznych skrytobójców. Dlatego ni­gdy nie spotyka się nikogo, kto oblał egzamin.

Ale nie wszyscy zdają. Tyle że się ich nie spotyka. Może pod tym kocem leży jeden z nich, może nawet Chidder albo Snoxall czy którykolwiek z chłopaków. Wszyscy dzisiaj zdawali egzamin. Może, jeśli zawiedzie, on sam będzie tam leżał...

Teppic próbował zerknąć ma nieruchomą postać.

— Ehm... — chrząknął egzaminator.

Teppicowi zaschło w ustach. Panika wzbierała w gardle niczym kolacja pijaka.

Zęby chciały dzwonić. Plecy przemarzały, ubranie zmieniło się w stos mokrych łachmanów. Czas zwolnił.

Nie. Nie zrobi tego. Nagła decyzja trafiła go mocno niby cegła w ciemnym zaułku, i niemal tak samo niespodziewanie. Nie dlatego, że nienawidził gildii, czy nawet szczególnie nie lubił Mericeta. Ale w ten sposób nikogo nie powinno się egzaminować. Nie wolno.

Postanowił nie zdać. I co może mu potem zrobić jeden starzec?

Ale obleje z klasą.

Odwrócił się do Mericeta, spojrzał spokojnie w oczy egzami­natora, wyciągnął rękę z kuszą w jakimś nieokreślonym kierunku z prawej strony i nacisnął spust.

Brzdęknęło metalicznie.

I stuknęło, kiedy strzała odbiła się od gwoździa w okiennym parapecie. Mericet schylił się, kiedy świsnęła mu nad głową. Trafi­ła w pierścień przytrzymujący pochodnię i przeleciała obok bladej twarzy Teppica. Mruczała jak rozeźlony kot.

I stuknęła głucho, wbijając się w koc.

Potem cisza.

— Dziękuję panu, panie Teppic. Zechce pan zaczekać jeszcze chwilę...

Bezgłośnie poruszając wargami, stary skrytobójca pochylił się nad kartką. Chwycił ołówek, dyndający przy notesie na kawałku sznurka, i postawił na papierze kilka nowych znaczków.

— Nie proszę, żeby odebrał pan go z mych rąk bezpośrednio — powiedział. — Z tych czy innych powodów. Zostawię go na stoliku.

Nie był to szczególnie miły uśmiech; był cienki i wysuszony, a ca­łe jego ciepło już dawno się wygotowało. Ludzie zwykle uśmiechają się w taki sposób, gdy mniej więcej od dwóch lat są martwi i leżą pod palącym słońcem pustyni.

W każdym razie Mericet się starał.

Teppic nawet nie drgnął.

— Zdałem? — zapytał.

— Jak się wydaje, ten fakt właśnie nastąpił.

— Ale...

— Wie pan, jestem pewien, że nie wolno nam omawiać testu z uczniami. Jednakże, całkiem prywatnie, muszę powiedzieć, że nie przemawiają do mnie te nowomodne, kuglarskie techniki. Miłego dnia.

I Mericet wyszedł.

Teppic podbiegł do zakurzonego stołu przy drzwiach i zdu­miony spojrzał na dokument. Przyzwyczajenie kazało mu sięgnąć po szczypczyki i podnieść go ostrożnie.

Był prawdziwy. Miał pieczęć gildii i nierówny zygzak, bez wątpie­nia podpis Mericeta. Teppic znał dobrze ten podpis; widywał go często, zwykle pod sprawdzianami, obok uwag typu „3/10. Zgłosić się po lekcjach”.

Podszedł do figury na łóżku i ściągnął z niej koc.

\* \* \*

Była już prawie pierwsza i w Ankh-Morpork dopiero zaczy­nała się noc.

Ciemność panowała nad dachami, w powietrznym świecie złodziei i skrytobójców. W dole jednak miejskie życie toczyło się uli­cami niczym fala przypływu.

Teppic jak oszołomiony przeciskał się przez tłum. Ktokolwiek inny próbowałby tego w mieście, sam by prosił o wycieczkę z prze­wodnikiem na dno rzeki. On jednak miał na sobie czerń skrytobój­ców, więc tłum automatycznie rozstępował się przed nim i zamykał za jego plecami. Nawet kieszonkowcy trzymali się z daleka — nigdy nie wiadomo, na co można trafić u skrytobójcy.

Chłopiec jak ślepiec przeszedł przez bramę Domu Gildii, usiadł na ławie z czarnego marmuru i wsparł brodę na dłoni.

Jego życie dobiegło końca. Nie zastanawiał się, co zrobi potem. Nie śmiał nawet wierzyć, że w ogóle będzie jakieś potem.

Ktoś klepnął go w ramię. Obejrzał się, a Chidder usiadł przy nim i bez słowa zademonstrował kartkę różowego papieru.

— I już — rzucił po chwili.

— Też zdałeś?

Chidder uśmiechnął się.

— Bez problemów. Trafiłem do Nivora. Żadnych niespodzia­nek. Chociaż miałem trochę kłopotów przy Upadku Awaryjnym. Jak u ciebie?

— Co? Nie, w porządku. — Teppic starał się zapanować nad ner­wami. — Nic strasznego.

— Wiesz coś o reszcie?

— Nie.

Chidder oparł się wygodnie.

— Cheesewrightowi się uda — stwierdził swobodnie. — I młode­mu Arthurowi. Nie przypuszczam, żeby niektórzy z pozostałych da­li radę. Damy im dwadzieścia minut. Co ty na to?

Teppic zwrócił ku niemu udręczoną twarz.

— Chiddy. Ja...

— Co?

— Kiedy doszło do tego...

— To co się stało?

Teppic wbił wzrok w kamienie posadzki.

— Nic — mruknął.

— Miałeś szczęście — stwierdził Chidder. — Dostała ci się czysta, przyjemna wycieczka po dachach. Ja miałem kanały, a potem przez wychodek do Wieży Galanteryjników. Jak tylko tu wróciłem, musia­łem się przebrać.

— Miałeś manekina, prawda? — upewnił się Teppic.

— Na bogów, a ty nie?

— Ale dali nam do zrozumienia, że to ktoś prawdziwy!

— Wyglądał jak prawdziwy, to fakt.

— Właśnie!

— No widzisz. I zdałeś. Nie ma sprawy.

— A nie zastanawiałeś się, kto to może leżeć pod kocem, kim jest i dlaczego...

— Martwiłem się, że nie załatwię tego jak należy — przyznał Chidder. — Ale zaraz pomyślałem: trudno, to już nie ode mnie zależy.

— Ale ja... — Teppic urwał. Co może zrobić? Tłumaczyć? Jakoś nie wydało mu się to świetnym pomysłem. Kolega klepnął go w plecy.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Zdaliśmy! Podniósł kciuk przyciśnięty do dwóch palców prawej ręki, w sta­rożytnym pozdrowieniu skrytobójców.

\* \* \*

Kciuk przyciśnięty do palców i szczupła postać doktora Crucesa, głównego wychowawcy, pochylona nad zaskoczo­nymi chłopcami. — Nie mordujemy — mówił.

Miał cichy głos; doktor Cruces nigdy go nie podnosił, ale po­trafił mu nadać taką barwę i wysokość, że byłby słyszany nawet w cza­sie huraganu.

— Nie wykonujemy egzekucji. Nie dokonujemy masakr. Nigdy, możecie być tego pewni, nigdy nie torturujemy. Nie mamy nic wspólnego ze zbrodniami namiętności, nienawiścią czy rabunkiem. Inhumacja nie sprawia nam przyjemności, nie zaspokaja jakichś tajemnych wewnętrznych pragnień, nie daje władzy. Jej powodem nie jest jakakolwiek wielka sprawa czy wiara. Zapewniam was, panowie, że wszelkie te motywy są w najwyższym stopniu podejrzane. Spójrzcie w twarz człowieka, który zabiłby was dla wiary, a wasze nozdrza wypełni zapach potworności. Wysłuchajcie przemowy ogłaszającej świętą wojnę, a zapewniam was, że wasze uszy pochwycą brzęk łusek zła, szelest monstrualnego ogona ciągniętego po czy­stości języka.

— Nie. Robimy to dla pieniędzy.

— A ponieważ my właśnie, lepiej niż inni, znamy wartość ludz­kiego życia, robimy to dla dużych pieniędzy.

— Nie ma bardziej czystych motywów, odrzućcie więc wszelkie pretensje.

— Nil mortifi, sine lucre. Pamiętajcie. Nie ma zabijania bez zapłaty. Zastanowi! się chwilę.

— I zawsze wystawiajcie pokwitowanie — dodał.

\* \* \*

**—**Czyli wszystko w porządku — podsumował Chidder. Teppic smętnie pokiwał głową. Właśnie dlatego Chidder tak łatwo dawał się lubić: posiadał godną pozazdroszcze­nia umiejętność niezastanawiania się poważnie nad niczym, co robił.

Jakaś postać ostrożnie przekroczyła otwartą bramę[[7]](#footnote-7). Światło pochodni na portierni błysnęło na jasnych lokach.

— Czyli wam obu się udało — odezwał się Arthur, nonszalancko machając dyplomem.

Arthur zmienił się przez te siedem lat. Fakt, że Wielki Orm cią­gle jakoś nie zdołał wywrzeć organicznej zemsty za brak pobożno­ści, wyleczył go ze skłonności biegania z płaszczem naciągniętym na głowę. Drobna budowa dawała mu przewagę w pewnych dzie­dzinach Sztuki, na przykład dobrze się spisywał w wąskich tunelach. Wrodzona zdolność panowania nad gwałtownymi odruchami wy­szła na jaw pewnego dnia, gdy Fliemoe i jego kumple uznali, że do­brze się zabawią, podrzucając nowych chłopców na kocu. Pierwsze­go wybrali Arthura. Dziesięć sekund później dopiero wspólnym wy­siłkiem wszystkich obecnych w sypialni udało się przytrzymać Ar­thura i oderwać mu palce od szczątków krzesła. Okazało się, że jest on synem nieżyjącego Secundusa Interparesa, jednego z najsłyn­niejszych skrytobójców w dziejach gildii. Synom poległych skryto­bójców zawsze przysługuje stypendium. Owszem, czasami gildia dbała o swoich członków.

Nikt nie miał wątpliwości co do wyniku egzaminu Arthura. Chłopiec chodził na dodatkowe lekcje i miał pozwolenie na użycie naprawdę skomplikowanych trucizn. Prawdopodobnie zamierzał zostać w gildii na studiach doktoranckich.

Czekali we trójkę, dopóki dzwony nie wybiły godziny drugiej. Zegarmistrzostwo nie było w Ankh-Morpork mechaniką nazbyt pre­cyzyjną, poza tym różne społeczności w mieście miały własne po­glądy na to, z czego się składa godzina, więc dzwony i gongi biły na wieżach przez dobre pięć minut.

Kiedy stało się jasne, że miasto osiągnęło konsensus i zgodziło się, że jest już po drugiej, cała trójka przestała w milczeniu wpatry­wać się we własne buty.

— To by było tyle — mruknął Chidder.

— Biedny Cheesewright — dodał Arthur. — Tragiczna historia, jeśli się nad nią zastanowić.

— Owszem. Był mi winien cztery peny — zgodził się Chidder. — Chodźcie. Coś dla nas przygotowałem.

\* \* \*

Król Teppicymon XXVII usiadł na łóżku i zasłonił rękami uszy, żeby stłumić ryk morskich fal. Dziś były wyjątkowo IIałaśliwe.

Zawsze huczały głośniej, kiedy czuł się nieswojo. Musiał się czymś zająć, żeby uwolnić od nich swe myśli. Mógłby posłać po Ptraci, swoją ulubioną podręczną. Była niezwykła. Jej śpiew zawsze doda­wał mu otuchy. Życie wydawało się piękniejsze, kiedy milkła.

Albo wschód słońca. Zawsze go pocieszał. Przyjemnie było siedzieć opatulonym w koc na najwyższym dachu pałacu i patrzeć, jak mgły unoszą się znad rzeki, a wokół rozlewa się złocista fala. Ogarniało go wtedy miłe poczucie satysfakcji z dobrze wykona­nej pracy. Choćby nawet nie wiedział, w jaki sposób ją wykonu­je...

Wstał z łóżka, wsunął sandały i wyszedł z sypialni na szeroki ko­rytarz, prowadzący do wielkich spiralnych schodów na dach. Kilka płonących trzcinowych pochodni oświetlało posągi innych miejsco­wych bogów, malowidła na ścianach, gdzie ruchliwe cienie odsła­niały stwory o psich głowach, rybich ciałach i pajęczych ramionach.

Znał te postacie od zawsze. Bez nich jego dziecięce koszmary były­by całkiem nieukształtowane.

Morze... Morze widział tylko raz w życiu, jako chłopiec. Nie­wiele z niego pamiętał — oprócz rozmiaru. I szumu. I mew.

Prześladowały go. Zdawało się, że dużo lepiej sobie wszystko poukładały, te mewy. Chciałby powrócić kiedyś do tego świata jako jedna z nich. Oczywiście, jako faraon nie miał na to żadnych szans. Faraonowie nigdy nie wracają. Właściwie to nigdy nie odchodzą.

\* \* \*

**—**Ale co to jest? — chciał wiedzieć Teppic.

— Spróbuj — zachęcił Chidder. — Tylko spróbuj. Druga oka­zja już ci się nie trafi. — Nie wypada tego marnować — zgodził się uprzejmie Arthur, spoglą­dając na delikatny wzór na talerzu. — Co to takiego te czerwone?

— To rzodkiewki — wyjaśnił lekceważąco Chidder. — Nie one są tu ważne. No, dalej.

Teppic sięgnął po drewniany widelec i nabił cienki jak papier płatek białej ryby. Szef *squishi* obserwował go czujnie z miną ojca uczestniczącego w pierwszych urodzinach syna. Podobnie, uświa­domił sobie Teppic, jak wszyscy obecni w restauracji.

Przeżuwał ostrożnie. Mięso było słonawe, lekko gumowe, z de­likatnym posmakiem kanału ściekowego.

— Dobre?

Kilku gości zaczęło klaskać.

— Inne — przyznał Teppic. — Co to jest?

— Najeżka głębinowa. — wyjaśnił Chidder. — Ale spokojnie — do­dał, gdy Teppic stanowczo odłożył widelec. — Jest całkiem bezpiecz­na, pod warunkiem że usunie się całkowicie żołądek, wątrobę i ca­ły układ trawienny. Dlatego jest taka droga. Przy najeżce głębinowej nie ma kogoś takiego jak marny kucharz. To najdroższe danie na świecie; ludzie piszą o nim poematy.

— Eksplozja smaku — mruknął Teppic, już opanowany.

Rybę musieli przyrządzić jak należy, w przeciwnym razie został­by już w tej restauracji jako tapeta.

Ostrożnie ukłuł widelcem krojone korzenie, zajmujące pozostałą część talerza.

— A te co mogą mi zrobić? — zapytał.

— Jeśli nie przyrządza się ich dokładnie tak jak trzeba, przez sześć tygodni katastrofalnie reagują z kwasami żołądkowymi — od­parł Chidder. — Przykro mi, ale pomyślałem, że powinniśmy uczcić egzamin najlepszym jedzeniem, na jakie możemy sobie pozwolić.

— Rozumiem. Ryba z frytkami dla Prawdziwych Mężczyzn.

— Mają tu ocet? — wymamrotał Arthur z pełnymi ustami. — Tro­chę groszku też by się przydało.

Za to wino było dobre, chociaż nie wyśmienite i nie pochodzi­ło z jakiegoś świetnego rocznika. Ale Teppic dowiedział się wreszcie, dlaczego przez cały dzień bolała go głowa.

Było to zjawisko prekaca. Chidder kupił cztery butelki pozor­nie całkiem zwykłego białego wina. Kosztowało tak dużo, gdyż wino­grona, z których je zrobiono, nie zostały jeszcze zasadzone[[8]](#footnote-8).

\* \* \*

Światło na Dysku porusza się wolno i leniwie. Nigdzie się nie spieszy. Po co? Przy prędkości światła wszystko jest tym samym miejscem. Król Teppicymon XXVII obserwował złocisty dysk płynący ponad krawędzią świata. Klucz żurawi wystartował znad spowitej w mgły rzeki.

Ciąży na mnie odpowiedzialność, powiedział do siebie. Nikt mu przecież nie wyjaśnił, jak można sprawić, żeby słońce wschodzi­ło, rzeka wylewała i zboże rosło. Skąd mogliby wiedzieć? Przecież to on był bogiem. Powinien sam się orientować. Ale się nie orien­tował, więc szedł tylko przez życie z nadzieją, że wszystko będzie działać jak należy. I to chyba wystarczyło. Problem w tym, że gdyby nie działało, nie wiedziałby dlaczego. Wciąż nawiedzał go koszmar: Dios, najwyższy kapłan, budzi go rankiem, tyle że to wcale nie ranek, oczywiście, i wszystkie światła w pałacu płoną, a gniewny tłum po­mrukuje w rozjaśnianej blaskiem gwiazd ciemności, i wszyscy pa­trzą na niego wyczekująco...

A on może tylko powiedzieć: „Przykro mi”.

To go przerażało. Jakże łatwo mógł sobie wyobrazić lód skuwający rzekę, szron pokrywający palmy i łamiący liście (które pękają na kawałki przy uderzeniu o zamarzniętą ziemię), ptaki spadające bez życia z nieba...

Padł na niego cień. Spojrzał zamglonymi od łez oczami na sza­ry i pusty horyzont. W przerażeniu otworzył usta.

Wstał, odrzucił koc i błagalnie wzniósł ręce. Ale słońce zniknęło. Był bogiem, to było jego zadanie, jedyna rzecz, dla której żył na świecie. Zawiódł swój lud.

Słyszał w duchu gniewne okrzyki tłumu; wściekły ryk wypełniał umysł, aż jego rytm stał się równy, znajomy, dotarł do punktu, kie­dy już nie przygniatał, ale pociągał go do siebie, w słoną błękitną pu­stynię, gdzie zawsze świeci słońce i gdzie smukłe kształty przemyka­ją po niebie.

Faraon stanął na palcach, odchylił głowę, rozpostarł skrzydła. I skoczył.

Wznosząc się w niebo, ze zdziwieniem usłyszał za sobą głuche uderzenie. A słońce wynurzyło się zza chmur.

Później faraon był w związku z tym bardzo zakłopotany.

\* \* \*

Trzech świeżo upieczonych skrytobójców zataczało się na ulicy, wciąż na granicy upadku, ale nigdy jakoś jej nie prze­kraczając. Próbowali śpiewać „Laska maga ma na czubku gałkę” równo, a przynajmniej w tej samej tonacji.

— I wielka jess i krągła, i waży trzy... — zawodził Chidder. — Do licha, w co wdepnąłem?

— Ktoś wie, gdzie jesteśmy? — zapytał Arthur.

— My... szliśmy do Domu Gildii — odparł Teppic. — Tyle że... Musieliśmy chyba źle skręcić, bo przed nami jest rzeka. Czuję ją. Czujność przebiła się przez alkoholowy pancerz Arthura.

— O tej porze nocy można tu spotkać niepse... niepie... groź­nych ludzi — oznajmił.

— Tajest — odparł z satysfakcją Chidder. — Nas. I mamy na to pa­pier. Zdaliśmy egzamin i w ogóle. Chciałbym zobaczyć takiego, któ­ry by z nami zaczął.

— Właśnie — potwierdził Teppic, pochylając się ku niemu w po­szukiwaniu swego rodzaju oparcia. — Rozprujemy ich od tego, jakmutam, do cosia.

— Otóż to.

Niepewnym krokiem wkroczyli na Mosiężny Most.

Tymczasem istotnie niebezpieczni ludzie czaili się w mroku przedświtu. Obecnie znajdowali się o dwadzieścia kroków za trójką przyjaciół.

Złożony system przestępczych gildii nie uczynił Ankh-Morpork miastem bezpieczniejszym, a raczej zracjonalizował zagrożenie i za­gwarantował mu stabilne i trwałe podstawy. Najważniejsze gildie pilnowały porządku na ulicach bardziej stanowczo i na pewno bar­dziej skutecznie, niż kiedykolwiek udało się to straży miejskiej. Fak­tem jest, że każdy niezależny i nielicencjonowany złodziej, schwyta­ny przez Gildię Złodziei, szybko trafiał do aresztu w celu przepro­wadzenia wywiadu środowiskowego i zbicia kolan gwoździami ra­zem[[9]](#footnote-9). Jednakże zawsze znajdzie się kilka niespokojnych duchów, które wolą niepewne życie poza bezprawiem. Pięciu mężczyzn pa­sujących do tego opisu zbliżało się czujnie do trójki przyjaciół, by za­proponować im ofertę specjalną tego tygodnia: poderżnięcie gar­dła, rabunek i pogrzeb w rzecznym mule do wyboru.

Ludzie na ogół schodzą skrytobójcom z drogi, ze względu na instynktowne przekonanie, iż zabijanie ludzi za wielkie kwoty pie­niędzy nie cieszy się aprobatą bogów (którzy na ogół wolą, by lu­dzie byli zabijani za niewielkie sumy albo całkiem za darmo) i mo­że doprowadzić do chaosu czy dnia sądu. Bogowie głęboko wierzą w sprawiedliwość, w każdym razie sprawiedliwość dotyczącą istot ludzkich, i niekiedy wymierzają ją tak entuzjastycznie, że ludzie od­daleni o całe mile zmieniają się w butelki.

Jednakże czerń skrytobójców nie wszystkich przeraża, a w pew­nych warstwach społeczeństwa zabicie skrytobójcy jest powodem do chwały. Podobnie jak w kulkach wygranie od mistrza jego zapasu.

Ogólnie rzecz biorąc, po deskach Mosiężnego Mostu zatacza­ła się trójka pijanych jak bele skrytobójców. Ludzie podążający za ni­mi zamierzali zmienić ich w skrytobójców martwych jak kłody.

Chiddera zniosło na jednego z heraldycznych hipopotamów[[10]](#footnote-10), stojących szeregiem na brzegu mostu od strony morza. Odbił się i zawisł na balustradzie.

— Niedobrze mi — poinformował.

— Nie krępuj się — zachęcił go Arthur. — Po to przecież są rzeki.

Teppic westchnął. Czuł przywiązanie do rzek, które — jego zda­niem — zostały stworzone, by mieć na wierzchu lilie wodne, a kro­kodyle w głębi. Ankh zawsze budziła w nim przygnębienie, ponie­waż włożona do niej lilia wodna na pewno by się rozpuściła. Ankh zbierała ścieki z rozległych piaszczystych równin, sięgających aż do Ramtopów, a kiedy docierała do Ankh-Morpork (milion mieszkań­ców), można było ją nazwać płynną tylko dlatego, że poruszała się szybciej niż grunt wokół niej. Gdyby Chidder do niej zwymiotował, stałaby się pewnie minimalnie czyściejsza.

Spojrzał na cienką strużkę sączącą się między filarami mostu, po czym skierował wzrok ku szaremu horyzontowi.

— Słońce wschodzi — oznajmił.

— Nie pamiętam, żebym jadł coś takiego — wybełkotał Chidder.

Teppic odstąpił o krok, a nóż przemknął tuż koło jego nosa i wbił się w pośladek najbliższego hipopotama.

Pięć postaci wynurzyło się z mgły. Trzej skrytobójcy instynktow­nie zbliżyli się do siebie.

— Podejdźcie do mnie, a pożałujecie — jęknął Chidder. — Ra­chunek z pralni będzie potworny.

— No, no... Co my tu mamy? — rzucił główny rabuś. Są to słowa, jakie zwykle wypowiada się w podobnych okolicznościach.

— Jesteście z Gildii Złodziei, prawda? — zapytał Arthur.

— Nie — odparł herszt. — Jesteśmy niewielką, niereprezentatywną mniejszością, która psuje pozostałym dobre imię. Oddajcie nam, co macie cennego i broń, jeśli można. Oczywiście, w niczym nie zmieni to rezultatu, ale grabienie trupów jest nieprzyjemne i po­niżające.

— Moglibyśmy się na nich rzucić — zauważył niepewnie Teppic.

— Nie licz na mnie — rzekł Arthur. — Nie dałbym rady znaleźć własnego tyłka, nawet z atlasem w ręku.

— Pożałujecie, jak zwymiotuję — dodał Chidder.

Teppic pamiętał o nożach ukrytych w rękawach. I o doprawdy minimalnej szansie, że zdąży chwycić któryś z nich na czas, by jesz­cze nim rzucić.

W takich chwilach niezwykle istotna jest pociecha religijna. Odwrócił się i spojrzał na słońce, które właśnie wyłoniło się zza chmur.

Pośrodku dostrzegł maleńki czarny punkcik.

\* \* \*

Zmarły król Teppicymon XXVII otworzył oczy. — Latałem — wyszeptał. — Pamiętam, że miałem skrzydła. Co ja tutaj robię? Spróbował wstać. Przez chwilę odczuwał ciężar, który nagle znik­nął, i wtedy niemal bez wysiłku stanął. Spojrzał w dół, by sprawdzić, co wywołało taki efekt.

— Ojej — powiedział.

Kultura rzecznego królestwa miała wiele do powiedzenia na temat śmierci i tego, co dzieje się później. Co więcej, miała bardzo mało do powiedzenia o życiu, uznając je za coś w rodzaju nieprzy­jemnego preludium głównego spektaklu, przez które trzeba przejść jak najszybciej i tak uprzejmie, jak to tylko możliwe. Dlatego też fa­raon szybko doszedł do wniosku, że jest martwy. Podstawową prze­słanką był widok własnego okaleczonego ciała na piasku.

Wszystko okrywała szarość. Okolica wyglądała widmowo, jakby mógł przez nią przejść na wylot.

Oczywiście, pomyślał. Prawdopodobnie mogę. Zatarł odpowiedniki rąk. To jest to, pomyślał. Teraz dopiero będzie ciekawie; teraz zacznę prawdziwe życie.

DZIEŃ DOBRY, odezwał się głos za jego plecami. Król odwrócił się.

— Witam — powiedział. — Ty pewnie jesteś... ŚMIERĆ, wyjaśnił Śmierć. Król był wyraźnie zdziwiony.

— Zawsze sądziłem, że Śmierć przybywa jako ogromny trójgłowy skarabeusz.

Śmierć wzruszył ramionami. TERAZ JUŻ WIESZ.

— Co to jest, co trzymasz w ręce? TO? TO KOSA.

— Dziwny przedmiot, prawda? Myślałem, że Śmierć nosi Bicz Łaski i Rwący IIak Sprawiedliwości.

Śmierć wyglądał, jakby się nad tym zastanawiał. W CZYM? zapytał.

— Słucham?

NADAL MOWA O GIGANTYCZNYM ŻUKU?

— Aha. W czułkach, jak przypuszczam. Chociaż zdaje mi się, że na którymś z fresków w pałacu miał ręce. — Król zawahał się. — Głu­pio to brzmi, kiedy się o tym opowiada. Niby jak, wielki żuk z ręka­mi? I głową ibisa, o ile sobie przypominam.

Śmierć westchnął. Nie był istotą Czasu, zatem przeszłość i przy­szłość stanowiły dla niego jedno, jednak w pewnym okresie starał się pojawiać w takiej formie, jakiej oczekiwał klient. Nie szło mu łatwo, gdyż nie dało się ustalić, czego klient oczekuje, dopóki nie umarł. W końcu Śmierć zdecydował, że ponieważ i tak nikt nie oczekuje własnego zgonu, równie dobrze można się trzymać wygodnego czar­nego płaszcza z kapturem — eleganckiego, znajomego i przyjmowa­nego wszędzie, jak najlepsze karty kredytowe.

— Zresztą mniejsza z tym — zakończył faraon. — Musimy już iść, jak sądzę. DOKĄD?

— Nie wiesz?

MAM TU JEDYNIE DOPILNOWAĆ, BYŚ UMARŁ W WYZNA­CZONYM CZASIE. CO DALEJ, TO JUŻ TWOJA SPRAWA.

— No tak... — Król odruchowo poskrobał się w podbródek. — Pewnie muszę zaczekać, aż zakończą przygotowania i tak dalej. Zmumifikują mnie. I zbudują tę przeklętą piramidę. Hm... Czy mam tkwić tutaj i czekać na to wszystko?

TAK PRZYPUSZCZAM.

Śmierć pstryknął palcami. Wspaniały biały rumak przerwał sku­banie jakichś liści w ogrodzie i podbiegł truchtem.

— Aha. No cóż, najwyżej będę patrzył w drugą stronę. Wiesz, najpierw wyciągają człowiekowi wszystkie miękkie części.

Niewielka zmarszczka pojawiła mu się na czole. Sprawy, które za życia uważał za bardzo rozsądne, teraz wydawały się nieco podejrzane.

— To w celu zachowania ciała, żeby mogło zacząć nowe życie w Świecie Zmarłych — dodał, nieco oszołomiony. — A potem owija­ją cię bandażami. Przynajmniej to wydaje się logiczne.

Potarł nos.

— Ale później wkładają ci do piramidy całe to jedzenie i picie... Trochę bez sensu, mam wrażenie.

A GDZIE WTEDY ZNAJDUJĄ SIĘ ORGANY WEWNĘTRZNE?

— I to jest najzabawniejsze. Są w dzbanach w sąsiedniej komo­rze. — W głosie króla zabrzmiało zwątpienie. — Do piramidy taty wło­żyliśmy nawet wściekle wielki model powozu. — Zmarszczył czoło. — Solidne drewno — dodał, na wpół do siebie. — Cały pozłacany. I czter­naście drewnianych wołów, żeby go ciągnęły. A potem przywalili­śmy wejście strasznie ciężkim kamieniem...

Spróbował się zastanowić i odkrył, że to zaskakująco łatwe. Chłodną, czystą strugą wlewały się do umysłu nowe idee. Dotyczy­ły gry światła na kamieniach, głębokiego błękitu nieba, niezliczo­nych możliwości, jakie proponował rozciągający się wokół świat. Te­raz, kiedy nie miał już ciała, nękającego swoimi potrzebami, ów świat wydawał się pełen niespodzianek. Niestety, jedną z pierwszych był fakt, że większość z tego, co uważał za prawdę, teraz było tak pewne i niezmienne jak gaz bagienny. A także wiedza, że teraz kie­dy mógł wreszcie tym światem się cieszyć, miał zostać pochowany w piramidzie.

Kiedy człowiek umiera, po pierwsze traci życie. A zaraz potem złudzenia.

WIDZĘ, ŻE MASZ WIELE DO PRZEMYŚLENIA, zauważył Śmierć, wskakując na siodło. A TERAZ, JEŚLI POZWOLISZ...

— Zaczekaj chwilę! TAK?

— Kiedy... kiedy spadałem, mógłbym przysiąc, że latam. NATURALNIE BOSKA CZĘŚĆ CIEBIE LATAŁA. TY SAM JE­STEŚ TERAZ W PEŁNI ŚMIERTELNIKIEM.

— Śmiertelnikiem?

MOŻESZ MI WIERZYĆ. ZNAM SIĘ NA TYM.

— Hm... Słuchaj, jest jeszcze kilka pytań...

ZAWSZE JEST. PRZYKRO MI.

Śmierć uderzył konia piętami i zniknął.

Król został sam. Po chwili kilku służących przybiegło wzdłuż muru pałacu. Zwolnili, widząc ciało, i podeszli bardzo ostroż­nie.

— Czy dobrze się czujesz, o wysadzany klejnotami władco słoń­ca? — odezwał się jeden z nich.

— Nie, wcale nie — burknął król, którego podstawowe przekona­nia na temat wszechświata doznały właśnie poważnego wstrząsu, a to nikomu nie poprawia nastroju. — W tej chwili jestem akurat martwy. Zadziwiające, nieprawdaż — dodał z goryczą.

— Czy nas słyszysz, o boski stwórco poranka? — zapytał drugi słu­żący, podchodząc bliżej.

— Właśnie spadłem na głowę ze stustopowego muru! — wrza­snął król.

— On nas chyba nie słyszy, Jahmecie — doszedł do wniosku jesz­cze inny.

— Słuchajcie — powiedział król, którego niecierpliwości dorów­nywała jedynie całkowita niezdolność służących do usłyszenia choć­by jednego słowa. — Musicie odszukać mojego syna i przekazać mu, żeby dał sobie spokój z piramidą, przynajmniej dopóki sobie tego nie przemyślę. W całym tym systemie życia po śmierci jest jedna czy dwie kwestie, które wydają się wzajemnie sprzeczne i...

— Może krzyknę? — zaproponował Jahmet.

— Nie sądzę, żebyś zdołał krzyknąć tak głośno. Myślę, że on nie żyje.

Jahmet spojrzał z uwagą na sztywniejące zwłoki.

— Niech to piekło... — rzucił po chwili. — To znaczy, że jutro de­mony wzięły.

\* \* \*

Słońce, nieświadome faktu, że to jego ostatnie wystąpie­nie, nadal płynęło swobodnie ponad krawędzią świata. A od strony jego tarczy, szybciej niż powinien latać porząd­ny ptak, mewa frunęła do Ankh-Morpork, do Mosiężnego Mostu i ośmiu nieruchomych postaci, do jednej zapatrzonej twarzy...

Mewy spotykało się w Ankh-Morpork dość często. Ta jednak, przelatując nad grupą, wydala jeden długi, gardłowy krzyk. Słysząc go, trzej rabusie wypuścili noże. Nic, co nosi pióra, nie powinno być zdolne do takich głosów. Ten dźwięk miał w sobie pazury.

Ptak zatoczył ciasny krąg, zatrzepotał skrzydłami i przysiadł na poręcznym drewnianym hipopotamie, skąd obłąkanymi, czerwo­nymi oczkami spoglądał na całą grupę.

Herszt bandytów oderwał od mewy zafascynowany wzrok aku­rat na czas, by usłyszeć Arthura.

— To jest nóż do rzutów numer dwa. Moja celność przy rzutach nożem sięga dziewięćdziesięciu sześciu procent. Które oko nie jest ci potrzebne?

Herszt spojrzał na niego. Co do pozostałych młodych skryto­bójców, to jeden wciąż wpatrywał się w ptaka, a drugi pracowicie i głośno wymiotował do rzeki.

— Jesteś tylko jeden — powiedział herszt. — A nas jest pięciu.

— Ale już niedługo będzie was czterech — odparł Arthur.

Powoli, jak w oszołomieniu, Teppic wyciągnął rękę. Z normal­ną mewą efektem byłaby strata kciuka, ale to ptaszysko wskoczy­ło mu na palec z wyniosłą miną właściciela wracającego na starą plantację.

Ten fakt zaniepokoił złodziei jeszcze bardziej. Uśmiech Arthu­ra też nie poprawiał im nastroju.

— Ładny ptaszek — stwierdził herszt, bezsensownie wesołym to­nem człowieka głęboko zatroskanego.

Teppic jak we śnie gładził głowę ptaka.

— Myślę, że jeśli sobie pójdziecie, będzie to świetny pomysł — poradził Arthur.

Mewa przeniosła się Teppicowi na nadgarstek. Ściskając prze­gub łapami z błoną pławną i rozkładając skrzydła dla zachowania równowagi, powinna wyglądać zabawnie. Ale nie; sprawiała wraże­nie wypełnionej ukrytą mocą, jakby była orłem incognito. Kiedy otworzyła dziób, odsłaniając śmiesznie fioletowy język, można było wyczytać w tym sugestię, że potrafi o wiele więcej, niż tylko zagrozić pozostawionej na plaży kanapce z pomidorem.

— To czary? — zapytał jeden z rabusiów, ale koledzy szybko go uciszyli.

— To już pójdziemy — oznajmił herszt. — Przepraszam za niepo­rozumienie...

Teppic rzucił mu ciepły, roztargniony uśmiech.

I wtedy wszyscy usłyszeli cichy, narastający dźwięk. Sześć par oczu zwróciło się w dół. Chidder już wcześniej zajął właściwą pozycję.

Pod nimi, sunąc mrocznie po wyschniętym błocie, wzbierała Ankh.

\* \* \*

Dios, premier i najwyższy spośród najwyższych kapłanów, nie był człowiekiem z natury religijnym. U najwyższego ka­płana nie jest to cecha pożądana — wpływa na oceny i czy­ni człowieka mało stanowczym. Niech tylko zacznie wierzyć w róż­ne rzeczy, a całe rządy zmieniają się w farsę.

Nie znaczy to, że miał coś przeciwko wierze. Ludzie potrzebu­ją wiary w bogów, choćby dlatego, że tak trudno jest wierzyć w ludzi. Bogowie są niezbędni. Wymagał tylko, żeby trzymali się z daleka i pozwolili mu działać po swojemu.

Trzeba przyznać, że wyglądał odpowiednio do swojej roli. Jeśli geny uznały za stosowne dać komuś wysoki wzrost, łysą głowę i nos, którym można kuć skały, z pewnością miały w tym jakiś określony cel.

Instynktownie nie ufał ludziom, którym religia przychodziła zbyt łatwo. Religijni z natury, uważał, są chwiejni, skłonni do wę­drówek po pustyni i doznawania objawień — jakby bogowie zniżali się do takich aktów. Tacy ludzie niczego nie potrafią zrobić porząd­nie. Przychodzi im na przykład do głowy, że rytuały nie są ważne. Al­bo że można rozmawiać z bogami bezpośrednio. Dios wiedział — miał tę nieugiętą, niezmienną pewność — że bogowie Djelibeybi lu­bią rytuały, tak jak wszyscy. W końcu bóg przeciwny rytuałom byłby jak ryba przeciwna wodzie.

Dios siedział na stopniach tronu z laską na kolanach i prze­kazywał rozkazy króla. Fakt, że aktualnie nie były wydawane przez króla, nie stanowił problemu. Dios był najwyższym kapłanem przez... tak, przez więcej lat, niż chciał pamiętać. Wiedział do­skonale, jakie rozkazy może wydawać rozsądny król. I je przeka­zywał.

W każdym razie na tronie leżało Oblicze Słońca, a to najważ­niejsze. Oblicze Słońca było wykutą ze złota, osłaniającą całą głowę maską, noszoną przez władców podczas publicznych wystąpień. Mia­ła wyraz — według bluźnierców — dobrodusznego lenistwa. Od ty­sięcy lat symbolizowała władzę Djelibeybi. Z jej powodu bardzo trud­no było odróżnić jednego króla od drugiego.

Ten fakt także był niezwykle symboliczny, chociaż nikt już nie pamiętał, co symbolizuje.

W Starym Państwie istniało wiele takich zjawisk. Na przykład laska, którą Dios trzymał na kolanach, ze swoimi wyjątkowo symbo­licznymi wężami, zwiniętymi symbolicznie wokół alegorycznego ki­ja do poganiania wielbłądów. Ludzie wierzyli, że daje ona najwyż­szym kapłanom władzę nad bogami i umarłymi, ale była to praw­dopodobnie metafora, to znaczy kłamstwo.

Dios zmienił pozycję.

— Czy przeprowadzono króla do Komnaty Wyjścia? — zapytał. Stojący kręgiem niżsi kapłani skinęli głowami.

— Bardzo dobrze. Czy budowniczy piramid otrzymał już in­strukcje?

Wystąpił Hoot Koomi, najwyższy kapłan Khefina o Dwóch Twa­rzach, Boga Bram.

— Pozwoliłem sobie dopilnować tego osobiście, o Diosie — wy­szeptał.

Dios zabębnił palcami po lasce.

— Tak. Nie wątpię, że sobie pozwoliłeś.

Stan kapłański oczekiwał powszechnie, że Koomi zostanie na­stępcą Diosa, gdyby Dios naprawdę umarł, chociaż czekanie na je­go śmierć nigdy nie było satysfakcjonującym zajęciem. Jedyna opi­nia przeciwna pochodziła od samego Diosa, który — gdyby miał przyjaciół — wyjawiłby im pewne warunki, jakie musiałyby być speł­nione wcześniej, na przykład kaktusy rosnące na rękach, latające świnie i on, Dios, widziany osobiście w Piekle. Zapewne dodałby także, że jedyną różnicą między Koomim a świętym krokodylem jest zasadnicza uczciwość celów krokodyla.

— Bardzo dobrze — powiedział Dios.

— Jeśli wolno mi przypomnieć waszej eminencji... — odezwał się znowu Koomi.

Twarze pozostałych kapłanów były przyjemnie bez wyrazu.

— Słucham, Koomi.

— Książę, o Diosie. Czy został wezwany?

— Nie.

— Więc skąd będzie wiedział?

— Będzie wiedział — rzekł stanowczo Dios.

— Jakże się to stanie?

— Będzie wiedział. A teraz jesteście wolni. Idźcie, zajmijcie się swoimi bogami.

Wyszli pospiesznie, pozostawiając samotnego Diosa na stopniu tronu. Zajmował tę pozycję od tak dawna, że wyżłobił nawet wgłębie­nie w kamieniu. Pasował do niego doskonale.

Oczywiście, że książę się dowie. To właśnie jest porządek rzeczy.

Ale w zakamarkach umysłu, wyżłobionych głęboko przez lata rytuałów i przestrzegania tradycji, Dios dostrzegł pewien niepokój. Nie był tam na swoim miejscu. Niepokój to coś, co przytrafia się in­nym. Dios nie zaszedłby tak wysoko, gdyby pozwalał sobie na zwąt­pienie. A jednak w głębi tkwiła maleńka myśl, maleńka pewność, że z nowym królem będą kłopoty.

No cóż, chłopiec się nauczy. Wszyscy się uczyli.

Zmienił pozycję i skrzywił się. Wróciły bóle i zdrętwienie, a na to nie mógł pozwolić. Przeszkadzały mu w wypełnianiu obowiąz­ków, a obowiązki są święte.

Znów musi odwiedzić nekropolię. Jeszcze dzisiaj wieczorem.

\* \* \*

**—**Nie jest sobą, to chyba jasne.

— Więc kim jest? — zdziwił się Chidder. Chociaż już nie pijani, chlapiąc, brnęli ulicą, tym niezgrab­nym krokiem dwóch ludzi, próbujących sterować trzecim. Teppic szedł między nimi, ale w sposób pozwalający wierzyć, że jego umysł nie ma z tym nic wspólnego.

Wokół nich otwierały się drzwi, padały przekleństwa, słychać było przeciągane na piętro meble.

— W górach musiała szaleć potworna burza — zauważył Arthur.

— Nawet wiosną nie ma takiej powodzi.

— Może powinniśmy mu spalić jakieś pióra pod nosem? — za­proponował Chidder.

— Najlepiej tej przeklętej mewy — burknął Arthur.

— Jakiej mewy?

— Przecież ją widziałeś.

— Ale co z nią?

— Widziałeś, prawda? — W oczach Arthura zapłonęła mroczna niepewność. W całym zamieszaniu mewa zniknęła.

— Byłem zajęty czymś innym — przypomniał skromnie Chidder.

— To pewnie przez te miętowe płatki, które nam podali do kawy. Od razu pomyślałem, że są trochę nieświeże.

— Stanowczo niesamowity był ten ptak — stwierdził Arthur. — Wiesz co? Postawmy go gdzieś, bo muszę wylać wodę z butów.

Niedaleko zauważyli piekarnię. Drzwi były otwarte, żeby świe­że bochenki ostygły w porannym chłodzie. Oparli Teppica o ścianę.

— Wygląda, jakby ktoś walnął go w głowę — ocenił Chidder. — Ale nie walnął, prawda?

Arthur pokręcił głową. Twarz Teppica stężała w łagodnym uśmiechu. W cokolwiek wpatrywały się jego oczy, nie przebywało to w normalnym układzie wymiarów.

— Trzeba go doprowadzić do gildii^ do medyka...

Arthur urwał. Wokół rozlegał się niezwykły, szeleszczący dźwięk. Bochenki chleba podskakiwały na blachach. Jeden czy dwa leżały na podłodze i wirowały jak przewrócone na grzbiet chrabąszcze.

I nagle skórki pękły i z chleba strzeliły setki zielonych pędów.

W ciągu kilku sekund na blachach falował łan młodego zbo­ża; zaczynało się już kłosić i zginać pod ciężarem ziarna. Arthur i Chidder przemaszerowali między nimi z kamiennymi twarzami, pokonując stumetrówkę nonszalanckim spacerkiem i mocno trzy­mając między sobą Teppica.

— Czy on to wszystko robi?

— Mam przeczucie... — Arthur obejrzał się na wypadek, gdyby jacyś rozgniewani piekarze wyszli na ulicę i zauważyli swoje agre­sywnie pełnoziarniste wypieki. I zatrzymał się tak nagle, że dwaj po­zostali zakręcili się wokół niego jak ster wokół osi.

Przyjrzeli się uważnie brukowi.

— Niecodziennie widuje się coś takiego — zauważył po chwili Chidder.

— Chodzi ci o to, jak trawa i różne zielska wyrastają w każdym miejscu, którego dotknął stopą?

— Tak.

Spojrzeli na siebie. Potem, jak jeden mąż, spuścili wzrok na buty Teppica. Przyjaciel stał już po kostki w zieleni; młode pędy przeciskały się przez pękające, wiekowe brukowce.

Bez słowa chwycili go pod łokcie i unieśli nad ziemię.

— Medyk — oświadczył Arthur.

— Medyk — zgodził się Chidder.

Ale już wtedy wiedzieli, że sprawa wymaga czegoś więcej niż go­rących kompresów.

\* \* \*

Doktor odsunął się.

— Prosta sprawa — oświadczył, po krótkim zastanowieniu.

— Przypadek mortis portalis tackulatumz komplikacjami. — Co to znaczy? — zapytał Chidder. Doktor prychnął pogardliwie.

— W języku laików — wyjaśnił — jest martwy jak kłoda.

— A jakie są te komplikacje? Doktor rozejrzał się nerwowo.

— Ciągle oddycha — stwierdził. — Patrzcie, jego puls aż brzęczy, a temperaturę ma taką, że można by na nim smażyć jajka.

Zawahał się, świadom, że tłumaczenie jest zapewne zbyt jasne i zrozumiale. Medycyna na Dysku była nową sztuką i nie zajdzie da­leko, jeśli ludzie będą ją rozumieli.

— Pyrocerebrum ouerfculinaire — oznajmił, wyszukawszy w pamię­ci odpowiednie słowa.

— Ale co pan może na to poradzić? — zapytał Arthur.

— Nic. On jest martwy. Wszystkie badania medyczne o tym świad­czą. Zatem, hm... pochowajcie go w chłodnym miejscu i niech w przy­szłym tygodniu zgłosi się na badania kontrolne. Za dnia, jeśli można.

— Przecież on oddycha!

— To odruchowe skurcze, mogące zmylić laika — wyjaśnił swo­bodnie doktor.

Chidder westchnął. Podejrzewał, że gildia — mająca w końcu bardzo szerokie doświadczenia z ostrymi nożami i złożoną we­wnętrzną budową organizmu — o wiele lepiej potrafiła stawiać pod­stawowe diagnozy niż medycy. Owszem, gildia zabijała ludzi, ale nie oczekiwała za to wdzięczności.

Teppic otworzył oczy.

— Muszę wracać do domu — powiedział.

— Martwy, tak? — mruknął Chidder. Doktor okazał się chlubą swej profesji.

— Często się zdarza, że zwłoki wydają po śmierci odgłosy — tłu­maczył dzielnie. — Mogą przestraszyć krewnych i... Teppic usiadł gwałtownie.

— Zdarza się również, że skurcze mięśni sztywniejącego ciała w pewnych okolicznościach... — zaczął doktor, ale stracił do tego serce.

Nagle przyszedł mu do głowy inny pomysł.

— To rzadkie i tajemnicze schorzenie — oznajmił. — Ostatnio często spotykane. Wywołane przez... przez... przez coś tak małe­go, że w żaden sposób nie da się wykryć — dokończył z pełnym satys­fakcji uśmiechem. Świetne wytłumaczenie, sam musiał to przyznać. Trzeba je zapamiętać.

— Bardzo dziękujemy. — Chidder otworzył drzwi i pchnął go za próg. — Następnym razem, kiedy będziemy się czuli naprawdę do­skonale, na pewno pana wezwiemy.

— To prawdopodobnie wyraz — mówił doktor, łagodnie lecz sta­nowczo wypychany za próg. — Złapał wyraża, mnóstwo ich teraz... Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Teppic zsunął nogi z łóżka i chwycił się za głowę.

— Muszę wracać do domu — powtórzył.

— Dlaczego? — spytał Arthur.

— Nie wiem. Królestwo mnie potrzebuje.

— O ile pamiętam, nie tęskniłeś za nim... — zaczął Arthur. Teppic Zamachał rękami.

— Proszę — powiedział. — Nie chcę, żeby ktoś mi podawał roz­sądne argumenty. Nie chcę, żebyście mi tłumaczyli, że powinie­nem odpocząć. To bez znaczenia. Wrócę do kraju jak najszybciej. Nie „muszę wrócić”, rozumiecie. Wrócę. A ty możesz mi pomóc, Chiddy.

— Jak?

— Twój ojciec ma niezwykle szybki statek, który wykorzystuje do przemytu — odparł spokojnie Teppic. — Wypożyczy mi go w za­mian za przychylne rozważenie przyszłych umów IIandlowych. Jeśli odpłyniemy w ciągu godziny, dotrę na miejsce na czas.

— Mój ojciec jest uczciwym kupcem!

— Wręcz przeciwnie. Siedemdziesiąt procent jego zeszłorocz­nych przychodów pochodziło z nieopodatkowanego IIandlu nastę­pującymi towarami... — Teppic wbił wzrok w pustkę. — Z nielegalne­go przewozu gullan i leucharów, dziewięć procent. Z przemytu nie-opodatkowanych...

— No dobrze, w trzydziestu procentach uczciwym — zgodził się Chidder. — To o wiele bardziej niż większość. Lepiej mi powiedz, skąd o tym wiesz. I to szybko.

— Ja... nie mam pojęcia. Kiedy... spałem, zdawało mi się, że wiem wszystko. Wszystko o wszystkim. Myślę, że mój ojciec nie żyje.

— Och — westchnął Chidder. — Niech to... Strasznie mi przy­kro.

— Nie, to nie tak. On właśnie tego pragnął. Mam wrażenie, że na to czekał. W naszej rodzinie śmierć jest chwilą, w której zaczyna­my, no wiesz, cieszyć się życiem. Przypuszczam, że on się cieszy.

\* \* \*

Tymczasem faraon siedział na rezerwowym bloku kamie­nia w ceremonialnej komnacie przygotowań i patrzył, jak jego miękkie części są delikatnie wyjmowane z ciała i wkładane do specjalnych naczyń zwanych kanopami.

Tę scenę nieczęsto oglądają ludzie — a w każdym razie ludzie osobiście zainteresowani.

Faraon trochę się zirytował. Co prawda oficjalnie nie zamiesz­kiwał już swego ciała, jednak wciąż był z nim połączony rodzajem okultystycznych więzów. Trudno mu zatem było patrzeć spokojnie na dwóch rzemieślników z rękami po łokcie w jego wnętrznościach. Ich żarty też go nie śmieszyły.

Zwłaszcza że był, co oczywiste, ich celem.

— Spójrzcie, mistrzu Dilu — zawołał Gern, pulchny, rumiany młody człowiek i, jak król się zorientował, nowy uczeń. — Patrzcie... tutaj... zaraz, zaraz... jest: wasze imię w podrobach... Miał was na wątrobie, rozumiecie?

— Włóż ją do kanopy, chłopcze — odparł znużony Dii. — A sko­ro już o tym mowa, to nie przepadam za dowcipami Gufla Giwa.

— Przepraszam, mistrzu.

— Przy okazji, podaj IIak płucny numer trzy, masz go pod ręką.

— Już podaję, mistrzu.

— I nie szturchaj mnie. To delikatna część.

— Pewno.

Król zajrzał Dilowi przez ramię.

Gern tymczasem działał po swojej stronie. Nagle gwizdnął prze­ciągle.

— Patrzcie, jaki to ma kolor! — zawołał. — Kto by pomyślał... Czy oni coś jedzą, i to dlatego? Dii westchnął.

— Odłóż to do dzbana, Gern.

— Już się robi, mistrzu. Mistrzu?

— Słucham, chłopcze.

— Który kawałek ma w sobie boga?

Dii zerknął w głąb królewskiego nozdrza. Starał się skoncen­trować.

— Takie rzeczy załatwia się, zanim tu się trafi — tłumaczył cier­pliwie.

— Zastanawiałem się, bo nie ma dla niego naczynia.

— Nie. Niemożliwe. To musiałoby być bardzo dziwne naczynie, Gern.

Gern był nieco rozczarowany.

— Aha... To znaczy, że jest całkiem zwyczajny?

— W ściśle organicznym sensie — odparł Dii stłumionym głosem.

— Nasza mama mówi, że był całkiem dobrym królem — oznajmił Gern. — Jak myślicie?

Dii znieruchomiał z kanopą w dłoni. Po raz pierwszy zastano­wił się nad odpowiedzią.

— Nie myślę o tym, dopóki ich tu nie przyniosą — przyznał po chwili. — Przypuszczam, że był lepszy niż większość. Ładna para płuc, czyste nerki, piękne, duże zatoki, a to u królów cenię najbardziej. — Dii zerknął na stół i wydał wyrok profesjonalisty. — Sama przyjem­ność przy nim pracować.

— Nasza mama mówi, że miał serce na właściwym miejscu — do­dał Gern.

Król, siedzący ponuro w kącie, smętnie pokiwał głową. Ow­szem, pomyślał. Słój trzeci, górna półka.

Dii wytarł szmatą ręce i westchnął. Prawie trzydzieści pięć lat w pogrzebowym interesie dało mu pewną rękę, filozoficzne podej­ście i silne zainteresowanie wegetarianizmem, a także zmysł słuchu czulszy niż u zwykłych ludzi. Teraz był niemal pewien, że tuż za je­go uchem ktoś także westchnął.

Król powlókł się ponuro na drugi koniec komnaty i spojrzał w głąb mętnej cieczy w kadzi przygotowawczej.

Zabawne... Kiedy żył, wszystko to wydawało mu się rozsądne, wręcz oczywiste. Teraz, po śmierci, widział w całej ceremonii zwykłe marnowanie energii.

Poza tym zaczynał się denerwować. Patrzył, jak Dii i jego uczeń sprzątają warsztat, spalają jakieś ceremonialne żywice, unoszą go... je... w górę, z szacunkiem niosą przez komnatę i delikatnie wsuwa­ją w oleisty odmęt konserwantu.

Teppicymon XXVII spoglądał przez zamgloną głębię na wła­sne ciało leżące na dnie jak ostatni marynowany korniszon w słoiku.

Obejrzał się na ułożone w kącie worki. Były pełne siana. Nikt nie musiał mu tłumaczyć, do czego miało posłużyć.

\* \* \*

Łódź nie sunęła. Przewijała się przez wodę, tańcząc po falach na czubkach dwunastu wioseł, mknąc jak plama ropy, szybując jak ptak. Była matowoczarna i miała kształt rekina.

Nie było dobosza, który by wybijał rytm. Łódź nie potrzebowa­ła dodatkowego obciążenia. Poza tym dobosz chciałby pewnie zabie­rać kompletne wyposażenie, razem z batem.

Teppic siedział między rzędami milczących wioślarzy, w wąskim zagłębieniu służącym za ładownię. Lepiej nie zgadywać, na jaki to­war. Łódź sprawiała wrażenie przeznaczonej do przewożenia nie­wielkich ilości czegoś, za to bardzo prędko i tak, żeby nikt tego nie zauważył. Wątpił, czy Gildia Przemytników wie o jej istnieniu. Nie spodziewał się, że IIandel jest tak interesującym zajęciem.

Trafili do delty z podejrzaną łatwością. Ile razy, zastanowił się Teppic, ten bezgłośny cień przemykał w górę Djelu? Wśród aroma­tów tajemniczego poprzedniego ładunku wyczuwał zapachy domu. Krokodyle łajno. Pyłek trzcin. Kwiaty lilii wodnych. Brak kanaliza­cji. Ostry odór lwów i cuchnący hipopotamów.

Pierwszy wioślarz stuknął go lekko w ramię, każąc wstać. Przy­trzymał Teppica, gdy ten zstąpił przez burtę w płytką wodę. Zanim chłopiec dobrnął do brzegu, łódź zawróciła i teraz była tylko cie­niem cienia, ledwie widocznym po stronie ujścia.

Jako że był z natury ciekawy, Teppic zastanowił się, gdzie łódź się ukryje za dnia. Wyglądała, jakby zaprojektowano ją do podróży wyłącznie pod osłoną ciemności. Uznał, że prawdopodobnie przy­czai się gdzieś w wysokich trzcinach na płyciznach delty.

A że był teraz królem, zanotował w pamięci, żeby polecić regu­larne patrolowanie tych trzcin. Król powinien wiedzieć, co się dzie­je w państwie.

Zatrzymał się, po kostki w mętnej wodzie. Kiedyś już wiedział wszystko.

Arthur paplał coś o mewach, rzekach i bochenkach wypusz­czających pędy, co sugerowało, że za dużo wypił. Teppic pamiętał tyl­ko, że przebudził się z uczuciem ogromnej straty, gdy pamięć roz­sypała nowe skarby, nie mogąc ich utrzymać. To było jak coś, co przychodzi w snach i znika rankiem. Wiedział wszystko, ale gdy tyl­ko próbował coś sobie przypomnieć, natychmiast wyciekało mu z głowy jak z dziurawego wiadra.

Pozostało jednak nowe uczucie. Przedtem jego życie toczyło się wolno, pod wpływem okoliczności. Teraz mknęło po lśniących szynach. Może nie nadawał się na skrytobójcę, ale wiedział, że po­trafi być królem.

Stopy wyczuły twardy grunt. Łódź dobiła do brzegu trochę po­niżej pałacu. Błękitne w świetle księżyca flary piramid rozjaśniały mrok znajomym blaskiem.

Mieszkania szczęśliwie zmarłych występowały we wszelkich roz­miarach, choć oczywiście nie we wszystkich kształtach. W pobliżu miasta stały gęsto, jakby umarli szukali towarzystwa.

I nawet te najstarsze były całe. Nikt nie pożyczył z nich kamie­ni do budowy domów czy dróg. Teppic czuł z tego powodu niejasną dumę. Nikt nie złamał pieczęci na drzwiach i nie zawędrował do wnętrza, by sprawdzić, czy umarli nie mają jakichś starych, niepo­trzebnych skarbów. I codziennie, niezawodnie, przynoszono żyw­ność do niewielkich antyszambrów; jadalnie umarłych zajmowały dużą część pałacu.

Czasami żywność znikała, czasami nie. Kapłani jednak nie do­puszczali żadnych wątpliwości. Niezależnie od tego, czy żywność zo­stała skonsumowana, czy nie, była zjadana przez umarłych. Zapew­ne im smakowała — nigdy nie narzekali, choć nigdy też nie przy­chodzili po dokładkę.

Dbajcie o zmarłych, powtarzali kapłani, a oni zadbają o was. W końcu to ich jest więcej.

Teppic rozsunął trzciny. Obciągnął ubranie, strzepnął trochę błota z rękawa i ruszył w stronę pałacu.

Przed nim, ciemny na tle światła flar, stał ogromny posąg Khufta. Siedem tysięcy lat temu Khuft wyprowadził swój lud z... Teppic nie pamiętał, ale prawdopodobnie z jakiegoś miejsca, gdzie im się nie podobało, i to z rozsądnych powodów — w takich chwilach ża­łował, że nie zna lepiej historii. W każdym razie Khuft modlił się na pustyni i bogowie tego miejsca ukazali mu Stare Państwo. Wkroczył w nie oto i wziął je w posiadanie, by stało się siedzibą dla zrodzo­nych z jego nasienia. W każdym razie coś w tym stylu. Było tam chyba więcej „oto” i jeszcze kilka „zaprawdę”, z dodatkiem mleka i miodu. Ale widok wielkiego oblicza patriarchy, jego wyciągnię­tej ręki, podbródka, którym można by kruszyć kamienie, dumnie rysującego się w blasku flar, powiedział Teppicowi to, czego się do­myślał.

Był w domu i nigdy go już nie opuści.

Zaczęło wschodzić słońce.

\* \* \*

Największy żyjący matematyk na Dysku, a przy tym ostatni w Starym Państwie, położył się w swoim boksie i przeliczył źdźbła słomy w podściółce. Potem oszacował liczbę gwoź­dzi w ścianach. Następnie poświęcił kilka minut ma dowiedzenie, że ciało rezonansów automorficznych ma półskończoną liczbę nierozwiązalnych ideałów pierwszych. Później, żeby jakoś zabić czas, raz jeszcze zjadł swoje śniadanie.

CZĘŚĆ II

Księga Umarłych

Minęły dwa tygodnie. Dopełniane w odpowiednim czasie rytu­ały i ceremonie podtrzymywały świat pod niebem i gwiazdy na ich szlakach. To zdumiewające, czego mogą dokonać rytuał i ceremonia.

Nowy władca przyjrzał się sobie w lustrze i zmarszczył brwi.

— Trochę mętne — zauważył. — Z czego jest zrobione?

— Z brązu, sire. Z wypolerowanego brązu — wyjaśnił Dios, wrę­czając mu Bicz Łaski.

— W Ankh-Morpork mieliśmy szklane lustra, posrebrzane od tyłu. Były bardzo dobre.

— Tak, sire. Tutaj mamy brązowe.

— Czy naprawdę muszę nosić tę złotą maskę?

— Oblicze Słońca, sire. Od wieków przekazywane z pokolenia na pokolenie. Tak, sire. Podczas wszystkich publicznych wystąpień.

Teppic spojrzał przez szczeliny w masce. Przedstawiała dość przystojną twarz. Uśmiechała się lekko. Pamiętał, jak ojciec zajrzał kiedyś do pokoju dziecinnego i zapomniał ją zdjąć; Teppic narobił wrzasku na cały pałac.

— Jest ciężka.

— Ciążą na niej stulecia.

Dios podał mu Rwący IIak Sprawiedliwości.

— Długo jesteś kapłanem, Dios?

— Przez wiele lat, od mężczyzny do eunucha. Teraz...

— Ojciec mówił, że byłeś najwyższym kapłanem już w czasach jego dziadka. Jesteś chyba bardzo stary.

— Dobrze zakonserwowany, sire. Bogowie byli dla mnie łaskawi — przyznał Dios wobec niezbitych dowodów. — A teraz, sire, jeśli ze­chcesz wziąć to również...

— Co to jest?

— Miodowy Plaster Wzrostu, sire. Bardzo ważny. Teppic przeżonglował Plaster we właściwe miejsce.

— Domyślam się, że oglądałeś wiele zmian — rzucił uprzejmie. Wyraz bólu przemknął po twarzy kapłana, ale pospiesznie, jak­by chciał uciec jak najprędzej.

— Nie, sire — odparł gładko Dios. — Miałem niezwykłe szczęście.

— Aha. Co to?

— Snop Obfitości, sire. Niezwykle istotny, niezwykle symbo­liczny.

— Wsadź mi go może pod pachę, to... Słyszałeś kiedy o kanali­zacji, Dios?

Kapłan pstryknął palcami na jednego z pomocników.

— Nie, sire — odpowiedział, pochylając się. — To Żmija Mądrości. Wsadzę ją tutaj, dobrze?

— To coś w rodzaju wiader, tylko nie tak, hm... pachnące.

— Brzmi straszliwie, sire. Zapach, jak zawsze rozumiałem, od­pycha złe wpływy. To, sire, jest Tykwa Wód Niebiańskich. Gdybyś zechciał unieść brodę...

— To wszystko jest konieczne, tak? — wymamrotał niewyraźnie Teppic.

— To tradycja, sire. Pozwolisz, że trochę inaczej to ułożę... Oto Trójzębna Włócznia Wód Ziemskich; myślę, że uda się nam chwy­cić ją tym palcem. Musimy pomyśleć o naszym małżeństwie, sire.

— Obawiam się, Dios, że nie pasujemy do siebie. Najwyższy kapłan uśmiechnął się samymi ustami.

— Sire raczy żartować — rzekł dwornie. — Jednakże jest rzeczą bardzo ważną, abyś się ożenił.

— Niestety, wszystkie dziewczęta, które znam, zostały w Ankh-Morpork — rzucił swobodnie Teppic, wiedząc w głębi serca, że to ogólne stwierdzenie obejmuje panią Collar, która sprzątała mu po­kój w szóstej klasie, oraz jedną z podkuchennych, która chyba się w nim zadurzyła i zawsze dawała mu dodatkową porcję sosu. Ale... serce mocniej zabiło na to wspomnienie... co roku odbywał się Bal Skrytobójców, a że młodzi adepci swobodnie poruszali się w towa­rzystwie, umieli tańczyć, i ponieważ dobrze skrojony czarny jedwab i długie nogi pociągały pewien typ starszych kobiet, przez całą noc kręcili się w kadrylach, galiardach i powolnych pawoninach, dopó­ki powietrze nie zgęstniało od piżma i żądzy. Chidder, którego szcze­ra twarz i swobodne maniery gwarantowały sukces, przez wiele dni po balu wracał do internatu bardzo późno i miał skłonności do za­sypiania na lekcjach...

— Całkiem nieodpowiednie, sire. Potrzebujemy małżonki do­brze znającej obowiązki. Oczywiście, nasza ciotka jest wolna, sire.

Załomotało. Dios westchnął i skinął na służących, by podnieśli rzeczy z podłogi.

— Czy zaczniemy jeszcze raz, sire? Oto Kapusta Roślinnego Wzrostu...

— Przepraszam — powiedział Teppic. — Nie mówiłeś chyba, że powinienem poślubić swoją ciotkę?

— Mówiłem, sire. Interfamilijne małżeństwa są dumną tradycją naszego rodu.

— Ale moja ciotka jest moją ciotką!

Dios przewrócił oczami. Niejednokrotnie doradzał zmarłemu królowi w kwestii edukacji syna, ale ten był uparty, uparty... Teraz trzeba będzie załatwiać to na bieżąco. Bogowie wystawiają go na próbę, uznał. Wykształcenie monarchy wymaga dziesięcioleci, a on musi tego dokonać w ciągu tygodni.

— Tak, sire — zgodził się z niezwykłą cierpliwością. — Oczywiście. Jest także twoim wujem, twoją kuzynką i twoim ojcem.

— Chwileczkę! Mój ojciec... Kapłan uspokajająco uniósł dłoń.

— Techniczny szczegół — wyjaśnił. — Twoja praprababka ogłosi­ła kiedyś, że jest królem. Decyzja polityczna, ale edykt nigdy nie zo­stał odwołany.

— Ale przecież była kobietą.

Dios był zaszokowany.

— Ależ nie, sire. Jest mężczyzną. Sama tak zarządziła.

— Posłuchaj, przecież czyjaś ciotka...

— Rzeczywiście, sire. Całkowicie się zgadzam.

— No cóż... Dziękuję — mruknął Teppic.

— To wielka szkoda, że nie mamy sióstr.

— Sióstr!

— Nie należy rozcieńczać boskiej krwi, sire. Słońcu mogłoby się to nie spodobać. A to, sire, Łopatka Higieny. Gdzie chciałbyś ją umieścić?

\* \* \*

Król Teppicymon XXVII przyglądał się, jak wypychają go słomą. Dobrze, że ostatnio w ogóle nie bywał głodny; już chyba nigdy nie zjadłby kurczaka. — Piękny ścieg, mistrzu.

— Nie ruszaj palcem, Gern.

— Moja mama tak szyje. Ma fartuch z takim ściegiem — mówił dalej Gern.

— Nie ruszaj, mówię.

— Cały IIaftowany w kury i kaczki — dokończył Gern.

Dii skoncentrował się na pracy. Owszem, musiał przyznać, że dobrze ją wykonywał. Gildia Balsamistów i Rzemiosł Pokrewnych przyznała mu liczne medale.

— Na pewno jesteście dumni — powiedział Gern.

— Co?

— Nasza mama twierdzi, że po całym tym wypychaniu i szyciu król żyje dalej, mniej więcej. W takim jakby podziemnym świecie. Z waszymi szwami.

A także z paroma workami słomy i dwoma wiadrami smoły, po­myślał król ze smutkiem. I z opakowaniem drugiego śniadania Gerna, chociaż nie miał pretensji do chłopaka, który zwyczajnie zapo­mniał, gdzie je odłożył. Cała wieczność z opakowaniem czyjegoś drugiego śniadania zamiast organów wewnętrznych... Została tam również połówka kiełbaski.

Zdążył się przywiązać do Dila, a nawet do Gerna. Był też chyba nadal związany z ciałem — w każdym razie czuł się niepewnie, jeśli oddalił się od niego więcej niż sto, dwieście sążni. Oczywiście przez ostatnie kilka dni dobrze poznał mistrza i ucznia.

Właściwie to zabawne. Przez cale życie rozmawiał tylko z paro­ma kapłanami i jeszcze kilkoma osobami. Teoretycznie wiedział, że wokół mieszkają inni ludzie — służba, ogrodnicy i tak dalej, ale w jego życiu istnieli jako niewyraźne plamy. On sam był na szczycie, potem jego rodzina, niżej kapłani i arystokracja, a dalej już tylko plamy. Piękne plamy, oczywiście, jedne z najwspanialszych na świe­cie, żaden król nie pragnąłby bardziej lojalnych plam. Ale jednak plamy.

Za to teraz całkowicie pochłonęły go szczegóły codziennego życia Dila, jego skromne nadzieje na awans w gildii, a także nie­kończąca się opowieść o niezręcznych zalotach Gema do Glwendy, córki mieszkającego w pobliżu hodowcy czosnku. Z fascynacją i zdumieniem słuchał o świecie tak pełnym subtelnych rozróżnień stopni i pozycji jak ten, który niedawno opuścił. Przerażała go myśl, że może nigdy się nie dowie, czy Gern przekonał niechętnego oj­ca i zdobył ukochaną, albo czy dzięki pracy — pracy nad nim — Dii uzyska rangę Wielkiego Granda Dziewięćdziesięciostopniowej Zmienności Loży Natrońskiej w Gildii Balsamistów i Rzemiosł Po­krewnych.

Miał wrażenie, że śmierć jest jakimś niezwykłym urządzeniem optycznym, które nawet kroplę wody zmienia w siedlisko złożone­go życia.

Odczuwał przemożną chęć, by wyjaśnić Dilowi elementarne kwestie polityki albo przekonać Gerna do zalet mycia i poważnego wyglądu. Wiele razy próbował. Wyczuwali go bez wątpienia. Ale są­dzili, że to przeciągi.

Teraz Dii pochylił się nad długim blatem z bandażami. Potem wrócił z wielkim kłębem, który przyłożył w zadumie do tego, o czym nawet król przyzwyczaił się myśleć jako o swoich zwłokach.

— Myślę, że płótno — doszedł w końcu do wniosku. — Pasuje mu ten kolor.

Gern przechylił głowę.

— Nieźle wyglądałby w jucie — ocenił. — A może perkal?

— Nie perkal. Stanowczo nie perkal. Zbyt szerokie jak na niego.

— Mógłby się dopasować. Naciągnąć...

— Naciągnąć? — parsknął Dii. — Już ty mi nie mów o perkalu i naciąganiu. A jeśli za tysiąc lat ktoś zechce okraść jego grobowiec, a on będzie w perkalu? Co wtedy? Przejdzie do polowy korytarza, może i zadusi któregoś, to prawda, ale zaraz wszystko się porozwija. Od razu się przetrze na łokciach. Nie przeżyłbym tego.

— Przecież będziecie już martwi, mistrzu!

— Martwy? A co to ma do rzeczy? — Dii przebierał w próbkach. — Nie, jednak juta. Juta może się rozciągnąć w miarę potrzeby. I jest szorstka. Będzie mógł szybciej sunąć przez korytarze, gdyby miał na to ochotę.

Król westchnął. Osobiście wolałby coś lekkiego, z tafty.

— I zamknij drzwi — dodał Dii. — Stale te przeciągi...

\* \* \*

**—**A teraz — oznajmił najwyższy kapłan — pora, byśmy odwie­dzili naszego zmarłego ojca. — Pozwolił sobie na dyskretny uśmiech. — Jestem pewien, że nie może się doczekać. Teppic zastanowił się. On sam nie spieszył się do tego, ale może przy­najmniej przestaną mówić o jego małżeństwie z krewnymi. Wycią­gnął rękę w królewskim — miał nadzieję — geście i pogłaskał jednego z pałacowych kotów. Nie było to rozsądne posunięcie. Zwierzak po­wąchał jego rękę, zrobił zeza z wysiłku umysłowego i ugryzł Teppica w palec.

— Koty są święte — przypomniał Dios, zaszokowany słowami, ja­kich użył Teppic.

— Długonogie koty o srebrzystym futrze i zachowaniu pełnym godności, owszem. — Teppic roztarł bolący palec. — Ale o takich nie słyszałem. Jestem pewien, że święte koty nie zostawiają pod łóżkiem martwych ibisów. Myślę także, Diosie, że święte koty żyjące pośród nieskończonych piasków nie wracają do komnat, żeby to zrobić w królewskie sandały.

— Wszystkie koty są kotami — orzekł filozoficznie Dios. — A teraz, gdybyśmy zechcieli pójść...

Wskazał odległy łuk przejścia.

Teppic ruszył za nim powoli. Zdawało mu się, że wrócił do do­mu całe wieki temu, ale wciąż nie czuł się najlepiej. Powietrze było za suche. Ubranie go drażniło. Stale panował upał. Nawet budynki wydawały się nie takie jak trzeba. Na przykład kolumny. W do... w gildii kolumny były żłobione, pełne gracji, z kiściami kamiennych winogron i różnych takich u szczytu. Tutaj kolumny to masywne, gruszkowate bryły, którym cały kamień spłynął do dołu.

Pół tuzina służących podążało za nim, dźwigając różnorakie elementy regaliów.

Starał się naśladować chód Diosa i odkrył, że przypomina sobie odpowiednie ruchy. Trzeba odwrócić tors o tak, potem skręcić gło­wę tak, wyciągnąć ręce pod kątem czterdziestu pięciu stopni do cia­ła, dłońmi w dół, i wreszcie spróbować się ruszyć.

Laska najwyższego kapłana, uderzała o posadzkę, budząc echa. Ślepiec mógłby przejść boso po pałacu, wyczuwając stopami zagłę­bienia, jakie wyryła przez lata.

— Obawiam się, że nasz ojciec zmienił się, odkąd ostatni raz go widzieliśmy — odezwał się konwersacyjnym tonem Dios, kiedy prze­suwali się pod freskiem przedstawiającym Królową KIIaphut przyj­mującą hołd od Królestw Świata.

— Chyba tak — przyznał zdziwiony Teppic. — Jest przecież mar­twy.

— To również — zgodził się Dios, i Teppic zrozumiał, że kapłan nie mówił o czymś tak trywialnym jak obecny fizyczny stan władcy.

Ogarnął go lękliwy podziw. Chodzi nie o to, że Dios był szcze­gólnie okrutny czy obojętny, ale o to, że śmierć traktował jako iry­tujący okres przejściowy w wiecznej egzystencji. Fakt, że ludzie umie­rają, był dla niego tylko niewygodą, podobną do sytuacji, gdy nie ma ich pod ręką, kiedy akurat są potrzebni.

To dziwny świat, pomyślał. Cały w cieniu. Nie zmienia się, a ja jestem jego częścią.

— Kto to jest? — zapytał, wskazując niezwykle wielki fresk. Przed­stawiał mężczyznę w podobnym do komina nakryciu głowy, z bro­dą jakby uplecioną z powrozów. Rozjeżdżał swoim rydwanem in­nych, o wiele mniejszych ludzi.

— Jego imię wyryto w kartuszu u dołu — odparł z godnością Dios.

— W czym?

— Ten niewielki owal, sire.

Teppic przyjrzał się gęsto stłoczonym hieroglifom.

— *Chudy orzeł, oko, linia falista, człowiek z kijem, siedzący ptak, linia falista* — przeczytał.

Dios skrzywił się.

— Sądzę, że musimy więcej czasu poświęcić na naukę języków współczesnych — rzeki. — Jego imię brzmi Pta-ka-ba. Jest królem, kiedy Imperium Djel rozciąga się od Okrągłego Morza do Oceanu Krawędziowego, gdy niemal połowa kontynentu płaci nam lenno.

Teppic zrozumiał, co go dziwiło w mowie Diosa. Kapłan nagi­nał zdania do granic wytrzymałości, byle tylko uniknąć czasu prze­szłego.

Wskazał inny fresk.

— A ona?

— To królowa KIIat-leon-ra-pta — odparł Dios. — Zdobywa pod­stępem królestwo Howandalandu. To okres Drugiego Imperium.

— Ale umarła? — upewnił się Teppic.

— Tak sądzę — zgodził się kapłan po krótkiej pauzie. Tak. Czas przeszły wyraźnie sprawiał Diosowi przykrość.

— Poznałem kilka języków — oznajmił Teppic, pewien, że stop­nie, jakie uzyskał w trzech z nich, pozostaną ukryte w kronikach gildii.

— Doprawdy, sire?

— Tak. Morporkski, Vanglemesztu, Efebu, laotatioński i... jesz­cze parę.

— Och. — Dios uśmiechnął się i ruszył dalej korytarzem, kulejąc lekko, ale nadal odmierzając krok niczym zegar wieków. — Barba­rzyńskie krainy.

\* \* \*

Teppic spojrzał na ojca. Balsamiści wykonali dobrą robo­tę. Czekali, żeby im to powiedział.

Część jego umysłu, która nadal przebywała w Ankh-Morpork, mówiła: oto martwe ciało owinięte w bandaże, przecież chy­ba nie wierzą, że to mu w czymś pomoże. W Ankh umierasz i cho­wają cię albo palą, albo rzucają krukom. Tutaj oznacza to tyle, że trochę zwalniasz i że dostajesz najlepsze jedzenie. To śmieszne; jak można rządzić takim państwem? Im się chyba wydaje, że być mar­twym to jak być głuchym: trzeba po prostu głośniej mówić.

Ale inny, starszy głos mówił: rządzimy tym królestwem od sied­miu tysięcy lat. Najuboższy rolnik ma drzewo genealogiczne, przy którym królowie w innych krainach są niczym jętki jednodniówki. Kiedyś władaliśmy całym kontynentem, ale sprzedaliśmy go, żeby zapłacić za piramidy. My nawet nie myślimy o innych królestwach, młodszych niż trzy tysiące lat. I wszystko jakoś działa.

— Cześć, tato — powiedział Teppic.

Cień Teppicymona XXVII, który przyglądał mu się z uwagą, teraz podbiegł bliżej.

— Świetnie wyglądasz! — zawołał. — Dobrze cię znowu widzieć! Posłuchaj, to bardzo ważne, chodzi o śmierć...

— Mówi, że cieszy się twoim widokiem — oznajmił Dios.

— Słyszysz go? — zdziwił się Teppic. — Ja niczego nie słyszałem.

— Umarli, ma się rozumieć, przemawiają poprzez kapłanów — wyjaśnił kapłan. — Taki jest zwyczaj, sire.

— Ale on mnie słyszy, prawda?

— Oczywiście.

— Zastanawiałem się nad całą tą imprezą z piramidami, i wiesz, nie jestem przekonany.

Teppic pochylił się nad ciałem.

— Ciocia przesyła ucałowania — powiedział głośno. Pomyślał chwilę. — To znaczy moja ciocia, nie twoja. Mam nadzieję, dodał w duchu.

— Hej! Hej tam! Słyszysz mnie?

— Śle ci pozdrowienia ze świata poza zasłoną — rzekł Dios.

— No... Tak, chyba rzeczywiście ślę, ale SŁUCHAJ, nie rób so­bie kłopotów i nie buduj...

— Zbudujemy ci wspaniałą piramidę, ojcze. Spodoba ci się w niej. Ludzie będą się o ciebie troszczyć i w ogóle. — Szukając wsparcia, Teppic zerknął na Diosa. — Będzie zadowolony, prawda?

— Nie chcę piramidy! — wrzasnął król. — Jest cała ciekawa wiecz­ność, której jeszcze nie widziałem! Zakazuję ci zamykać mnie w pi­ramidzie!

— Mówi, że tak być powinno i że jesteś dobrym synem.

— Czy ty mnie widzisz? Ile pokazuję palców? Myślisz pewnie, że to zabawne, spędzić resztę śmierci pod milionem ton skały i pa­trzeć, jak sam rozpadasz się w pył? Tak sobie wyobrażasz udaną epokę?

— Trochę tu wietrznie, sire — zauważył Dios. — Lepiej idźmy dalej.

— Zresztą i tak cię na nią nie stać!

— Włożymy do niej twoje ulubione freski i posągi. Na pewno będziesz zadowolony — ciągnął desperacko Teppic. — Wszystkie two­je drobiazgi wokół ciebie.

— To mu się spodoba, prawda? — zapytał Diosa, kiedy wracali już do sali tronowej. — Chociaż... Sam nie wiem... Mam przeczu­cie, że nie będzie z tego powodu szczęśliwy.

— Zapewniam cię, sire — oświadczył Dios — że nie może mieć żadnego innego pragnienia.

W komnacie balsamowania król Teppicymon XXVII próbował stuknąć Gerna w ramię, ale bez skutku. Zrezygnował i usiadł smęt­nie w kącie.

— Nie rób tego, chłopcze — szepnął z goryczą. — Nigdy nie miej potomków.

\* \* \*

A dalej stała sama Wielka Piramida. Echo kroków Teppica na marmurowej posadzce roz­brzmiewało głośno, gdy chłopiec obchodził model dooko­ła. Nie był pewien, co właściwie ma tu robić. Ale królowie, jak po­dejrzewał, często znajdują się w takiej sytuacji. Zawsze pozostawała najprostsza droga ratunku, to znaczy uprzejme zainteresowanie.

— No no... — powiedział. — Jak długo projektujesz piramidy? Ptaclusp, architekt i budowniczy piramid dla arystokracji, skło­nił się nisko.

— Przez całe życie, o blasku południa.

— To musi być fascynujące zajęcie.

Ptaclusp zerknął pytająco na najwyższego kapłana. Ten skinął głową.

— Ma swoje zalety, o fontanno wód — spróbował.

Nie był przyzwyczajony do władców zwracających się do niego tak, jakby był istotą ludzką. Niejasno wyczuwał, że to nie jest wła­ściwe.

Teppic machnął ręką w stronę modelu ma podwyższeniu.

— Tak — rzucił niepewnie. — No tak. Świetne. Cztery ściany i ostry wierzchołek. Doskonała. Pierwsza klasa. Mówi wszystko. — Wciąż słyszał zbyt wiele ciszy. Brnął dalej. — Znakomicie wygląda.

Znaczy... Nie ma żadnych wątpliwości. Oto... piramida. Ale co za piramida! Doprawdy.

Wciąż nie wystarczało. Poszuka! czegoś innego.

— W wiekach, które nadejdą, ludzie będą patrzeć na nią i mó­wić... to jest piramida. Hm... Odchrząknął.

— Ściany ładnie pochylone — wykrztusi!. — Ale... — dodał. Dwie pary oczu skierowały się ku niemu.

— Hm — powiedział. Dios uniósł brew.

— Sire?

— Mam wrażenie, że ojciec powiedział kiedyś, no wiecie, że kie­dy umrze, chciałby tak jakby być pochowany w morzu. Nie rozległ się jęk oburzenia, jakiego oczekiwał, f

— Miał na myśli deltę — stwierdził Ptaclusp. — Grunt w delcie jest miękki. Całe miesiące potrwa wykopanie przyzwoitych funda­mentów. I zawsze jest ryzyko zatonięcia. I wilgoć. We wnętrzu pira­midy wilgoć jest bardzo szkodliwa.

— Nie — zaprotestował Teppic, ociekając potem pod spojrze­niem Diosa. — Myślę, że miał na myśli, no wiecie, morze. Ptaclusp zmarszczył czoło.

— Ciekawe — rzekł z namysłem. — Interesujący pomysł. Myślę, że gdyby zbudować coś małego, miliontonówkę, i postawić ją na pontonach albo czymś takim...

— Nie. — Teppic z trudem IIamował śmiech. — On mówił o po­chowaniu bez...

— Teppicymon XXVII chciał powiedzieć, że życzy sobie być po­chowany bez zwłoki. — Głos Diosa przypominał polany oliwą jedwab. — I nie ma chyba wątpliwości, że wymaga on uhonorowania najlep­szym, co potrafisz zbudować, architekcie.

— Nie, źle zrozumiałeś...

Dios zmartwiał. Ptaclusp zrobił minę człowieka, który nagle nie ma nic do roboty. Zaczął wpatrywać się w posadzkę, jakby jego życie zależało od zapamiętania jej w najdrobniejszych szczegółach.

— Źle? — spytał Dios.

— Bez urazy. Na pewno miałeś dobre zamiary — uspokoił go Teppic. — Chodzi o to, że... no... Stwierdził wtedy bardzo wyraźnie,

— Miałem dobre zamiary? — powtórzył Dios, smakując każde słowo niby kwaśne winogrono.

Ptaclusp odkaszlnął. Skończył z posadzką i teraz wziął się do sufitu.

Dios nabrał tchu.

— Sire — rzekł. — Zawsze byliśmy budowniczymi piramid. Wszy­scy nasi królowie spoczywają w piramidach. Tak rozwiązujemy te sprawy, sire. Tak powinno sieje rozwiązywać.

— Tak, ale...

— Rzecz nie podlega dyskusji. Kto mógłby pragnąć czegoś inne­go? Wedle wszelkich wskazówek sztuki chroniony przed bluźnierczym działaniem Czasu... — Oleisty jedwab zmienił się w zbroję, twardą jak stal i groźną jak włócznie. — Po wieczność osłonięty przed obelgą Zmiany.

Teppic zerknął na kostki kapłana. Były białe; kość naciskała od wewnątrz na skórę, jakby chciała się wyrwać.

Wzrok prześliznął się wzdłuż okrytego szarą szatą ramienia na twarz Diosa. Bogowie, pomyślał Teppic, to prawda: rzeczywiście wy­gląda tak, jakby zmęczyli się czekaniem na jego śmierć i zakonser­wowali go za życia.

Wtedy jego oczy napotkały oczy kapłana — z hukiem. Takie miał wrażenie.

Czuł się tak, jakby coś bardzo powoli zdzierało mu ciało z ko­ści. Czuł, że nie jest ważniejszy od muchy. Niezbędnej muchy, to prawda, muchy, której nikt nie odmawia należnego szacunku, ale jednak owada z odpowiednio przysługującymi mu prawami. I z ta­ką wolną wolą, jaką ma skrawek papirusu w huraganie.

— Wolą króla jest, by został złożony w piramidzie — oznajmił Dios takim tonem, jakiego musiał używać Stwórca, kiedy szkicował księżyce i gwiazdy.

— Ehm... — powiedział Teppic.

— Najwspanialsza z piramid dla króla — zarządził Dios. Teppic zrezygnował.

— No... — zaczął. — Dobrze. Świetnie. Tak. Najlepsza, oczywi­ście,

Ptaclusp rozpromienił się z ulgi, zamaszystym gestem wydobył woskową tabliczkę, a w zakamarkach peruki odnalazł rysik. Wie­dział, że najważniejszą sprawą jest jak najszybsze dobicie targu. W tej sytuacji wystarczy drobiazg, by człowiek wylądował z półtora milio­nem ton zamówionego piaskowca na głowie.

— Zatem, powiedzmy, model standardowy, o wodo na pustyni?

Teppic zerknął na Diosa, który stał i patrzył gniewnie na nic konkretnego, wzrokiem i siłą woli jedynie zmuszając do posłuszeń­stwa buldogi Entropii.

— Może coś większego? — zaproponował Teppic bez przekonania.

— Model luksusowy — podpowiedział Ptaclusp. — Bardzo ele­gancki, o podstawie nieskończonej kolumny. Wystarczy na całą wieczność. W tej erze mamy specjalną ofertę: wbudowane w struk­turę rozmaite wymiary o parakosmicznym znaczeniu. Bez dodat­kowych opłat.

Spojrzał na Teppica wyczekująco.

— Tak, tak. Bardzo chętnie. Dios nabrał tchu.

— Król wymaga czegoś więcej — oświadczył.

— Wymagam? — spytał z powątpiewaniem Teppic.

— W samej rzeczy, sire. Twoim stanowczym życzeniem jest, by dla twego ojca wzniesiono największy z pomników — wyjaśnił gład­ko Dios.

To jest gra, zrozumiał Teppic; nie znał zasad, nie znał rozgryw­ki, i z pewnością przegra.

— Jest? Aha. Tak. Tak, rzeczywiście. Tak.

— Piramida nie mająca sobie równych wzdłuż całego Djelu. Ta­ka jest wola króla. To jest właściwe i słuszne.

— Tak, coś w tym rodzaju. Hm... Dwa razy większa niż normal­nie — rzucił w desperacji Teppic i przeżył chwilę satysfakcji, widząc, że Dios na moment stracił spokój.

— Sire? — wykrztusił.

— Tak będzie właściwie i słusznie.

Kapłan otworzył usta, by zaprotestować, zauważył jednak wyraz twarzy Teppica i zrezygnował.

Ptaclusp notował pilnie, aż podskakiwała mu grdyka. Coś ta­kiego zdarzało się raz w czasie całej kariery zawodowej.

— Możemy wykonać bardzo ładne marmurowe licowanie — za­proponował, nie podnosząc głowy. — Może akurat wystarczy nam materiału w kamieniołomach. O królu ciał niebieskich — dodał po-; spiesznie.

— Doskonale — zgodził się Teppic. Ptaclusp sięgnął po nową tabliczkę.

— Może wierzchołek z elektrum? Taniej wychodzi wbudować od razu, przecież nie chcemy używać zwykłego srebra, a potem mó­wić: żałuję, że nie zamówiłem...

— Elektrum, tak.

— I normalne gabinety?

— Co?

— Komora grobowa, znaczy, i komora zewnętrzna. Sugeruję ze­staw Memphis, niezwykle gustowny, w komplecie jest dopasowany skarbiec o większej powierzchni. Bardzo poręczny na te wszystkie drobiazgi, których nie moglibyśmy tak po prostu zostawić. — Ptac­lusp odwrócił tabliczkę i zaczął pisać na drugiej stronie. — 1 oczywi­ście podobny apartament dla królowej, jak rozumiem? O królu, który będzie żył wiecznie.

— Co? A tak, tak sądzę. — Teppic zerknął na Diosa. — Wszystko. Najlepsze.

— Są jeszcze labirynty — przypomniał Ptaclusp, starając się pano­wać nad własnym głosem. — Bardzo popularne w tej erze. Taki labi­rynt jest bardzo ważny; za późno się decydować, kiedy rabusie już odwiedzili piramidę. Może jestem staroświecki, ale zawsze wstawiał­bym labirynt. Jak to mówimy: mogą wejść bez kłopotów, ale nigdy nie wyjdą. To kosztuje dodatkowo, ale czym są pieniądze w takiej chwili, o władco wód?

Czymś, czego nie mamy, odezwał się ostrzegawczy głos z głębi umysłu. Chłopiec nie zwrócił na niego uwagi. Znalazł się w szpo­nach przeznaczenia.

— Tak — rzeki, prostując się. — Labirynt. Dwie sztuki. Rysik Ptacluspa migotał po tabliczce.

— Dla niego i dla niej, o kamieniu kamieni — wychrypiał. — Bar­dzo rozsądnie, bardzo wygodnie. Z wyborem pułapek z naszej sze­rokiej oferty? Proponujemy spadające ciężary, zapadnie, pochyl­nie, toczące kule, wylatujące włócznie, strzały...

— Tak, tak — przerwał mu Teppic. — Weźmiemy je. Weźmiemy wszystkie. Wszystkie pułapki.

Architekt odetchnął głęboko.

— Oczywiście, niezbędne też będą zwykłe stele, alejki, sfinksy...

— Mnóstwo. Zostawiamy to tobie.

Ptaclusp otarł czoło.

— Doskonale — powiedział, — Cudownie. — Wytarł nos. — Ojciec twój, jeśli wybaczysz mi zuchwałość, o siewco nasion, jest szczęśli­wym człowiekiem, mając tak posłusznego syna. Jeśli wolno dodać...

— Wolno odejść — rzekł Dios. — Spodziewamy się, że natychmiast rozpoczniesz prace.

— Bez zwłoki, zapewniam. — Ptaclusp skłonił się. — Ehem. — Zda­wał się walczyć z poważnym problemem filozoficznym.

— Słucham? — rzucił chłodno Dios.

— Chodzi o eee. Jest jeszcze sprawa eee. Co nie oznacza eee. Oczywiście, najstarszy klient, cenny zleceniodawca, ale prawdą jest, że eee. W żadnym razie nie podaję w wątpliwość zdolności kredyto­wej eee. Nie chciałbym żadną miarą sugerować, że eee.

Dios rzucił mu spojrzenie, które nawet sfinksa zmusiłoby do zamknięcia oczu, po czym odwrócił głowę.

— Chcesz coś powiedzieć? — zapytał. — Czas jego wysokości jest mocno ograniczony.

Ptaclusp nerwowo poruszał szczęką, ale wynik był z góry wiado­my. Nawet bogowie pokornie spuszczali głowy, stojąc twarzą w twarz z Diosem. A rzeźbione węże z jego laski też zdawały się mu przyglądać.

— Eee. Nie, nic. Przepraszam. Po prostu głośno myślałem. Od­dalę się teraz, dobrze? Czeka mnie wiele pracy. Ehem. Pokłonił się. Był już w połowie drogi do łukowego wyjścia, gdy Dios dodał:

— Zakończenie prac za trzy miesiące. Na Porę Wylewu[[11]](#footnote-11).

— Co?!

— Mówisz do tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego ósmego monar­chy — przypomniał lodowato Dios. Ptaclusp przełknął ślinę.

— Przepraszam — szepnął. — Chciałem powiedzieć: Co?! O wiel­ki władco. Przecież sam transport bloków zajmie eee.

Wargi mu zadrżały; próbował w myślach różnych uwag i w wy­obraźni rzucał je w twarz Diosowi.

— Nie od razu Tsort zbudowano — wymamrotał.

— Nie przypominamy sobie, żebyśmy składali zamówienie na tę pracę — odparł kapłan. Rzucił Ptacluspowi uśmiech. W pewnym sensie było to gorsze niż wszystko inne. — Oczywiście, zapłacimy do­datkowo.

— Przecież nigdy nie pła... — zaczął Ptaclusp i zgarbił się.

— Kary za niedotrzymanie terminu będą naturalnie straszliwe. Zwykłe zastrzeżenie.

Ptaclusp nie miał odwagi protestować.

— Oczywiście — zgodził się, całkowicie pokonany. — To zaszczyt. Czy wasze eminencje zechcą mi wybaczyć? Zostało jeszcze kilka go­dzin dziennego światła.

Teppic kiwnął głową.

— Dzięki — powiedział na pożegnanie architekt. — Niech wasze lędźwie wydadzą owoc. Za pańskim przeproszeniem, lordzie Diosie. Usłyszeli, jak zbiega po stopniach.

— Będzie wspaniała. Za wielka, ale wspaniała — przyznał Dios. Spojrzał między kolumnami na panoramę nekropolii z drugiej stro­ny Djelu.

— Wspaniała — powtórzył.

Skrzywił się, czując ukłucie bólu w nodze. Ach, dziś wieczorem musi znowu przepłynąć przez rzekę. Nierozsądnie postąpił, o tyle dni odkładając tę wyprawę. Ale byłoby rzeczą nie do pomyślenia, gdyby nie był obecny, by właściwie służyć królestwu...

— Coś się stało, Dios? — zaniepokoił się Teppic.

— Sire?

— Mam wrażenie, że trochę zbladłeś.

Wyraz paniki przemknął po twarzy Diosa. Kapłan wyprostował się.

— Zapewniam cię, sire, że cieszę się najlepszym zdrowiem. Naj­lepszym zdrowiem, sire.

— Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz? Tym razem zgroza była wyraźnie widoczna.

— Z czym przesadzam, sire?

— Zawsze się krzątasz, Dios. Pierwszy wstajesz, ostatni się kła­dziesz. Powinieneś trochę zwolnić.

— Istnieję tylko po to, by służyć, sire — odparł stanowczo Dios. — Tylko po to, by służyć.

Teppic stanął przy nim na tarasie. W blasku zachodzącego słoń­ca lśniło stworzone rękami ludzi górskie pasmo. Widzieli tylko ma­syw centralny — piramidy ciągnęły się od delty aż po drugą katarak­tę, gdzie Djel znikał w prawdziwych górach. I zajmowały najlepsze ziemie, tuż nad rzeką. Nawet rolnicy uznaliby za bluźnierstwo suge­stię, że może być inaczej.

Niektóre piramidy były małe, zbudowane z grubo ociosanych bloków, i wyglądały na starsze od gór, odgradzających dolinę od pu­styni. W końcu góry zawsze tam były. Takie określenia jak „młode” czy „stare” nie odnosiły się do nich. Ale te pierwsze piramidy zosta­ły wzniesione przez istoty ludzkie, niewielkie worki myślącej wody, przez krótki czas podtrzymywane kruchymi strukturami wapnia. To istoty ludzkie pocięły skały na bloki, by złożyć je znowu w innym kształcie. Piramidy były stare.

Przez tysiąclecia zmieniały się mody. Późniejsze piramidy były gładkie i ostre, albo spłaszczone i wyłożone miką. Nawet te najbar­dziej strome, myślał Teppic, w skali trudności wspinaczki miały naj­wyżej 1,0. Za to niektóre stele i świątynie, skupione wokół podstaw piramid niby holowniki wśród pancerników wieczności, warte były uwagi.

Pancerniki wieczności, myślał, żeglujące dumnie przez mgły czasu. I każdy pasażer podróżuje pierwszą klasą...

Błysnęło kilka zbyt wczesnych gwiazd. Teppic spojrzał na nie. Może, pomyślał, gdzieś tam, wysoko, żyją inne istoty. Jeśli to praw­da, że istnieją miliardy wszechświatów ustawionych jeden obok dru­giego, o grubość myśli od siebie, to gdzieś muszą żyć ludzie.

Ale kimkolwiek są, jakkolwiek mężnie by się starali, jakkolwiek wspaniały byłby ich wysiłek, z pewnością nie zdołają osiągnąć głupo­ty tak niebotycznej jak my. My nad tym pracujemy. U zarania dano nam iskrę, ale przez setki tysięcy lat zmieniliśmy ją w płomień.

Zwrócił się do Diosa, czując, że powinien choć w części napra­wić krzywdy.

— Czuje się promieniującą z nich starość, prawda? — zapytał uprzejmie.

— Słucham, sire?

— Piramidy, Dios. Są takie stare.

Dios zerknął obojętnie za rzekę.

— Doprawdy? — zdziwił się. — Tak, myślę, że tak.

— Będziesz miał swoją?

— Piramidę? Sire, już ją mam. Jeden z twoich przodków ze­chciał zadbać o mnie w tym względzie.

— To z pewnością wielki zaszczyt — uznał Teppic. Dios z godnością skinął głową. Kajuty na okrętach wieczności były zwykle zarezerwowane dla królów.

— Jest, oczywiście, bardzo mała. Bardzo prosta. Ale wystarczy na moje skromne potrzeby.

— Naprawdę? — Teppic ziewnął. — To miło. A teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu, chyba się położę. To był długi dzień.

Dios skłonił się, jakby w pasie był umocowany na zawiasach. Teppic zauważył, że Dios ma co najmniej pięćdziesiąt perfekcyjnie dopracowanych sposobów składania pokłonu. Ten wyglądał na numer 3, Jestem Twym Uniżonym Sługą.

— A także udany dzień, jeśli wolno mi dodać, sire. Przez chwilę Teppic na próżno szukał właściwych słów.

— Tak myślisz? — zapytał w końcu.

— Efekt chmur o świcie był niezwykle efektowny.

— Naprawdę? Och. Czy muszę też robić coś w sprawie za­chodu?

— Wasza wysokość zechciał zażartować — stwierdził Dios. — Za­chód słońca następuje sam z siebie, sire. IIa, IIa.

— IIAha — powtórzył Teppic. Dios splótł palce.

— Cała sztuka to wschód — wyjaśnił.

Zmurszałe pergaminy z Yeshch twierdziły, że wielka pomarań­cza słońca jest co wieczór zjadana przez Co, boginię nieba, która pozostawia jedną pestkę, by następnego ranka wyrosło z niej świe­że słońce. I Dios wiedział, że tak jest w istocie.

„Księga Pozostawania w Otchłani” informowała, że słońce to Oko boga Yoko, wędrującego codziennie po niebie w nieskończo­nym poszukiwaniu Swych paznokci u nóg[[12]](#footnote-12). I Dios wiedział, że tak jest w istocie.

Tajemne rytuały Dymiącego Zwierciadła dowodziły, że słońce jest okrągłą dziurą w wirującej błękitnej bańce mydlanej bogini Nesh, otwierającą się na ognisty, rzeczywisty świat zewnętrzny, gwiaz­dy natomiast to małe otworki, przez które wpada deszcz. I Dios wie­dział, że tak jest w istocie.

W ludowych mitach powtarzano, że słońce jest ognistą kulą, która codziennie okrąża świat, a świat ten płynie przez wieczną pust­kę na grzbiecie ogromnego żółwia. I Dios wiedział, że tak również jest w istocie, choć miał z tym nieco kłopotów.

Dios wiedział, że Net jest Najwyższym Bogiem i że Fon jest Naj­wyższym Bogiem, podobnie jak IIast, Set, Bin, Sot, Io, Dhek i Ptooie. Że Herpetine Triskeles jako jedyny włada krainą umarłych, tak samo jak Syncope i Silur, Bóg o Głowie Suma, i Orexis-Nupt.

Dios był absolutnie najwyższym kapłanem narodowej religii, która fermentowała, osadzała i wrzała przez siedem tysięcy lat, nigdy nie odrzucając żadnego boga, na wypadek gdyby okazał się przy­datny. Wiedział, że prawdziwe jest bardzo wiele wzajemnie sprzecz­nych stwierdzeń. Gdyby nie, to wiara i rytuały straciłyby wszelką war­tość, a gdyby były bez wartości, to świat by nie istniał. W wyniku ta­kiego podejścia, kapłani znad Djelu przechowywali w umysłach ta­ki zestawi idei, przy którym nawet mechanika kwantowa musiałaby zrezygnować i oddać swoje narzędzia.

Echo powtarzało stuk laski Diosa, gdy utykając, szedł w ciemno­ści rzadko odwiedzanymi korytarzami, aż dotarł do niewielkiego mola. Odcumował łódź, wsiadł nie bez trudu, wysunął wiosła i wy­płynął na mętne, ciemne wody Djelu.

Dłonie i stopy miał zimne, za zimne. Głupio, niemądrze... Po­winien to zrobić już dawno.

Łódka wpłynęła wolno na środek rzeki. Noc okryła dolinę. Na drugim brzegu, zgodnie ze starożytnymi prawami, piramidy zaczy­nały rozświetlać niebo.

\* \* \*

Światło paliło się też do późna w siedzibie Ptacluspa i Spół­ki, Nekropolitalnych Budowniczych dla Dynastii. Ojciec i dwójka bliźniaczych synów dyskutowali, pochyleni nad wielką, woskową deską kreślarską.

— I nie, żeby kiedykolwiek płacili — odezwał się Ptaclusp IIa. — Tu nawet nie chodzi o to, że nie są w stanie. Oni chyba w ogóle nie rozumieją tej idei. Przynajmniej takie dynastie jak w Tsorcie płacą mniej więcej w ciągu stu lat. Dlaczego nie zażądałeś...

— Od trzech tysięcy lat budujemy nad Djelem piramidy — przy­pomniał sztywno ojciec. — I nie straciliśmy na tym, prawda? Nie, nie straciliśmy. Ponieważ inne królestwa spoglądają na Djelibeybi i widzą, że jest tam rodzina, która naprawdę zna się na piramidach. Koneserzy mówią: chcemy to, co oni mają, z guziczkami na wierz­chu. Poza tym to prawdziwie królewski ród — dodał. — Nie jak nie­którzy, co to ich ostatnio pełno: dziś są, za tysiąc lat już ich nie ma. W dodatku nasi to półbogowie. Nie spodziewasz się chyba, że król będzie za siebie płacił. To jedna z oznak królewskości: brak pie­niędzy.

— W takim razie nie można być już bardziej królewskim niż oni. Potrzebne jest inne słowo — odparł IIa. — Zresztą w takim wypadku my też jesteśmy prawie królami.

— Nie znasz się na interesach, synu. Myślisz, że to tylko księgo­wość. Otóż nie.

— To problem masy. I stosunku siły do ciężaru. Obaj spojrzeli na Ptacluspa IIb, który wpatrywał się w szkice. Obracał w palcach rysik, a dłonie drżały mu z podniecenia.

— Na niższych poziomach trzeba będzie użyć granitu — powie­dział sam do siebie. — Piaskowiec nie wytrzyma. Przy takich pływach energii... Będą, uaaa, będą potężne. Nie mówimy tu o żyletkach. Taka sztuka może naostrzyć nawet belkę.

Ptaclusp wzniósł oczy do nieba. Jego dynastia trwała dopiero jedno pokolenie, a już miał z nią kłopoty. Jeden syn urodzony księ­gowy, drugi zakochany w tej nowomodnej mechanice kosmicznej. Za jego młodych lat nikt nie myślał o takich rzeczach. Wtedy to by­ła architektura. Człowiek kreślił plany, potem ściągał dziesięć tysię­cy chłopaków za półtorej dniówki, podwójna stawka w weekendy. Mieli tylko ułożyć cały materiał w stos. Nie trzeba było od razu zaj­mować się kosmosem.

Potomkowie! Bogowie uznali za stosowne obdarzyć go synem, który wystawia rachunki za oddech wypuszczony przy powiedzeniu „dzień dobry”, i drugim, który czci geometrię i nie śpi do rana, bo projektuje akwedukty. Człowiek odmawia sobie wszystkiego, oszczędza, żeby ich posłać do najlepszych szkół, a 6ni czym mu odpłaca­ją? Wykształceniem.

— O czym ty mówisz? — burknął.

— Sam ładunek... — IIb wyjął abakus i zastukał glinianymi pa­ciorkami na sznurkach. — Powiedzmy, że ustalimy wysokość na dwa razy większą niż w modelu luksusowym, co daje masę... plus dodat­kowo zaszyfrowane wymiary o znaczeniu okultystycznym, jak w spe­cyfikacji... Czegoś takiego, chyba rozumiecie, nie moglibyśmy zbu­dować nawet sto lat temu. Technika była wtedy zbyt prymitywna...

Jego palce migotały tak szybko, że oczy nie nadążały.

IIa parsknął pogardliwie i wyjął własny abakus.

— Piaskowiec po dwa talenty za tonę... — wymruczał. — Zużycie i amortyzacja narzędzi... Demurrage... Zniszczenia... O bogowie święci... koszty bieżące... czarny marmur po cenie zbytu...

Ptaclusp westchnął. Dwa abakusy stukotały w tandemie przez cały dzień. Jeden zmieniał kształt świata, drugi oceniał koszty. Gdzie się podziały dwa kawałki drewna i pion?

Ostatnie paciorki stuknęły o ramy.

— To będzie kwantowy skok w piramidologii — oznajmił IIb z mesjanistycznym uśmiechem na twarzy.

— To będzie kwa... — zaczął IIa.

— Kwantowy — podpowiedział IIb, rozkoszując się brzmieniem tego słowa.

— To będzie kwantowy skok w bankructwie — rzekł IIa. — Na to też będą musieli wymyślić nowe słowo.

— Będzie tego warta jako reklama.

— Pewnie. Tylko wtedy już nie będziemy mieli czego rekla­mować.

— Będzie świecić! Przez milenia, które nadejdą, ludzie będą pa­trzeć na nią i mówić: „Ten Ptaclusp znał się na piramidach”.

— Nazwą ją „Szaleństwem Ptacluspa”, chciałeś chyba powie­dzieć.

Bracia stali naprzeciw siebie, niemal stykając się nosami.

— Kłopot z tobą, krewniaku, polega na tym, że znasz cenę każ­dej rzeczy, ale wartość żadnej.

— Kłopot z tobą to... to... że nie znasz.

— Ludzkość musi iść drogą postępu!

— Tak, ale na solidnym finansowym nasypie, na Khufta!

— Dążenie do wiedzy...

— Dążenie do wypłacalności...

Ptaclusp zostawił ich i wyszedł na dziedziniec, gdzie w świetle pochodni pracownicy dokonywali gorączkowego remanentu.

Kiedy ojciec przekazał mu firmę, była niewielka: dziedziniec pełen kamiennych bloków, rozmaitych sfinksów, iglic, stel i innych elementów, a także gruby plik niezapłaconych rachunków, w więk­szości adresowanych do pałacu i z szacunkiem sugerujących, że na­sza faktura przedstawiona dziewięćset lat temu została zapewne przeoczona i z góry dziękujemy za szybkie uregulowanie płatności. Ale wtedy to była radość. Tylko on, pięć tysięcy robotników i pani Ptaclusp pilnująca rachunków.

Musisz robić piramidy, powiedział mu ojciec. Cały zysk tkwi w mastabach, niewielkich grobowcach rodzinnych, iglicach pamiąt­kowych i różnych nekropolitalnych drobiazgach. Ale jeśli nie ro­bisz piramid, to nic nie robisz. Najnędzniejszy hodowca czosnku, który szuka czegoś eleganckiego i trwałego, może z kawałkami zie­lonego marmuru dla ozdoby, ale niezbyt drogo, nie pójdzie do czło­wieka, który nie może się pochwalić piramidą.

Dlatego robił piramidy. Dobre piramidy. Nie takie, jakie się te­raz widuje, które mają nieprawidłową liczbę ścian, w dodatku ta­kich, że można je przebić kopniakiem. I owszem, jakoś to szło...

Zbudować największą piramidę...

W trzy miesiące...

Przy straszliwych karach, jeśli nie zdąży w terminie. Dios nie wyjaśnił jak straszliwych, ale Ptaclusp znał swojego klienta i wiedział, że prawdopodobnie wiążą się z krokodylami. Owszem, to byłoby straszliwe, nie ma co...

Spoglądał na migotliwe światła w długich alejach rzeźb, w tym przeklętego posągu Hata, Sępiogłowego Boga Niespodziewanych Gości, kupionego okazyjnie lata temu. Klient zrezygnował, gdyż dziób mu się nie spodobał. Od tego czasu Ptaclusp nie mógł się pozbyć posągu, nawet ze zniżką.

Największa piramida...

A kiedy człowiek straci siły na pilnowaniu, żeby arystokracji zapewnić bilet do wieczności, czy pozwalali mu osobiście wykorzystać zdobyte doświadczenie, postawić bijou piramidetkę dla siebie i pa­ni Ptaclusp, by zabezpieczyć spokojną podróż do świata zmarłych?

Pewnie, że nie. Nawet tato dostał zgodę tylko na mastabę, choć trze­ba przyznać, że jedną z najlepszych nad rzeką, z czerwono żyłko­wanego marmuru, zamówionego aż w Howonderlandzie. Wiele osób prosiło o podobny, więc firma na tym skorzystała, właśnie tak, jak chciałby tato...

Największa piramida...

I nie będą pamiętać, kto pod nią leży.

Nieważne, czy nazwą ją „Szaleństwem Ptacluspa”, czy „Chwałą Ptacluspa”. Będzie Ptacluspa.

Wynurzył się z oceanu marzeń i usłyszał, że synowie nadal się kłócą.

Jeśli to mają być jego potomkowie, to wolałby próbować z sześć-settonowymi blokami piaskowca. Przynajmniej są spokojne.

— Zamknijcie się obaj — zawołał. Umilkli i usiedli, wciąż naburmuszeni.

— Podjąłem decyzję — oznajmił ojciec.

IIb nerwowo bawił się rysikiem. IIa brzdąkał na abakusie.

— Bierzemy się do tego — rzekł Ptaclusp i wyszedł z komnaty. — Jeśli jakiemuś synowi się to nie spodoba, zostanie strącony w ze­wnętrzną ciemność, gdzie będą tylko jęki i szczękanie zębów — rzu­cił jeszcze przez ramię.

Dwaj bracia zostali sami. Patrzyli na siebie gniewnie. Wreszcie odezwał się IIa.

— A co to właściwie znaczy „kwantowy”? — zapytał. IIb wzruszył ramionami.

— To znaczy, że dodajesz jeszcze jedno zero.

— Aha... I to wszystko?

\* \* \*

W całej dolinie Djelu flary piramid jaśniały w ciszy nocy, rozładowując zakumulowną energię dnia. Ogromne, bezgłośne płomienie strzelały z wierzchołków i wiły się ku górze — zygzakowate jak błyskawice i zimne jak lód.

Przez setki mil pustynia migotała konstelacjami umarłych, zo­rzą starożytności. Ale w całej dolinie Djelu światła łączyły się w jed­ną nieprzerwaną wstęgę ognia.

\* \* \*

Leżało na podłodze i na jednym końcu miało poduszkę. Musiało zatem być łóżkiem.

Teppic nie potrafił stłumić wątpliwości, gdy kręcił się i przewracał, próbując znaleźć jakąś skłonną do kompromisu część materaca. Przecież to bez sensu, myślał. Dorastałem na takich łóż­kach. I poduszkach wykutych ze skały. Urodziłem się w tym pałacu, to jest moje dziedzictwo, muszę być gotów je przejąć...

Muszę zamówić normalne łóżko i puchową poduszkę z Ankh. Zaraz rano. Ja, król, powiadam, że tak ma się stać.

Przewrócił się; głowa ze stukiem uderzyła o poduszkę.

I kanalizacja. Cóż to za wspaniały wynalazek. Zdumiewające, czego można dokonać z dziurą w ziemi.

Tak, kanalizacja. I te przeklęte drzwi. Teppic nie był przyzwycza­jony do grupy służących, czekających przez cały czas, by wypełniać jego wolę. Wykonywanie porannych ablucji w sypialni stało się niesłychanie krępujące. I ludzie. Stanowczo powinien zapoznać się z ludźmi. Pora skończyć z tym kryciem się po pałacach.

No i jak można zasnąć, kiedy niebo nad rzeką gorzeje niby sztuczne ognie?

W końcu zmęczenie wciągnęło ciało w jakąś strefę pomiędzy snem a jawą. Obrazy przekradały się do oczu.

Widział wstyd swoich przodków, gdy przyszli archeolodzy przetłu­maczą kartusze pod jeszcze nie namalowanymi freskami z okresu je­go panowania: *Zygzak, orzeł z obstrukcją, linia falista, zad hipopotama, zygzak*. „W roku Cyklu Cephneta, Bóg Słońca Teppic Nakazał Zainsta­lować Kanalizację i Wzgardził Poduszkami Swych Przodków”.

Śnił o Khufcie. Potężny, brodaty, przemawiający błyskawicami i gromem, przyzywał gniew niebios na tego potomka, który zdra­dził szlachetną przeszłość.

Dios przepłynął przez pole widzenia, tłumacząc, że — w następ­stwie edyktu wydanego kilka tysięcy lat temu — niezwykle ważne jest, by Teppic poślubił kota.

Różnogłowi bogowie kłócili się, którego z nich powinien wysłuchać, i tłumaczyli szczegóły boskości, gdy w tle odległy głos usi­łował zwrócić na siebie uwagę i wrzeszczał, że nie chce być pocho­wany pod masą kamieni. Jednak Teppic nie miał czasu się nad tym zastanowić, ponieważ zobaczył siedem krów tłustych i siedem krów chudych, a jedna z nich grała na puzonie.

Ale ten sen był stary, śnił mu się niemal każdej nocy...

A potem jakiś człowiek strzelał z łuku do żółwia...

Później Teppic szedł przez pustynię i znalazł malutką pirami­dę, wysoką na parę cali. Powiał wiatr i zdmuchnął piasek, ale to już nie był wiatr, to piramida rosła, a piasek zsypywał się z jej lśniących ścian. Rosła coraz większa i większa, aż wreszcie była tak ogromna, że cały świat stał się punkcikiem w jej środku.

I właśnie w środku piramidy zdarzyło się coś bardzo dziwnego.

A potem piramida zmalała, zabierając ze sobą świat. Zniknęła...

Oczywiście, kiedy się jest faraonem, miewa się niejasne sny pierwszej klasy.

\* \* \*

Wstał kolejny dzień, dzięki uprzejmości króla, który leżał na łóżku, używając zwiniętego ubrania jako poduszki. W kamiennym labiryncie pałacu zaczynali się budzić słu­dzy królestwa.

Łódź Diosa prześliznęła się po wodzie i uderzyła dziobem w molo. Kapłan wysiadł i ruszył do pałacu, przeskakując po trzy stopnie naraz i zacierając ręce na myśl o czekającym go nowym dniu, o godzinach i rytuałach odmierzających równo czas. Tyle spraw do zorganizowania, tyle spraw, do których był niezbędny...

\* \* \*

Główny rzeźbiarz i wytwórca sarkofagów złożył swoją miarkę.

— Wykonaliście dobrą robotę, mistrzu Dilu — pochwalił. Dii kiwnął głową. Między profesjonalistami nie było miejsca na fał­szywą skromność.

Rzeźbiarz szturchnął go w bok.

— Niezły z nas zespół, co? — stwierdził. — Wy ich marynujecie, ja pakuję.

Dii znów skinął głową, tym razem wolniej. Rzeźbiarz spojrzał na trzymany w rękach woskowy owal.

— Chociaż z maski pośmiertnej nie jestem zadowolony — oświad­czył.

Przy narożnym bloku Gern pracował nad jednym z kotów Kró­lowej. Dii pozwolił mu przygotować zwierzę samodzielnie. Teraz uczeń przerażony podniósł głowę.

— Zrobiłem ją bardzo starannie — zauważył ponuro.

— W tym sęk — wyjaśnił rzeźbiarz.

— Wiem — westchnął smętnie Dii. — To jego nos, prawda?

— Raczej podbródek.

— I podbródek.

— Tak.

— Tak.

W posępnym milczeniu spoglądali na woskową podobiznę fa­raona. Faraon również.

— Czego chcecie od mojego podbródka?

— Mógłbyś dołożyć brodę — zaproponował po chwili Dii. — Ta­ka broda zakryje większą jego część.

— Zostaje jeszcze nos.

— Można by ściąć z pół cala. I zrobić coś z policzkami.

— Tak.

— Tak.

Gern był oburzony.

— Mówicie o obliczu naszego zmarłego króla — przypomniał. — Nie można robić takich rzeczy! Poza tym ludzie zauważą. — Zawahał się. — Zauważą, prawda?

Dwaj mistrzowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Gern — tłumaczył cierpliwie Dii — z pewnością zauważą. Ale nie powiedzą ani słowa. Oczekują od nas, że trochę... hm... popra­wimy sytuację.

— W końcu — dodał główny rzeźbiarz — nie sądzisz chyba, że ktoś wystąpi i zawoła: „To nie pasuje, tak naprawdę on miał twarz krótkowzrocznego kurczaka”, prawda?

— Bardzo dziękuję! Naprawdę bardzo dziękuję!

Faraon usiadł obok kota. Doszedł do wniosku, że ludzie uka­zują zmarłym szacunek tylko wtedy, gdy sądzą, że zmarli ich słu­chają.

— Rzeczywiście — przyznał niepewnie uczeń. — Był chyba trochę brzydszy niż na freskach.

— O to właśnie chodzi — powiedział z naciskiem Dii.

Szeroka, szczera, piegowata twarz Gerna zmieniła się powoli, jak pejzaż pełen kraterów, nad którym płyną chmury. Uświadomił sobie, że to, co się dzieje, określa się jako „wprowadzenie w starożyt­ne tajemnice profesji”.

— Chcecie powiedzieć, że nawet malarze zmieniają... — zaczął. Dii zmarszczył groźnie czoło.

— Nie mówimy o tym głośno.

Gern spróbował zmusić swe rysy do przyjęcia wyrazu godności i powagi.

— Aha — powiedział. — Tak. Rozumiem, mistrzu. Rzeźbiarz klepnął go w plecy.

— Bystry z ciebie chłopak, Gern — pochwalił. — Szybko się orien­tujesz. Przyznasz, że być brzydkim za życia to już wielkie nieszczę­ście. Pomyśl, jak strasznie byłoby pozostać brzydkim w świecie umar­łych.

Król Teppicymon XXVII pokręcił głową. Musimy wyglądać po­dobnie, póki żyjemy, myślał, a teraz pilnują, żebyśmy po śmierci by­li identyczni. Co za królestwo... Rozejrzał się i zobaczył duszę zde­chłego kota. Mył się. Za życia król nienawidził kotów, ale teraz zwie­rzak wydał mu się miłym towarzystwem. Pogłaskał go lekko po pła­skiej głowie. Kot mruczał przez chwilę, po czym spróbował obedrzeć mu rękę z ciała. Królowi wyraźnie szczęście dziś nie sprzyjało.

Z rosnącym przerażeniem uświadamiał sobie, że trójka rze­mieślników dyskutuje o piramidzie. O jego piramidzie. Będzie naj­większa ze wszystkich. Zostanie wzniesiona na wyjątkowo żyznym kawałku ziemi, w najlepszym punkcie nekropolii. Największa z ist­niejących wcześniej piramid będzie przy niej wyglądać jak coś, co zbudowało dziecko w piaskownicy. Otoczą ją marmurowe alejki i granitowe obeliski. Będzie największym pomnikiem, jaki kiedy­kolwiek syn zbudował dla ojca.

Król jęknął.

\* \* \*

Ptaclusp jęknął.

Za czasów jego ojca było lepiej. Człowiek potrzebował tyl­ko wściekle wielkiego stosu belek do przetaczania bloków i dwudziestu lat, co było użyteczne, ponieważ ludzie mieli co robić i nie szukali kłopotów w Porze Wylewu, kiedy pola były zalane. Te­raz wszystko załatwia bystry chłopak z kawałkiem kredy i właściwe inkantacje.

Choć trzeba przyznać, że robiło to wrażenie, jeśli ktoś lubił ta­kie rzeczy.

Ptaclusp IIb obszedł wielki kamienny blok, tu poprawiając ja­kieś równanie, tam podkreślając niezrozumiałą inskrypcję. Potem obejrzał się i skinął ojcu głową.

Ptaclusp pędem wrócił do króla, który wraz z orszakiem stał na urwisku ponad kamieniołomem. Złota maska błyszczała jasno w słońcu. Królewska wizyta, jakby za mało miał kłopotów...

— Jesteśmy gotowi, kiedy tylko zechcesz, o łuku niebios — po­wiedział zlany potem, wbrew nadziei mając nadzieję, że...

O bogowie. Król znowu zamierzał Być Przyjacielski.

Ptaclusp zerknął czujnie na najwyższego kapłana, który najlżej­szym grymasem dał mu do zrozumienia, że nic na to nie poradzi. Tego już za wiele. Ptaclusp nie był jedynym tak traktowanym. Led­wie wczoraj Dii, mistrz balsamista, musiał przez pół godziny Roz­mawiać o Swojej Rodzinie. Tak być nie powinno, ludzie oczekiwa­li, że król zostanie w pałacu, to zbyt...

Król zbliżył się ku niemu nonszalanckim krokiem, który powi­nien przekonać mistrza budowniczego, że jest wśród przyjaciół. O nie, pomyślał Ptaclusp, zamierza Pamiętać Moje Imię.

— Muszę przyznać, że przez te dziewięć tygodni dokonaliście niezwykłych rzeczy. Dobry początek, mistrzu... ehm... Ptaclusp, tak? — odezwał się król.

Ptaclusp przełknął ślinę. Teraz nie było już dla niego ratunku.

— Tak, o ręko nad wodami — wykrztusił. — O fontanno...

— Sądzę, że wystarczy „wasza wysokość” albo „sire” — oświadczył Teppic.

Ptaclusp spojrzał przerażony na Diosa, który skrzywił się, ale znów skinął głową.

— Król życzy sobie, abyś zwracał się do niego... — wyraz cierpie­nia przemknął po twarzy kapłana — ...nieformalnie. Na modłę barba... obcokrajowców.

— Musisz uważać się za człowieka bardzo szczęśliwego, skoro masz takich utalentowanych i pracowitych synów — powiedział Tep­pic, spoglądając na ruchliwą panoramę kamieniołomów.

— Będę, o... sire — wymamrotał Ptaclusp, pojmując słowa wład­cy jako rozkaz.

Dlaczego królowie nie mogą ludziom rozkazywać, jak za daw­nych lat? Człowiek wiedział przynajmniej, na czym stoi. Nie chodzi­li dookoła, nie byli uprzejmi i nikogo nie traktowali, jakby był im równy, jakby też potrafił sprawić wschód słońca.

— To musi być fascynujące zajęcie — mówił dalej Teppic.

— Jak wasz sire sobie życzy, sire — odparł Ptaclusp. — Wystarczy, że wasza wysokość powie słowo...

— Ale jak to właściwie działa?

— Słucham, wasz sire? — Ptaclusp był wstrząśnięty.

— Zmuszacie kamienne bloki do latania, tak?

— Tak, o sire.

— To bardzo ciekawe. Jak to robicie?

Ptaclusp niemal odgryzł sobie wargę. Zdradzać Sekrety Profe­sji? Był przerażony. Na szczęście niespodziewanie na pomoc przybył mu Dios.

— Korzystając z pewnych tajemnych znaków i symboli, sire — wy­jaśnił — w których początki mądrzej jest nie wnikać. To wiedza... — zawahał się — ...współczesnych.

— To o wiele szybsze niż przepychanie tych ciężarów — zauważył Teppic.

— Tamto miało w sobie pewną glorię, sire. A teraz, jeśli wol­no...

— Ach... Tak, oczywiście. Pracujcie dalej. Ptaclusp otarł czoło i pobiegł na krawędź urwiska. Zamachał kawałkiem tkaniny.

\* \* \*

Wszystkie rzeczy definiowane są przez swoje nazwy. Wystar­czy zmienić nazwę, a zmienia się obiekt. Oczywiście, nie jest to takie proste, ale w sensie parakosmicznym o to wła­śnie chodzi.

Ptaclusp IIb lekko postukał w blok swoją laską. Powietrze nad kamieniem zafalowało w upale, po czym, zsypu­jąc ze ścian piasek, blok podniósł się powoli i zakołysał kilka stóp nad ziemią, przytrzymywany przez liny cumownicze.

I to wszystko. Teppic spodziewał się gromu, a przynajmniej strugi ognia. Ale robotnicy okrążali już następny blok, a paru lu­dzi ciągnęło pierwszy na plac budowy.

— Robi wrażenie — przyznał smętnie Teppic.

— W samej rzeczy, sire — zgodził się Dios. — A teraz musimy już wracać do pałacu. Wkrótce nadejdzie czas Ceremoniału Trzeciej Godziny.

— Tak, tak. Oczywiście. Dobra robota, Ptaclusp. Tylko tak dalej. Ptaclusp zgiął się wpół, podekscytowany i zmieszany.

— Tak jest, wasz sire — powiedział i postanowił iść na całość. — Czy wolno mi waszemu sire pokazać najnowsze plany?

— Król zaaprobował plany — przypomniał Dios. — Wybacz, jeśli się mylę, ale odnoszę wrażenie, że budowa piramidy jest już dość za­awansowana.

— Tak, tak, ale przyszło nam do głowy, że ta alejka, o tutaj, tuż przy wejściu, cóż za miejsce, pomyśleliśmy, na posąg, powiedzmy, Hata, Sępiogłowego Boga Niespodziewanych Gości, praktycznie po kosztach...

Dios zerknął na szkic.

— To niby mają być skrzydła? — zapytał.

— Nawet nie po kosztach, nie po kosztach, może załatwimy to... — tłumaczył rozpaczliwie Ptaclusp.

— Czy to nos?

— Raczej dziób, tak, dziób, o kapłanie. A może...

— Raczej nie — zdecydował Dios. — Nie, stanowczo nie.

Rozejrzał się po kamieniołomie w poszukiwaniu Teppica, jęk­nął, wcisnął budowniczemu plany i ruszył biegiem.

Teppic szedł wolno ścieżką w stronę czekających rydwanów, spoglądając melancholijnie na krzątaninę wokół. Przystanął obok grupy robotników obrabiających narożnik. Znieruchomieli, kiedy go zauważyli; stali zawstydzeni i patrzyli na niego.

— Całkiem całkiem — oświadczył Teppic, oglądając uważnie ka­mień, choć wszystko, co wiedział o kamieniarstwie, można by wy­kuć w ziarenku piasku. — Piękny kawał skały.

Zwrócił się do najbliżej stojącego robotnika, który aż usta roz­dziawił.

— Jesteś kamieniarzem, prawda? — zapytał. — To z pewnością bardzo ciekawe zajęcie.

Robotnik wytrzeszczył oczy. Upuścił dłuto.

— Erk — powiedział.

Pięćdziesiąt sążni od nich Dios pędził ścieżką, aż szata powiewa­ła mu wokół nóg. Przystanął, chwycił jej skraj i ruszył dalej, tupiąc sandałami.

— Jak się nazywasz? — zapytał Teppic.

— Aaaargl — odpowiedział robotnik.

— To świetnie — uznał Teppic, chwycił za bezwładną dłoń i moc­no ją uścisnął.

— Sire! — ryknął Dios. — Nie!

Kamieniarz odwrócił się, ściskając rękę za nadgarstek, szarpiąc ją, krzycząc...

\* \* \*

Teppic ścisnął poręcze tronu i spojrzał na najwyższego kapłana.

— To przecież tylko gest przyjaźni, nic więcej. Tam, skąd po­chodzę...

— Skąd pochodzisz, sire, jest tutaj! — huknął Dios.

— Ale odcinać? To zbyt okrutne.

Dios zbliżył się o krok. Jego głos powrócił do swego zwykłego gładkiego brzmienia.

— Okrutne, sire? Będzie to zrobione precyzyjnie i dokładnie, z lekami, które uśmierzą ból. Na pewno przeżyje.

— Ale dlaczego?

— Tłumaczyłem już, sire. Nie mógłby już używać tej dłoni, nie bezczeszcząc jej przy tym. To człowiek pobożny i wie to dobrze. Je­steś przecież bogiem, sire.

— Ale przecież ty możesz mnie dotykać. I służba.

— Ja jestem kapłanem, sire — przypomniał łagodnie Dios. — A służba ma specjalną dyspensę. Teppic przygryzł wargę.

— To barbarzyństwo — oświadczył. Dios nawet nie drgnął.

— Tak się nie stanie — rzekł Teppic. — Jestem królem. Zakazuję tego, rozumiesz?

Dios skłonił się. Teppic poznał numer 49, Urażonej Godności.

— Twoje życzenie będzie z pewnością spełnione, o fontanno wszelkiej mądrości. Choć oczywiście jest możliwe, że człowiek ów weźmie sprawy, wybacz porównanie, we własne ręce.

— O co ci chodzi?

— Sire, gdyby koledzy go nie powstrzymali, zrobiłby to sam. Dłu­tem, jak rozumiem.

Teppic patrzył na niego i myślał: jestem obcym w znajomym kraju.

— Rozumiem — mruknął po chwili. Pomyślał jeszcze trochę.

— Zatem ta... operacja ma zostać wykonana z nadzwyczajną tro­ską, a człowiek ów ma potem otrzymać rentę. Czy to jasne?

— Jak rozkażesz, sire.

— I to odpowiednią rentę.

— Oczywiście, sire. Pójdziemy mu na rękę — odparł Dios z ka­mienną twarzą.

— Można też znaleźć mu jakąś lekką pracę i zatrudnić w pałacu.

— Jako jednorękiego kamieniarza, sire? — Lewa brew Diosa uniosła się odrobinę.

— Jako kogokolwiek, Dios.

— Oczywiście, sire. Jak sobie życzysz. Osobiście sprawdzę, czy nie brakuje nam rąk do pracy.

Teppic spojrzał na niego groźnie.

— Jestem królem, pamiętaj — powiedział.

— Świadomość tego nie opuszcza mnie ani na chwilę, sire.

— Dios — rzucił Teppic, gdyż najwyższy kapłan już się odwracał.

— Sire?

— Parę tygodni temu zamówiłem w Ankh-Morpork puchowe łoże. Przypuszczam, że nie masz pojęcia, co się z nim stało? Dios szerokim gestem rozłożył ręce.

— Słyszałem, sire, że piraci często ostatnio napadają w okoli­cach khaliańskiego wybrzeża.

— Z pewnością piraci są też odpowiedzialni za nieprzybycie eks­perta z Gildii Hydraulików i Szambonurków[[13]](#footnote-13)? — zapytał kwaśno Teppic.

— Tak, sire. Albo może bandyci, sire.

— A może gigantyczny dwugłowy ptak sfrunął z nieba i go porwał.

— Wszystko jest możliwe, sire. — Twarz najwyższego kapłana pro­mieniowała wręcz uprzejmością.

— Możesz odejść, Dios.

— Sire, czy wolno ci przypomnieć, że emisariusze z Tsortu i Efebu staną przed tobą w piątej godzinie?

— Tak. Możesz odejść.

Teppic został sam, a przynajmniej sam w takim stopniu, w jakim to było możliwe. To znaczy siedział w komnacie sam jeden, jeśli nie liczyć dwóch służących machających wachlarzami, lokaja, dwóch ogromnych howonderlandzkich strażników przy drzwiach i pary podręcznych.

A tak. Podręczne. Z podręcznymi nie doszedł jeszcze do ładu. Zapewnię to Dios je wybierał, ponieważ — jak się zdawało — nadzo­rował wszystko w pałacu. Wykazał się przy tym zadziwiająco dobrym gustem w kwestii, na przykład, oliwkowej skóry, nóg i łon. Odzie­nie, jakie miały na sobie te dwie razem, wystarczyłoby może do przy­krycia talerzyka. Co dziwne, zmieniało je to w dwa atrakcyjne i ru­chome meble, tak aseksualne jak kolumny. Teppic westchnął, wspo­minając kobiety w Ankh-Morpork, które mogły okrywać się od szyi po kostki, a jednak u całej klasy chłopców wywoływać rumieniec sięgający cebulek włosów.

Sięgnął do misy z owocami. Jedna z dziewcząt natychmiast chwyciła go za rękę, odsunęła ją delikatnie i wzięła winogrono.

— Proszę cię, nie obieraj — powiedział Teppic. — Skórka jest naj­lepsza. Pełno w niej ważnych witamin i minerałów. Chociaż pewnie o nich nie słyszałaś, wymyślili je całkiem niedawno — dodał, raczej do siebie. — To znaczy w ciągu ostatnich siedmiu tysięcy lat — do­kończył z irytacją.

Tyle czasu upływa. Wszędzie to robi, ale tutaj jakoś nie potra­fi. Tutaj tylko się spiętrza, jak śnieg. Całkiem jakby piramidy nas przytrzymywały, jak te rzeczy, których używają na statkach, jak im było, jak kotwice. Jutro jest tym samym co wczoraj, odgrzane po raz kolejny.

Jednak obrała winogrono, a śnieżne płatki sekund spływały wolno.

\* \* \*

Na budowie wielkiej piramidy ogromne kamienne blo­ki spływały na miejsca, przypominając oglądaną od koń­ca eksplozję. Płynęły pomiędzy kamieniołomem a pla­cem budowy, sunęły bezgłośnie nad ciemnymi, prostokątnymi cieniami.

— Muszę przyznać — zwrócił się Ptaclusp do syna — że to za­dziwiające. Kiedyś ludzie będą się zastanawiać, jak tego dokona­liśmy.

Stali razem w wieży obserwacyjnej.

— Cała ta sprawa z drewnianymi belkami do przetaczania i z ba­tami to już przeszłość — odparł IIb. — Możemy o nich zapomnieć.

Młody architekt uśmiechnął się, ale uśmiech przypominał ra­czej grymas maniaka.

To rzeczywiście było zadziwiające. Bardziej niż powinno. Wciąż miał wrażenie, że piramida sama...

Otrząsnął się. Powinien się wstydzić takich myśli. W tej pracy, je­śli człowiek nie uważał, łatwo mógł się stać zabobonny.

Jest rzeczą naturalną, że rzeczy układają się w piramidę... No, w każdym razie w stożek. Dziś rano przeprowadził doświadczenia. Ziarno, piasek, sól... Ale nie woda, to była pomyłka. A piramida to przecież równy stożek, stożek, który postanowił wyglądać trochę le­piej.

Może trochę przesadził, troszeczkę tylko, w parakosmicznych wymiarach?

Ojciec klepnął go w ramię.

— Dobra robota — powtórzył. — Wiesz, to wygląda prawie tak, jakby sama się budowała.

IIb jęknął i ugryzł się w nadgarstek — dziecięca reakcja, która za­wsze powracała, kiedy się zdenerwował. Ptaclusp tego nie zauwa­żył, ponieważ w tej właśnie chwili jeden z majstrów podbiegł do stóp wieży, wymachując swoim ceremonialnym prętem mierniczym.

Ptaclusp wychylił się.

— Co? — zapytał.

— Mówiłem: przyjdź zaraz, proszę, o mistrzu.

Widziana z poziomu roboczego, mniej więcej w połowie wyso­kości, gdzie wykonywano precyzyjne prace w wewnętrznych komo­rach, piramida nie wyglądała już imponująco. To słowo przestało ją opisywać. Słowo „przerażająca” pasowało o wiele lepiej.

Bloki kamienia unosiły się wysoko, mijały się i okrążały, kornacy wrzeszczeli na siebie i na pechowych kontrolerów, którzy z dołu, ze szczytu piramidy, próbowali przekrzyczeć hałas.

Ptaclusp wszedł między robotników zebranych pośrodku. Przy­najmniej tutaj panowała cisza. Martwa cisza.

— No dobrze, jestem — zawołał. — Co się... Oj.

Ptaclusp IIb zerknął ponad ramieniem ojca i podniósł dłoń do ust.

Przedmiot był pomarszczony. Starożytny. Kiedyś był chyba czymś żyjącym. Leżał na płycie jak obsceniczna suszona śliwka.

— To moje drugie śniadanie — wyjaśnił główny tynkarz. — Moje przeklęte drugie śniadanie. Naprawdę miałem apetyt na jabłko.

— Przecież jeszcze nie mogło się zacząć — wyszeptał IIb. — Ona wciąż nie potrafi formować ognisk temporalnych. Znaczy, skąd ona wie, że będzie piramidą?

— Sięgnąłem po nie i poczułem... poczułem coś bardzo nie­przyjemnego — tłumaczył tynkarz.

— W dodatku ognisko ujemne — dodał IIb. — Takie w ogóle nie powinny się zdarzać.

— Ciągle tam jest? — spytał Ptaclusp. — Powiedz, że tak.

— Zniknie, kiedy więcej bloków trafi na miejsca — wyjaśnił syn i rozejrzał się nerwowo. — Ogniska się przesuwają przy zmianie środ­ka ciężkości.

Ptaclusp odciągnął go na bok.

— Teraz mi to mówisz? — zapytał jawnym szeptem[[14]](#footnote-14).

— Trzeba założyć wierzchołek — wymamrotał IIb. — Wypalić uwięziony czas. Wtedy nie będzie problemów...

— Jak możemy ją nakryć? Przecież nie jest skończona. Czego się uczyłeś? Piramidy nie akumulują, póki nie są gotowe. Póki nie są piramidami, to chyba jasne. Energia piramid, jasne? Nazwana tak od piramid. Dlatego właśnie nazywa się energią piramid.

— To musi być związane z masą albo czymś innym — zaryzykował architekt. — I tempem budowy. Czas jest chwytany w osnowę. To znaczy, owszem, w teorii można już podczas budowy uzyskać nie­wielkie ogniska, ale są tak małe, że niezauważalne. Gdyby ktoś stanął w takim, może odmłodniałby albo postarzał o kilka godzin, al­bo... — Zaczynał bełkotać.

— Pamiętam, że kiedy robiliśmy grobowiec Khenetha XIV, ma­larz fresków twierdził, że przez dwie godziny wymalował komnatę królowej, a my stwierdziliśmy, że to trzy dni, i musiał zapłacić karę — powiedział wolno Ptaclusp. — Było sporo Hałasu w gildii, pamiętam.

— Już to mówiłeś — zauważył IIb.

— Co mówiłem?

— O malarzu fresków. Przed chwilą.

— Nie, nie mówiłem. Nie mogłeś tego słyszeć.

— Mógłbym przysiąc, że to powiedziałeś. Zresztą to jest jeszcze gorsze. I pewnie zdarzy się znowu.

— Spodziewasz się więcej takich ognisk?

— Tak — potwierdził IIb. — Nie powinniśmy uzyskiwać ognisk ujemnych, ale wygląda na to, że ich nie unikniemy. Można przewi­dzieć, że powstaną szybkie przepływy zwykłe i odwrotne, a nawet krótkie pętle. Obawiam się, że natrafimy na wszystkie możliwe ano­malie czasowe. Lepiej ściągnijmy ludzi z budowy.

— Pewnie nie dałbyś rady tak załatwić, żeby posyłać ich do pra­cy w szybkim czasie, a płacić w wolnym? — zapytał Ptaclusp. — Twój brat na pewno coś takiego zaproponuje.

— Nie! Trzymaj ludzi z daleka. Najpierw podciągniemy resztę bloków i położymy kamień na szczycie.

— Dobrze, dobrze. Tak tylko pomyślałem. Jakbyśmy nie mieli dosyć kłopotów...

Ptaclusp wszedł między robotników zebranych pośrodku. Przy­najmniej tutaj panowała cisza. Martwa cisza.

— No dobrze, jestem — zawołał. — Co się... Oj.

Ptaclusp IIb zerknął ponad ramieniem ojca i podniósł dłoń do ust.

Przedmiot był pomarszczony. Starożytny. Kiedyś był chyba czymś żyjącym. Leżał na płycie jak obsceniczna suszona śliwka.

— To moje drugie śniadanie — wyjaśnił główny tynkarz. — Moje przeklęte drugie śniadanie. Naprawdę miałem apetyt na jabłko.

Ptaclusp zawahał się. Wszystko to wydało mu się znajome. Miał już takie uczucie: przytłaczające wrażenie reja vu[[15]](#footnote-15).

Spojrzał w pełne grozy oczy syna. Razem, bojąc się, co mogą zobaczyć, odwrócili się powoli.

Zobaczyli za sobą siebie, kłócących się o coś, co IIb przysięgał, że już słyszał.

I słyszał, uświadomił sobie przerażony Ptaclusp. To ja tam sto­ję. Z zewnątrz wyglądam całkiem inaczej. A tam to też ja. Także. Również.

To pętla. Jak maleńki wir na rzece, tyle że w nurcie czasu. Wła­śnie okrążyłem go dwa razy.

Drugi Ptaclusp spojrzał na niego.

Nastąpiła długa, dręcząca chwila temporalnego napięcia, od­głos jakby mysz dmuchała balonik z gumy do żucia, i pętla zerwała się, a postać zniknęła.

— Wiem, skąd się to bierze — wymamrotał IIb niewyraźnie, z po­wodu nadgarstka w zębach. — Piramida nie jest jeszcze gotowa, ale będzie, więc efekty tak jakby odbijają się wstecz. Tato, powinniśmy przerwać, natychmiast, jest za wielka, nie miałem racji...

— Cicho bądź. Potrafisz wyliczyć, gdzie uformują się ogniska? I chodź tutaj. Chłopcy na ciebie patrzą. Weź się w garść, synu. IIb odruchowo sięgnął do abakusa u pasa.

— No tak, właściwie... — szepnął. — To tylko funkcja rozkładu masy i...

— Dobrze — przerwał mu ojciec. — Bierz się do pracy. A potem zawołaj do mnie majstrów.

Oczy błyszczały mu jak mika. Szczęka przypominała blok grani­tu. Może to dzięki piramidzie potrafię tak myśleć, uznał. A myślę szybko.

— I sprowadź tu swojego brata — dodał.

To działanie piramidy. Pamiętam pomysł, na który dopiero wpadnę.

Lepiej nie zastanawiać się nad tym za długo. Najważniejsza jest praktyka.

Rozejrzał się po placu budowy. Bogowie wiedzieli, że nie zdą­żymy w terminie. Teraz już nie musimy. Możemy budować, jak dłu­go chcemy.

— Dobrze się czujesz? — spytał IIb. — Tato, dobrze się czujesz?

— Czy to była ta twoja pętla czasu? — rzucił rozmarzony Ptac­lusp.

Co za pomysł. Nikt już nigdy nie odbierze im kontraktu. Będą dostawać premie za dokończenie przed terminem i nieważne, jak długo to potrwa.

— Nie. Tato, trzeba...

— Ale jesteś pewien, że umiesz przewidzieć, gdzie one po­wstaną?

— Tak, chyba tak, ale...

— To dobrze.

Ptaclusp aż drżał z podniecenia. Może trzeba będzie więcej lu­dziom płacić, ale warto. Zresztą IIa na pewno coś wymyśli, finanse są równie potężne jak magia. Chłopcy z pewnością się zgodzą. Sta­le przecież narzekają, że muszą pracować razem z wolnymi ludźmi, narzekają, że muszą pracować z tymi z Howonderlandu, narzekają, że muszą pracować z kimkolwiek oprócz właściwie opłacanych członków gildii. Nie będą chyba narzekać, że pracują ze sobą.

IIb cofnął się i chwycił abakus dla dodania sobie odwagi.

— Tato — spytał ostrożnie. — O czym ty myślisz? Ptaclusp uśmiechnął się promiennie.

— O Doppelgangach — oświadczył.

\* \* \*

Polityka była stanowczo ciekawsza. Teppic czuł, że w tej sprawie może się przydać.

Djelibeybi było stare. Szanowane. Ale także małe i jeśli po­stawić tę kwestię na ostrzu miecza — a tylko takie kwestie liczą się w dzisiejszych czasach — nie miało siły. Nie zawsze tak się działo, jak twierdził Dios. Kiedyś Djelibeybi władało światem dzięki potędze swego pochodzenia, właściwie nie potrzebowało stałej armii dwu­dziestu pięciu tysięcy ludzi, jaką wtedy dysponowało.

Teraz dzierżyło subtelniejszą władzę jako wąskie państewko po­między potężnymi i agresywnymi imperiami Tsortu i Efebu; każde z nich było jednocześnie zagrożeniem i osłoną. Od ponad tysiąca lat królowie znad Djelu, dzięki inteligentnej dyplomacji, wspaniałych manierach i cierpliwości godnej stonogi wkładającej sandały, utrzy­mywali pokój w całej opacznej części kontynentu. Samo istnienie od siedmiu tysięcy lat może być skuteczną bronią, jeśli tylko wie­dzieć, jak ją zastosować.

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy neutralni? — upewnił się Teppic.

— Tsort jest cywilizacją pustynną, jak my. — Dios splótł palce. — Przez lata pomagaliśmy im ją tworzyć. Efeb... — Skrzywił się. — Ma­ją tam bardzo dziwne wierzenia.

— Co to znaczy?

— Wierzą, że światem rządzi geometria, sire. Same linie, kąty i liczby. Takie rzeczy, sire... — Dios zmarszczył czoło — ...mogą pro­wadzić do nierozsądnych idei.

— Aha. — Teppic postanowił możliwie szybko dowiedzieć się jak najwięcej o nierozsądnych ideach. — Zatem sekretnie wspieramy Tsort, tak?

— Nie. Ważne jest, by Efeb pozostał silny.

— Ale więcej mamy wspólnego z Tsortem?

— Pozwalamy im w to wierzyć, sire.

— Przecież są cywilizacją pustynną. Dios uśmiechnął się lekko.

— Obawiam się, że nie traktują piramid dostatecznie poważnie, sire.

Teppic rozważył to.

— Więc po czyjej stronie jesteśmy?

— Po naszej, sire. Zawsze jest jakiś sposób. Pamiętaj, sire, że two­ja rodzina tworzyła już trzecią dynastię, zanim nasi sąsiedzi odkry­li, skąd się biorą dzieci.

Delegacja Tsortu istotnie sprawiała wrażenie, jakby kulturę Djelu studiowali pilnie, niemal fanatycznie. Było też jasne, że nie za­częli nawet jej pojmować; pożyczyli jedynie tyle fragmentów, ile uznali za użyteczne, i poskładali je w subtelnie niewłaściwy sposób. Na przykład wszyscy jak jeden mąż używali Trójskrętnego Kroku, stosowanego na dworze Djelibeybi jedynie przy pewnych wyjątko­wych okazjach. Od czasu do czasu na ich twarzach pojawiały się gry­masy bólu, gdy protestowały kręgosłupy.

Nosili także Khrły Poranka, bransolety Wyjścia, kilty Yet oraz — nic dziwnego, że podręczne z wachlarzami skrywały uśmiechy — na­golenniki w tych samych kolorach[[16]](#footnote-16).

Nawet Teppic musiał zakaszleć pospiesznie. Ale przecież, pomy­ślał, oni nie potrafią lepiej. Są jak dzieci.

Za tą myślą pojawiła się kolejna, która dodała: te dzieci w cią­gu godziny mogłyby zetrzeć nas w proch.

Po gorących synapsach przemknęła trzecia myśl: to tylko ubra­nia; wielkie nieba, zaczynasz traktować je poważnie.

Grupa z Efebu rozsądnie ubrała się w białe togi. Byli do siebie dziwnie podobni, jakby w ich kraju działała gdzieś mała mennica, wyciskająca niskich łysych mężczyzn z kędzierzawymi brodami.

Obie grupy zatrzymały się przed tronem i skłoniły nisko.

— Witam — powiedział Teppic.

— Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woźni­ca Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Tajemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wysoko Urodzo­ny, Nieśmiertelny Król, wita was i nakazuje, byście napili się z nim wi­na — zawołał Dios i klasnął w ręce, by przywołać lokaja.

— A tak — powiedział Teppic. — Siadajcie proszę.

— Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woź­nica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Ta­jemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wyso­ko Urodzony, Nieśmiertelny Król rozkazuje wam usiać — przekazał jego wolę Dios.

Teppic szukał w pamięci odpowiedniej przemowy. W Ankh-Morpork słyszał ich wiele. Prawdopodobnie na całym świecie brzmiały podobnie.

— Jestem pewien, że pamiętając o...

— Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woź­nica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Ta­jemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wyso­ko Urodzony, Nieśmiertelny Król, prosi, byście zważyli! — huknął Dios.

— ...długiej historii przyjaznych stosunków...

— Zważcie na mądrość Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Horyzontu, Wskazują­cego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nieśmiertelnego Króla!

Echa ucichły z wolna.

— Mogę cię prosić na stówko, Dios? Najwyższy kapłan pochylił się.

— Czy to konieczne? — syknął Teppic.

Orla twarz Diosa przybrała stężały wyraz człowieka, który starł się z nieznaną koncepcją.

— Oczywiście, sire. To tradycyjne — odparł w końcu.

— Myślałem, że mam porozmawiać z tymi ludźmi. No wiesz, o granicach, handlu i tak dalej. Sporo o tym myślałem i mam kilka propozycji. I wiesz, trochę to będzie trudne, jeśli stale będziesz tak krzyczał.

Dios uśmiechnął się uprzejmie.

— Ależ nie, sire. To wszystko zostało już ustalone, sire. Spotka­łem się z nimi dziś rano.

— To co ja właściwie mam robić?

Dios zatoczył niewielki krąg prawą dłonią.

— Co tylko zechcesz, sire. Zwykle wystarczy uśmiech, żeby le­piej się poczuli.

— I to wszystko?

— Sire, mógłbyś ich zapytać, czy podoba im się praca dyploma­tów — zaproponował Dios. Na gniewny wzrok Teppica odpowiedział spojrzeniem oczu tak pozbawionych wyrazu jak lustra.

— To ja jestem królem — szepnął Teppic.

— Z pewnością, sire. Lecz nie warto obciążać urzędu zwykłymi, nudnymi sprawami państwa, sire. Jutro, sire, będziesz sprawował sądy. To bardzo odpowiednia funkcja dla monarchy, sire.

— Aha. No tak.

\* \* \*

Sprawa nie była prosta. Teppic uważnie wysłuchał obu stron. Chodziło o domniemaną kradzież bydła, kompliko­waną dodatkowo przez cebulowo wielowarstwowe prawo Djelibeybi. I o to własne chodzi, pomyślał. Nikt już nie dojdzie, kto jest właścicielem tego nieszczęsnego wołu. Takie rzeczy muszą zała­twiać królowie. Pomyślmy... Pięć lat temu on sprzedał wołu jemu, ale okazało się...

Przyjrzał się obu zmartwionym rolnikom. Obaj przyciskali do piersi wystrzępione słomkowe kapelusze, obaj mieli na twarzach ten sam martwy wyraz prostych ludzi, którzy szukając rozstrzygnię­cia swego drobnego konfliktu, trafili na marmurową posadzkę wiel­kiej sali i stanęli przed swoim bogiem spoczywającym na tronie. Teppic nie miał wątpliwości, że każdy z nich chętnie zrezygnował­by ze swych praw do zwierzęcia, byleby tylko znaleźć się jak najda­lej stąd.

To już stary wól, myślał. Pora, żeby go zarżnąć. Nawet jeśli na­leży do niego, to przez tyle lat pasł się na ziemi sąsiada. Po połowie dla każdego, tak będzie w porządku. Zapamiętają ten wyrok.

Uniósł Sierp Sprawiedliwości.

— Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woź­nica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Ta­jemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wyso­ko Urodzony, Nieśmiertelny Król, wyda sąd! Ukorzcie się przed sprawiedliwością króla Teppi...

Teppic przerwał Diosowi wpół słowa.

— Wysłuchawszy obu stron tego sporu — oznajmił stanowczo, z powodu maski nieco głuchym głosem — i rozważywszy wszelkie ar­gumenty i kontrargumenty, uważamy, że sprawiedliwie będzie, aby sporne zwierzę zarżnąć bez zwłoki i podzielić po równo między po­zwanego i powoda.

Odetchnął. Nazwą mnie Teppikiem Mądrym, pomyślał. Pro­sty lud uwielbia takie rzeczy.

Rolnicy popatrzeli na niego tępo. Potem, jakby obaj stali na obrotowej podłodze, równocześnie odwrócili się w stronę, gdzie na stopniach tronu, w otoczeniu niższych kapłanów siedział Dios.

Najwyższy kapłan wstał, wygładził szatę i stuknął laską.

— Wysłuchajcie interpretacji mądrości Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Hory­zontu, Wskazującego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nie­śmiertelnego Króla — zawołał. — Wedle naszego boskiego wyroku, sporne zwierzę jest własnością Rhumushputa. Wedle naszego bo­skiego wyroku, sporne zwierzę ma być złożone w ofierze na ołtarzu Zgromadzenia Bogów w podzięce za poświęcenie Naszej boskiej uwagi. Dalej nakazujemy, by zarówno Rhumushput, jak i Ktoffle wspólnie przepracowali dodatkowe trzy dni na polach Króla, by za­płacić za ten wyrok.

Dios uniósł głowę, aż spojrzał wzdłuż swego przerażającego no­sa wprost na maskę Teppica. Wzniósł ręce.

— Wielka jest mądrość Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Horyzontu, Wskazują­cego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nieśmiertelnego Króla!

Rolnicy aż podskoczyli z wdzięczności i lękliwie, otoczeni przez strażników, wycofali się sprzed oczu władcy.

— Dios — rzucił chłodno Teppic.

— Sire?

— Zbliż się tu na chwilę, proszę,

— Sire? — powtórzył Dios, materializując się obok tronu.

— Trudno nie zauważyć, Dios... wybacz, jeśli się mylę... pew­nej kwiecistości tłumaczenia. Kapłan zdziwił się wyraźnie.

— Ależ skąd, sire. Z absolutną dokładnością przekazałem twoją decyzję, dopracowując jedynie szczegóły w zgodzie z precedensa­mi i tradycją.

— Jak to? Przecież to nieszczęsne stworzenie naprawdę należa­ło do nich obu!

— Ale Rhumushput znany jest ze swej pobożności, sire, i przy każdej okazji sławi i wynosi bogów. Tymczasem Ktoffle miewa nie­rozsądne myśli.

— Co to ma wspólnego ze sprawiedliwością?

— Wszystko, sire — odparł gładko Dios.

— Przecież teraz żaden nie ma tego wołu!

— W istocie, sire. Ale Ktoffle go nie ma, ponieważ na to nie za­sługuje, Rhumushput zaś, dzięki swej ofierze, zapewnił sobie wyższą pozycję w świecie zmarłych.

— A wy wszyscy będziecie pewnie jeść na kolację wołowinę — mruknął Teppic.

To było jak cios. Równie dobrze Teppic mógłby podnieść tron i uderzyć nim kapłana. Dios cofnął się o krok, wzburzony; oczy zmieniły mu się w dwa jeziorka cierpienia. Kiedy przemówił, w jego głosie brzmiał ból.

— Nie jadam mięsa, sire — oznajmił. — Osłabia i kala duszę. Czy mogę rozpocząć następną sprawę, sire?

— Proszę. — Teppic skinął głową.

Następna sprawa okazała się sporem o czynsz dzierżawny z trzy­dziestu sążni kwadratowych ziemi nad rzeką. Żyzna ziemia była w Djelibeybi cenna, ponieważ tak wiele jej zajmowały piramidy. Pro­blem nabierał wagi.

Wagi tym większej, że dzierżawca gruntu był najwyraźniej czło­wiekiem uczciwym i ciężko pracującym, gdy tymczasem właściciel ewidentnie bogatym i budzącym niechęć[[17]](#footnote-17). Niestety, jakkolwiek by zestawiać fakty, miał także rację.

Teppic zamyślił się głęboko. Po chwili zerknął na Diosa. Ka­płan skinął mu głową.

— Wydaje mi się... — zaczął Teppic, jak najszybciej potrafił, ale nie dość szybko.

— Wysłuchajcie sądu Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Horyzontu, Wskazują­cego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nieśmiertelnego Króla!

— Wydaje mi się... — powtórzył Teppic — ...to znaczy nam, że po uwzględnieniu wszelkich argumentów, także tych przekraczają­cych ludzkie jedynie rozumienie, słuszna i sprawiedliwa decyzja w tej sprawie...

Przerwał. Król tak nie przemawia, pomyślał.

— Racje właściciela zważone zostały i za niedostateczne uznane — zahuczał przez szczelinę ust maski. — Rozstrzygamy na korzyść dzierżawcy.

Jak jeden mąż, cały dwór zwrócił się ku Diosowi, który szeptem przeprowadził krótką naradę z innymi kapłanami, po czym wstał.

— Wysłuchajcie teraz interpretacji słów Jego Wielkości Króla Teppicymona XXVIII, Pana Niebios, Woźnicy Rydwanu Słońca, Sternika Barki Słońca, Strażnika Wiedzy Tajemnej, Władcy Hory­zontu, Wskazującego Drogę, Bicza Łaski, Wysoko Urodzonego, Nie­śmiertelnego Króla! Rolnik Ptorne natychmiast zapłaci księciu Imtebosowi osiemnaście toonów! Książę Imtebos natychmiast wpłaci dwanaście toonów jako dar dla świątyni bóstw rzeki! Niech żyje król! Przystąpmy do kolejnej sprawy! Teppic znowu przywołał Diosa.

— Czyja w ogóle jestem tu potrzebny? — zapytał gorączkowym szeptem.

— Proszę, uspokój się, sire. Gdyby cię nie było, skąd ludzie mie­liby wiedzieć, że dokonała się sprawiedliwość?

— Ale przekręcasz wszystko, co powiem!

— Nie, sire. Sire wydaje osąd człowieka. Ja interpretuję wyrok króla.

— Rozumiem — mruknął ponuro Teppic. — Zatem od tej chwi­li...

Przed salą nastąpiło jakieś zamieszanie. Najwyraźniej któryś z więźniów nie ufał w pełni królewskiej sprawiedliwości. Król wcale mu się nie dziwił. Jemu też się nie podobała.

Więźniem okazała się ciemnowłosa dziewczyna; wyrywała się dwóm strażnikom, zadając im rękami i piętami takie ciosy, przy któ­rych mężczyzna musiałby się zarumienić. Nie miała też na sobie odpowiedniego kostiumu. Jej ubranie ledwie wystarczało, by w nim leżeć i obierać winogrona.

Dostrzegła Teppica i — ku jego tajemnej radości — posłała mu spojrzenie pełne czystej nienawiści. Po całym dniu traktowania jak ograniczony umysłowo posąg, przyjemnie mu było, że ktoś się nim zainteresował.

Nie wiedział, co takiego zrobiła, ale sądząc po ciosach wymie­rzanych strażnikom, można było przypuszczać, że zrobiła to do gra­nic swych możliwości.

Dios pochylił się do poziomu szczelin usznych maski.

— Ma na imię Ptraci — wyjaśnił. — Podręczna twojego ojca. Od­mówiła przyjęcia napoju.

— Jakiego napoju? — zdziwił się Teppic.

— Tradycja nakazuje zmarłemu królowi do świata umarłych za­bierać ze sobą służbę, sire.

Teppic smętnie kiwnął głową. Dios mówił o zazdrośnie strze­żonym przywileju, jedynym sposobie, by ubogi sługa mógł zapewnić sobie nieśmiertelność. Teppic pamiętał pogrzeb dziadka i dyskret­ne spory jego osobistych służących. Na długie dni zepsuło mu to nastrój.

— Tak, ale przecież to nie jest obowiązkowe — powiedział.

— Tak, sire. Nie jest obowiązkowe.

— Ojciec miał mnóstwo sług.

— Jak rozumiem, ta była jego ulubienicą, sire.

— Więc co ona właściwie zrobiła?

Dios westchnął jak ktoś, kto niezbyt rozgarniętemu dziecku próbuje tłumaczyć ważne sprawy.

— Odmówiła przyjęcia napoju, sire.

— Przepraszam. Mówiłeś, zdawało mi się, że to nie jest obowiąz­kowe.

— Tak, sire. Nie jest, sire. Jest całkowicie dobrowolne. To akt wolnej woli. A ona odmówiła, sire.

— Aha... To jedna z tych sytuacji... — mruknął Teppic.

Djelibeybi było zbudowane na tego rodzaju sytuacjach. Próba ich zrozumienia mogła człowieka doprowadzić do szaleństwa. Gdy­by któryś z jego przodków zadekretował, że noc jest dniem, ludzie chodziliby i macali drogę przed sobą w pełnym świetle.

Wyprostował się.

— Podejdź, panienko — rozkazał. Zerknęła na Diosa.

— Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII...

— Czy za każdym razem musimy tego słuchać?

— Tak, sire... Pan Niebios, Woźnica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Tajemnej, Władca Horyzontu, Wska­zujący Drogę, Bicz Łaski, Wysoko Urodzony, Nieśmiertelny Król nakazuje ci wyznać swoją winę!

Dziewczyna wyrwała się strażnikom i drżąc z przerażenia, stanę­ła przed Teppikiem.

— On mówił, że wcale nie chce być pochowany pod piramidą — oświadczyła. — Mówił, że sama myśl o tych milionach ton kamieni nad nim wywołuje koszmary. Nie chcę jeszcze umierać!

— Odmawiasz radosnego przyjęcia trucizny? — zapytał Dios.

— Tak.

— Ależ, dziecko, wtedy król i tak będzie musiał skazać cię na śmierć. Z pewnością lepiej jest odejść z godnością, do lepszego ży­cia w krainie umarłych.

— Nie chcę był sługą w krainie umarłych.

Jęk grozy wyrwał się zebranym kapłanom. Dios pokiwał głową.

— Zatem porwie cię Pożeracz Dusz — orzekł. — Sire, czekamy na twój wyrok.

Teppic uświadomił sobie, że wpatruje się w dziewczynę. Było w niej coś niepokojąco znajomego, czego nie mógł do końca zi­dentyfikować.

— Wypuście ją — powiedział.

— Jego Wielkość Król Teppicymon XXVIII, Pan Niebios, Woź­nica Rydwanu Słońca, Sternik Barki Słońca, Strażnik Wiedzy Ta­jemnej, Władca Horyzontu, Wskazujący Drogę, Bicz Łaski, Wyso­ko Urodzony, Nieśmiertelny Król przemówił! Jutro o świcie zosta­niesz rzucona krokodylom w rzece. Wielka jest mądrość króla!

Ptraci odwróciła się i spojrzała z nienawiścią na Teppica. Mil­czał. Nie śmiał się odezwać ze strachu, w co zmienią się jego słowa.

Odeszła w milczeniu, gorszym niż krzyki czy szlochy.

— To już ostatnia sprawa, sire — poinformował Dios.

— Udam się do moich pokojów — oświadczył lodowato Teppic. — Wiele spraw muszę przemyśleć.

— Zatem przyślę ci obiad, sire — zapewnił kapłan. — Smażone kurczę.

— Nienawidzę kurcząt. Dios uśmiechnął się.

— Ależ skąd, sire. W środy król zawsze rozkoszuje się kurczę­ciem.

\* \* \*

Piramidy płonęły. Światło, jakie rzucały na ziemię, było przyćmione, słabe, niemal szare, lecz z każdego wierzchoł­ka z trzaskiem strzelał w niebo jaskrawy zygzak. Cichy stuk metalu o kamień wyrwał Ptraci z niespokojnej drzemki. Wstała bardzo ostrożnie i na palcach podeszła do okna.

W przeciwieństwie do klasycznych okien w celach — które po­winny być duże, przewiewne i dla zapewnienia więźniom drogi ucieczki wymagać jedynie usunięcia kilku niewygodnych prętów — to okno było zaledwie szczeliną szerokości sześciu cali. Siedem tysię­cy lat nauczyło władców państwa nad Djelem, że cela służy do za­trzymania więźnia wewnątrz. Przez tę szczelinę człowiek mógł się wydostać tylko w kawałkach.

Na zewnątrz jakiś cień przesłonił blask piramid i głos szepnął:

— Psst.

Ptraci przycisnęła się do ściany i spróbowała dosięgnąć szczeliny.

— Kim jesteś?

— Jestem tu, żeby ci pomóc. A niech ich... Oni nazywają to oknem? Uważaj, spuszczam linę.

Gruby, jedwabny powróz, z węzłami w równych odstępach, opadł jej na ramię. Przyglądała mu się przez sekundę czy dwie, po czym zrzuciła buciki z zawiniętymi noskami i wspięła się w górę.

Oblicze po drugiej stronie szczeliny było częściowo zasłonięte czarnym kapturem, Ptraci zauważyła jednak wyraz niepokoju.

— Nie martw się — powiedziało.

— Nie martwiłam się. Próbowałam się trochę zdrzemnąć.

— Och. W takim razie przepraszam. Pójdę sobie i zostawię cię tutaj, dobrze?

— Ale rankiem obudzę się i wtedy zacznę się martwić. Na czym stoisz, demonie?

— Wiesz, co to są nity?

— Nie.

— No więc stoję na dwóch. Spoglądali na siebie w milczeniu.

— No dobrze — rzekło w końcu oblicze. — Muszę przebiec do­okoła i wejść przez drzwi. Nie odchodź.

Z tymi słowami zniknęło w górze.

Ptraci zsunęła się na chłodne kamienie posadzki. Wejść przez drzwi! Nie wiedziała, jak ono potrafi tego dokonać. Istoty ludzkie muszą je najpierw otworzyć.

Skuliła się w najdalszym kącie celi i wpatrzyła w niewielki pro­stokąt drewna.

Mijały minuty. W pewnej chwili miała wrażenie, że coś słyszy — jakby ciche westchnienie.

Jeszcze później zabrzmiał cichy szczęk metalu, tak delikatny, że niemal poniżej granicy słyszalności.

Jeszcze trochę czasu nawinęło się na szpulkę wieczności i cisza za drzwiami, będąca ciszą wywoływaną przez brak Hałasu, z wolna zmieniła się w ciszę wywoływaną przez kogoś nie wydającego żad­nego dźwięku.

Jest tuż za drzwiami, pomyślała.

Nastąpiła chwila wyczekiwania, kiedy Teppic oliwił wszystkie bolce i zawiasy, a kiedy przystąpił do ostatecznego ataku, drzwi otwo­rzyły się z chwytającą za serce bezgłośnością.

— Jesteś tu? — odezwał się głos z ciemności. Ptraci wcisnęła się głębiej do kąta.

— Słuchaj, przyszedłem cię uratować.

Dostrzegła wreszcie czarny cień w słabym blasku piramid. Po­suwał się do przodu bardziej niepewnie, niżby się tego spodziewa­ła po demonie.

— Idziesz czy nie? — zapytał. — Ogłuszyłem tylko strażników, to przecież nie ich wina. Nie mamy zbyt wiele czasu.

— Rano mam zostać rzucona krokodylom — szepnęła Ptraci. — Sam król to nakazał.

— Prawdopodobnie się pomylił.

Ptraci z niedowierzaniem i lękiem otworzyła szeroko oczy.

— Pożeracz Dusz mnie porwie! — oznajmiła.

— A chcesz tego? Zawahała się.

— No widzisz — powiedziała postać i chwyciła ją za rękę. Wyprowadziła ją z celi, gdzie Ptraci niemal się przewróciła o nieruchome ciało strażnika.

— Kto siedzi w pozostałych celach? — zapytał demon, wskazując szereg drzwi wzdłuż korytarza.

— Nie wiem.

— Sprawdzimy, dobrze?

Demon przyłożył puszkę do zawiasów sąsiednich drzwi i pchnął. Stanęły otworem. Blask z wąskiego okna ukazywał mężczyznę w śred­nim wieku, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

— Przyszedłem cię uratować — oznajmił demon. Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

— Uratować? — zdziwił się.

— Tak. Dlaczego tu trafiłeś? Więzień zwiesił głowę.

— Bluźniłem przeciwko królowi.

— Jak to się stało?

— Upuściłem sobie kamień na nogę. Teraz wyrwą mi język.

— Kapłan cię usłyszał, co? — Ciemna postać współczująco poki­wała głową.

— Nie. Sam powiedziałem kapłanowi. Takie słowa nie powinny ujść karze — wyznał szczerze więzień.

W tym jesteśmy dobrzy, pomyślał Teppic. Zwykłe zwierzęta z pewnością nie mogłyby się tak zachowywać. Trzeba się urodzić człowiekiem, żeby osiągnąć prawdziwą głupotę.

— Chyba powinniśmy o tym porozmawiać. Na zewnątrz — za­proponował. — Może wyjdziesz ze mną?

Mężczyzna cofnął się i spojrzał wystraszony.

— Chcesz, żebym uciekł?

— To chyba dobry pomysł, nie sądzisz?

Więzień patrzył mu w oczy i bezgłośnie poruszał wargami. Wreszcie najwyraźniej podjął decyzję.

— Straż! — wrzasnął.

Krzyk odbił się echem w uśpionym pałacu. Niedoszły wybawi­ciel spoglądał na więźnia z niedowierzaniem.

— Szaleńcy — stwierdził. — Wszyscy jesteście szaleni.

Wybiegł z pokoju, złapał Ptraci za rękę i ruszył mrocznymi ko­rytarzami. Za nimi więzień wykorzystywał swój język, póki go jeszcze posiadał, do wykrzykiwania ciągu przekleństw.

— Gdzie mnie zabierasz? — spytała Ptraci, kiedy skręcili za róg i ruszyli przez otoczony gęsto kolumnami dziedziniec.

Teppic zawahał się. Właściwie jeszcze się nad tym nie zastana­wiał,

— Dlaczego w ogóle męczą się ryglowaniem drzwi? — rzucił, zer­kając na kolumny. — To właśnie chciałbym wiedzieć. Dziwię się, że nie wróciłaś do celi, kiedy cię zostawiłem.

— Ja... ja nie chcę umierać — wyznała cicho.

— Trudno się dziwić.

— Nie wolno ci tak mówić! To grzech nie chcieć umierać. Teppic spojrzał na dach wokół dziedzińca i rozwinął linę z ko­twiczką.

— Myślę, że powinnam wrócić do celi — uznała Ptraci, nie podej­mując jednak żadnych kroków w tym kierunku. — Nie wolno nawet myśleć o nieposłuszeństwie wobec króla.

— Tak? A co się wtedy dzieje?

— Coś złego — odparła niezbyt precyzyjnie.

— Chcesz powiedzieć, że coś gorszego niż wydanie na pastwę krokodylom albo oddanie duszy na pożarcie Pożeraczowi Dusz? — spytał Teppic i rzucił kotwiczkę, która chwyciła mocno jakąś ukry­tą nierówność dachu.

— To interesująca uwaga — przyznała Ptraci, zdobywając Nagro­dę Teppica za bystrość.

— Warto ją przemyśleć, prawda? — Teppic z całej siły szarpnął linę.

— Chcesz powiedzieć, że jeśli najgorsze i tak ma ci się zdarzyć, równie dobrze możesz się więcej nie przejmować — wyciągnęła wnio­sek Ptraci. — Jeśli Pożeracz Dusz dostanie cię, bez względu na to, co zrobisz, możesz przynajmniej uniknąć krokodyli. O to chodzi?

— Idziesz pierwsza — rozkazał Teppic. — Zdaje się, że ktoś się zbliża.

— Kim ty jesteś?

Teppic sięgnął do mieszka. Wrócił do Djelibeybi wieki temu, w tym tylko, co miał na sobie, ale miał na sobie to, w czym zdawał eg­zamin. Zważył w dłoni nóż do rzutów numer dwa. Stal błysnęła w świetle flar piramid. Być może była to jedyna stal w kraju. Nie cho­dzi o to, że Djelibeybi nie słyszało o stali, ale jeśli miedź była dobra dla twojego pra-pra-pra-pradziadka, to i tobie powinna wystarczyć.

Nie, strażnicy nie zasługiwali na noże. Przecież nie zrobili nic złego.

Dłoń sięgnęła do niewielkiej siatkowej sakiewki z kolcami. By­ły nieduże, ledwie calowe. Kolce nikogo nie zabijają, najwyżej spo­walniają odrobinę. Jeden czy dwa w podeszwie stopy wywołuje nie­zwykłą powolność i ostrożność u wszystkich oprócz wyjątkowych en­tuzjastów.

Rozrzucił kilka kolców przy wyjściu na dziedziniec, biegiem wrócił do liny i podciągnął się szybkimi ruchami. Był już na dachu, gdy pierwszy strażnik wynurzył się z korytarza. Odczekał, aż zabrzmi pierwsze przekleństwo, po czym zwinął linę i ruszył za dziewczyną.

— Złapią nas — powiedziała.

— Nie sądzę.

— A wtedy król każe nas rzucić krokodylom.

— Nie, nie są... — Teppic urwał. Bardzo intrygujący problem. — Może — przyznał. — Trudno mieć pewność.

— Co teraz zrobimy?

Teppic spojrzał za rzekę, gdzie piramidy stały w ogniu. Przy Wielkiej Piramidzie wciąż trwała praca w blasku flar. Roje kamiennych bloków, maleńkich z tej odległości, krążyły wokół wierzchołka. Zdumiewała liczba robotników, których Ptaclusp przysyłał na bu­dowę.

Ależ będzie miała flarę, pomyślał Teppic. Zobaczą ją aż w Ankh.

— Okropne są, prawda? — odezwała się z tyłu Ptraci.

— Tak sądzisz?

— Aż dreszcz przechodzi. Stary król ich nie cierpiał, wiesz? Mó­wił, że przybiły państwo do przeszłości.

— Powiedział dlaczego?

— Nie. Po prostu ich nienawidził. Był miłym staruszkiem. Bar­dzo łagodnym. Nie to, co ten nowy.

Wytarła nos i schowała chusteczkę w wyraźnie zbyt małą prze­strzeń pod zdobionym cekinami stanikiem.

— Ehm... A co właściwie robiłaś? Znaczy, jako podręczna? — Teppic, by ukryć swoje zakłopotanie, zbadał wzrokiem panoramę dachów.

Zachichotała.

— Nie pochodzisz stąd, prawda?

— Nie, właściwie nie.

— Głównie z nim rozmawiałam. Albo tylko słuchałam. Napraw­dę potrafił opowiadać, chociaż skarżył się, że nikt nigdy nie słucha tego, co ma do powiedzenia.

— Rozumiem — przyznał z uczuciem Teppic. — 1 to wszystko? Spojrzała na niego i zachichotała znowu.

— Ach, to... Nie, był bardzo łagodny. Nie żebym miała coś prze­ciw temu, rozumiesz. Odebrałam należne wykształcenie. Właściwie trochę mnie rozczarował. Kobiety w mojej rodzinie od wieków słu­żyły pod różnymi królami.

— Tak? — wykrztusił.

— Nie wiem, czy widziałeś taką książkę, nazywa się „Zamknięty...

— ...pałac” — dokończył odruchowo Teppic.

— Przypuszczałam, że taki dżentelmen jak ty powinien ją znać. — Ptraci szturchnęła go znacząco. — To rodzaj podręcznika. Moja pra-prababka pozowała do niektórych rysunków. Nie ostatnio — do­dała na wypadek, gdyby nie całkiem zrozumiał. — To by już była przesada, w końcu nie żyje od dwudziestu pięciu lat. Kiedy była młodsza. Wszyscy mówią, że jestem do niej bardzo podobna.

— Urk — zgodził się Teppic.

— Była sławna. Mogła sięgnąć stopami za głowę, wiesz? Ja też potrafię. Mam Trzeci Stopień.

— Urk?

— Stary król powiedział mi kiedyś, że bogowie dali ludziom po­czucie humoru, żeby wynagrodzić im jakoś to, że dali im seks. Mam wrażenie, że był wtedy trochę zdenerwowany.

— Urk.

Z oczu Teppica widać było tylko białka.

— Nie jesteś rozmowny, co?

Nocny podmuch niósł w jego stronę perfumy Ptraci. Używała zapachu jak tarana.

— Musimy ci znaleźć jakąś kryjówkę — przypomniał, koncentru­jąc się na każdym słowie. — Nie masz rodziców albo kogoś?

Starał się ukryć fakt, że w bezcieniowym blasku flar zdawała się lśnić. Nie wychodziło mu to najlepiej.

— Moja matka nadal pracuje gdzieś w pałacu. Ale nie sądzę, że­by zrozumiała...

— Musimy cię stąd wydostać — oświadczył stanowczo Teppic. — Jeśli dzisiaj się gdzieś ukryjesz, ukradnę konie albo łódź, albo cokol­wiek. Potem możesz wyjechać do Tsortu albo Efebu, albo gdzieś.

— Czyli za granicę? Nie wiem, czy mi się tam spodoba.

— W porównaniu ze światem umarłych?

— Cóż, jeśli tak to ująć... — Chwyciła go za rękę. — Dlaczego mnie uratowałeś?

— Co? Chyba dlatego, że żyć jest lepiej, niż być martwym.

— Doczytałam do numeru 46, Kongresu Pięciu Szczęśliwych Mrówek — oświadczyła Ptraci. — Gdybyś miał trochę jogurtu, mogli­byśmy. ..

— Nie! To znaczy: nie. Nie tutaj. Nie teraz. Na pewno już nas szukają. Prawie świta.

— Nie musisz tak krzyczeć. Chciałam tylko być uprzejma.

— Tak. Oczywiście. Dziękuję. — Teppic wyrwał się i z rozpaczą zajrzał przez parapet w jeden z licznych pałacowych szybów oświe­tleniowych.

— Tędy można przejść do warsztatu balsamistów — zawołał. — Na pewno jest tam mnóstwo kryjówek. Raz jeszcze odwinął linę.

Do szybu przylegało kilka komnat. Teppic znalazł taką, gdzie pod ścianami stały ławy, a podłogę zaścielały wióry drewna. Drzwi prowadziły do następnego pomieszczenia, zastawionego sarkofaga­mi. Na każdym tkwiła ta sama złocista lalkowata twarz, którą zdążył już poznać i znienawidzić. Zastukał w kilka i uniósł pokrywę naj­bliższego.

— Nie ma nikogo w domu — stwierdził. — W środku możesz od­począć. Zostawię pokrywę uchyloną, żebyś miała powietrze.

— Nie myślisz chyba, że się zgodzę. A jeśli nie wrócisz?

— Będę wieczorem — obiecał Teppic. — I... i spróbuję wrzucić ci tu trochę jedzenia i wody.

Podeszła; jej bransolety na kostkach brzęczały na strunach Teppicowego libido. Odruchowo spuścił głowę i zobaczył, że Ptraci ma pomalowane wszystkie paznokcie u nóg. Przypomniał sobie, jak w czasie przerwy Cheesewright opowiadał im kiedyś za stajnią, że dziewczęta, które malują paznokcie u nóg są... Nie całkiem pamię­tał, ale wtedy wydawało się to niewiarygodne.

— Jest strasznie twardy — zauważyła.

— Co?

— Jeśli mam w tym leżeć, potrzebne mi będą poduszki.

— Wrzucę trochę wiórów, zobacz... Ale pospiesz się! Proszę!

— No dobrze. Ale wrócisz po mnie, prawda? Obiecujesz?

— Tak, tak! Obiecuję!

Zasunął pokrywę sarkofagu, wciskając pod nią kawałek drewna, żeby zapewnić dopływ powietrza. Potem wybiegł. Duch króla spoglądał za nim.

\* \* \*

Wzeszło słońce. Złociste światło spłynęło w żyzną dolinę Djelu, a flary piramid pobladły i zmieniły się w widmowych tancerzy na tle jaśniejącego nieba. Teraz towarzyszył im dźwięk. Rozbrzmiewał cały czas, zbyt wysoki dla uszu śmiertelnych, lecz o świcie opadał z dalekich ultradźwięków... CCChhhhhheeee...

Ulatywał w niebo: cienka powłoka dźwięku przypominająca przeciągnięcie smyczkiem po nagiej powierzchni mózgu. ...ccchhheeeee...

Albo wilgotny paznokieć drapiący obnażony nerw, jak twier­dzą niektórzy. Można by według niego nastawiać zegarek, mówiliby, gdyby ktoś wiedział, co to jest.

...heeee...

Rozbrzmiewał głębiej i głębiej, w miarę jak słoneczny blask ob­mywał kamienie, przechodził od kociego pisku do psiego warkotu.

...ee... ee... ee...

Flary zgasły.

...ops.

\* \* \*

**—**Piękny ranek, sire. Ufam, że dobrze spałeś? Teppic pomachał Diosowi ręką, ale milczał. Golibroda do­pełniał Ceremonii Wyjścia Ogolonym. Golibroda trząsł się ze strachu. Do niedawna był jednorękim, bez­robotnym kamieniarzem. A potem ten straszliwy najwyższy kapłan przywołał go i rozkazał zostać królewskim golibrodą, chociaż wyma­ga to dotykania króla, ale nie szkodzi, bo kapłani wszystko już usta­lili i nie trzeba odcinać żadnych części ciała. Ogólnie rzecz biorąc, wszystko ułożyło się lepiej, niż mógł się spodziewać, zresztą to wiel­ki zaszczyt własnoręcznie troszczyć się o królewską brodę, jakakol­wiek by była.

— Nic cię nie zaniepokoiło, sire? — zapytał najwyższy kapłan. Jego oczy skanowały komnatę rastrem podejrzenia; zadziwia­jące, że na ścianach nie pojawiły się wąskie strużki stopionej skały.

— Barrr...

— Gdybyś zechciał się nie ruszać, o nigdy nie umierający — ode­zwał się golibrodą błagalnym tonem człowieka, któremu obiecano wycieczkę po przewodzie pokarmowym krokodyla, jeśli choćby za-drapie ucho.

— Nie słyszałeś dziwnych odgłosów, sire? Dios cofnął się nagle i zajrzał za złocony parawan z pawich piór, do drugiej części komnaty.

— Nie.

— Wasza wysokość słabo dzisiaj wygląda — zauważył Dios. Usiadł na ławie rzeźbionej z obu końców w lamparty. Siadanie w obecności władcy, poza oficjalnymi ceremoniami, było w zasadzie

niedozwolone, jednak w ten sposób kapłan mógł zerknąć pod ni­skie łoże Teppica.

Dios był poruszony. Mimo obolałych mięśni i niewyspania, Teppic czuł się dziwnie radosny. Otarł twarz.

— To łóżko — powiedział. — Chyba o nim wspominałem. No wiesz, materace. Mają w środku pióra. Jeśli taka koncepcja wydaje ci się niezwykła, porozmawiaj z piratami z Khali. Co drugi musi już spać na materacu z gęsiego puchu.

— Jego wysokość raczył zażartować — mruknął Dios. Teppic wiedział, że nie powinien przesadzać, ale nie mógł się powstrzymać.

— Coś się stało, Dios?

— Jakiś złoczyńca wdarł się nocą do pałacu, sire. Zniknęła ta dziewczyna, Ptraci.

— To bardzo niepokojące.

— Istotnie, sire.

— Zapewne zalotnik albo kochanek... Twarz Diosa przypominała głaz.

— To możliwe, sire.

— Święte krokodyle będą więc głodne...

Ale nie na długo, myślał Teppic. Wystarczy przejść się po jed­nym z niewielkich pomostów na brzegu, wystarczy, żeby cień padł na powierzchnię, a mętnożółta woda magicznie staje się mętnożółtymi cielskami. Wyglądają jak duże, nasiąknięte wodą belki, a główna róż­nica polega na tym, że belki nie otwierają się z jednego końca, że­by odgryźć człowiekowi nogi. Święte krokodyle Djelu były dla króle­stwa wysypiskiem śmieci, patrolem rzecznym, a czasem i kostnicą.

Trudno by je nazwać zwyczajnie wielkimi. Gdyby jeden z sam­ców ustawił się w poprzek nurtu, zatamowałby rzekę.

Golibroda wyszedł na palcach. Na palcach weszła para sług dba­jących o ciało.

— Przewidziałem naturalną reakcję waszej wysokości — mówił dalej Dios, głosem jak krople wody kapiące w głębokiej jaskini.

— Doskonale. — Teppic obejrzał przeznaczone na ten dzień ubranie. — A jakaż ona była?

— Sire polecił dokładnie przeszukać cały pałac, komnata po komnacie.

— Absolutnie. Bierz się do dzieła, Dios.

Moja twarz jest całkowicie szczera, powtarzał sobie. Nie drgnął mi żaden mięsień. Wiem, że nie drgnął. Może we mnie czytać jak w steli. Wytrzymam jego spojrzenie.

— Dziękuję, sire.

— Podejrzewam, że są już o całe mile stąd — rzucił Teppic. — Kimkolwiek by byli. Ona to zwykła podręczna, prawda?

— To nie do pomyślenia, żeby ktoś mógł okazać nieposłuszeń­stwo wobec twego wyroku! Nikt w całym królestwie by się na to nie odważył! Ich dusze będą potępione! Zostaną schwytam, sire! Schwy­tani i unicestwieni!

Słudzy skryli się za Teppikiem. To nie był zwykły gniew. To by­ła wściekłość. Prawdziwa, dojrzała wściekłość. Przybierająca niczym garść księżyców.

— Dobrze się czujesz, Dios?

Kapłan odwrócił się i spojrzał na drugi brzeg rzeki. Wielka Pi­ramida była prawie gotowa. Ten widok chyba go uspokoił, a przynaj­mniej ustabilizował na jakimś nowym poziomie emocjonalnym.

— Tak, sire — odparł. — Dziękuję. Odetchnął głęboko.

— Jutro, sire — powiedział — z radością będziesz świadkiem po­łożenia kamienia szczytowego piramidy. Niezwykła okazja. Oczywi­ście, minie jeszcze nieco czasu, zanim zakończą się prace w komo­rach wewnętrznych.

— Dobrze, dobrze. A dziś rano, jak sądzę, chciałbym zobaczyć się z ojcem.

— Jestem pewien, że zmarły król ucieszy się na twój widok, si­re. Twoim życzeniem jest, bym ci towarzyszył.

— Aha.

\* \* \*

Jest faktem niepodważalnym niczym Trzecie Prawo Soda, że nie istnieje coś takiego jak dobry Wielki Wezyr. Skłon­ność do chichotu i intryg wchodzi zapewne w zakres obo­wiązków na tym stanowisku.

Najwyżsi kapłani zwykle zaliczani są do tej samej kategorii. Mu­szą godzić się z przyjmowanym z góry założeniem, że do niczego nie dojdą, póki nie zaczną wydawać dziwacznych rozkazów, np. żeby przywiązać do skały księżniczkę, wydaną na pożarcie wędrowne­go morskiego potwora, albo żeby dziecko wrzucić w odmęty.

To straszliwe oszczerstwo. W całej historii Dysku najwyżsi ka­płani byli w większości ludźmi poważnymi, pobożnymi i odpowie­dzialnymi, którzy starali się jak najlepiej interpretować życzenia bogów, czasami wypruwając flaki albo paląc żywcem setki ludzi dzien­nie, aby tylko mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumieli.

\* \* \*

Sarkofag króla Teppicymona XXVII czekał gotowy. Rzeź­biony był z foryfii, smaradginy, skelsy i delfinetu, wykłada­ny różowym nefrytem i stargitem, perfumowany i okadza­ny wieloma rzadkimi żywicami i perfumami...

Wyglądał imponująco, ale — zdaniem króla — nie warto było dla niego umierać. Zrezygnowany wyszedł na dziedziniec.

Nowy aktor wkroczył na scenę dramatu śmierci: Grinjer, wy­twórca modeli.

Króla zawsze zastanawiały modele. Nawet skromny rolnik ocze­kiwał pochówku ze zbiorem sztucznej trzody, która w świecie zmar­łych zmieni się jakoś w prawdziwą. Wielu było takich, którzy za życia radzili sobie z jedną chudą krową, by po śmierci wymagać stada ra­sowego bydła. Arystokraci i królowie otrzymywali pełny komplet, ra­zem z modelami wozów, domów, statków i wszystkiego, co było zbyt duże lub zbyt nieporęczne i nie dało się wnieść do grobu. Po tamtej stronie w jakiś sposób modele zmieniały się w rzeczywiste obiekty.

Król zmarszczył czoło. Za życia wiedział, że to prawda. Nie wąt­pił ani przez moment.

Grinjer wysunął z ust czubek języka, z wielką starannością mo­cując szczypcami malutkie wiosło w doskonałym modelu rzecznej triremy w skali 1:80. Każdą płaską powierzchnię w przydzielonym mu kącie pracowni pokrywały maleńkie zwierzęta i przedmioty; nie­które co bardziej udane wisiały na nitkach z sufitu.

Król dowiedział się już z podsłuchanej rozmowy, że Grinjer ma dwadzieścia sześć lat, nie znalazł nic, co mogłoby zahamować nie­powstrzymany rozwój trądziku, i że mieszka razem z matką. W domu wieczorami wykonuje modele. W głębi serca ma nadzieję, że pew­nego dnia spotka miłą dziewczynę, która zrozumie, jak ważne jest

idealne odwzorowanie wszystkich detali ceremonialnego sześciokołowego wozu, która potrzyma mu słoik z klejem i zawsze chętnie uży­czy kciuka, gdy niezbędny będzie stały nacisk, póki klej nie wyschnie.

Słyszał trąby i ogólny gwar za plecami, jednak nie zwrócił na to uwagi. Ostatnio stale trwało zamieszanie. Doświadczenie podpo­wiadało mu, że chodzi o sprawy trywialne. Ludzie po prostu mają niewłaściwie dobrane priorytety. On na przykład czekał już dwa miesiące na parę uncji gumy varneti, a jakoś nikt się tym nie prze­jął. Poprawił monokl i wsunął na miejsce maleńki rudel.

Ktoś przy nim stanął. I dobrze, może się na coś przyda...

— Przyłóż tu palec — polecił, nie odwracając głowy. — Tylko na chwilę, póki klej nie złapie.

Nastąpił nagły spadek temperatury. Grinjer spojrzał prosto w uśmiechniętą złotą maskę. Za nią twarz Diosa zmieniała odcień, w fachowej opinii Grinjera, z nr 13 (Blada Skóra) na nr 37 (Fiolet Zachodu Słońca, połysk).

— Oj — powiedział Grinjer.

— Świetne — pochwalił Teppic. — Co to jest?

Grinjer zamrugał do niego. Potem zamrugał do łodzi.

— To osiemdziesięciostopowa rzeczna trirema w stylu khalijskim, z podwójnym pokładem dla włóczników i taranem na dzio­bie — wyjaśnił odruchowo.

Odniósł wrażenie, że oczekują od niego czegoś więcej. Rozej­rzał się za czymś odpowiednim.

— Ma ponad pięćset części — dodał. — Każda deska pokładu by­ła wycięta osobno. Proszę spojrzeć.

— Fascynujące — stwierdził Teppic. — Cóż, nie będziemy prze­szkadzać. Pracujcie dalej.

— Żagle naprawdę się rozwijają — mówił Grinjer. — O tutaj, trze­ba pociągnąć tę nitkę...

Maska odsunęła się i jej miejsce zajęło oblicze Diosa. Kapłan rzucił Grinjerowi spojrzenie sugerujące, że to jeszcze nie koniec, po czym ruszył za królem. Podobnie uczynił duch Teppicymona XXVII.

Teppic rozglądał się dyskretnie spod maski. Dostrzegł otwarte drzwi do pokoju, gdzie stały sarkofagi. Widział nawet ten, w którym ukryła się Ptraci: pod pokrywą wciąż tkwił drewniany klinik.

— Nasz ojciec wszakże znajduje się tam, sire — odezwał się Dios. Poruszał się bezgłośnie jak duch.

— Aha. Tak.

Teppic zawahał się chwilę, po czym ruszył w stronę dużego sarkofagu stojącego na drewnianych kozłach. Przyjrzał mu się. Złocone oblicze na pokrywie wyglądało jak wszystkie inne ma­ski.

— Świetnie uchwycone podobieństwo, sire — podpowiedział Dios.

— Taak... — zgodził się Teppic. — Tak przypuszczam. Stanowczo wydaje się bardziej zadowolony.

— Witaj, mój chłopcze! — zawołał król.

Wiedział, że nikt go nie słyszy, ale przyjemnie było coś do nich mówić. Lepsze to niż mówienie do siebie. Na to będzie miał czasu aż nadto.

— Myślę, że wydobyłem z niego to, co najlepsze, o wodzu nie­bios — oświadczył główny rzeźbiarz.

— Wyglądam jak woskowa lalka z bólem brzucha. Teppic przechylił głowę.

— Tak — przyznał niezbyt pewnie. — Tak. Hm. Dobra robota.

Odwrócił się i znowu spojrzał w drzwi.

Dios skinął na stojących przy wejściu strażników.

— Zechciej mi wybaczyć, sire — rzucił wytwornie.

— Hm?

— Strażnicy będą kontynuować przeszukanie.

— Dobrze. Oj...

Dios w otoczeniu strażników ruszył do sarkofagu Ptraci. Chwy­cił pokrywę, zsunął ją na bok i zawołał:

— Spójrzcie! Co my tu mamy?

Dii i Gern podeszli bliżej. Zajrzeli do wnętrza.

— Wióry — stwierdził Dii. Gern pociągnął nosem.

— Ale ładnie pachną — zauważył.

Dios zabębnił palcami o pokrywę. Teppic nigdy jeszcze nie wi­dział, by kapłan nie miał pojęcia, co robić. Zaczął nawet opukiwać ściany sarkofagu w poszukiwaniu tajnych schowków.

Potem zasunął pokrywę i spojrzał tępo na Teppica, który po raz pierwszy cieszył się, że maska ukrywa wyraz twarzy.

— Nie ma jej tam — wyjaśnił stary król. — Natura ją wezwała i wy­szła, kiedy ci ludzie poszli zjeść śniadanie.

Musiała się wydostać, myślał Teppic. Gdzie jest teraz?

Dios rozejrzał się czujnie, kołysząc się lekko w przód i w tył jak igła kompasu. Jego wzrok padł na wewnętrzny sarkofag z mumią króla. Był duży. Był przestronny. Miał w sobie pewnego rodzaju nieuniknioność...

Dios w kilku krokach przeszedł przez pokój i otworzył sarkofag.

— Nie musisz pukać — mruknął król. — W końcu nigdzie się nie wybieram.

Teppic zaryzykował spojrzenie. Mumia króla była zupełnie sama.

— Jesteś pewny, że dobrze się czujesz, Dios? — zapytał.

— Tak, sire. Nie można być zbyt czujnym, sire. Najwyraźniej nie ma ich tutaj, sire.

— Wyglądasz, jakby przydał ci się łyk świeżego powietrza — za­troszczył się Teppic. Ganił się za to, ale nie mógł inaczej. Zagubio­ny Dios był widokiem, który budził zachwyt, ale też pewien niepo­kój. Człowiek instynktownie obawiał się o stabilność świata.

— Tak, sire. Bardzo dziękuję, sire.

— Usiądź i odpocznij. Ktoś przyniesie szklankę wody. A potem obejrzymy piramidę. Dios usiadł. Rozległ się przeraźliwy trzask.

— Usiadł na łodzi — oznajmił król. — Pierwsza zabawna rzecz, ja­kiej dokonał za mojej pamięci.

\* \* \*

Piramida nadawała nowego znaczenia słowu „masywny”. Zaginała wokół siebie krajobraz. Teppic miał wrażenie, że sam jej ciężar deformuje kształt rzeczy, rozciąga królestwo jak ołowiana kulka na gumowej membranie.

Wiedział, że to bezsensowny pomysł. Piramida była duża, ale przecież maleńka w porównaniu do — powiedzmy — góry.

Ale wielka, bardzo wielka w porównaniu do czegokolwiek inne­go. Poza tym góry powinny być ogromne, osnowa universum była do tego przyzwyczajona. Piramida została zbudowana i okazała się o wiele większa, niż cokolwiek zbudowanego być powinno.

Była też bardzo zimna. Mimo słonecznego żaru czarny mar­mur ścian pobielał od szronu. Teppic nierozsądnie spróbował go dotknąć i zostawił na kamieniu warstwę skóry.

— Jest lodowata!

— Już magazynuje, o oddechu rzeki — wyjaśnił spocony Ptaclusp. — To ten, jak mu tam, efekt graniczny.

— Zauważyłem, że przerwaliście prace w komorach grobowych — wtrącił Dios.

— Ludzie... temperatura... efekty graniczne... trochę za wielkie ryzyko... — wymamrotał Ptaclusp. — Hm.

Teppic przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

— O co chodzi? — zapytał. — Jakieś kłopoty?

— Ehm... — odpowiedział Ptaclusp.

— Wyprzedzacie plan. Wspaniała robota — pochwalił go Tep­pic. — Wykorzystujecie ogromną ilość siły roboczej.

— Ehm. Tak. Tylko...

Zapadła cisza, zakłócana jedynie przytłumionym gwarem pra­cujących ludzi i cichym skwierczeniem powietrza dotykającego pi­ramidy.

— Wszystko będzie dobrze, kiedy założymy wierzchołek — za­pewnił po chwili budowniczy piramid. — Kiedy zacznie się wypalać jak należy, problemy znikną. Ehm.

Wskazał wierzchołek z elektrum. Był zadziwiająco mały, o kra­wędzi długości stopy. Spoczywał na dwóch drewnianych kozłach.

— Powinniśmy założyć go już jutro — zapewnił Ptaclusp. — Czy wasz sire nadal zamierza nas zaszczycić podczas ceremonii zwieńcze­nia? — Ujął skraj szaty i zaczai miąć go w palcach. — Będą drinki — wy­jąkał. — I srebrna kielnia, którą można zabrać do domu. Wszyscy krzyczą „hurra!” i podrzucają kapelusze.

— Z pewnością — odparł Dios. — To wielki zaszczyt.

— Dla nas również, wasz sire — oświadczył lojalnie Ptaclusp.

— O ciebie mi chodziło — wyjaśnił najwyższy kapłan.

Spojrzał na szeroki dziedziniec pomiędzy podstawą piramidy a rzeką. Otaczały go posągi i stele upamiętniające bohaterskie czy­ny króla Teppicymona[[18]](#footnote-18). Wyciągnął rękę.

— A tego możesz się pozbyć — rzeki. Ptaclusp zerknął na niego niewinnie.

— Tego posągu — wyjaśnił Dios. — O niego mi chodzi.

— Aha. Hm. No tak. Pomyśleliśmy, że kiedy zobaczysz go na miejscu, w odpowiednim oświetleniu... W dodatku Hat, Sępiogłowy Bóg Niespodziewanych Gości jest...

— Ma stąd zniknąć.

— Tak jest, wasza szacowność — odparł żałośnie Ptaclusp. W tej chwili był to najmniejszy z jego problemów, ale zaczynał już podejrzewać, że posąg go prześladuje. Dios nachylił mu się do ucha.

— Czy gdzieś na placu budowy nie widziałeś może młodej kobie­ty? — zapytał.

— Na moim placu nie ma kobiet, panie. Przynoszą pecha.

— Ta była prowokująco ubrana.

— Nie. Żadnych kobiet.

— Pałac stoi przecież niedaleko, a na pewno jest tu mnóstwo kryjówek — nie ustępował Dios.

Ptaclusp przełknął ślinę. Wiedział to dobrze. Co go opętało...

— Zapewniam, wasza szacowność — powiedział. Dios zmarszczył brwi i zwrócił się w stronę, gdzie — jak się oka­zało — Teppica już nie było.

— Poproś go, panie, żeby nikomu nie podawał ręki — zawołał jeszcze Ptaclusp.

Dios pospieszył za dalekim błyskiem słońca na złocie. Król wciąż jakoś nie mógł zrozumieć, że ostatnie, czego chce lud, to że­by władca się z nim bratał. Ci z robotników, którzy nie zdążyli uciec, chowali ręce za plecami.

Samotny Ptaclusp powachlował się dłonią i niepewnie wszedł w cień swego namiotu.

Gdzie czekali na niego Ptaclusp IIa, Ptaclusp IIa, Ptaclusp IIa i Ptaclusp IIa. Ptaclusp zawsze czuł się trochę niepewnie w towarzy­stwie księgowych, a czterej równocześnie doprowadzali go niemal do szaleństwa, zwłaszcza że wszyscy byli tą samą osobą. W namiocie było też trzech Ptacluspów IIb. Pozostała dwójka — chyba że już trój­ka — pracowała na budowie.

Ptaclusp uspokajająco Zamachał rękami.

— Dobrze, dobrze! — zawołał. — Jakie mamy dziś kłopoty?

Jeden z IIa przysunął mu stos tabliczek.

— Czy wiesz, ojcze — zapytał tym ostrym, wysokim głosem, jakie­go używają księgowi, gdy chcą zakomunikować coś nieoczekiwane­go i bardzo kosztownego — co to jest rachunek różniczkowy?

— Ty mi to powiedz — odparł Ptaclusp, siadając ciężko na stołku.

— To coś, co wymyśliłem, żeby rozwiązać problem listy płac, oj­cze — wyjaśnił inny IIa.

— Zdawało mi się, że to była algebra.

— Algebrę przeszliśmy w zeszłym tygodniu — oświadczył trzeci IIa. — Teraz to rachunek różniczkowy. Cztery razy musiałem się zapętlić, żeby go opracować. A trzech mnie zajmuje się... — zerknął na braci — ...księgowością kwantową.

— A na co ona? — zapytał znużonym tonem ojciec.

— Na przyszły tydzień. — Główny księgowy spojrzał na leżącą na wierzchu tabliczkę. — Na przykład — zaczął — czy znasz Rthura, ma­larza fresków?

— Co z nim?

— On... to znaczy oni... przedstawili rachunek za dwa lata pracy.

— O...

— Twierdzą, że wykonali ją we wtorek. Powiedzieli, że w związ­ku z fraktalną naturą czasu.

— Tak powiedzieli? — zdziwił się Ptaclusp.

— Zdumiewające, jak szybko się uczą — mruknął jeden z księ­gowych, rzucając gniewne spojrzenie parakosmicznym architek­tom.

Ptaclusp zawahał się.

— Ilu ich jest?

— Skąd mamy wiedzieć? Wiemy tylko, że było ich pięćdziesięciu trzech. Potem przekroczyli krytyczną. Fakt, że często go ostatnio widywaliśmy. — Dwóch IIa usiadło i złożyło razem palce, co zawsze jest złym znakiem u kogoś, kto ma do czynienia z pieniędzmi. — Chodzi o to — podjął jeden z nich — że po okresie początkowego entuzjazmu, wielu robotników powiela się nieoficjalnie, żeby móc siedzieć w domu i posyłać siebie do pracy.

— Przecież to śmieszne — zaprotestował Ptaclusp. — Nie stają się innymi ludźmi, po prostu sami siebie zamęczają.

— To nigdy nikogo nie powstrzymało, ojcze — stwierdził IIa. — Ilu ludzi przestało upijać się do nieprzytomności w wieku lat dwu­dziestu, żeby ocalić tego czterdziestoletniego obcego człowieka, umierającego na marskość wątroby?

Przez chwilę trwała cisza. Wszyscy zastanawiali się intensywnie.

— Obcego...? — odezwał się niepewnie Ptaclusp.

— To znaczy siebie, tylko starszego — warknął IIa. — To jest filo­zofia — dodał.

— Jeden z murarzy wczoraj sam siebie pobił — wtrącił ponuro jeden z IIb. — Pokłócił się ze sobą o swoją żonę. Teraz szaleje, bo nie wie, czy to była jego wcześniejsza wersja, czy ktoś, kto jeszcze nie zaistniał. Boi się, że na siebie napadnie. Ale gorsze jest co inne­go, tato. Płacimy czterdziestu tysiącom ludzi, a zatrudniamy tylko dwa tysiące.

— Zbankrutujemy. To chcesz powiedzieć? Wiem. To moja wi­na. Chciałem wam coś po sobie zostawić. Nie przewidziałem tego wszystkiego. Od początku było za łatwo.

Jeden z IIa odchrząknął.

— To... tego... nie jest aż tak źle — oznajmił cichym głosem.

— Niby dlaczego?

Księgowy położył na stole kilkanaście miedzianych monet.

— No więc.... — zaczął. — Widzicie, przyszło mi do głowy, że jeśli już w czasie panuje taki ruch, to nie tylko ludzi można zapętlać. Ee... Widzicie te miedziaki?

Jedna zniknęła.

— To ta sama moneta, prawda? — domyślił się jeden z jego braci.

— No tak — przyznał IIa, bardzo zakłopotany, gdyż interwencja w święty obieg pieniądza kłóciła się z jego osobistą religią. — Ta sa­ma moneta w pięciominutowych odstępach.

— I wykorzystujesz tę sztuczkę, żeby im płacić? — zapytał oszo­łomiony Ptaclusp.

— To nie jest żadna sztuczka! — zaprotestował z godnością IIa. — Daję im pieniądze. Co się z nimi dzieje potem, to już nie moja sprawa. Prawda?

— Nie podoba mi się to — uznał jego ojciec.

— Nie przejmuj się. W końcu wszystko się wyrówna — uspokoił go inny IIa. — Każdy dostanie to, na co zasłużył.

— Owszem. I tego właśnie się obawiam.

— To po prostu metoda, żeby twoje pieniądze na ciebie praco­wały — stwierdził kolejny syn. — Prawdopodobnie kwantowa.

— To dobrze — westchnął ciężko Ptaclusp.

— Nie martw się. Dzisiaj w nocy założymy blok — zapewnił jeden z IIb. — Piramida wypali energię i wszystko się uspokoi.

— Powiedziałem królowi, że zrobimy to jutro. Ptacluspowie IIb zbledli jednocześnie. Mimo upału, w namiocie zrobiło się o wiele chłodniej.

— W nocy, ojcze. Na pewno miałeś na myśli noc.

— Jutro — odparł stanowczo Ptaclusp. — Zorganizowałem balda­chim i ludzi do rzucania płatków lotosu. Będzie orkiestra, dzwon­ki, trąby i cymbały. Będą przemowy, a na zakończenie herbatka i przekąski. Zawsze tak to załatwialiśmy. Żeby przyciągnąć nowych klientów. Lubią najpierw się trochę rozejrzeć.

— Ojcze, sam widziałeś, jak ona nasiąka... Widziałeś szron...

— A niech nasiąka. My, Ptacluspowie, nie będziemy kłaść ka­mieni szczytowych piramid, jakbyśmy skończyli mur wokół ogród­ka. Nie zachowamy się jak ten, jak mu tam, nocą. Ludzie oczekują ceremonii.

— Ale...

— Nie chcę tego słuchać. I tak już za długo wysłuchiwałem tych nowomodnych teorii. Jutro. Kazałem przygotować tablicę z brązu, aksamitne kotary i wszystko.

Jeden z IIa wzruszył ramionami.

— Nie warto się z nim kłócić — stwierdził. — Jestem z trzeciej go­dziny do przodu i pamiętam tę rozmowę. Nie mogliśmy go prze­konać.

— Ja jestem z drugiej godziny do przodu — dodał jeden z jego klonów. — Pamiętam, że to powiedziałeś.

Poza ścianami namiotu piramida skwierczała od akumulowanego czasu.

\* \* \*

W energii piramid nie ma nic tajemniczego. Piramidy są jak tamy w strumieniu czasu. Wielka masa kamieni wytwarza potencjał temporalny, który przy właści­wym ukształtowaniu i orientacji, z odpowiednimi wymiarami parakosmicznymi właściwie wbudowanymi w strukturę, może być skiero­wany tak, by na bardzo małym obszarze przyspieszał albo odwracał bieg czasu, w taki sam sposób, w jaki tłok hydrauliczny może pom­pować wodę pod prąd.

Pierwsi budowniczowie, którzy naturalnie byli starożytni, a za­tem mądrzy, wiedzieli doskonale, że funkcją poprawnie wzniesio­nej piramidy jest wytworzenie absolutnego czasu zerowego w ko­morze centralnej, tak że ułożony tam konający król w istocie żył wiecznie, a przynajmniej nigdy nie umierał. Czas, jaki powinien upłynąć w komorze, podlegał akumulacji w masie piramidy i raz na dwadzieścia cztery godziny uchodził z flarą.

Po kilku epokach ludzie całkiem o tym zapomnieli i uznali, że ten sam efekt można osiągnąć poprzez a) rytuał, b) marynowanie ludzi i c) przechowywanie ich miękkich organów wewnętrznych w kanopach.

To rzadko się udaje.

I tak sztuka strojenia piramid zaginęła, a cała wiedza stała się garścią niezrozumiałych reguł i niejasnych wspomnień. Starożytni byli o wiele za mądrzy, by wznosić bardzo duże piramidy. Mogły bo­wiem spowodować bardzo dziwne zjawiska, wobec których zwykłe fluktuacje czasu wydałyby się drobnostką.

Przy okazji: wbrew popularnym wierzeniom, piramidy nie ostrzą żyletek. Po prostu przenoszą je w czasie do chwili, kiedy jesz­cze nie były tępe. Przyczyny tego faktu są prawdopodobnie kwan­towe.

\* \* \*

Teppic leżał na warstwach osadowych swego łóżka i nasłu­chiwał.

Dwaj strażnicy stali przy drzwiach, dwaj na tarasie, a jeden — Teppic był pełen podziwu dla zapobiegliwości Diosa — na dachu. Słyszał, jak starają się nie wydawać żadnego dźwięku.

Właściwie nie mógł protestować. Jeśli czarno odziani złoczyń­cy przedostają się do pałacu, to osoba króla musi być chroniona. Trudno zaprzeczyć.

Zsunął się z twardego materaca i przemknął przez mrok do po­sągu Kociogłowego Boga Basta w kącie; odkręcił mu głowę i wyjął swój kostium skrytobójcy. Przebrał się szybko, przeklinając brak lu­ster, po czym skrył się za filarem przy drzwiach.

Jedynym problemem — jeśli mógł to ocenić — było powstrzy­manie się od śmiechu. Funkcja żołnierza w Djelibeybi nie była za­wodem wysoce ryzykownym. Nigdy nie nastąpił nawet cień we­wnętrznej rebelii, a że każdy z sąsiadów mógł natychmiast zbroj­nie zgnieść królestwo, nie miało sensu dobieranie żołnierzy spo­śród zaciekłych wojowników. Kapłanom z pewnością nie zależało na entuzjastycznych żołnierzach. Entuzjastyczni żołnierze nie ma­jący okazji do walki mogliby się znudzić i zacząć myśleć o rzeczach niebezpiecznych, na przykład o ile lepiej potrafiliby sami rządzić krajem.

Praca ta przyciągała zatem dużych, ciężkich mężczyzn, którzy potrafili godzinami stać bez ruchu i się nie nudzić, mężczyzn o bu­dowie wołu i odpowiedniej do tego inteligencji. Doskonałe panowa­nie nad pęcherzem także było w cenie.

Teppic wyszedł na taras.

Nauczył się nie poruszać ukradkowo. Miliony lat pożerania przez stwory poruszające się ukradkowo wyrobiły u ludzkości zdol­ność zauważania ukradkowych poruszeń. Niewydawanie dźwięku też wcale nie pomagało, ponieważ ruchome obszary ciszy wzbudza­ły podejrzenia. Sztuka polegała na tym, by sunąć przez noc ze spo­kojną pewnością siebie, tak jak to robi powietrze.

Tuż przed drzwiami stał wartownik. Teppic przepłynął obok niego i ostrożnie wspiął się na mur. Mur dekorowały liczne płasko­rzeźby upamiętniające tryumfy dawnych władców, więc Teppic sko­rzystał przy wchodzeniu z pomocy rodziny.

Wietrzyk dmuchnął od strony pustyni, gdy Teppic przerzucił nogi przez parapet i cicho ruszył po ciągle gorącym dachu. Powie­trze pachniało tak, jakby ktoś niedawno je ugotował z dodatkiem przypraw.

To dziwne uczucie, sunąć tak przez dach własnego pałacu, sta­rając się unikać własnych strażników, z misją bezpośrednio naru­szającą własny wyrok, i wiedzieć, że w razie schwytania trzeba bę­dzie samemu skazać się na rzucenie świętym krokodylom. W koń­cu sam chyba wydał polecenie, że gdyby go pojmano, nie wolno mu okazywać żadnej litości.

Wszystko to budziło tylko dreszcz podniecenia.

Tutaj, na dachu, miał swego rodzaju swobodę — jedyną odmia­nę swobody dostępną władcy Doliny. Teppicowi przyszło na myśl, że chłopi bez ziemi, mieszkający nad deltą, mają więcej swobody od niego. Buntowniczy i niekrólewski fragment umysłu podpowiedział: tak, swobodę zarażenia się dowolnie wybraną chorobą, swobodę głodowania do woli i śmierci od takiej straszliwej zarazy, na jaką przyjdzie im ochota. Ale jednak swobodę.

Cichy dźwięk wśród ciszy nocy ściągnął go na krawędź dachu od strony rzeki. Djel rozlewał się w blasku księżyca, szeroki i lśniący.

Na wodzie Teppic dostrzegł łódź, płynącą z drugiego brzegu, z nekropolii. Nie mógł nie rozpoznać postaci u wioseł. Światło flar odbijało się od łysej czaszki.

Pewnego dnia, pomyślał Teppic, pójdę za nim. Dowiem się, co tam robi. Jeśli tylko popłynie w dzień.

Za dnia nekropolia była zwyczajnie posępna, jak gdyby cały wszechświat zgasił światła. Teppic zbadał ją nawet, wędrował po uli­cach i zaułkach, które wciąż pokrywał pył, a powietrze było nieru­chome, niezależnie od pogody po drugiej, żyjącej stronie rzeki. Zawsze miał wrażenie, że brakuje mu tchu. Wolał się nad tym nie za­stanawiać. Skrytobójcy w zasadzie lubią noc, ale noc w nekropolii to coś zupełnie innego. A raczej to samo, tylko o wiele bardziej. Poza tym było to jedyne miasto na Dysku, gdzie skrytobójca nie mógłby znaleźć pracy.

Teppic dotarł do świetlika prowadzącego do warsztatu balsamistów i spojrzał w dół. W chwilę później wylądował delikatnie na posadzce i przemknął do pokoju z sarkofagami.

— Witaj, mój chłopcze.

Teppic odsunął pokrywę. Sarkofag był pusty.

— Jest w którymś z tych na tyłach — podpowiedział król. — Ni­gdy nie miała wyczucia kierunku.

Pałac był ogromny. Teppic z trudem znajdował w nim drogę za dnia. Zastanowił się nad szansami poszukiwań w absolutnej ciem­ności.

— To u nas rodzinne. Twój dziadek musiał mieć „lewy” i „prawy” wypisane na sandałach, tak było z nim źle. Masz szczęście, że orien­tację odziedziczyłeś po matce.

To dziwne. Ona nie mówiła, ona paplała. Nie potrafiła chyba nawet prostej myśli utrzymać w głowie dłużej niż dziesięć sekund.

Całkiem jakby mózg miała podłączony bezpośrednio do ust, więc kiedy tylko jakaś myśl wpadała jej do głowy, wygłaszała ją na głos. W porównaniu do spotykanych na przyjęciach w Ankh dam, które uwielbiały zabawiać młodych skrytobójców, karmić ich kosztowny­mi frykasami i rozmawiać o sprawach ważnych a delikatnych, gdy oczy błyszczały im jak korundowe wiertła, a wargi zaczynały lśnić... W porównaniu z nimi była pusta jak, no, jak coś pustego. Mimo to odkrył, że rozpaczliwie chce ją znaleźć. Jej całkowity brak wy­magań działał jak narkotyk. Wspomnienie jej łona nie miało tu nic do rzeczy.

— To ładnie, że po nią wróciłeś — pochwalił go król. — Jest two­ją siostrą, wiesz? W każdym razie przyrodnią siostrą. Czasem żałuję, że się nie ożeniłem z jej matką, ale widzisz, nie pochodziła z królew­skiego rodu. Była bardzo inteligentną kobietą.

Teppic nasłuchiwał czujnie. Znowu to samo: ciche tchnienie, słyszalne tylko w ciszy nocy. Przeszedł w głąb komnaty, posłuchał jeszcze chwilę i uniósł pokrywę sarkofagu.

Ptraci zwinęła się w kłębek na dnie. Spała mocno, z głową wspartą na ramieniu.

Ostrożnie oparł pokrywę o ścianę i dotknął jej włosów. Wymru­czała coś i zmieniła pozycję.

— Ehm... Chyba powinnaś się obudzić — szepnął. Raz jeszcze przewróciła się i wyszeptała coś w rodzaju:

— Wstfgl.

Teppic zawahał się. Ani nauczyciele, ani Dios nie przygotowa­li go na taką sytuację. Znał przynajmniej siedemdziesiąt różnych sposobów zabicia śpiącej osoby, ale ani jednego sposobu obudze­nia jej najpierw.

Pchnął lekko w coś, co wyglądało jak najmniej krępujący ob­szar jej skóry. Ptraci otworzyła oczy.

— A — powiedziała. — To ty. I ziewnęła.

— Przyszedłem cię stąd zabrać — wyjaśnił Teppic. — Spałaś cały dzień.

— Słyszałam jakieś głosy — oświadczyła i przeciągnęła się tak, że Teppic pospiesznie odwrócił wzrok. — To był ten kapłan, ten z twa­rzą łysego orła. Jest okropny.

— To prawda — zgodził się Teppic, z ulgą słuchając jej opinii.

— Więc siedziałam cicho. Był jeszcze król. Nowy.

— On też tu przyszedł? — spytał słabo Teppic. Gorycz w jej gło­sie była niby sztylet numer cztery wbity w serce.

— Wszystkie dziewczęta mówią, że jest dziwny — dodała, kiedy pomagał jej wyjść i sarkofagu. — Możesz mnie dotknąć, wiesz? Nie jestem z porcelany.

Podtrzymał jej ramię. Wiedział, że przydałaby mu się zimna ką­piel i szybka przebieżka po dachach.

— Jesteś skrytobójcą, prawda? — mówiła dalej. — Przypomnia­łam sobie, jak już odszedłeś. Skrytobójca z obcych stron. Cały w czerni. Przybyłeś zabić króla?

— Chciałbym to zrobić — odparł Teppic. — Naprawdę zaczyna mi już działać na nerwy. Słuchaj, czy nie mogłabyś zdjąć swoich bransolet?

— Dlaczego?

— Strasznie Hałasują.

Nawet kolczyki Piraci przy każdym ruchu głowy zdawały się wy­bijać godziny.

— Nie chcę — oświadczyła. — Bez nich czuję się naga.

— Z nimi też jesteś prawie naga — syknął Teppic. — Proszę!

— Umie grać na harfie — odezwał się duch króla Teppicymona XXVII. — Chociaż niezbyt dobrze. Doszła do piątej strony „Krót­kich melodii dla małych paluszków”.

Teppic przeczołgał się do korytarza prowadzącego z warsztatu balsamistów. Wytężył słuch. W pałacu panowała cisza, jeśli nie li­czyć ciężkiego oddechu i z rzadka metalicznego brzęku. To Piraci pozbywała się biżuterii.

— Pospiesz się — rzucił. — Nie mamy zbyt wiele... Ptraci płakała.

— Hm... — powiedział Teppic. — Hm...

— Niektóre dostałam w prezencie od babci — szlochała Ptraci. — A parę dał mi stary król. Te kolczyki są w mojej rodzinie już strasz­nie dawno. Jakby ci było, gdybyś musiał zrobić coś takiego?

— Widzisz, synu, biżuteria nie jest dla niej po prostu czymś, co się nosi — wyjaśnił duch Teppicymona XXVII. — To część jej sa­mej.

Niech mnie, dodał do siebie, to chyba Mądrość. Dlaczego ła­twiej jest myśleć po śmierci?

— Ja żadnej nie noszę — przypomniał Teppic.

— Ale masz te sztylety i różne takie...

— Potrzebne mi są do pracy.

— No właśnie.

— Wiesz co? Nie musisz tu tego zostawiać. Włóż wszystko do mo­jej sakwy. Ale musimy już iść. Proszę!

— Do widzenia! — zawołał ze smutkiem król, patrząc, jak wymy­kają się na dziedziniec. Potem poszybował z powrotem do swego ciała, które jednak nie było najlepszym towarzystwem.

\* \* \*

Kiedy dotarli na dach, wiatr był silniejszy. Było też bardziej gorąco. I sucho.

Za rzeką jedna czy dwie piramidy zapaliły już swoje flary, jednak bardzo małe i wyglądające inaczej niż zwykle.

— Coś mnie swędzi — stwierdziła Piraci. — Co się dzieje?

— Chyba zbiera się na burzę — odparł Teppic, spoglądając na Wielką Piramidę. Absolutnie czarna, wydawała się trójkątem głęb­szej ciemności wśród nocy. Jacyś ludzie biegali wokół podstawy ni­czym szaleńcy, patrzący, jak płonie ich szpital.

— Co to jest burza?

— Trudno ją opisać — rzucił z roztargnieniem. — Czy widzisz, co oni tam robią?

Ptraci spojrzała za rzekę.

— Są bardzo zapracowani — uznała.

— Mnie to raczej wygląda na panikę.

Błysnęło jeszcze kilka piramid, ale zamiast wznieść się prosto w niebo, płomienie migotały i kołysały się na boki, szarpane nieist­niejącym wichrem.

Teppic otrząsnął się.

— Chodźmy — powiedział. — Pora cię stąd zabrać.

\* \* \*

**—**Mówiłem, że powinniśmy ją nakryć wieczorem! — wrza­snął Ptaclusp IIb, przekrzykując wycie piramidy. — Teraz już go nie podniosę! Muszą być potworne turbulencje!

Lód dnia parował z czarnego marmuru, ciepłego już w dotyku. IIb zerknął na ułożony na kozłach kamień szczytowy, po czym zwró­cił się do brata, który przybiegł tu w nocnej koszuli.

— Gdzie ojciec? — zapytał.

— Posłałem jednego z nas, żeby go obudził — odparł IIa.

— Kogo?

— Jednego z ciebie.

— Aha. — IIb znowu popatrzył na kamień. — Nie jest ciężki — za­uważył. — We dwóch moglibyśmy go wnieść. Spojrzał na brata pytająco.

— Chyba zwariowałeś. Poślij tam paru robotników.

— Wszyscy uciekli.

W dole rzeki jakaś piramida spróbowała zapalić flarę, zatrzesz­czała, po czym strzeliła skwierczącym, nierównym płomieniem, któ­ry łukiem przemknął po niebie i uziemił się tuż pod wierzchołkiem Wielkiej Piramidy.

— Ona już oddziałuje z innymi! — krzyknął IIb. — Chodź! Musi­my ją odpalić, to jedyny sposób!

Mniej więcej w jednej trzeciej wysokości piramidy błękitny zyg­zak z trzaskiem strzelił ze ściany i uderzył w kamiennego sfinksa. Powietrze nad nim zawrzało.

Obaj bracia chwycili kamień szczytowy i podbiegli chwiejnie do rusztowania. Pył wokół nich układał się w dziwaczne kształty.

— Słyszysz coś? — zapytał IIb, kiedy, potykając się, dotarli do pierwszej platformy.

— Chodzi ci o osnowę czasu i przestrzeni, przepuszczaną przez zgrzeblarkę? — upewnił się IIa.

Architekt rzucił bratu spojrzenie wyrażające pewien podziw. Potem jego twarz na nowo przybrała wyraz lekkiego przerażenia.

— Nie, nie to.

— A może o głos samego powietrza poddawanego straszliwym torturom?

— Nie, to też nie — odparł nieco zirytowany IIb. — Chodzi mi o te trzaski.

Trzy kolejne piramidy strzeliły wyładowaniami, które z piskiem przebiły kłęby chmur i wlały się w czarny marmur.

— Nic takiego nie słyszę — oświadczył IIa.

— Mam wrażenie, że dobiega z piramidy.

— Możesz przyłożyć do niej ucho, aleja nie mam zamiaru. Rusztowanie chwiało się w porywach wichury. Wspięli się na następną drabinę. Ciężki kamień kołysał się między nimi.

— Mówiłem, że nie powinniśmy tego robić — mruknął księgo­wy, gdy kamień zsunął mu się łagodnie na palce. — Nie powinniśmy jej budować.

— Zamknij się i podnieś swój koniec, dobrze?

I tak, pokonując kolejne chwiejne drabiny, bracia Ptacluspowie wspinali się wśród sporów na ścianę Wielkiej Piramidy. Pomniej­sze grobowce wzdłuż Djelu odpalały jeden po drugim, a niebo prze­cinały pasma skwierczącego ognia.

Mniej więcej w tej chwili największy matematyk na świecie, le­żąc w smrodliwym zaciszu swego boksu, przerwał przeżuwanie i uświadomił sobie, że coś złego dzieje się z liczbami. Ze wszystki­mi liczbami.

\* \* \*

Wielbłąd spoglądał wzdłuż nosa na Teppica. Wyraz mordy świadczył wyraźnie, że ze wszystkich jeźdźców na świecie, których najmniej chciałby nosić, chłopak trafił na szczyt listy. Co prawda wielbłądy patrzą tak na każdego. Mają niezwykle demokratyczny stosunek do ludzkiej rasy. Nienawidzą wszystkich jej przedstawicieli, bez względu na pozycję społeczną czy wyznanie. Ten wielbłąd wyglądał, jakby przeżuwał mydło. Teppic zerknął nerwowo w głąb mrocznych królewskich staj­ni, mieszczących niegdyś setki wielbłądów. Oddałby cały świat za konia, a średnich rozmiarów kontynent za kucyka. W stajni jednak pozostało jedynie kilka gnijących rydwanów bojowych, pamiątek po dawnej chwale, podstarzały słoń, którego obecność stanowiła zagadkę, oraz ten wielbłąd. Wyglądał na zwierzę wyjątkowo nieefek­tywne. Przecierał się już na kolanach.

— Nie mamy wyboru — zwrócił się Teppic do Ptraci. — Nie ośmie­lę się przemierzać nocą rzeki. Mógłbym spróbować przerzucić cię przez granicę.

— Czy to jest siodło, to po prawej? — spytała Ptraci. — Strasznie dziwnie wygląda.

— Bo to strasznie dziwne stworzenie. Jak mamy wsiąść?

— Widziałam kiedyś woźniców przy pracy — odparła. — Myślę, że trzeba je bardzo mocno uderzyć bardzo grubym kijem.

Wielbłąd uklęknął i spojrzał na nią z wyższością.

Teppic wzruszył ramionami, otworzył wrota do zewnętrznego świata i spojrzał prosto w twarze pięciu strażników.

Cofnął się. Oni postąpili naprzód. Trzech ściskało ciężkie, djelibeybiańskie łuki, których strzała może przebić drzwi albo zmie­nić szarżującego hipopotama w trzy tony ruchomego kebabu. Straż­nicy nigdy jeszcze nie musieli z nich strzelać do bliźnich, ale wyglą­dali na gotowych do rozważenia tego pomysłu.

Kapitan straży stuknął jednego z nich w ramię.

— Idź zawiadomić najwyższego kapłana — polecił. Potem zwrócił się do Teppica.

— Rzuć broń — rozkazał.

— Znaczy: całą?

— Tak. Całą.

— To może chwilę potrwać — uprzedził Teppic.

— I trzymaj ręce tak, żebym je widział — dodał kapitan.

— Zaje się, że osiągnęliśmy impas — stwierdził Teppic.

Przyglądał się strażnikom. Znał wiele metod walki wręcz, jed­nak wszystkie opierały się na fakcie, że przeciwnik nie może przebić człowieka strzałą przy najmniejszym ruchu. Prawdopodobnie mógł­by odskoczyć w bok, a wtedy pod osłoną wielbłądzich boksów grał­by na czas...

Ale taki manewr pozostawiłby Ptraci odsłoniętą. Poza tym nie powinien chyba walczyć z własnymi strażnikami. Takie zachowanie jest niedopuszczalne, nawet dla króla.

Za plecami strażników zrobił się jakiś ruch i po chwili w polu wi­dzenia pojawił się Dios, milczący i nieunikniony jak zaćmienie księ­życa. Trzymał płonącą pochodnię, rzucającą szaleńcze błyski na je­go łysinę.

— Aha — rzekł. — Złoczyńcy zostali schwytani. Dobra robota. — Skinął kapitanowi głową. — Rzućcie ich krokodylom.

— Dios? — odezwał się Teppic, gdy dwaj strażnicy ruszyli w jego stronę z wymierzonymi łukami.

— Czy coś powiedziałeś?

— Wiesz, kim jestem, człowieku. Nie żartuj sobie. Kapłan uniósł pochodnię.

— Masz nade mną przewagę, chłopcze — stwierdził. — W sensie metaforycznym, naturalnie.

— To wcale nie jest zabawne. Rozkazuję ci powiedzieć im, kim jestem.

— Jak sobie życzysz. Ten skrytobójca... — głos Diosa ciął i parzył niby palnik acetylenowy — ...zabił króla.

— Ja jestem królem, do licha — zawołał Teppic. — Jak mogłem sam siebie zabić?

— Nie jesteśmy głupcami — oświadczył Dios. — Ci ludzie wiedzą, że król nie włóczy się nocą po pałacu ani nie przebywa w towarzy­stwie skazanych przestępców. Pozostaje nam tylko odkryć, w jaki sposób pozbyłeś się ciała.

Wbił wzrok w twarz Teppica i chłopiec uświadomił sobie, że najwyższy kapłan jest naprawdę i całkowicie obłąkany. Był to rzad­ki rodzaj obłędu, wywołany przez bycie sobą tak długo, że zwyczaje normalności trwale wyryły się w mózgu. Ciekawe, ile naprawdę ma lat, pomyślał.

— Ci skrytobójcy to chytre sztuki — ostrzegł Dios. — Uważajcie na niego.

Coś uderzyło o ziemię obok kapłana. To Ptraci próbowała go trafić kijem na wielbłądy i chybiła.

Kiedy wszyscy znowu spojrzeli w jego stronę, Teppic zniknął. Strażnicy obok byli zajęci jękami i powolnym osuwaniem się na pod­łogę. .

Dios uśmiechnął się złowieszczo.

— Weźcie kobietę — warknął.

Kapitan podskoczył i chwycił Ptraci, która nie próbowała na­wet uciekać. Dios schylił się po kij.

— Na zewnątrz czeka więcej straży — poinformował. — Jestem przekonany, że zdajesz sobie z tego sprawę. Wyjdź. W swoim wła­snym interesie.

— Po co? — zapytał z cienia Teppic. Sięgnął do buta po dmu­chawkę.

— By z rozkazu króla zostać rzucony świętym krokodylom.

— Jest się do czego spieszyć, co? — Teppic gorączkowo skręcał elementy.

— Z pewnością jest to rozwiązanie przyjemniejsze od niektó­rych innych — wyjaśnił Dios.

W ciemności Teppic przesunął palcami po maleńkich wypu­kłościach kodu na strzałkach. Większość doskonałych trucizn z pew­nością już wyparowała albo rozłożyła się i stała nieszkodliwa, miał jednak kilka słabszych, mających klientom zapewnić co najwyżej mocny sen. Skrytobójca musi czasem w drodze do swego inhumowanego minąć kilku czujnych strażników. Inhumowanie ich także uważane jest za dowód złych manier.

— Mógłbyś nas wypuścić — zawołał. — Przypuszczam, że na tym właśnie ci zależy, prawda? Żebym odjechał i już nigdy nie wrócił. Mnie to odpowiada.

Dios wahał się.

— Powinieneś powiedzieć: I wypuśćcie dziewczynę — podpowie­dział.

— A tak. To również.

— Nie. Nie dopełniłbym wtedy mojego obowiązku wobec króla.

— Na rany bogów, Dios, przecież wiesz, że to ja jestem królem!

— Nie. Mam bardzo dokładny wizerunek króla i ty nim nie je­steś.

Teppic wyjrzał nad brzegiem ścianki boksu. Wielbłąd spojrzał mu przez ramię.

I wtedy cały świat oszalał.

Dobrze: oszalał bardziej.

\* \* \*

Wszystkie piramidy płonęły, przesłaniając niebo migotli­wym blaskiem. Bracia Ptacluspowie wspięli się na główną platformę roboczą. IIa osunął się na deski, dysząc jak zepsute miechy. Kilka stóp od nie­go wznosiła się ukośnie gorąca ściana. Teraz nie miał już wątpliwo­ści, że piramida naprawdę trzeszczy jak żaglowiec w szkwale. Nigdy nie zwracał uwagi na mechanikę, w przeciwieństwie do kosztów bu­dowy, ale był całkiem pewien, że ten dźwięk jest nieprawidłowy, jak II i II dające V.

Jego brat wyciągnął rękę, by dotknąć kamienia, ale cofnął ją natychmiast, gdy iskry strzeliły mu z palców.

— Czujesz, jaka jest ciepła? — zapytał. — To zdumiewające.

— Dlaczego?

— Podgrzać taką masę? Wiesz, sam ciężar...

— Nie podoba mi się to, Dwa-be — zająknął się IIa. — Może zosta­wimy kamień tutaj? Na pewno nic się nie stanie, a rano poślemy tu robotników, oni lepiej się na tym...

Kolejna flara zagłuszyła jego słowa: zatoczyła łuk na niebie i uderzyła w kolumnę drżącego powietrza, pięćdziesiąt stóp nad ni­mi. IIa przytrzymał się rusztowania.

— Niech Sod to porwie — rzekł. — Ja schodzę.

— Zaczekaj chwilę — zawołał IIb. — Pomyśl, co tak trzeszczy? Prze­cież kamień nie może trzeszczeć.

— To całe przeklęte rusztowanie się rusza. Nie bądź durniem. — IIa wytrzeszczył oczy na brata. — Powiedz, że to rusztowanie — błagał.

— Nie. Jestem tego pewien. Dźwięk dochodzi z wnętrza.

Spojrzeli po sobie, potem na rozchwianą drabinę prowadzącą na wierzchołek, a raczej do miejsca, gdzie wierzchołek powinien się znaleźć.

— Idziemy! — zarządził IIb. — Ona nie może odpalić i szuka in­nych dróg rozładowania...

Zahuczał głos potężny jak sieknięcie kontynentów.

\* \* \*

Teppic poczuł to. Miał wrażenie, że jego skóra stała się o kilka numerów za mała. Miał wrażenie, że ktoś trzyma go za uszy i odkręca głowę. Zobaczył, jak kapitan straży osuwa się na kolana i usiłuje zdjąć hełm. Wyskoczył z boksu.

Próbował wyskoczyć z boksu. Wszystko było nie tak, i wylądował ciężko na podłodze, która wyraźnie nie mogła się zdecydować, czy stać się ścianą. Zdołał się poderwać i coś szarpnęło go w bok. Tań­czył niezgrabnie, starając się utrzymać równowagę.

Stajnia rozciągała się i kurczyła jak obraz w krzywym zwiercia­dle. Widział już takie w Ankh, gdzie we trójkę poświęcili po pół mie­dziaka, by zobaczyć cuda Zapierającego Oddech Wędrownego Lu­naparku Dra Moonera. Ale wtedy wiedział, że to tylko nierówne szkło wyciąga mu głowę na kształt kiełbasy, a nogi zmienia w piłki. Teppic chciałby mieć pewność, że to, co dzieje się teraz, także ma jakieś niewinne wytłumaczenie. Trzeba by chyba bardzo krzywego lustra, żeby wszystko wyglądało normalnie.

Podbiegł na miękkich nogach do Ptraci i najwyższego kapła­na, a świat wokół niego rozciągał się i zaciskał. Odczuł satysfakcję wi­dząc, jak Ptraci wyrywa cię z uścisku Diosa i celnym ciosem trafia go za ucho.

Sunął jak we śnie, a odległości zmieniały się, jakby rzeczywi­stość nabrała elastyczności. Jeden krok i wpadł z rozpędu na wal­czącą parę. Chwycił Ptraci za ramię i zatoczył się do boksu wielbłą­da. Zwierzę wciąż przeżuwało i obserwowało całą scenę z czymś, co u wielbłądów najbliższe jest lekkiego zaciekawienia. Teppic szarpnął uprząż.

Nikt nie próbował ich zatrzymywać, kiedy wybiegli za bramę, prosto w obłąkaną noc.

— Pomaga, jeśli zamkniesz oczy — powiedziała Ptraci.

Teppic spróbował. Udało się. Dziedziniec, widoczny jako rozdy­gotany prostokąt, którego boki wibrowały jak cięciwy łuku, pod sto­pami stał się, no, stał się zwykłym dziedzińcem.

— To było sprytne — stwierdził z uznaniem. — Jak na to wpadłaś?

— Zawsze zamykam oczy, kiedy się czegoś boję.

— Dobry plan.

— Ale co się dzieje?

— Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Myślę, że wyjazd stąd to po­mysł zdumiewająco rozsądny. Mówiłaś, że jak zmusić wielbłąda do uklęknięcia? Mam przy sobie mnóstwo ostrych przedmiotów.

Wielbłąd, który w zakresie gróźb wystarczająco opanował ludz­ką mowę, uklęknął z godnością. Wspięli mu się na grzbiet i okoli­ca zafalowała raz jeszcze, gdy zwierzę stanęło.

Wielbłąd doskonale wiedział, co się dzieje. Trzy żołądki i sys­tem trawienny niczym zakład przetwórstwa chemicznego gwaran­tują dość czasu na myślenie.

Nie bez powodu wyższa matematyka powstaje zwykle w krajach gorących. To dzięki rezonansowi morficznemu wszystkich wielbłą­dów, których pogardliwa mina i słynna wywinięta warga są natural­nym skutkiem umiejętności rozwiązywania równań kwadratowych.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z naturalnych zdolności mate­matycznych wielbłądów, zwłaszcza w dziedzinie balistyki. Zdolność ta powstała w drodze ewolucji jako ułatwiająca przetrwanie, podobnie jak u człowieka koordynacja ręki i oka, barwy maskujące kame­leona, czy słynna skłonność delfinów do ratowania tonących, jeśli tylko istnieje ryzyko, że przegryzienie ich na połowy może być za­uważone i nieprzychylnie skomentowane przez innych ludzi.

Faktem jest, że wielbłądy są o wiele inteligentniejsze od delfi­nów[[19]](#footnote-19). Są tak mądre, że szybko odkryły najrozsądniejszą rzecz, jaką może zrobić każde inteligentne zwierzę, jeśli nie chce, by jego po­tomkowie spędzali czas na stole operacyjnym z elektrodami podłą­czonymi do mózgu, albo mocując miny do statków, albo pod rozka­zami tępych zoologów. Chodzi o to, żeby ludzie się nie dowiedzieli. Dlatego wielbłądy już dawno przyjęły taki styl życia, który w zamian za pewne usługi transportowe i za okładanie kijem gwarantuje im dostateczną ilość pożywienia, czesanie zgrzebłem, a czasem także możliwość bezkarnego splunięcia człowiekowi w oko.

Ten konkretny wielbłąd, wynik milionów lat działania doboru naturalnego, który stworzył istotę mogącą w biegu policzyć ziaren­ka piasku pod nogami, świadomie zamykać nozdrza i wiele dni prze­żyć bez wody pod gorącym słońcem, nazywał się Ty Draniu.

Był też największym matematykiem na świecie.

Ty Draniu myślał: pojawiła się chyba narastająca niestabilność wymiarowa, z amplitudą — na oko — od zera do czterdziestu pięciu stopni. Bardzo ciekawe. Zastanawiam się, jakie są przyczyny. Niech V równe 3. Niech Tau równe Chi/4. żujżujżuj Niech Kappa/y bę­dzie różniczkową dziedziną tensorową Cuchnącego Łobuza[[20]](#footnote-20) z czterema urojonymi współczynnikami spinu...

Ptraci przyłożyła mu w głowę sandałem.

— No już, rusz się! — krzyknęła.

Ty Draniu myślał: zatem H do potęgi generatora równe jest V/s, żujżujżuj, co w notacji hipersylogicznej daje...

Teppic obejrzał się. Niezwykłe zakrzywienia terenu gasły, a Dios...

Dios wybiegł z pałacu i zdołał nawet znaleźć kilku strażników, u których strach przez skutkami nieposłuszeństwa pokonał grozę wywołaną tajemniczymi zniekształceniami świata.

Ty Draniu stał ze stoickim spokojem i przeżuwał... żujżujżuj ...co daje interesującą malejącą oscylację. Jaki może mieć okres? Niech okres = x. żujżujżuj Niech t = czas. Niech okres początko­wy...

Ptraci podskakiwała mu na szyi i z całej siły kopała piętami, co u każdego antropoidalnego samca spowodowałoby wycie i walenie głową w mur.

— Nie chce się ruszyć! Możesz go czymś uderzyć?

Teppic z całej siły klepnął dłonią w skórę Ty Drania, unosząc chmurę kurzu i tracąc czucie w palcach. Zdawało mu się, że uderzył duży worek wypchany wieszakami.

— No już... — mruknął. Dios uniósł rękę.

— Stójcie, w imieniu króla! — zawołał.

Strzała stuknęła o garb Ty Drania.

...równa się 6,3, rekurencyjnie. Zredukujemy. To daje nam... auu... 314 sekund...

Ty Draniu odwrócił głowę na długiej szyi. Wielkie, włochate brwi wygięły się oskarżycielsko, a zmrużone żółte oczy namierzyły kapłana. Na chwilę zapomniał o ciekawym problemie i sięgnął do znajomych, starożytnych formuł, opracowanych przez jego rasę przed wiekami:

Niech odległość będzie równa czterdzieści jeden stóp. Niech prędkość wiatru wynosi 2. Wektor jeden-osiem. Niech lepkość wy­nosi 7...

Teppic chwycił nóż.

Dios nabrał tchu. Za chwilę rozkaże do nas strzelać, pomyślał Teppic. W moim imieniu, w moim własnym królestwie. Zastrzelą mnie.

...Kąt dwa-pięć. żuj Ognia.

To był wspaniały strzał. Gruda mazi osiągnęła godną podziwu prędkość i moment pędu i trafiła z dźwiękiem... z dźwiękiem pół funta przeżutej mazi trafiającej kogoś w twarz. Nic innego nie mo­że brzmieć podobnie.

Cisza, jaka nastąpiła, była niczym oklaski na stojąco.

Krajobraz znowu się odkształcił. Najwyraźniej nie był miejscem, w którym należałoby się zatrzymywać na dłużej. Ty Draniu spojrzał na swoje przednie nogi.

Niech nogi równe cztery...

Ruszył biegiem. Wydaje się czasem, że wielbłądy mają więcej kolan niż jakiekolwiek inne stworzenie; Ty Draniu pędził niczym lokomotywa, z licznymi dodatkowym wahnięciami pod kątem pro­stym do kierunku ruchu, z towarzyszeniem przeraźliwej kanonady odgłosów trawiennych.

— Durny zwierzak — westchnęła Ptraci, kiedy oddalili się od pa­łacu. — Ale chyba w końcu zrozumiał, o co chodzi.

...ekstremalnie niezmienniczy poziom iteracyjny 3,5/z. O czym ona mówi? Durny Zwierzak mieszka w Tsorcie...

Chociaż nogi Ty Drania poruszały się jak ściągnięte sparciałą gumą, pokonywały spory dystans. Po chwili wielbłąd pędził już po uśpionych, piaszczystych ulicach miasta.

— Znowu się zaczyna, prawda? — spytała Ptraci. — Zamknę oczy.

Teppic przytaknął. Domki z palonej cegły wokół nich znowu zaczynały swoje numery z krzywym zwierciadłem, a droga wznosiła się i opadała w sposób, jakiego żaden stały ląd nie miał prawa sto­sować.

— To jest jak morze — powiedział.

— Może tak, ale nic nie widzę — oświadczyła stanowczo Ptraci.

— Morze. Ocean. No wiesz. Fale.

— Słyszałam o nich. Czy ktoś nas ściga? Teppic obejrzał się.

— Nikogo nie widać — uspokoił ją. — Wygląda na to...

Ze swojego miejsca dostrzegał długą, niską sylwetkę pałacu, a za rzeką Wielką Piramidę. Niemal całkowicie przesłaniały ją ciem­ne chmury, ale to, co widział, było stanowczo niewłaściwe. Wiedział przecież, że piramida ma cztery ściany, a dostrzegał wszystkie osiem.

Zdawało się, że piramida rozmywa się trochę. Instynktownie zgadywał, że dla miliona ton skały jest to niebezpieczne zjawisko. Ogarnęło go silne pragnienie, by znaleźć się możliwie daleko stąd. Nawet taki tępy stwór jak wielbłąd wpadł chyba na ten sam pomysł.

Ty Draniu myślał: ...Delta kwadrat. Zatem ciśnienie wymiaro­we k spowoduje dziewięćdziesięciostopniową transformację w Chi(16/x/pu)t dla K-wiązki każdej z trzech niezmienniczych. Al­bo w czterech minutach plus-minus dziesięć sekund...

Wielbłąd spojrzał na swoje szerokie stopy.

Niech prędkość równa się galop.

— Jak to zrobiłaś? — zdziwił się Teppic.

— Nie zrobiłam! On tak sam z siebie! Trzymaj się!

Nie było to łatwe. Teppic założył siodło, ale zapomniał o uprzę­ży. Ptraci trzymała się garści sierści. Teppic miał do dyspozycji gar­ście Ptraci. Gdziekolwiek próbował położyć dłonie, napotykały miękkie, jędrne ciało. W jego długiej edukacji nic nie przygotowa­ło go na coś takiego, podczas gdy w edukacji Ptraci najwyraźniej wszystko. Jej długie włosy smagały mu twarz i kusząco pachniały rzadką perfumą[[21]](#footnote-21).

— Wszystko w porządku? — zawołał, przekrzykując wichurę.

— Trzymam się kolanami!

— To musi być bardzo trudne!

— Odebrałam specjalne przeszkolenie!

Wielbłądy galopują, wyrzucając stopy jak najdalej od siebie i biegnąc za nimi, żeby nie zostać w tyle. Z kolanami stukającymi jak obłąkane kastaniety Ty Draniu gnał drogą pod górę i z doliny, przemknął przez wąski parów prowadzący pod stromymi wapien­nymi urwiskami na pustynię.

Za nimi, udręczona ponad miarę potężną falą geometrii, nie­zdolna wyładować swego brzemienia Czasu, Wielka Piramida jęk­nęła i uniosła się z fundamentów. Jej ogromna bryła ze świstem roz­cinała powietrze, niepowstrzymanie jak coś niepowstrzymanego. Obróciła się dokładnie o dziewięćdziesiąt stopni i zrobiła coś per­wersyjnego z osnową czasu i przestrzeni.

Ty Draniu pędził parowem, z szyją wyciągniętą do przodu, z chrapami rozszerzonymi jak wloty powietrza odrzutowca.

— Przestraszył się! — krzyknęła Ptraci. — Zwierzęta zawsze wyczu­wają takie rzeczy!

— Jakie rzeczy?!

— Pożar lasu i inne!

— Nie mamy drzew!

— No to powodzie i... i inne! Mają jakiś niezwykły naturalny in­stynkt!

...Fi l700 [u/v]. Boczna e/v. Zawarta w przedziale od siedmiu do dwunastu...

Uderzył dźwięk. Był bezgłośny, jak słoneczny zegar wybijający północ, ale miał ciśnienie. Przetoczył się po nich, duszący jak ak­samit i mdlący jak stare salami.

I zniknął.

Ty Draniu zwolnił do kłusa, co było procedurą skomplikowaną i wymagającą dokładnych instrukcji dla każdej z nóg.

Panowała atmosfera uwolnienia, wrażenie rozładowanego na­pięcia.

Ty Draniu zatrzymał się. W szarości przedświtu dostrzegł kępę kolczastych syfacji, rosnących wśród przydrożnych kamieni.

...kąt lewy, x równe 37, y równe 19, z równe 43. Gryźć...

Zapadł spokój. Nie słychać było żadnego dźwięku prócz war­kotu systemu trawiennego wielbłąda i dalekiego pohukiwania pu­stynnej sowy.

Ptraci zsunęła się z siodła i ciężko wylądowała na ziemi.

— Moje siedzenie — oznajmiła, zwracając się do pustyni jako ta­kiej — to jeden wielki bąbel.

Teppic zeskoczył i na wpół pobiegł, na wpół zatoczył się po ru­mowisku przy drodze, by — skacząc po wapiennym wzniesieniu — dotrzeć do miejsca, skąd miał dobry widok na dolinę.

Nie było jej.

\* \* \*

Dil, mistrz balsamista, zbudził się. Wciąż panował mrok. Ciało Dila aż wibrowało przeczuciem, że stało się coś nie­dobrego. Wstał szybko, ubrał się i odsunął kotarę, pełnią­cą obowiązki drzwi.

Noc była cicha i aksamitna. Oprócz cykania owadów słyszał in­ny dźwięk, odgłos smażenia, ciche skwierczenie na granicy słyszal­ności.

Może to właśnie go zbudziło.

Powietrze było ciepłe i wilgotne. Kłęby mgły unosiły się nad rzeką i...

Nie płonęły flary piramid.

Wychował się w tym domu, od tysięcy lat należącym do mi­strzów balsamowania. Flary piramid oglądał tak często, że przestał je zauważać, tak samo jak nie zauważał własnego oddechu. Teraz jednak były ciemne i milczące; milczenie krzyczało, a ciemność ośle­piała.

Ale nie to było najgorsze. Kiedy przerażonym wzrokiem spoj­rzał na puste niebo nad nekropolią, zobaczył gwiazdy i to, do cze­go były umocowane.

Dii był przerażony. A potem, kiedy się chwilę zastanowił, za­wstydził się. W końcu, pomyślał, zawsze mi powtarzano, że tam jest. To rozsądne. Po prostu pierwszy raz w życiu to widzę.

Właśnie. I czy czuję się od tego lepiej?

Nie.

Odwrócił się i pobiegł ulicą, klapiąc sandałami. Dotarł do do­mu Gerna i jego licznej rodziny. Ściągnął protestującego ucznia ze wspólnej maty do spania, wywlókł go na ulicę i skierował jego twarz ku niebu.

— Powiedz, co widzisz — syknął. Gern zmrużył oczy.

— Widzę gwiazdy, mistrzu.

— A na czym one są, chłopcze? Gern odprężył się lekko.

— To proste, mistrzu. Wszyscy wiedzą, że gwiazdy tkwią na cie­le bogini Nept, która otacza łukiem... A niech to demony!

— Też ją widzisz?

— Mamusiu... — szepnął Gern i osunął się na kolana.

Dii pokiwał głową. Był człowiekiem religijnym. Wielką pocie­chą była dla niego świadomość, że gdzieś są bogowie. Wiedza, że są tutaj, była straszna.

W górze całe sklepienie nieba obejmowało wygięte w łuk ko­biece ciało, lekko niebieskawe, lekko mgliste w słabym świetle wod­nistych gwiazd.

Była gigantyczna, a jej wymiary międzygwiezdne. Cień między galaktycznymi piersiami był ciemną mgławicą, brzuch wielką chmu­rą lśniącego gazu, pępek wrzącym, mrocznym żarem, w którym ro­dzą się nowe gwiazdy. Nie podtrzymywała nieba. Ona była niebem.

Jej potężne, smutne oblicze, odwrócone brodą do góry na ob­rotowym horyzoncie, wpatrywało się prosto w Dila. A Dii zaczynał sobie uświadamiać, że niewiele jest rzeczy, które mogą zachwiać wiarą tak jak zobaczenie wyraźnie i na własne oczy obiektu tej wia­ry. Zobaczyć bowiem, wbrew powszechnym przekonaniom, wcale nie znaczy uwierzyć. Wtedy właśnie wiara się kończy, ponieważ nie jest więcej potrzebna.

— Na Soda... — jęknął Gern. Dii uderzył go w ramię.

— Przestań — polecił. — I chodź ze mną.

— Ale mistrzu, co my teraz zrobimy?

Diii rozejrzał się po śpiącym mieście. Nie miał najmniejszego pojęcia.

— Pójdziemy do pałacu — rzekł stanowczo. — To pewnie tylko złudzenie, załamanie tego, no... ciemności. Zresztą niedługo wzej­dzie słońce.

Ruszył pospiesznie, żałując, że nie może zamienić się z Gernem i okazać choćby odrobiny tępego przerażenia. Uczeń szedł za nim krokiem, który był połączeniem czołgania i galopu.

— Widzę cienie padające na gwiazdy, mistrzu! Też je widzicie, mistrzu? Przy krawędzi świata, mistrzu!

— To tylko mgła, chłopcze — odparł Dii. Przezornie patrzył wprost przed siebie, zachowując pełną godności postawę, jaka przy­stoi Strażnikowi Lewych Drzwi Loży Natrońskiej i zdobywcy licz­nych nagród za technikę szycia.

— Tam — wyciągnął rękę. — Spójrz, Gern, słońce już wschodzi. Przystanęli, żeby popatrzeć. Potem Gern zaskowyczał cichutko.

Po niebie wolno sunęła wielka płomienna kula. Popychał ją skarabeusz większy niż światy.

**CZĘŚĆ III**

**Księga Nowego Końca**

Słońce wstało, a że nie działo się to w Starym Państwie, było zwykłą kulą płonących gazów. Fioletowa noc na pustyni wyparowała V pod jego gorącym spojrzeniem. Jaszczurki przemykały do szcze­lin w skałach, a Ty Draniu ułożył się w skąpym cieniu tego, co po­zostało z krzewów syfacji, rozejrzał się pogardliwie i zaczął przeżu­wać, obliczając pierwiastki kwadratowe przy podstawie siedem.

Teppic i Ptraci znaleźli wreszcie skrawek cienia pod skalną przewieszką i siedzieli, smętnie wpatrzeni w fale żaru unoszące się nad kamieniami.

— Nie rozumiem — oświadczyła Ptraci. — Wszędzie szukałeś?

— Przecież to kraj! Nie mógł przecież wpaść do jakiejś dziury w ziemi!

— To gdzie jest? — zapytała spokojnie Ptraci.

Teppic jęknął. Choć żar uderzał jak młotem, ruszył szukać mię­dzy kamieniami, jakby trzysta mil kwadratowych mogło się ukryć pod jakimś odłamkiem czy za krzakiem.

Szlak opadał między urwiska i niemal natychmiast wznosił się znowu i prowadził dalej przez wydmy do tego, co w oczywisty sposób było Tsortem. Teppic poznał nawet wygładzonego wiatrem sfinksa, postawionego jako znak graniczny. Legenda głosiła, że w czasie największej potrzeby czai się na granicach, choć nie tłu­maczyła po co.

Teppic wiedział, że galopowali do Efebu. Powinien teraz spo­glądać na żyzną, nakrapianą piramidami dolinę Djelu, leżącą po­między dwoma krajami.

Szukał jej przez całą godzinę.

Rzecz była niewytłumaczalna. Niesamowita. A także bardzo kło­potliwa.

Osłonił oczy i po raz tysięczny zbadał wzrokiem cichą, przypie­kaną słońcem okolicę. Przesunął głowę. I zobaczył Djelibeybi.

Na moment pojawiło się w polu widzenia. Powrócił wzrokiem w to samo miejsce i zobaczył je znowu: błysk mglistego koloru, któ­ry znikał, gdy tylko skupił na nim wzrok.

Kilka minut później Ptraci wyjrzała z cienia i zobaczyła Teppica na czworakach. Kiedy zaczął odwracać kamienie, uznała, że po­winien schować się przed słońcem.

Strząsnął z ramienia jej dłoń i niecierpliwie Zamachał rękami.

— Znalazłem je!

Wyjął z buta nóż i zaczął stukać w kamienie.

— Gdzie?

— Tutaj!

Przyłożyła mu dłoń do czoła.

— Oczywiście — powiedziała. — Rozumiem. Tak. A teraz lepiej chodźmy do cienia.

— Nie, naprawdę! Tutaj! Popatrz!

Przykucnęła i — żeby mu sprawić przyjemność — spojrzała na kamień.

— Widzę pęknięcie — oświadczyła w powątpiewaniem.

— Przyjrzyj mu się, dobrze? Musisz odwrócić głowę i patrzeć tak jakby kątem oka.

Sztylet Teppica uderzył w rysę, będącą zaledwie cieniutką linią na kamieniu.

— Daleko się ciągnie — zauważyła Ptraci, spoglądając na rozpa­loną nawierzchnię szlaku.

— Od Drugiej Katarakty aż do Delty. Pomaga, jeśli zakryjesz jed­no oko ręką. Proszę cię, spróbuj. Proszę.

Z wahaniem podniosła dłoń do oka i posłusznie spojrzała z ukosa na kamień.

— Nic z tego — stwierdziła po chwili. — Nic nie... Widzę!

Przez chwilę trwała bez ruchu, po czym rzuciła się w bok. Teppic zrezygnował z prób wbicia w rysę sztyletu i podczołgał się do niej.

— Byłam na samej krawędzi! — łkała.

— Widziałaś? — zapytał z nadzieją.

Pokiwała głową, po czym bardzo ostrożnie wstała i wycofała się.

— Czy miałaś wrażenie, jakby oczy wywróciły się na drugą stro­nę? — spytał Teppic.

— Tak — odparła chłodno Ptraci. — Czy mogę dostać moje bran­solety?

— Co?

— Bransolety. Schowałeś je do kieszeni. Chcę je z powrotem.

Teppic wzruszył ramionami i sięgnął do sakiewki. Bransolety były głównie miedziane, z kawałkami spękanej emalii. Tu i tam rze­mieślnik bez większych sukcesów próbował stworzyć coś interesu­jącego z kawałków pogiętego drutu i grudek kolorowego szkła. Ptra­ci zaczęła, wsuwać je kolejno.

— Czy mają jakieś znaczenie okultystyczne? — zapytał Teppic.

— A co to znaczy?

— Aha. Więc po co są ci potrzebne?

— Mówiłam przecież. Bez nich nie czuję się ubrana. Teppic wzruszył ramionami i zajął się wciskaniem noża w rysę na kamieniu.

— Po co to robisz? — spytała. Przerwał i zastanowił się.

— Sam nie wiem — przyznał. — Ale przecież widziałaś dolinę, prawda?

— Tak.

— No właśnie.

— Co właśnie?

Teppic wzniósł oczy do nieba.

— Nie wydaje ci się, że to trochę, no, niezwykłe? Cały kraj nagle zniknął. Czegoś takiego nie widuje się codziennie, do licha.

— Skąd mogę wiedzieć? Nigdy dotąd nie opuszczałam doliny. Nie mam pojęcia, jak powinna wyglądać z zewnątrz. I nie przeklinaj.

Teppic pokręcił głową.

— Chyba położę się w cieniu — postanowił. — W tym, co z niego zostało — poprawił się, gdyż mosiężnej barwy światło słońca wypala­ło cienie. Potykając się, dotarł pod skałę i usiadł.

— Cała dolina się zamknęła — oświadczył po chwili. — Wszyscy ludzie...

— Widziałam ogniska — pocieszyła go, siadając obok.

— To ma jakiś związek z piramidą — stwierdził. — Dziwnie wyglą­dała, kiedy uciekaliśmy. Na pewno magia albo geometria, albo jed­no i drugie. Jak myślisz, czy możemy wrócić?

— Nie chcę wracać. Po co miałabym wracać? Czekają mnie kro­kodyle. Nie wrócę tylko dla krokodyli.

— Hm... Mógłbym cię ułaskawić albo co...

— A tak. — Ptraci oglądała swoje paznokcie. — Rzeczywiście, mó­wiłeś, że jesteś królem.

— Bo jestem! Moje królestwo jest... — zawahał się, nie wiedząc, w którą stronę wyciągnąć rękę — ...gdzieś. Jestem jego władcą.

— Nie wyglądasz na króla — zauważyła Ptraci.

— Dlaczego nie?

— On nosił złotą maskę.

— To byłem ja!

— I rozkazałeś rzucić mnie krokodylom?

— Tak. To znaczy nie. — Teppic zająknął się. — To znaczy król rozkazał, ale nie ja. W pewnym sensie. Zresztą to przecież ja cię ura­towałem — dodał rycersko.

— No właśnie. A gdybyś był królem, to byłbyś też bogiem. W tej chwili nie zachowujesz się bosko.

— Tak? Właściwie... Hm. — Teppic znów się zawahał. Dosłowny umysł Ptraci wymagał dużej staranności w konstru­owaniu prostych zdań, zanim zostaną wysłane w świat.

— W zasadzie dobrze sobie radzę ze wschodem słońca — zauwa­żył. — Chociaż nie wiem jak. I rzeki. Jeśli chcesz, żeby jakaś rzeka wylała, to jestem odpowiednim człowiekiem. Znaczy: bogiem.

Urwał, poruszony nagłą myślą.

— Zastanawiam się, co się tam dzieje beze mnie — mruknął. Ptraci wstała i ruszyła w głąb wąwozu.

— Gdzie idziesz? Obejrzała się.

— No cóż, panie królu, boże, skrytobójco czy co tam jeszcze. Potrafisz stworzyć wodę?

— Co? Tutaj?

— Do picia. Może w tej szczelinie ukrywa się rzeka, a może nie, ale i tak się do niej dostaniemy. Dlatego musimy dotrzeć gdzieś, gdzie to się uda. To proste. Moim zdaniem nawet król powinien to zrozumieć.

Pobiegł za nią do osypiska, gdzie z szyją wyciągniętą na ziemi le­żał Ty Draniu, strzygąc z gorąca uszami i stosując teorię całek prze­stępnych Złośliwego Bydlaka do ciągu obiecujących liczb cissoidalnych. Ptraci kopnęła go ze złością.

— A wiesz, gdzie jest woda? — zapytał Teppic.

...e/27. Jedenaście mil...

Ptraci spojrzała na niego gniewnie, spod pomalowanych hen­ną powiek.

— To znaczy, że ty nie wiesz? Chciałeś mnie wywieźć na pustynię i nie wiesz, gdzie jest woda?

— Wiesz, spodziewałem się raczej, że zdołam zabrać trochę ze sobą!

— Nawet o tym nie pomyślałeś!

— Słuchaj, nie możesz się tak do mnie odzywać! Jestem królem! — Teppic urwał. — Masz rację — przyznał po chwili. — Nie pomyśla­łem. Tam skąd pochodzę, codziennie pada deszcz. Przepraszam.

Ptraci zmarszczyła czoło.

— Jaki spada wieszcz?

— Nie, deszcz. No wiesz... Bardzo rzadka woda spadająca z nieba.

— Bezsensowny pomysł. A skąd pochodzisz? Teppic zrobił nieszczęśliwą minę.

— Pochodzę z Ankh-Morpork. Ale urodziłem się tutaj.

Spojrzał na szlak. Tutaj, jeśli człowiek wiedział, gdzie szukać; wtedy mógł znaleźć ledwie widoczną rysę na skale. Przecinała urwi­ska po obu stronach: skaza grubości linii, przypadkiem mieszcząca w sobie całe nadrzeczne państwo i siedem tysięcy lat historii.

Nienawidził każdej spędzonej tam minuty. A teraz zamknęło się przed nim. I ponieważ nie mógł, bardzo pragnął tam wrócić.

Wrócił, pochylił się i zasłonił dłonią oko. Wystarczyło przekrzy­wić głowę, o tak...

Mignęło w polu widzenia i znikło. Spróbował jeszcze, ale już go nie zobaczył.

A gdyby rozłupać skały? Nie, głuptasie, pomyślał. To przecież li­nia. Nie można się dostać do wnętrza linii. Linia nie ma grubości. To dobrze znany fakt geometryczny.

Usłyszał, że Piraci podchodzi do niego i w następnej chwili po­czuł jej dłonie na karku. Przez moment zastanawiał się, skąd zna Morderczy Chwyt Cathartiego, ale potem jej palce zaczęły delikat­nie masować mięśnie; pod ich fachową pieszczotą kurcze znikały niczym tłuszcz na gorącym nożu. Zadrżał, gdy spłynęło z niego na­pięcie.

— To miłe — powiedział.

— Uczymy się tego. Na ścięgnach masz supły jak kulki na drucie.

Teppic z wdzięcznością opadł na jeden z głazów zaścielających podstawę urwiska i pozwolił, by rytmiczne ruchy jej palców dawały zapomnienie o problemach nocy.

— Nie wiem, co robić — wymruczał. — To bardzo przyjemne.

— Bycie podręczną nie sprowadza się tylko do obierania wino­gron — odparła Ptraci. — Na pierwszej lekcji uczą nas, że kiedy pan wraca po długim i ciężkim dniu, nie jest to najlepsza chwila, by mu zaproponować Kongres Lisa i Persymony. Kto powiedział, że mu­sisz cokolwiek robić?

— Czuję się odpowiedzialny. — Teppic zmienił pozycję niczym kot.

— Gdybyś znalazł gdzieś harfę, mogłabym ci zagrać coś uspo­kajającego. Doszłam aż do „Wycieczki Goblinów” w Księdze I.

— Rozumiesz, król nie powinien pozwolić, żeby jego królestwo tak sobie zniknęło.

— Inne dziewczęta znały akordy i w ogóle — westchnęła z żalem Ptraci. — Ale stary król zawsze powtarzał, że woli słuchać mnie. Mó­wił, że go rozweselam.

— Nazwą je Zaginionym Królestwem — powiedział sennym gło­sem Teppic. — Jak się wtedy poczuję? No jak?

— Mówił też, że lubi mój śpiew. Wszyscy inni uważali, że przy­pomina skrzeczenie stada sępów, które znalazły zdechłego osła.

— Król Zaginionego Królestwa. To będzie straszne. Muszę je odzyskać.

Ty Draniu wolno obrócił masywną głowę, śledząc lot zabłąkanej muchy; w głębi umysłu migotały długie kolumny czerwonych cyfe­rek, określające wektory prędkości i wznoszenia. Rozmowy istot ludzkich rzadko go interesowały, lecz przyszło mu do łba, że samce i samice najlepiej radzą sobie ze sobą, gdy żadne nie słucha uważ­nie tego, co mówi drugie. U wielbłądów wszystko wygląda prościej.

Teppic wpatrzył się w linię na skałach. Geometria... To jest to.

— Pojedziemy do Efebu — postanowił. — Oni tam znają się na geometrii i mieli kilka bardzo nierozsądnych idei. Nierozsądne idee to coś, czego teraz najbardziej nam potrzeba.

— Po co nosisz te wszystkie noże i w ogóle? To znaczy... tak na­prawdę?

— Hmm... Słucham?

— Wszystkie te noże. Po co? Teppic zastanowił się.

— Przypuszczam, że bez nich nie czuję się odpowiednio ubrany — wyjaśnił.

— Aha.

Ptraci pilnie szukała nowego tematu rozmowy. Otwieranie Te­matów Dowcipnego Dyskursu także było częścią obowiązków pod­ręcznej. Nie radziła sobie z tym najlepiej. Inne dziewczęta wymy­ślały zdumiewające kombinacje: wszystko od zwyczajów godowych krokodyli po spekulacje o życiu w krainie umarłych. Dla niej trud­ny był każdy krok, poczynając od rozmowy o pogodzie.

— Wiesz — zaczęła — zabiłeś pewnie mnóstwo ludzi.

— Mm?

— Jako skrytobójca. Płacą ci za zabijanie ludzi. Wielu ich zabi­łeś? Wiesz, że stale napinasz mięśnie karku?

— Chyba nie powinienem o tym mówić — odparł.

— Chcę wiedzieć. Skoro mamy razem pokonać pustynię i w ogó­le... Więcej niż stu?

— Wielkie nieba, nie!

— No to mniej niż pięćdziesięciu? Teppic przewrócił się na plecy.

— Posłuchaj. Nawet najsłynniejsi skrytobójcy nie zabili w życiu więcej niż trzydziestu ludzi.

— Czyli mniej niż dwudziestu?

— Tak.

— Mniej niż dziesięciu?

— Myślę — oznajmił Teppic — że najlepiej określić to jako liczbę pomiędzy zerem a dziesiątką.

— Bo powinnam wiedzieć. Takie rzeczy są ważne.

Podeszli do Ty Drania. Teraz Teppic był czymś wyraźnie przejęty.

— Cały ten senat... — zaczął.

— Kongres — poprawiła go Ptraci.

— Ty... tego... więcej niż pięćdziesięciu ludzi?

— Takie kobiety inaczej się nazywają — oświadczyła Ptraci, choć bez gniewu.

— Przepraszam. Mniej niż dziesięciu?

— Powiedzmy, że liczbę pomiędzy zerem a dziesiątką. Ty Draniu splunął. Z dwudziestu stóp strącił muchę i przykleił ją do skały.

— Zadziwiające, że mu się udało — mruknął Teppic. — Pewnie zwierzęcy instynkt.

Ty Draniu spojrzał na niego z wyższością spod rzęs nadających się do zamiatania pustyni.

...Niech z = eiO, myślał, żujżujżuj Niech dz = ie[iO]dO = izdO al­bo dO = dz/iz...

\* \* \*

Ptaclusp, wciąż w nocnej koszuli, snuł się bez celu wśród gruzów u podstawy piramidy.

Szumiała jak turbina. Ptaclusp nie wiedział dlaczego, nie miał pojęcia o gigantycznej energii, która skręciła wymiary o dzie­więćdziesiąt stopni i utrzymywała je tak, mimo straszliwych naprę­żeń. Przynajmniej ustały te niepokojące wiry temporalne. Wokół siebie widział mniej synów niż zwykle. Właściwie to chętnie by zna­lazł jednego czy dwóch.

Najpierw jednak znalazł kamień szczytowy, popękany, z łusz­czącą się powłoką elektrum. Spadając z piramidy, uderzył w posąg Hata, Sępiogłowego Boga Niespodziewanych Gości, zginając go wpół i nadając jego obliczu wyraz lekkiego zaskoczenia.

Cichy jęk kazał Ptacluspowi podbiec do zwalonego namiotu. Szarpnął za ciężkie płótno i odsłonił IIb, który zamrugał niepew­nie w szarym świetle.

— Nie udało się, tato! — jęknął. — Prawie go tam donieśliśmy, a potem ona cała się tak jakby skręciła! Budowniczy podniósł belkę z nóg syna.

— Złamałeś coś? — spytał.

— Nie, potłukłem się tylko. — Młody architekt skrzywił się i ro­zejrzał dookoła.

— Gdzie Dwa-a? — zainteresował się. — Był wyżej ode mnie, pra­wie na wierzchołku...

— Znalazłem go — rzekł Ptaclusp.

Architektom nie przypisuje się zdolności do odczytywania subtelnych odcieni znaczeń, ale IIb usłyszał w głosie ojca ołowianą nutę.

— Nie zginął chyba? — szepnął.

— Chyba nie. Nie jestem pewien. Żyje. Ale. Porusza się... po­rusza się... lepiej sam zobacz. Myślę, że przydarzyło mu się coś kwantowego.

\* \* \*

Ty Draniu szedł z prędkością około 1,247 metra na sekun­dę i by jakoś bronić się przed nudą, przeliczał złożone współrzędne sprzężone. Piasek chrzęścił pod jego wielki­mi, talerzowatymi stopami.

Brak palców był kolejnym czynnikiem przyspieszającym rozwój intelektualny wielbłądów. Rozwój matematyczny ludzi zawsze był hamowany przez powszechną instynktowną skłonność, by wobec czegoś naprawdę skomplikowanego — jak choćby wielomiany trój-foremne czy różniczki parametryczne — liczyć na palcach. Wielbłą­dy od samego początku liczyły na liczbach.

Pustynie także pomogły. Niewiele rzeczy rozpraszało uwagę. Je­śli chodzi o wielbłądy, najlepszą metodą osiągnięcia błyskawiczne­go rozwoju intelektu jest brak zajęć i brak jakichkolwiek możliwo­ści, by się nimi zajmować.

Wspiął się na szczyt wydmy, z aprobatą spojrzał na falujące pia­ski przed sobą i zaczął myśleć logarytmami. — Jak jest w Efebie? — zapytała Ptraci.

— Nigdy tam nie byłem. Słyszałem, że rządzi nimi Tyran.

— Mam nadzieję, że się z nim nie spotkamy.

Teppic pokręcił głową.

— To nie tak — wyjaśnił. — Co pięć lat mają nowego Tyrana i najpierw coś z nim robią. — Zawahał się. — To chyba się nazywa eelekcja.

— Czy chodzi o to, co się robi kotom, bykom i różnym takim?

— Ehm...

— No wiesz. Żeby przestały walczyć i były spokojniejsze. Teppic skrzywił się.

— Szczerze mówiąc, nie jestem pewien — przyznał. — Ale nie przypuszczam. Mają coś, czym to robią, mówią na to mokracja, i to znaczy, że każdy w całym kraju może powiedzieć, kim będzie nowy Tyran. Jeden człowiek, jeden... — Urwał. Lekcje historii polityki wy­dawały się bardzo odległe, poza tym wprowadzały koncepcje, o ja­kich w Djelibeybi nawet nie słyszano. Zresztą w Ankh-Morpork rów­nież. Spróbował jednak mimo wszystko. — Jeden człowiek, jeden krzyk.

— Krzyczą na tę eelekcję?

Wzruszył ramionami. Całkiem możliwe.

— Chodzi o to, rozumiesz, że każdy ma prawo. Są z tego bar­dzo dumni. Każdy ma... — zająknął się znowu, pewien już, że coś pomylił — ...prawo do krzyku. Oprócz kobiet, naturalnie. I dzieci. I przestępców. I niewolników. I głupich. I cudzoziemców. I takich, którzy zostali potępieni z ee... różnych powodów. I jeszcze wielu innych. Ale poza nimi, wszyscy. To bardzo postępowa cywilizacja.

Ptraci przemyślała tę sprawę.

— I to jest ta mokracja, tak?

— Wymyślili ją w Efebie, rozumiesz. — Teppic miał niejasne uczucie, że powinien jej bronić.

— Założę się, że mają kłopoty z eksportem — oświadczyła sta­nowczo Ptraci.

\* \* \*

Słońce nie było tylko kulą płonącego nawozu popychaną po nieboskłonie przez gigantycznego żuka. Było także ło­dzią. Zależy, jak kto na nie patrzył. Słoneczne światło różniło się od zwykłego. Było przymglone, jak wo­da pozostawiona na długie tygodnie w szklanym naczyniu. Nie niosło w sobie radości. Oświetlało, ale bez życia.; przypominało raczej jasny blask księżyca niż światło dnia.

Ptaclusp jednak bardziej niepokoił się o syna.

— Wiesz, co się z nim stało? — zapytał.

Drugi syn żałośnie gryzł rysik. Bolała go ręka. Spróbował do­tknąć brata, ale iskra wyładowania spaliła mu skórę na palcach.

— Może... — odpowiedział.

— Umiesz to wyleczyć?

— Raczej nie.

— Więc co to jest?

— Widzisz, tato, kiedy weszliśmy z nim na piramidę... kiedy nie mogła odpalić, rozumiesz... jestem pewien, że odwróciła się... czas, widzisz, to tylko kolejny wymiar... um.

Ptaclusp przewrócił oczami.

— Dość tego architektonicznego gadania, synu — oświadczył. — Co z nim jest?

— Myślę, że jest wymiarowo niedopasowany, tato. Czas i prze­strzeń trochę mu się pomieszały. Dlatego ciągle porusza się w bok. Ptaclusp IIb uśmiechnął się mężnie.

— Zawsze przemykał bokiem — przypomniał Ptaclusp. Jego syn westchnął.

— Owszem, tato — przyznał. — Ale to było normalne. Wszyscy księgowi to robią. Teraz chodzi bokiem, ponieważ, no, ponieważ dla niego to czas.

Ptaclusp zmarszczył czoło. Powolne dryfowanie w bok nie sta­nowiło jedynego problemu IIa. Był także płaski. Nie płaski jak kar­ta, z przodem, tyłem i krawędzią, ale płaski z każdej strony.

— Przypomina mi tych ludzi z fresków. Gdzie ma głębokość czy jak to się nazywa?

— Myślę, że w czasie — odparł bezradnie IIb. — Naszym, nie jego. Ptaclusp okrążył syna i dostrzegł, jak płaskość za nim podąża. Poskrobał się w podbródek.

— Czyli może poruszać się w czasie, tak? — zapytał powoli.

— Tak, to możliwe.

— A może by go namówić, żeby przespacerował się parę mie­sięcy wstecz i uprzedził nas przed budową tej przeklętej piramidy?

— Nie ma z nim kontaktu, tato.

— Czyli pod tym względem się nie zmienił...

Ptaclusp usiadł ciężko na kawałku gruzu i ukrył twarz w dło­niach. Do czego to doszło... Jeden syn normalny i głupi, drugi pła­ski jak cień. Jakie życie czeka tego płaskiego biedaka? Przyjdzie mu otwierać zamki, oczyszczać z lodu szyby samochodowe i sypiać tanio w prasowalnicach spodni w pokojach hotelowych[[22]](#footnote-22). Umiejętność przechodzenia pod drzwiami i czytania książek bez ich otwierania nie wynagrodzi wszystkich strat.

IIa przesunął się w bok — płaska naklejka na pejzażu.

— Czy nic nie można zrobić? — zawołał Ptaclusp. — Zrolować go albo co...?

IIb wzruszył ramionami.

— Moglibyśmy postawić mu coś na drodze. To nawet niezły po­mysł. Dzięki temu na pewno nie przydarzy mu się nic gorszego, po­nieważ, hm, nie będzie czasu na przydarzenie. Tak myślę.

Przepchnęli na ścieżkę zgiętą statuę Hata, Sępiogłowego Bo­ga. Po minucie czy dwóch powolny boczny dryf doprowadził IIa do posągu. Strzeliła gruba niebieska iskra i nadtopiła kamień, ale ruch ustał.

— Skąd iskra? — spytał Ptaclusp.

— Myślę, że to coś w rodzaju flary.

Ptaclusp nie stałby się tym, kim był dzisiaj... nie, musiał się po­prawić... nie stałby się tym, kim był wczoraj wieczorem, gdyby nie potrafił dostrzec zysku w najbardziej nawet nieprawdopodobnym zbiegu okoliczności.

— Zaoszczędzi na ubraniach — zauważył. — Patrz, można je na nim namalować.

— Chyba nie całkiem zrozumiałeś, tato. — IIb westchnął ciężko, usiadł obok ojca i spojrzał w stronę pałacu za rzeką.

— Coś się tam dzieje — mruknął Ptaclusp. — Myślisz, że zauważyli piramidę?

— Wcale bym się nie zdziwił. Przekręciła się przecież o dziewięć­dziesiąt stopni.

Ptaclusp obejrzał się przez ramię i pokiwał głową.

— Zabawne — oświadczył. — Chyba niewielka destabilizacja struk­turalna.

— Tato, to przecież piramida! Powinniśmy ją odpalić! Mówiłem ci! Energia zaangażowana... Nie, to zbyt...

Padł na nich cień. Rozejrzeli się dookoła. Spojrzeli w górę. Po­patrzyli chwilę.

— Wielkie niebiosa... — szepnął Ptaclusp. — To przecież Hat, Sępiogłowy Bóg...

\* \* \*

Efeb leżał przed nimi niczym klasyczny poemat wykuty w białym marmurze, rozpostarty wokół skały nad zatoką jaskrawego błękitu... — Co to jest? — spytała Ptraci po chwili obserwacji.

— To morze — wyjaśnił Teppic. — Mówiłem ci, pamiętasz? Fale i różne takie.

— Mówiłeś, że jest zielone i poszarpane.

— Czasem jest.

— Hmm.

Jej ton sugerował, że nie aprobuje morza. Zanim jednak zdo­łała wytłumaczyć dlaczego, usłyszeli podniesione głosy. Dobiegały zza pobliskiej wydmy.

Na wydmie stała tablica.

Napis w kilku językach głosił: OŚRODEK TESTOWANIA AK­SJOMATÓW.

Poniżej, mniejszymi literami, dodawał: UWAGA — NIEROZ­STRZYGNIĘTE POSTULATY

Kiedy czytali, a przynajmniej kiedy Teppic czytał, za wydmą coś brzęknęło, potem stuknęło, a potem strzała świsnęła im nad gło­wami. Ty Draniu zerknął na nią, po czym odwrócił głowę i wpatrzył się w niewielki obszar piasku.

Sekundę później strzała wbiła się w ów piasek.

Ty Draniu ocenił obciążenie stóp i wykonał niewielki rachu­nek, który doprowadził go do wniosku, że dwoje ludzi zostało od­jętych od jego grzbietu. Dalsze obliczenia wykazały, że ludzie ci zo­stali dodani do wydmy.

— Czemu to zrobiłeś? — spytała Ptraci, wypluwając z ust piasek.

— Ktoś do nas strzelał!

— Nie przypuszczam. Przecież nie wiedzieli, że tu jesteśmy. Nie musiałeś mnie zrzucać.

Teppic bez entuzjazmu uznał jej argumentację i ostrożnie podczołgał się po sypkiej powierzchni wydmy. Glosy znów się kłóciły:

— Zrezygnować?

— Po prostu nie ustaliliśmy poprawnie wszystkich parametrów.

— Powiem ci, co tu jest niepoprawne.

— A cóż takiego?

— To, że nie mamy więcej tych przeklętych żółwi. To jest nie­poprawne.

Teppic ostrożnie wysunął głowę nad szczyt wydmy.

Zobaczył rozległy otwarty plac, otoczony rzędami skompliko­wanych znaczników i chorągiewek. Stały tam jeden czy dwa bu­dynki, złożone głównie z klatek, i kilka dziwnych konstrukcji, któ­rych zastosowania się nie domyślał. Pośrodku zobaczył dwóch mężczyzn: jeden niski, gruby i rumiany, drugi wysoki, smukły, z wy­raźnie władczą miną. Ubrani byli w prześcieradła. Wokół nich tło­czyła się grupka niewolników, ubranych w prawie nic. Jeden trzy­mał łuk.

Kilku zaś trzymało żółwie na patykach. Wyglądały żałośnie, jak żółwiowe lizaki.

— Poza tym to okrutne — powiedział wyższy mężczyzna. — Bied­ne zwierzątka. Tak smutnie wyglądają ze zwisającymi łapkami.

— To logicznie niemożliwe, żeby strzała w nie trafiała! — Gruby mężczyzna rozłożył ręce. — Nie powinna! Pewnie dostarczasz mi nie­odpowiednich żółwi — dodał oskarżycielskim tonem. — Powinniśmy spróbować jeszcze raz, z szybszymi.

— A może wolniejsze strzały?

— Możliwe, możliwe.

Teppic poczuł jakiś ruch przy policzku. Obok przebiegał truchtem nieduży żółw. Miał na skorupie kilka śladów po rykosze­tach.

— Spróbujemy ostatni raz — zdecydował gruby. Zwrócił się do niewolników: — Hej, wy. Idźcie poszukać żółwia.

Nieduży gad spojrzał na Teppica z nadzieją i błaganiem. Chło­pak patrzył przez chwilę, po czym podniósł zwierzę i starannie ukrył za kamieniem.

Zsunął się z wydmy do Ptraci.

— Tam się dzieje coś dziwnego — szepnął. — Strzelają do żółwi.

— Dlaczego?

— Nie mam pojęcia. Myślą chyba, że żółw powinien uciec.

— Co? Przed strzałą?

— Przecież mówiłem, że to dziwne. Zostań tu. Gwizdnę, kiedy uznam, że możesz bezpiecznie iść za mną.

— A co zrobisz, jeśli nie będzie bezpiecznie?

— Będę wrzeszczał.

Raz jeszcze wdrapał się na wydmę, strzepnął z ubrania jak naj­więcej piasku, wstał i pomachał kapeluszem. Strzała wyjęła mu go z rąk.

— Oj! — przestraszył się grubas. — Przepraszam. Podbiegł po zdeptanym piasku do Teppica, który stał nieru­chomo i wpatrywał się w piekące palce.

— Sam wystrzelił — sapał grubas. — Strasznie przepraszam, nie wiedziałem, że jest naładowany. Co sobie o mnie pomyślisz? Teppic nabrał tchu.

— Jestem Xenon — przedstawił się grubas, zanim Teppic zdążył się odezwać. — Nie zostałeś ranny? Postawiliśmy tablice ostrzegawcze, jestem tego pewien. Przyjechałeś od strony pustyni? Na pewno je­steś spragniony. Napijesz się czegoś? Kim jesteś? Nie widziałeś tu przypadkiem żółwia? Wściekle szybkie bestie, pędzą jak naoliwio­ne błyskawice. Nie można łobuzów zatrzymać.

Teppic wypuścił powietrze.

— Żółwie? — zdziwił się. — Czy mówimy o tych, no, o kamieniach z nóżkami?

— Zgadza się, właśnie o nich — potwierdził Xenon. — Wystarczy je spuścić z oka i zziut!

— Zziut? — powtórzył Teppic.

Znał żółwie. Żyły w Starym Państwie. Można je było określić na wiele sposobów: jako wegetarian, okazy cierpliwości, myśli­cieli, nawet upartych i niezmożonych maniaków seksualnych... Ale nigdy, przynajmniej do tej chwili, nie jako szybkobiega­czy. Słowo „szybkość” kojarzy się z żółwiami, ponieważ nigdy takie nie są.

— Jesteś pewien? — zapytał.

— Taki zwykły żółw to najszybsze zwierzę na powierzchni Dysku — oświadczył Xenon, choć minę miał odrobinę niepewną. — To znaczy logicznie rzecz biorąc — dodał[[23]](#footnote-23).

Wyższy z mężczyzn skinął Teppicowi głową.

— Nie zwracaj na niego uwagi, chłopcze — poradził. — Próbuje się wytłumaczyć. To przez ten wypadek w zeszłym tygodniu.

— Ale żółw prześcignął zająca — oświadczył z uporem Xenon.

— Zając był martwy, Xenonie — tłumaczył cierpliwie wysoki. — Ponieważ go zastrzeliłeś.

— Celowałem w żółwia. Wiesz, chciałem połączyć dwa eksperymen­ty, skrócić kosztowny czas badań, w pełni wykorzystać dostępne środ­ki... — Xenon machnął łukiem, w którym tkwiła już kolejna strzała.

— Przepraszam — wtrącił Teppic. — Czy mógłbyś odłożyć go na chwilę? Ja i moja przyjaciółka przybywamy z daleka i miło by nam było, gdyby nikt do nas nie strzelał.

Ci dwaj wyglądają na nieszkodliwych, pomyślał i niemal w to uwierzył.

Gwizdnął. Na ten sygnał Ptraci wyszła zza wydmy, prowadząc za sobą Ty Drania. Teppic wątpił, czyjej strój mógł mieć jakiekol­wiek kieszenie, ale wyraźnie zdołała jakoś poprawić makijaż, uma­lować oczy i uczesać włosy. Sunęła w stronę całej trójki miękko jak wąż na saniach, zdecydowana uderzyć obcych pełną mocą swej oso­bowości. Trzymała coś w dłoni.

— Znalazła żółwia! — zawołał Xenon. — Zuch dziewczyna!

Gad błyskawicznie skrył się w skorupie. Ptraci zmarszczyła czo­ło. Na tym świecie nie miała prawie nic oprócz siebie, i nie podoba­ło się jej, że witają w niej jedynie trzymak żółwiowatych.

Wyższy mężczyzna westchnął.

— Wiesz, Xenonie — powiedział — nie mogę pozbyć się myśli, że źle się zabierasz do całej tej sprawy z żółwiem i strzałą. Niski spojrzał na niego z urazą.

— Kłopot z tobą, Ibidzie — odparł — polega na tym, że uważasz się za największy przeklęty autorytet we wszystkim.

\* \* \*

Bogowie Starego Państwa budzili się wolno. Wiara to potęga. Niewielka potęga w porównaniu — na przykład — z grawitacją; kiedy przychodzi do przesuwania gór, grawitacja za każdym razem wygrywa. Jednak wiara istnieje, a teraz gdy Stare Państwo zamknęło się w sobie, odizolowane od reszty wszechświata, dryfując coraz dalej od powszechnej ugody, za­szczycanej mianem rzeczywistości, potęga wiary zaczynała się uze­wnętrzniać.

Od siedmiu tysięcy lat lud Djelibeybi wierzył w swoich bogów.

Teraz bogowie zaistnieli. I to w pełnym zestawie.

A mieszkańcy Starego Państwa odkrywali, że — na przykład — Vut, Psiogłowy Bóg Wieczoru, o wiele lepiej wygląda wymalowany na amforze, niż kiedy wyprostowany na pełne siedemdziesiąt stóp, warczący i cuchnący idzie chwiejnie ulicą.

Dios siedział w sali tronowej ze złotą maską króla na kolanach i spoglądał przed siebie. Grupka pomniejszych kapłanów przy drzwiach zebrała się w końcu na odwagę i zbliżyła do niego; ich nastrój przypominał nastrój człowieka zbliżającego się do wście­kłego lwa. Realna manifestacja bóstw nikogo nie martwi bardziej niż kapłanów. To tak, jakby nagle w firmie pojawiła się kontrola fi­nansowa.

Jedynie Koomi stał w pewnym oddaleniu od pozostałych. My­ślał intensywnie. Niezwykłe, oryginalne myśli tłoczyły się na rzad­ko używanych ścieżkach neuronowych, podążając w nieprzewidzia­nych kierunkach.

— O Diosie — wyszeptał najwyższy kapłan Keta, Ibisogłowego Bo­ga Sprawiedliwości. — Co rozkaże król? Bogowie kroczą po ziemi, o Diosie, walczą między sobą i burzą domy. Gdzie jest król? Co chce, byśmy uczynili?

— Tak — potwierdził najwyższy kapłan Skarabeusza Popychające­go Kulę Słońca. Poczuł, że oczekują od niego czegoś więcej. — W rze­czy samej — dodał — wasze wysokoście zauważyli, że słońce chwieje się, ponieważ wszyscy Bogowie Słońca walczą o nie i... — Przestąpił z nogi na nogę. — Błogosławiony Skarabeusz dokonał strategicznego odwrotu i... tego... nieplanowo wylądował na mieście Hort. Kil­ka budynków powstrzymało jego upadek.

— I bardzo dobrze — wtrącił najwyższy kapłan Thrrpa, Woźnicy Rydwanu Słońca. — Albowiem, jak wszyscy wiedzą, mój pan jest praw­dziwym bogiem...

Umilkł.

Dios dygotał. Jego ciało kołysało się wolno w przód i w tył. Wpa­trywał się w pustkę. Ściskał maskę tak mocno, że pozostawiał odci­ski palców w złocie, a wargi formowały słowa Rytuału Drugiej Godzi­ny, który od tysięcy lat wypowiadano o tej porze.

— To chyba szok — stwierdził któryś z kapłanów. — Wiecie, że ni­gdy nie lubił zmian.

Pozostali jak najszybciej postanowili dowieść, że coś jednak mo­gą doradzić.

— Przynieście mu wody.

— Załóżcie mu na głowę papierową torbę.

— Złóżcie mu pod nosem kurczę w ofierze.

Zabrzmiał wysoki gwizd, w dali huknęła eksplozja i coś zasyczało. Do komnaty wsączyło się kilka strużek pary.

Kapłani wybiegli na taras, pozostawiając Diosa w szoku. Zoba­czyli, że tłumy wokół pałacu wpatrują się w niebo.

— Zdaje się... — zawołał najwyższy kapłan Cephuta, Boga Sztuć­ców, wierząc, że może spokojniej niż inni ocenić zaistniałą sytuację — ...że Thrrp się zdekoncentrował i uległ nagłemu atakowi Jehta, Przewoźnika Słonecznego Globu.

Coś zabrzęczało w oddali, jakby parę miliardów much wystarto­wało w panice, i ogromny mroczny cień przesunął się nad pałacem.

— Ale... — podjął kapłan Cephuta — wraca Skarabeusz... Tak, nabiera wysokości... Jeht jeszcze go nie widzi i spokojnie podąża w stronę południka... Ale oto wkracza Sessifet, Bogini Popołudnia! Co za niespodzianka, co za niespodzianka! Młoda bogini, która wprawdzie niewiele jeszcze osiągnęła, ale jakże jest obiecująca. Nie­zwykłe zagranie, panowie i eunuchy, i... tak! Skarabeusz traci szan­sę! Traci szansę!

Cienie tańczyły i wirowały na kamieniach tarasu.

— Ale... co to? Starsi bogowie, nie da się tego inaczej okre­ślić, współpracują przeciwko zarozumiałym nowicjuszom! Dziel­na Sessifet trzyma się, wykorzystuje słaby punkt… Wygrywa! Te­raz odbiega, odbiega, Gil i Skarabeusz chyba walczą ze sobą, ma czyste niebo i tak! Tak! Tak! Jest południe! Południe! Mamy połu­dnie!

Cisza. Kapłan uświadomił sobie, że wszyscy na niego patrzą..

Po chwili ktoś zabrał głos.

— Dlaczego krzyczałeś w ten papirus?

— Przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło. Kapłanka Sarduk, Bogini Jaskiń, parsknęła pogardliwie.

— Przypuśćmy, że któryś by je upuścił? — warknęła.

— Ale... Ale... — Przełknął ślinę. — Przecież to niemożliwe, praw­da? Wszyscy musieliśmy się przejeść albo za długo byliśmy na słoń­cu, albo co. Bo przecież każdy wie, że bogów nie ma... A słońce to płonąca kula gazu, prawda, i okrąża świat codziennie, a... a... a bo­gowie... Owszem, istnieje realna potrzeba, by ludzie wierzyli, nie zrozumcie mnie źle, ale...

Koomi, choć perfidne myśli brzęczały mu w głowie, miał lepszy refleks od kolegów.

— Brać go, chłopcy! — krzyknął.

Czterej kapłani chwycili pechowego czciciela sztućców za ręce i nogi, i zapewnili mu szybki transport na brzeg tarasu, przez balu­stradę i w mętne wody Djelu.

Plując, wypłynął na powierzchnię.

— Dlaczego to zrobiliście? — zapytał. — Wiecie przecież, że mam rację. Żaden z was tak naprawdę nie...

Wody Djelu leniwie otworzyły paszczę i kapłan zniknął, dokład­nie w chwili, gdy wielki skrzydlaty Skarabeusz zabrzęczał groźnie nad pałacem i odleciał w stronę gór.

Koomi otarł czoło.

— Niewiele brakowało — szepnął.

Koledzy pokiwali głowami, spoglądając na znikające kręgi na wodzie. Całkiem nagle w Djelibeybi zabrakło miejsca na uczciwe zwątpienie. Zwątpienie mogło doprowadzić do tego, że coś unie­sie wątpiącego w górę, po czym wyrwie mu ręce i nogi.

— Ehm... — odezwał się ktoś. — Ale Cephut będzie trochę zły, nieprawdaż...?

— Wszyscy wielbią Cephuta — krzyknęli chórem na wszelki wy­padek.

— Nie widzę powodu — burczał stary kapłan, stojący trochę z bo­ku. — Przeklęty artysta noża i widelca.... Chwycili go, wciąż protestującego, i cisnęli do rzeki.

— Wszyscy wielbią... — Urwali niepewnie. — A właściwie czyim on był kapłanem?

— Bunu, Koziogłowego Boga Kóz? Chyba tak...

— Wszyscy wielbią Bunu, przypuszczalnie — zawołali zgodnie, gdy święte krokodyle płynęły do celu niczym łodzie podwodne.

Koomi wzniósł ręce.

Mówi się, że okazja tworzy człowieka. Koomi był człowiekiem, tworzonym przez okazje kręte i przykre. Pod jego łysą czaszką zaczy­nały już formować się pewne konkluzje, niczym duchy przez wieki uwięzione w kamieniu. Nie miał jeszcze pewności, czym są, ale ogól­nie dotyczyły bogów, nowej ery, potrzeby stanowczej ręki u steru, być może również przeniesienia Diosa do wnętrza pierwszego z brze­gu krokodyla. Sama myśl o tym sprawiała mu zakazaną rozkosz.

— Bracia! — zakrzyknął.

— Przepraszam bardzo... — wtrąciła z naciskiem kapłanka Sarduk.

— I siostry...

— Dziękuję.

— ...Cieszmy się!

Kapłani stali w całkowitym milczeniu. Tak radykalne rozwiąza­nie jak dotąd nie przyszło im do głowy. A Koomi patrzył na zwróco­ne ku sobie twarze i czuł dreszcz, jakiego nie doznał jeszcze nigdy w życiu. Byli śmiertelnie przerażeni i czekali, aż on... on!... powie im, co robić.

— Tak! — rzekł. — Gdyż w istocie godzina bogów...

— ...i bogiń...

— ...tak, i bogiń, nadeszła. Ehm.

I co? Kiedy już zaszedł tak daleko, to co właściwie każe im ro­bić? I natychmiast pomyślał: to bez znaczenia. Pod warunkiem, że będę dostatecznie pewny siebie. Stary Dios zawsze ich pędził przed sobą, nigdy nie starał się prowadzić. Bez niego są jak zagubione owce.

— A zatem bracia... i siostry, oczywiście... musimy siebie zapy­tać, musimy siebie zapytać, o, tego... — Jego głos znowu nabrał mo­cy. — Tak, musimy siebie zapytać, dlaczego bogowie przybyli. A bez wątpienia przybyli dlatego, że nie byliśmy dostatecznie wytrwali w naszej wierze, ehm, że pragnęliśmy rzeźbionego cielca.

Kapłani spojrzeli po sobie. Naprawdę pragnęli? A właściwie jak się to robi?

— Tak. I co z ofiarami? Był czas, kiedy ofiara była ofiarą, a nie zabawą z kurami i kwiatami.

To zdanie wywołało atak kaszlu wśród słuchających.

— Czy mówimy tu o dziewicach? — upewnił się jeden z kapła­nów.

— Ehem...

— A także o niedoświadczonych młodych chłopcach, ma się ro­zumieć — dodał szybko. Sarduk była jedną ze starszych bogiń i jej czcicielki zbierały się w niejasnych celach w świętych gajach. Na sa­mą myśl, że spaceruje teraz po świecie z rękami po łokcie we krwi, łzawiły mu oczy.

Serce Koomiego biło mocno.

— A niby dlaczego nie? — zapytał. — Wtedy wszystko było lepsze, prawda?

— Ale., ten, no... Myślałem, że skończyliśmy już z tym na do­bre. Spadek liczby ludności i w ogóle...

Od strony rzeki rozległo się potężne chlupnięcie — to Tzut, Wężogłowy Bóg Górnego Djelu, wypłynął na powierzchnię i z powagą spojrzał na zebranych kapłanów. W chwilę potem Fhez, Krokodylogłowy Bóg Dolnego Djelu, wyskoczył spod wody i ambitnie spróbo­wał przegryźć Tzuta na pół. Obaj zanurzyli się wśród rozprysków i niewielkiej fali przypływu, która zalała taras.

— A może liczba ludności spadla, ponieważ przestaliśmy skła­dać w ofierze dziewice... obojga płci, naturalnie — zasugerował na­tychmiast Koomi. — Pomyśleliście o tym?

Pomyśleli o tym. Następnie pomyśleli o tym jeszcze raz.

— Nie sądzę, żeby król się zgodził — odezwał się niepewnie jakiś kapłan.

— Król? — zawołał Koomi. — Gdzie jest król? Pokażcie mi króla! Spytajcie Diosa, gdzie się podział król!

Coś stuknęło o podłogę. Koomi z przerażeniem zobaczył złotą maskę, podskakującą i toczącą się kapłanom pod nogi. Rozbiegli się na boki jak kręgle.

Dios stanął w pełnym blasku słońca — niedawnego przedmiotu sporu. Twarz miał szarą z wściekłości.

— Król nie żyje — oznajmił.

Koomi zachwiał się pod straszliwym ciśnieniem gniewu Diosa, ale bohatersko stawił mu czoło.

— Więc jego następca...

— Nie ma następcy.

Dios spojrzał w niebo. Niewielu ludzi może patrzeć prosto w słońce, ale pod tym jadowitym wzrokiem nawet ono mogłoby za­drżeć i się odwrócić. Oczy Diosa spoglądały wzdłuż straszliwego no­sa niczym bliźniacze dalmierze.

— Tak sobie przychodzą, jakby to był ich kraj — powiedział, zwra­cając się do świata jako takiego. — Jak śmieli?

Koomi rozdziawił usta. Chciał zaprotestować, ale powstrzymał go ten kilowatowy wzrok. Szukał wsparcia u innych kapłanów, w tej chwili pilnie oglądających własne paznokcie albo zapatrzonych w posadzkę. Przekazywali oczywistą wiadomość: Koomi został sam. Chociaż, gdyby jakimś cudem wygrał to starcie umysłów, otoczą go ludzie zapewniający, że stali za nim przez cały czas.

— Przecież to jest ich kraj — wymamrotał.

— Co?

— To, ehem, to jest ich kraj, Diosie — powtórzy Koomi. Zaczynał tracić cierpliwość. — To bogowie, do licha!

— To nasi bogowie — syknął najwyższy kapłan. — My nie jeste­śmy ich ludźmi. Są moimi bogami i nauczą się robić to, co się im rozkaże.

Koomi zrezygnował z frontalnego ataku. Nie potrafił wytrzy­mać tego szafirowego spojrzenia, wystać przed tym nosem jak to­pór bojowy, a przede wszystkim nie mógł liczyć na to, że zarysuje powierzchnię straszliwej prawości Diosa.

— Ale... — wykrztusił.

Dios machnął tylko drżącą dłonią.

— Nie mają prawa! — oznajmił. — Nie wydałem żadnych pole­ceń. Nie mają prawa!!!

— Więc co teraz zrobimy? — spytał Koomi.

Dios nerwowo zaciskał i prostował palce. Czuł się tak, jak mógł­by się czuć rojalista — prawdziwy rojalista, rojalista, który wkleja do albumu portrety całej rodziny królewskiej, rojalista, który złego sło­wa nie da na nich powiedzieć, przecież tacy byli wspaniali, a teraz nie mogą się bronić — gdyby nagle rodzina królewska wkroczyła mu do salonu i zaczęła przestawiać meble. Dios tęsknił za nekropolią, za chłodem i ciszą wśród starych przyjaciół, za chwilą snu, po któ­rej potrafi myśleć szybciej...

Koomi aż podskoczył. Niepokój Diosa był szczeliną, w którą — z należytą uwagą i ostrożnością — uda mu się wbić klin. Ale nie wolno używać młotka. Twarzą w twarz, Dios mógłby wygrać z całym światem.

Starzec znowu drżał.

— Czyja próbuję im mówić, jak mają prowadzić sprawy w kra­inie umarłych? — szepnął. — Więc i oni niech mnie nie pouczają, jak mam rządzić swoim królestwem.

Koomi zachował to wywrotowe oświadczenie dla dalszego prze­myślenia i delikatnie poklepał Diosa po ramieniu.

— Masz rację, oczywiście — powiedział. Dios przewrócił oczami.

— Mam? — upewnił się podejrzliwie.

— Jestem przekonany, że jako królewski minister znajdziesz ja­kiś sposób. Masz nasze pełne poparcie, o Diosie.

Koomi skinął ręką na kapłanów, którzy chórem się z nim zgo­dzili. Jeśli nie można już polegać na królach i bogach, zawsze moż­na liczyć na starego Diosa. Nie było wśród nich żadnego, który nie wolałby nieokreślonego gniewu bogów od przygany najwyższego kapłana. Dios przerażał ich na tak wiele sposobów, że żadne nad­przyrodzone bóstwo nie mogło mu dorównać.

Dios sobie poradzi.

— I nie dajemy posłuchu tym szalonym pogłoskom o zniknięciu króla. Z pewnością są przesadzone i bezpodstawne — dodał Koomi.

Kapłani pokiwali głowami, jednak w umyśle każdego z nich na­wet najmniejsze pogłoski rozwijały długie ogony wątpliwości.

— Jakim pogłoskom? — rzucił Dios półgębkiem.

— Oświeć nas zatem i wskaż ścieżkę, którą musimy podążyć.

Dios zawahał się.

Nie wiedział, co robić. To było całkiem nowe doświadczenie. To była Zmiana.

Jedyne, o czym myślał, co zajmowało jego umysł, to słowa Rytu­ału Trzeciej Godziny, które wypowiadał o tej porze przez... jak dłu­go? Za długo, za długo! Powinien już dawno udać się na spoczy­nek, ale chwila nigdy nie była odpowiednia, nie znalazł się nikt uzdolniony, zginęliby bez niego, królestwo by się zachwiało, zawiódł­by wszystkich, więc przepływał przez rzekę... Zawsze zaklinał się, że to już ostatni raz, ale nigdy tego nie dotrzymał, gdy chłód ogarniał ciało, a dekady stawały się... dłuższe. A teraz, kiedy królestwo go potrzebuje, słowa Rytuału Trzeciej Godziny wypaliły się w ścieżkach mózgu i tłumią wszelkie próby myślenia.

— Ehm... — powiedział.

\* \* \*

Ty Draniu gryzł z zadowoleniem. Teppic przywiązał go nie­daleko do drzewka oliwnego, które właśnie doznawało śmiertelnego strzyżenia. Czasami wielbłąd przerywał, pod­nosił głowę i spoglądając na krążące nad miastem Efeb mewy, wy­strzeliwał w ich stronę krótką, przerażająco skuteczną serię oliwko­wych pestek.

Rozmyślał nad pewną interesującą koncepcją fizyki tauwymiarowej, unifikującą czas, przestrzeń, magnetyzm, grawitację i — z ja­kichś powodów — brokuły. Okresowo wydawał odgłos przywodzący na myśl wybuchy w kamieniołomach, który jednak oznaczał tylko, że wszystkie żołądki działają doskonale.

Ptraci siedziała pod drzewem i karmiła żółwia liśćmi winorośli.

Białe ściany tawerny promieniowały żarem, ale, pomyślał Tep­pic, wyglądało tu całkiem inaczej niż w Starym Państwie. Tam nawet upał jest stary, a stęchłe i martwe powietrze ściska jak imadło; czu­je się, że zrobione jest z wygotowanych stuleci. Tutaj orzeźwiała morska bryza, niosąca ostre kryształki soli i ekscytujące aromaty wi­na. Zresztą na aromatach się nie kończyło, gdyż Xenon pił już dru­gą amforę. Było to takie miejsce, gdzie sprawy podwijały rękawy i za­czynały się dziać.

— Wciąż nie rozumiem, co z tym żółwiem — powiedział z nieja­kimi trudnościami. Właśnie wypił pierwszy łyk efebiańskiego wina, które najwyraźniej oblepiło mu gardło.

— Całkiem proste — wyjaśnił Xenon. — Popatrz. Powiedzmy, że ta pestka oliwki będzie strzałą, a ta... — rozejrzał się z roztargnie­niem — a ta ogłuszona mewa żółwiem. Tak? Teraz, kiedy wypuścisz strzałę, ona leci do me... do żółwia. Mam rację?

— Chyba tak, ale...

— Ale, przez ten czas, me... żółw przesunie się kawałek. Mam rację?

— Chyba tak — przyznał bezradnie Teppic. Xenon spojrzał na niego tryumfalnie.

— Czyli strzała musi lecieć trochę dalej, do miejsca, gdzie żółw jest w tej chwili. Tymczasem żółw przele... przeszedł jeszcze kawa­łek. Niedużo, przyznaję, ale nie musi być dużo. Mam rację? Zatem strzała ma trochę dłuższą drogę, ale sęk w tym, że zanim doleci do miejsca, gdzie żółw jest teraz, żółwia już tam nie ma. Czyli, jeśli tyl­ko żółw się nie zatrzyma, strzała na pewno go nie trafi. Zbliża się coraz bardziej i bardziej, ale nie trafia. QED.

— Masz rację? — spytał odruchowo Teppic.

— Nie — odparł spokojnie Ibid. — Tuzin żółwich kebabów do­wodzi, że się myli. Problem z moim przyjacielem polega na tym, że nie odróżnia postulatu od metafory ludzkiej egzystencji. Ani od dziury w ziemi.

— Wczoraj go nie dogoniła — burknął Xenon.

— Owszem, wiem. Ledwie naciągnąłeś cięciwę. Patrzyłem.

Zaczęli się kłócić od początku.

Teppic wpatrywał się w kubek z winem. Ci ludzie są filozofa­mi, myślał. Sami mu powiedzieli. Dlatego ich umysły muszą być tak przestronne, że mieszczą idee, których nikt inny nie rozważałby na­wet przez pięć sekund. Po drodze do tawerny Xenon wytłumaczył mu, na przykład, że logicznie niemożliwy jest upadek z drzewa.

Teppic opisał mu zniknięcie królestwa, choć nie zdradzał swo­jej w nim funkcji. Nie miał doświadczenia w takich sprawach, ale był niemal pewien, że królowie nieposiadający już królestw nie są zbyt popularni w krajach ościennych. Jednego czy dwóch takich widział w Ankh-Morpork — pozbawieni tronów monarchowie, uciekający przed swymi niebezpiecznymi nagle państwami na gościnne łono

Ankh. Zabierali ze sobą tylko ubrania na grzbiecie i kilka wozów klejnotów. Miasto witało serdecznie każdego — niezależnie od rasy, koloru, klasy czy wyznania — kto tylko w ogromnych ilościach wyda­wał pieniądze. Mimo to inhumacja nadmiarowych władców była sta­łym źródłem zleceń dla Gildii Skrytobójców. Zawsze w domu zosta­wał ktoś, kto wolał się upewnić, że zrzucony z tronu monarcha już taki pozostanie. Tak to bywa — dziś następca, jutro przestępca.

— Myślę, że zaplątaliśmy się w geometrię — powiedział z nadzie­ją. — Słyszałem, że w geometrii jesteście tu dobrzy — dodał — i może potraficie mi poradzić, jak tam wrócić.

— Geometria to nie moja dziedzina — odparł Ibid. — Jak pew­nie wiesz.

— Przepraszam...

— Nie czytałeś moich „Pryncypiów rządu idealnego”?

— Obawiam się, że nie.

— A moje „Dialogi o konieczności historycznej”?

— Nie.

Ibid był załamany.

— Och — westchnął.

— Ibid jest powszechnie znanym autorytetem we wszystkim — wyjaśnił Xenon. — Oprócz geometrii. I dekoracji wnętrz. I elemen­tarnej logiki.

Ibid spojrzał na niego gniewnie.

— A może ty? — spytał Teppic. Xenon osuszył kubek.

— Moja specjalność to niszczące badania aksjomatów — odparł. — Tobie potrzebny jest Ptagonal. Bystry facet z kątami.

Przerwał im stukot kopyt. Kilku jeźdźców przemknęło z wielką szybkością obok tawerny i wjechało w kręte uliczki miasta. Wyda­wali się bardzo czymś przejęci.

Ibid wyjął z pucharu i odłożył na stół ogłuszoną mewę. Zamy­ślił się.

— Jeśli Stare Państwo naprawdę zniknęło... — zaczął.

— Zniknęło — potwierdził Teppic. — To nie jest coś, w czym moż­na się pomylić.

— To znaczy, że nasza granica przylega do granicy Tsortu — rzekł z mocą Ibid.

— Słucham?

— Nic nie ma między nami — wyjaśnił filozof. — O bogowie... To znaczy, że będziemy musieli wydać wojnę.

— Dlaczego?

Ibid otworzył usta, zamknął je i zwrócił się do Xenona.

— Dlaczego to znaczy, że będziemy musieli wydać wojnę? — zapytał.

— Imperatyw historyczny — odparł Xenon.

— A tak. Wiedziałem, że to coś w tym rodzaju. Obawiam się, że jest nieunikniona. To straszne, ale tak już bywa.

Znowu zastukały kopyta i kolejny oddział jeźdźców wypadł zza rogu. Tym razem zmierzali w dół. Na głowach mieli zdobne w pió­ropusze hełmy efebiańskiej armii i krzyczeli coś z entuzjazmem.

Ibid poprawił się na ławie i założył ręce na piersi.

— To pewnie ludzie Tyrana — uznał, gdy oddział przejechał przez bramę miasta i pognał w głąb pustyni. — Wysyła ich, żeby sprawdzić. To oczywiste.

Teppic naturalnie wiedział o wrogości dzielącej Tsort i Efeb. Stare Państwo ciągnęło z niej spore zyski, gwarantując kupcom obu stron dyskretne miejsce, gdzie mogli ze sobą handlować. Zabębnił palcami po stole.

— Nie walczyliście ze sobą od tysięcy lat — przypomniał. — W tamtych czasach byliście maleńkimi krajami. To była drobnost­ka. Teraz jesteście wielcy. Ludzie mogą ucierpieć. Czy to was nie ob­chodzi?

— To kwestia dumy — odparł Ibid, lecz w jego głosie zabrzmia­ła niepewność. — Myślę, że nie mamy wyboru.

— Wszystko przez tę przeklętą drewnianą krowę czy co to było — dodał Xenon. — Nigdy nam tego nie wybaczyli.

— Jeśli my ich nie zaatakujemy, oni zaatakują pierwsi.

— Właśnie. Dlatego lepiej wyprowadzić uderzenie odwetowe, zanim oni zdążą uderzyć.

Obaj filozofowie spoglądali po sobie z zakłopotaniem.

— Z drugiej strony — odezwał się Ibid — w czasie wojny trudno jest myśleć rozsądnie.

— To fakt — zgodził się Xenon. — Zwłaszcza zabitym. Zapadła nerwowa cisza, zakłócana jedynie głosem Ptraci, śpie­wającej coś żółwiowi, i z rzadka piskiem trafionej mewy.

— Jaki dziś dzień? — zapytał w końcu Ibid.

— Wtorek — odparł Teppic.

— Wpadłem chyba na doskonały pomysł. Przyjdź na sympo­zjum. Odbywamy je co wtorek. Będą tam najtęższe umysły Efebu. Sprawa wymaga przemyślenia.

Zer tknął na Ptraci.

— Jednakże — dodał — twoja młoda kobieta nie może wziąć w nim udziału. Kobietom wstęp jest absolutnie zabroniony. Mózgi im się przegrzewają.

\* \* \*

Król Teppicymon XXVII otworzył oczy. Piekielnie tu ciemno, pomyślał.

I uświadomił sobie, że słyszy bicie własnego serca, trochę przytłumione i dobiegające gdzieś z boku.

Wtedy sobie przypomniał.

Żył znowu. I tym razem żył w kawałkach.

Sam nie wiedział czemu, ale zawsze sądził, że kiedy człowiek tra­fia do krainy umarłych, składają go jakoś, jak któryś z modeli Grinjera.

Weź się w garść, chłopie, pomyślał. Tylko ty możesz złożyć się razem.

Dobrze, myślał dalej. Było przynajmniej sześć naczyń. Moje oczy są w którymś z nich. Najlepiej byłoby zdjąć pokrywkę, żebym widział, co robię.

To będzie wymagało działania ramion, nóg i palców. Trudna sztuka.

Ostrożnie wyciągnął rękę na zesztywniałych stawach, i zlokali­zował coś ciężkiego. Miał wrażenie, że to coś może ustąpić, więc niezgrabnie podniósł drugą rękę, Oparł obok pierwszej i pchnął.

Huknęło z daleka i ogarnęło go wyraźne poczucie otwartości. Usiadł, trzeszcząc przy każdym ruchu.

Nadal ograniczały go ściany ceremonialnego sarkofagu, ale ku swemu zaskoczeniu odkrył, że jeden powolny ruch ręką zmiótł je jak kawałki papieru. To pewnie marynowanie i wypychanie, uznał. Dodają sił.

Wymacał drogę do brzegu płyty, przerwał na chwilę, próbując z przyzwyczajenia odchrząknąć, spuścił ciężkie nogi na ziemię i zro­bił pierwszy niepewny krok nowo zmartwychwstałego.

Zdumiewająco trudno jest chodzić z nogami pełnymi siana, gdy mózg kieruje wszystkim ze słoja oddalonego o dziesięć stóp. Dotarł jednak aż do ściany i posuwał się wzdłuż niej, dopóki trzask nie zdradził, że trafił na półkę z kanopami. Po omacku zdjął po­krywkę pierwszej i delikatnie sięgnął do wnętrza.

To pewnie mózg, pomyślał z maniakalną wesołością, bo słoma tak nie chlupie. Zebrałem myśli, haha.

Sprawdził jeszcze jeden czy dwa słoje, aż eksplozja światła pod­powiedziała, że znalazł ten, w którym były oczy. Widział swą oban­dażowaną dłoń sięgającą w dół, rosnącą coraz bardziej... Ostroż­nie wziął oczy.

To chyba najważniejsze kawałki, uznał. Reszta może poczekać. Może kiedy trzeba będzie coś zjeść i tak dalej...

Odwrócił się i zobaczył, że nie jest sam. Obserwowali go Dii i Gern. Żeby wcisnąć się głębiej w kąt pokoju, musieliby się urodzić z trójkątnymi kręgosłupami.

— Aha. Witajcie, dobrzy ludzie — odezwał się król, świadom, że je­go głos brzmi nieco głucho. — Tyle o was wiem... Chciałbym uścisnąć wam dłoń... — Spojrzał. — Chociaż akurat teraz obie mam zajęte.

— Gkkk — odpowiedział Gern.

— Moglibyście trochę mnie poskładać, prawda? — Król zwrócił się do Dila. — Nawiasem mówiąc, twoje ściegi trzymają doskonale. Dobra robota.

Zawodowa duma przełamała barierę grozy.

— Żyjecie, panie? — wykrztusił Dii.

— O to przecież chodziło, prawda?

Dii przytaknął. Właśnie o to. Zawsze wierzył, że to prawda. Cho­ciaż nigdy się nie spodziewał, że zdarzy się rzeczywiście. Ale zdarzy­ło się, a pierwsze słowa, no, prawie pierwsze słowa, jakie padły, chwa­liły jego pracę. Dumnie wypiął pierś. Nikt w gildii nie otrzymał jesz­cze gratulacji od klienta.

— No i co? — zawołał do Gerna, którego łopatki raz po raz pró­bowały przekopać się przez ścianę. — Słyszałeś, co powiedziano two­jemu mistrzowi?

Król znieruchomiał. Przyszło mu do głowy, że coś się tutaj nie zgadza. Oczywiście, kraina umarłych jest podobna do krainy ży­wych, tyle że lepsza, i z pewnością jest tam wielu służących i tak da­lej. Ale wydawała się zbyt podobna do tego świata. I miał niemal pewność, że Dii i Gern nie powinni jeszcze tu trafić. Zresztą i tak go uczono, że ludzie pospolici mają własną krainę umarłych, gdzie czują się swobodniej, mogą spotykać innych ze swojej sfery, potra­fią się zachować i mają właściwe towarzystwo.

— Chwileczkę — rzucił. — Chyba coś przeoczyłem. Nie jesteście martwi, prawda?

Dii nie od razu odpowiedział. Widział dziś takie rzeczy, że wca­le nie był pewny. W końcu jednak zmuszony był przyznać, że praw­dopodobnie jeszcze żyje.

— Więc co się dzieje? — zapytał król.

— Nie wiemy, o władco. Naprawdę. Wszystko się spełniło, o fon­tanno wód.

— To znaczy co?

— Wszystko!

— Wszystko?

— Słońce, o panie! I bogowie! Są wszędzie, o władco niebios!

— Weszliśmy tylną bramą — dodał Gern, który osunął się na ko­lana. — Wybacz nam, o panie sprawiedliwy, który powróciłeś, by przekazać nam swą wielką mądrość i w ogóle. Przepraszam za siebie i Glwendę, to była chwila, jak to się nazywa, szalonej namiętności, nie panowaliśmy nad sobą. I to właśnie ja...

Dii uciszył go machnięciem ręki.

— Przepraszam — zwrócił się do mumii władcy. — Czy mogliby­śmy zamienić parę słów na osobności? Jak mężczyzna z...

— Z trupem? — podpowiedział król, żeby trochę go uspokoić. — Oczywiście.

Przeszli na drugi koniec komnaty.

— Chodzi o to, o łaskawy królu wszystkich... — zaczął Dii konspi­racyjnym szeptem.

— Myślę, że możemy to sobie darować — przerwał mu król. — „Królu” zupełnie wystarczy.

— Chodzi więc o to... królu... — zaczął ponownie Dii, czując dreszcz radości, że traktują go jak równego. — Młody Gern uważa, że to wszystko jego wina. Powtarzałem mu wiele razy, że bogowie nie zadawaliby sobie tyle trudu z powodu jednego dorastającego chłopca z potrzebami, jeśli rozumiecie, królu, co mam na myśli. — Zastanowił się i dodał z nadzieją: — Nie zadawaliby sobie, prawdy?

— Coś takiego nie powinno nawet przyjść ci do głowy — zapewnił stanowczo król. — W przeciwnym razie nie mielibyśmy przez nich chwili spokoju.

— Tak samo mu tłumaczyłem. — Dii odetchnął z ulgą. — To do­bry chłopak, królu, ale jego matka... Jest trochę dziwna, jeśli cho­dzi o religię. Nie mielibyśmy chwili spokoju, tak właśnie powiedzia­łem. Byłbym wdzięczny, królu, gdybyście zechcieli zamienić z nim parę słów, no wiecie, uspokoić go trochę...

— Z przyjemnością — zgodził się łaskawie władca. Dii przysunął się bliżej.

— Chodzi o to, królu, że ci bogowie, znaczy, nie są tacy, jak po­winni. Przyglądaliśmy się im, królu. To znaczy, ja się przyglądałem. Wyszedłem na dach. Gern nie, bo wlazł pod ławę. Są nie tacy, królu.

— A co ci się nie podoba?

— Przede wszystkim są tutaj, królu. Tak być nie powinno. Zna­czy, nie powinni tu przychodzić naprawdę. A oni tylko łażą dooko­ła, biją się między sobą i krzyczą na ludzi. — Rozejrzał się czujnie i dokończył: — Tak między nami, królu, to nie wyglądają na szczegól­nie inteligentnych.

Król pokiwał głową.

— A co robią kapłani? — zapytał.

— Widziałem, jak wrzucają się nawzajem do rzeki. Król znowu kiwnął głową.

— To chyba dobrze — doszedł do wniosku. — Wreszcie odzyska­li rozsądek.

— Wiecie, co myślę, królu? — mówił dalej Dii. — Wszystko, w co wierzyliśmy, teraz się spełnia. I słyszałem jeszcze coś, królu. Dziś ra­no, tylko że to nie było rano, rozumiecie, bo słońce świeci ciągle tak samo, królu, i nie jest to przyzwoite słońce, ale w każdym razie dziś rano paru żołnierzy próbowało się wydostać drogą do Efebu. I wiecie, królu, co odkryli?

— Co odkryli?

— Że droga z kraju prowadzi do kraju. — Dii cofnął się o krok, by lepiej zilustrować tę sensacyjną wiadomość. — Weszli na górę, na ska­ły, a potem nagle schodzili w dół drogą od Tsortu. Ona tak jakby zwi­ja się w sobie. Jesteśmy zamknięci, królu. Zamknięci razem z bogami.

A ja jestem zamknięty we własnym ciele, pomyślał król. Wszyst­ko, w co wierzymy, teraz się spełnia. A to, w co wierzymy, nie jest tym, w co myśleliśmy, że wierzymy.

Myślimy, że wierzymy w bogów mądrych, sprawiedliwych i po­tężnych, ale tak naprawdę wierzymy, że są jak nasz ojciec po ciężkim dniu pracy. Myślimy też, że wierzymy w krainę umarłych jako coś w rodzaju raju, ale tak naprawdę wierzymy, że jest tutaj i że idziemy tam we własnym ciele, a teraz ja w niej jestem i nigdy się nie wydo­stanę. Nigdy, nigdy.

— Co mój syn miał do powiedzenia w tej sprawie?

Dii odkaszlnął. A było to groźne kaszlnięcie. Hiszpanie używa­ją odwróconego znaku zapytania, by zaznaczyć, że to, co zaraz usły­szymy, jest pytaniem. Takie kaszlnięcie zaznacza, że to, co za chwi­lę usłyszymy, jest pieśnią żałobną.

— Nie wiem, jak wam to powiedzieć, królu...

— No gadaj, człowieku!

— Mówią, królu, że on nie żyje. Mówią, że sam się zabił i uciekł.

— Zabił się?

— Przykro mi, królu.

— A potem uciekł?

— Podobno na wielbłądzie.

— Nasza rodzina jest bardzo aktywna na tamtym świecie, nie­prawdaż? — zauważył król sarkastycznie.

— Słucham, królu?

— Chcę powiedzieć, że te dwa stwierdzenia są wzajemnie sprzeczne.

Twarz Dila przybrała uprzejmie tępy wyraz.

— To znaczy, że oba nie mogą równocześnie być prawdziwe — podpowiedział król.

— Ehem... — odparł Dii.

— Tak, ale ja jestem przypadkiem szczególnym — wyjaśnił król z kwaśną miną. — W tym królestwie wierzymy w życie po śmierci pod warunkiem wcześniejszej mumi...

Przerwał nagle.

Rzecz była zbyt straszna, by o niej myśleć. Myślał jednak przez dłuższą chwilę.

— Musimy coś na to poradzić — orzekł wreszcie.

— Chodzi o waszego syna, królu? — upewnił się Dii.

— Mniejsza o mojego syna. Nie zginął. Wiedziałbym coś o tym. Sam potrafi się o siebie zatroszczyć, w końcu jest moim synem. Mar­twię się o swoich przodków.

— Przecież oni umarli... — zaczął Dii.

Wspomniano już, że Dii miał bardzo słabo rozwiniętą wyobraź­nię. W takiej pracy słabo rozwinięta wyobraźnia jest cechą niezwy­kle istotną. Ale oczyma duszy zobaczył panoramę piramid, rozcią­gającą się wzdłuż rzeki. Następnie oczy jego duszy zanurkowały i przeniknęły kamienne wrota, jakich nie pokonałby żaden złodziej.

Usłyszały drapanie.

Usłyszały uderzenia.

Usłyszały stłumione krzyki.

Król położył mu na ramieniu swą obandażowaną rękę.

— Wiem, że dobrze sobie radzisz z igłą, Dilu — rzekł. — Powiedz, czy równie dobrze radzisz sobie z młotem?

\* \* \*

Kopolimer, najsłynniejszy gawędziarz w historii, siedział na ławie i uśmiechał się promiennie do najtęższych umy­słów świata, zebranych przy zastawionym stole. Teppic dodał kolejny element do swego zapasu świeżo zdobytej wie­dzy. „Sympozjum” oznaczało herbatkę z nożem i widelcem.

— A więc... — odezwał się Kopolimer i zaczął opowieść o Wojnie Tsortiańskiej.

— Widzicie, zdarzyło się, że on zabrał ją ze sobą, a jej ojciec... nie stary król, to był ten poprzedni, ten z tym, no, jak mu było, oże­nił się z taką dziewczyną spod Elharibu, miała zeza, jakże jej było, za­raz, zaczynało się na P. Albo na L. W każdym razie na jedną z tych li­ter. Jej ojciec miał wyspę w zatoce, chyba Papylos. Nie, skłamałem, to była Crinix. No i król, ten drugi król, zwołał armię i... Elenora, tak się nazywała. Miała zeza, jak wiecie. Ale była całkiem atrakcyjna, podobno. Kiedy mówię „ożenił się”, mam nadzieję, że nie muszę wam tego tłumaczyć. Wiecie, to było trochę nieoficjalne. Ehem. No więc był tam ten drewniany koń, a oni dostali się do środka... Mówi­łem wam o koniu? To był koń. Jestem prawie pewien, że koń. A mo­że kurczak. Następnym razem zapomnę, jak się nazywam! To był po­mysł tego, no, tego, co utykał. Tak. Utykał na nogę, znaczy. Wspomi­nałem już o nim? Była taka bitwa. Nie, to chyba ta druga. Tak. W każ­dym razie ta drewniana świnia, demonicznie sprytny pomysł. Zrobili ją z tego, no, mam na końcu języka. Z drewna. Ale to, wiecie, było później. Bitwa! Byłbym zapomniał o bitwie. Tak. Niezła była bitwa. Wszyscy walili mieczami w tarcze i wrzeszczeli. A zbroja tego, jak mu było, lśniła jak lśniąca zbroja. Bitwa jak półtorej bitwy, ot co. Między tamtym... nie tym, co utykał, ale tym drugim, jak mu tam, z rudymi włosami. No wiecie. Taki wysoki, trochę seplenił. Zaraz, przypomnia­łem sobie, że on pochodził z innej wyspy. Nie ten. Ten drugi, co uty­kał. Nie chciał jechać, powiedział, że chyba oszalał. Oczywiście, że oszalał jak nie wiem co, zdecydowanie. Sami pomyślcie: drewniana krowa! Jak powiedział tamten, no, król, nie, nie ten król, ten drugi, zobaczył kozę i powiedział: „Lękam się Efebian, zwłaszcza kiedy są tak szaleni, że zostawiają wściekle wielką drewnianą trzodę pod drzwiami, trzeba przyznać, że to bezczelność, myślą chyba, że uro­dziłem się wczoraj; podpalcie to”. I oczywiście ten, no, wdarł się od ty­łu i wszyscy poszli pod miecz; ale się śmiał! Wspomniałem już, że mia­ła zeza? Mówili, że jest piękna, ale ludzie mają różne gusta. Tak. W każdym razie tak się stało. I teraz, oczywiście, ten pierwszy... miał chyba na imię Melycanus i utykał... chciał wracać do domu i trudno się dziwić, siedzieli tam strasznie długo i lat mu nie ubywało. Dlate­go wymyślił ten numer z drewnianym czymś. Tak. Skłamałem, Lavaeolus to ten z kolanem. Świetna bitwa, ta bitwa, możecie mi wierzyć. Umilkł, zadowolony z siebie.

— Doskonała bitwa — wymruczał jeszcze i z lekkim uśmiechem zapadł w drzemkę.

Teppic uświadomił sobie, że siedzi z otwartymi ustami. Zamknął je. Przy stole kilku obecnych ocierało oczy.

— Magia — stwierdził Xenon. — Czysta magia. Każde słowo jak frędzel na baldachimie Czasu.

— I jak pamięta każdy najmniejszy szczegół — szepnął Ibid. — Wszyściutko.

Teppic rozejrzał się i szturchnął siedzącego obok Xenona.

— Kim są wszyscy? — zapytał.

— Ibida już znasz. I Kopolimera. Ten tam to Jezop, najwspanial­szy twórca bajek na świecie. A tam Antyfon, największy autor sztuk komicznych na świecie.

— Gdzie jest Ptagonal? — zainteresował się Teppic. Xenon wskazał koniec stołu, gdzie ponury, sporo pijący mężczy­zna usiłował określić kąt między dwoma bułeczkami.

— Później cię przedstawię — obiecał.

Teppic spoglądał wokół siebie na łyse czaszki i długie siwe bro­dy, które sprawiały wrażenie oznaki urzędu. Jeśli ktoś miał łysą czasz­kę i siwą brodę, dowodziło to zapewne, że to, co leży między nimi, aż tryska mądrością. Jedynym wyjątkiem był Antyfon, który wyglądał jak zrobiony z wieprzowiny.

To wspaniałe umysły, mówił sobie Teppic. To ludzie, którzy pró­bują zrozumieć, jak świat jest dopasowany — nie przez magie, nie przez religię, ale wciskając rozum w każdą znalezioną szczelinę i sta­rając sieją poszerzyć.

Ibid uderzył w stół, prosząc o ciszę.

— Tyran wezwał do wojny z Tsortem — zawołał. — Rozważmy za­tem pozycję wojny w republice idealnej. Niezbędna jest...

— Przepraszam, mógłbyś podać seler? — przerwał mu Jezop. — Dziękuję.

— ...idealna republika, jak już mówiłem, oparta na prawach podstawowych, które rządzą...

— I sól. Stoi ci koło łokcia.

— ...prawach podstawowych, właśnie, które rządzą wszystkimi ludźmi. Nie ulega wszak wątpliwości, że wojna... Czy mógłbyś prze­stać?

— To seler — wyjaśnił Jezop, chrupiąc z satysfakcją. — Nie ma na to rady.

Xenon przyjrzał się podejrzliwie temu, co miał na widelcu.

— Zaraz, to przecież mątwa — stwierdził. — Nie prosiłem o mą­twę. Kto zamawiał mątwę?

— ...bez wątpienia — powtórzył Ibid, lekko podnosząc głos. — Bez wątpienia, jak sądzę...

— To chyba kuskus z jagnięciem — oświadczył Antyfon.

— Ty chciałeś mątwę?

— Zamawiałem maridę i dolmady.

— To ja zamawiałem jagnięcinę. Podaj, z łaski swojej.

— Nie pamiętam, żeby ktoś zamówił tyle chleba z czosnkiem — protestował Xenon.

— Niektórzy z nas usiłują rozważyć pewną koncepcję filozoficz­ną — rzucił ironicznie Ibid. — Ale nie chcielibyśmy ci przeszkadzać.

Ktoś rzucił w niego chlebem.

Teppic patrzył na to, co trzymał na widelcu. Owoce morza by­ły w królestwie nieznane, a obiekt na talerzu miał za wiele przyssawek i dyszy, żeby zachęcać do jedzenia. Uniósł gotowany liść wino­rośli i był niemal pewien, że zobaczył, jak coś ucieka za oliwkę.

Aha. Warto zapamiętać: Efebianie robią wino ze wszystkiego, co zdołają wcisnąć do wiadra, a jedzą wszystko, co nie potrafi się z nie­go wydostać.

Widelcem przesuwał jedzenie po talerzu. Część potrawy sta­wiała opór.

Filozofowie nie słuchali siebie nawzajem. I nie trzymali się te­matu. Tak pewnie wygląda mokracja w działaniu.

Kawałek chleba przetoczył się po stole. Aha, i za bardzo się podniecają.

Zauważył siedzącego naprzeciw szczupłego człowieczka, przeżu­wającego z godnością jakąś anonimową mackę. Poza Ptagonalem geo­metrą, który w tej chwili ponuro wyliczał promień swojego talerza, był jedyną osobą, nie wyjaśniającą swoich poglądów ile sił w płucach. Czasami notował coś na skrawku pergaminu i wsuwał go pod togę.

Teppic pochylił się w jego stronę. Na drugim końcu stołu Jezop, zachęcany pestkami oliwek i kawałkami chleba, zaczął długą bajkę o lisie, indyku, gęsi i wilku, którzy założyli się, kto dłużej wy­trzyma pod wodą z ciężarami uwiązanymi do nóg.

— Przepraszam bardzo... — Teppic starał się przekrzyczeć gwar. — Kim jesteś?

Człowieczek popatrzył na niego skromnie. Miał ogromne uszy. W pewnym oświetleniu można by go wziąć za bardzo wąski dzban.

— Jestem Endos — przedstawił się.

— Dlaczego nie filozofujesz? Endos rozciął dziwnego mięczaka.

— Właściwie nie jestem filozofem — wyjaśnił.

— Ani dowcipnym dramatopisarzem, ani nikim takim?

— Obawiam się, że nie. Jestem Słuchaczem. Nazywają mnie En­dos Słuchacz.

— To fascynujące — przyznał odruchowo Teppic. — A na czym to polega?

— Na słuchaniu.

— Słuchaniu?

— Za to mi płacą. Czasem kiwam głową. Albo się uśmiecham. Albo kiwam i uśmiecham się jednocześnie. Wiesz, zachęcająco. Oni to lubią.

Teppic poczuł, że powinien wygłosić jakiś komentarz.

— O rany — rzekł.

Endos skinął zachęcająco głową i uśmiechnął się w sposób su­gerujący, że ze wszystkich rzeczy na świecie, jakie mógłby robić w tej chwili, nie ma nic tak fascynującego jak słuchanie Teppica. Cho­dziło chyba o jego uszy. Sprawiały wrażenie audialnej czarnej dziu­ry, błagającej, by wypełnić ją słowami. Teppic poczuł nieprzepartą ochotę, by opowiedzieć Endosowi o swoim życiu, marzeniach i na­dziejach...

— Założę się — powiedział — że płacą ci mnóstwo pieniędzy. Endos obdarzył go serdecznym uśmiechem.

— Wiele razy słuchałeś opowieści Kopolimera? Endos przytaknął i uśmiechnął się, choć w jego oczach poja­wił się cień bólu.

— Przypuszczam — kontynuował Teppic — że twoje uszy po ja­kimś czasie rozwinęły ochronne szorstkie powierzchnie. Endos kiwnął głową.

— Mów dalej — zachęcił.

Teppic zerknął na Ptagonala, który w swojej taramasalacie smętnie kreślił kąty proste.

— Chętnie zostałbym tu i przez cały dzień słuchał, jak mnie słu­chasz — zapewnił. — Ale muszę porozmawiać z tym człowiekiem.

— Zdumiewające — rzekł Endos, zanotował coś i zwrócił uwagę na rozmowę w dalszej części stołu.

Jeden z filozofów oświadczył, że chociaż prawda to piękno, jed­nakże piękno wcale nie musi być prawdą, i wybuchła bójka. Endos słuchał uważnie[[24]](#footnote-24).

Teppic przeszedł wzdłuż stołu do miejsca, gdzie Ptagonal sie­dział pogrążony w nieutulonym żalu i w tej chwili zaglądał podejrz­liwie pod warstwę ciasta.

Teppic zerknął mu przez ramię.

— Chyba coś się tam poruszyło — zauważył.

— Aha — rzekł geometra, zębami wyciągając korek z amfory. — Tajemniczy młody człowiek w czerni, z zaginionego królestwa.

— Miałem nadzieję, że pomożesz mi je odnaleźć. Słyszałem, że miałeś kilka bardzo niezwykłych idei.

— To musiało nastąpić — oświadczył Ptagonal. Wyjął dwa suwaki i starannie zmierzył ciasto. — Czy to stała? Jak ci się wydaje? Nieprzy­jemna koncepcja.

— Słucham? — nie zrozumiał Teppic.

— Średnica mieści się w obwodzie. No wiesz. Powinna się zmie­ścić trzy razy. Tak można by pomyśleć. Ale czy naprawdę? Nie. Trzy przecinek jeden cztery jeden i mnóstwo innych cyferek. Nie ma końca małym łobuzom. Wiesz, jak mnie to denerwuje?

— Myślę, że denerwuje cię to niepomiernie — odparł uprzejmie Teppic.

— Właśnie. Fakt ten mówi mi, że Stwórca używał nieodpowied­nich kół. To nawet nie jest porządna liczba! Rozumiesz, trzy prze­cinek pięć można by uszanować. Albo trzy przecinek trzy. To by wy­glądało jak należy.

Smętnie wpatrywał się w ciasto.

— Przepraszam, ale mówiłeś chyba, że to musiało nastąpić...

— Co? — spytał Ptagonal z głębin swego zasmucenia. — Pij! — za­proponował.

— Co musiało nastąpić? — podpowiedział Teppic.

— Nie ma żartów z geometrią, przyjacielu. Piramidy? Niebez­pieczne zabawki. Sami się prosili o kłopoty. — Ptagonal sięgnął nie­pewnie po puchar z winem. — Niby jak długo, ich zdaniem, mogli je budować większe i większe? Znaczy, ich zdaniem, skąd się brała ta energia? Przecież... — czknął — tam byłeś, prawda? Zauważyłeś, jakie tam wszystko wydaje się powolne?

— O tak — przyznał chłodno Teppic.

— To dlatego, że wysysają cały czas. Piramidy. I muszą go wypa­lić. Nazywają to flarami. Uważają, że ładnie wyglądają, ale one spa­lają ich czas!

— Wiem tylko, że powietrze sprawia wrażenie, jakby je ktoś wy­gotował w skarpecie. I nic się naprawdę nie zmienia, nawet jeśli nie zostaje takie samo.

— No właśnie. A powód jest taki, że to czas przeszły. Używają czasu przeszłego na nowo, bez przerwy. Piramidy zabierają nowy czas. A jeśli piramida nie może go wypalić, energia narasta... — Prze­rwał. — Przypuszczam — podjął — że w końcu ucieka pęknięciem. W przestrzeni.

— Byłem tam, zanim królestwo, no, zniknęło — wyjaśnił Teppic. — Zdawało mi się, że widziałem, jak piramida się obraca.

— No i widzisz. Prawdopodobnie przesunęła wymiary o dzie­więćdziesiąt stopni — doszedł do wniosku Ptagonal pewnym głosem prawdziwie pijanego.

— To znaczy, że długość jest wysokością, a wysokość szerokością? Ptagonal pogroził mu drżącym palcem.

— Nienienie — zawołał. — Długość jest wysokością, wysokość głę­bokością, głębokość szerokością, a szerokość... — czknął — ...cza­sem. To też wymiar, rozumiesz? Czterech jest drani. A czas do nich należy. Dziewięćdziesiąt cosiów do pozostałych trzech. Stopni, zna­czy się. Tylko że, tylko że nie może istnieć w tym świecie, więc to miejsce musiało tak jakby przeskoczyć kawałek w bok. Rozumiesz? W przeciwnym razie ludzie by się starzeli, chodząc w bok. — Zajrzał smętnie w głębie swego pucharu. — I w każde urodziny przybywała­by ci kolejna mila — dodał.

Teppic spojrzał na niego przerażony.

— Tu właśnie masz czas i przestrzeń — mówił Ptagonal. — Gdybyś nie uważał, mógłbyś je całkiem poprzekręcać. Trzy przecinek je­den cztery jeden. Jak można nazwać taką liczbę?

— Brzmi okropnie...

— Zgadza się. Gdzieś... — Ptagonal zaczął chwiać się na ławie. — Gdzieś ktoś zbudował wszechświat z porządną, przyzwoitą warto­ścią... — Rozejrzał się tępo. — Pij. Nie z jakąś przeklętą liczbą, która nigdy się nie kończy. Co to za...

— Chodziło mi o ludzi, którzy się starzeją od chodzenia!

— Nie wiem. Mógłbyś przejść się na spacer do miejsca, gdzie miałeś osiemnaście lat. Albo podbiec kawałek i sprawdzić, czy do­brze wyglądasz jako siedemdziesięciolatek. Ale podróże w poprzek, tak, to by była sztuka.

Ptagonal uśmiechnął się z roztargnieniem i bardzo wolno ru­nął w swój posiłek, którego część odsunęła się szybko[[25]](#footnote-25).

Teppic uświadomił sobie, że filozoficzny gwar nieco przycichł. Rozejrzał się i zauważył, że Ibid przemawia.

— To się nie uda — stwierdził wielki mąż. — Tyran nas nie posłu­cha. Zresztą... — zerknął na Antyfona — ...nie wszyscy jesteśmy jed­nego zdania.

— Trzeba udzielić lekcji tym przeklętym Tsortianom — rzekł su­rowo Antyfon. — Na tym kontynencie nie ma miejsca na dwa wiel­kie mocarstwa. Zresztą sami zaczęli, tylko dlatego, że wykradliśmy im królową. Młodość ma swoje prawa, trzeba ustąpić przed potęgą miłości...

Przebudził się Kopolimer.

— Źle zapamiętałeś — odezwał się łagodnie. — Wielka wojna wy­buchła, ponieważ to oni wykradli naszą królową. Jakże miała na imię... Twarz, co tysiące wielbłądów wyprawiła, zaczynało się na A albo T, albo...

— Wykradli? — krzyknął Antyfon. — To dranie!

— Jestem prawie pewien — zastrzegł się Kopolimer.

Teppic osunął się na ławę obok Endosa Słuchacza. Endos nie skończył jeszcze jedzenia i miał minę człowieka, który postanowił chronić swój układ trawienny.

— Endosie...

Słuchacz starannie ułożył nóż i widelec po obu stronach ta­lerza.

— Słucham?

— Oni wszyscy całkiem powariowali, prawda? — rzucił ze znuże­niem Teppic.

— To niezwykle interesujące — przyznał Endos. — Mów dalej, proszę.

Dyskretnie sięgnął pod togę, wyjął skrawek pergaminu i podsu­nął delikatnie Teppicowi.

— Co to jest?

— Mój rachunek — wyjaśnił Endos. — Pięć minut Uważnego Słu­chania. Większość moich klientów ma stałe konta, ale ty, jak rozu­miem, jutro rano wyjeżdżasz.

Teppic zrezygnował. Wstał od stołu i wyszedł do chłodnego ogrodu, otaczającego cytadelę Efebu. Spomiędzy listowia wystawa­ły białe marmurowe posągi starożytnych Efebian dokonujących bo­haterskich czynów bez żadnej odzieży. Tu i tam dostrzegł figury tutejszych bogów. Trudno byłoby dostrzec różnicę. Teppic wiedział, że Dios często krytykował Efebian za posiadanie bogów wyglądających tak samo jak ludzie. Gdyby bogowie wyglądali jak wszyscy, zwykł ma­wiać, skąd ludzie by wiedzieli, jak ich traktować?

Teppicowi taki pomysł raczej się podobał. Według legendy efebiańscy bogowie byli całkiem jak ludzie, tyle że wykorzystywali swo­ją boskość dla osiągania rzeczy, z których ludzie na pewno by zre­zygnowali. Ulubioną sztuczką efebiańskich bogów, o ile sobie przy­pominał, była przemiana w jakieś zwierzę w celu zyskania względów wysoko postawionej kobiety. W pogoni za wybranką jeden z nich zmienił się podobno w złoty deszcz. Wszystko to kazało zadawać py­tania dotyczące życia codziennego w wyszukanym Efebie.

Znalazł Ptraci siedzącą pod topolą. Karmiła żółwia. Teppic przyjrzał mu się podejrzliwie na wypadek, gdyby był to jakiś bóg, próbujący swoich sztuczek. Żółw nie wyglądał na boga. Jeśli nawet nim był, to grał znakomicie.

Ptraci karmiła go liściem sałaty.

— Biedne małe stworzonko — powiedziała i podniosła głowę. — A, to ty — dodała obojętnie.

— Niewiele straciłaś. — Teppic usiadł na trawie. — To banda sza­leńców. Kiedy wychodziłem, rozbijali talerze.

— To tradycyjne przy końcu efebiańskiego posiłku — oświadczy­ła Ptraci.

Teppic zastanawiał się chwilę.

— Dlaczego nie wcześniej? — spytał zdziwiony.

— Potem pewnie zaczną ptańczyć przy dźwiękach cytry. Myślę, że to jakiś owoc.

Teppic oparł głowę na rękach.

— Muszę przyznać, że świetnie mówisz po efebiańsku — zau­ważył.

— Dziękuję.

— Z minimalnym akcentem.

— Języki były częścią ptreningu — wyjaśniła. — A babka ptłumaczyła mi, że ślad obcego akcentu jest bardziej fascynujący.

— Nas uczyli tego samego — odparł Teppic. — Skrytobójca za­wsze powinien być odrobinę obcy, gdziekolwiek by się znalazł. W tym jestem dobry — dodał z goryczą.

Zaczęła masować mu grzbiet.

— Zeszłam do portu — wyznała. — Są tam te rzeczy, takie jak wiel­kie ptratwy, no wiesz, wielbłądy morza...

— Statki — domyślił się Teppic.

— Docierają wszędzie. Możemy wyruszyć, gdzie ptylko zechce­my. Świat jest jak ta rzecz z perłami w naszej dłoni.

Teppic powtórzył jej, co mówił Ptagonal. Nie wydawała się za­skoczona.

— Jak staw, do którego nie wpływa woda — uznała. — Dlatego każdy krąży i krąży wciąż w tej samej kałuży. Cały czas, w jakim żyjesz, został już przeżyty. Jest jak woda po kąpieli innych ludzi.

— Muszę tam wrócić. Jej palce znieruchomiały.

— Możemy wyruszyć, gdzie ptylko zechcemy — powtórzyła. — Każde z nas ma zawód, moglibyśmy sprzedać wielbłąda. Pokazałbyś mi to Ankh-Morpork. Jest chyba ciekawe.

Teppic zastanowił się, jak podziała Ankh-Morpork na dziew­czynę. A potem pomyślał, jak podziała Ptraci na Ankh-Morpork. Wyraźnie widział, że... że rozkwita. W Starym Państwie nie miała żadnej oryginalnej myśli, prócz tej, które winogrono wziąć do ob­rania. Odkąd jednak przekroczyła granicę, zmieniła się. Jej pod­bródek pozostał taki sam, wciąż był całkiem mały i — musiał przy­znać — śliczny. Ale w jakiś sposób bardziej rzucał się w oczy. Daw­niej patrzyła w ziemię, kiedy zwracała się do Teppica. Nadal, mó­wiąc, nie zawsze na niego patrzyła, ale to dlatego, że myślała o czymś innym.

Odkrył, że ma ochotę — bardzo delikatnie i bez żadnego naci­sku — przypomnieć jej, że jest królem. Miał jednak przeczucie, że odpowie, iż nie słyszała i czy mógłby uprzejmie powtórzyć, a kiedy na niego spojrzy, na pewno nie zdoła tego zrobić.

— Możesz płynąć — powiedział. — Poradzisz sobie. Dam ci kilka adresów i nazwisk.

— A ty co zrobisz?

— Boję się nawet myśleć, co się dzieje w domu — odparł Teppic. — Powinienem jakoś temu zaradzić.

— Nie możesz. Po co próbować? Nawet jeśli nie chcesz być skry­tobójcą, jest przecież wiele innych zajęć. I sam powiedziałeś: ten człowiek mówił, że nie można się tam przedostać. Nienawidzę pi­ramid.

— Przecież na pewno zostali tam ludzie, o których się martwisz. Ptraci wzruszyła ramionami.

— Jeśli zginęli, nic na to nie poradzę — odparła. — A jeśli żyją, też nic na to nie poradzę.

Teppic przyglądał jej się z czymś w rodzaju lękliwego podziwu. Przedstawiła cudowne podsumowanie spraw, tyle że on nie mógł się zmusić do takiego myślenia. Przez siedem lat jego ciało przeby­wało daleko, ale krew trwała w królestwie tysiąc razy dłużej. Z pew­nością chciał je opuścić. I na tym polegał problem. Powinno gdzieś być. Nawet gdyby unikał go przez całe życie, wciąż stanowiłoby ro­dzaj kotwicy.

— Paskudnie się z tym czuję — zapewnił. — Przykro mi. To całe wyjaśnienie. Muszę wrócić choćby na pięć minut, żeby powiedzieć: wiecie, już tu nie wrócę. To mi wystarczy. To wszystko chyba moja wina.

— Przecież nie ma drogi powrotnej! Będziesz ptylko się włóczył, jak ci wygnani królowie, o których opowiadałeś. No wiesz, w wytar­tych płaszczach i wciąż żebrzący o jedzenie, chociaż na sposób arystokracji. Pomyśl o tym.

Poszli wolno ulicami zalanymi blaskiem zachodzącego słońca, w stronę portu. Wszystkie ulice w mieście prowadziły do portu.

Ktoś właśnie rozpalał stos w latarni morskiej. Latarnia, jeden z Więcej Niż Siedmiu Cudów Świata, została wzniesiona według planów Ptagonala, wykorzystującego Złoty Podział i Pięć Zasad Es­tetyki. Niestety, zbudowano ją w niewłaściwym miejscu, gdyż posta­wiona we właściwym psułaby panoramę portu. Jednak marynarze powszechnie się zgadzali, że to przepiękna latarnia i miło jest na nią popatrzeć, czekając, aż ściągną statek ze skał.

W porcie tłoczyły się statki. Teppic i Ptraci omijali skrzynie i worki, aż dotarli do długiego, wygiętego falochronu. Z jednej stro­ny panował spokój, z drugiej pieniły się fale. Nad nimi płonęła la­tarnia.

Statki płynęły do miejsc, o których Teppic jedynie słyszał. Wie­dział, że Efebianie są wielkimi kupcami. Mógłby wrócić do Ankh i odebrać dyplom. Wtedy świat rzeczywiście czekałby na niego jak mięczak, a Teppic miał przecież dość noży, by go otworzyć.

Ptraci wzięła go za rękę.

I nikt by go nie zmuszał, żeby ożenił się z własną krewną.

Miesiące spędzone w Djelibeybi wydawały się snem, jednym z tych powracających snów, o których nie można właściwie zapo­mnieć i które sprawiają, że bezsenność wydaje się atrakcyjną per­spektywą. Tutaj zaś miał przed sobą przyszłość, rozwijającą się ni­czym dywan.

W takich chwilach potrzebny jest tylko znak, rodzaj książki z in­strukcjami. Kłopot z życiem polega na tym, że nie ma okazji go przećwiczyć i od razu robi się to na poważnie. Wystarczy...

— Wielkie nieba! Teppic, prawda?

Głos dobiegał z wysokości kostek. Jakaś głowa wysunęła się nad nabrzeże, a tuż za nią przynależne jej ciało. Niezwykle bogato odzia­ne ciało, któremu nie szczędzono wydatków na klejnoty, futra, je­dwabie i koronki, pod warunkiem że wszystko, co do sztuki, było czarne.

Był to Chidder.

\* \* \*

**—**Co teraz robi? — spytał Ptaclusp.

Jego syn ostrożnie wysunął głowę zza zrujnowanej kolum­ny i spojrzał na Sępiogłowego Boga Hata. — Obwąchuje wszystko — poinformował. — Myślę, że posąg mu się podoba. Powiedz szczerze, tato, po co kupowałeś coś takiego?

— To była sprzedaż wiązana. Poza tym myślałem, że ten styl zy­ska popularność.

— U kogo?

— Na przykład jemu się podoba.

Ptaclusp IIb zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na kanciaste okropieństwo, wciąż skaczące wśród ruin.

— Powiedz mu, że może go zabrać, byle sobie stąd poszedł — za­proponował. — Powiedz, że może go dostać po kosztach. Ptaclusp skrzywił się.

— Z bonifikatą — oznajmił. — Po obniżonej cenie, specjalnie dla naszych nadprzyrodzonych klientów.

Popatrzył na niebo. Ze swojej kryjówki w ruinach obozu bu­downiczych, z Wielką Piramidą buczącą im za plecami jak ogrom­ny transformator, doskonale widzieli przybycie bogów. Z początku Ptaclusp odnosił się do nich dość obojętnie. Bogowie to dobrzy klienci, zawsze potrzebują świątyń i posągów; mógłby robić z nimi interesy, eliminując pośredników.

Dopiero potem przyszło mu do głowy, że bóg może być nieza­dowolony z produktu — co może się zdarzyć, na przykład tynk oka­że się nie całkiem taki jak w specyfikacji albo róg świątyni osunie się z powodu nieprzewidzianych ruchomych piasków. Taki bóg nie przychodzi zwyczajnie do biura i podniesionym głosem nie doma­ga się spotkania z kierownikiem. Nie. Bóg dokładnie wie, gdzie kto jest, i od razu przechodzi do rzeczy. W dodatku bogowie znani są z opóźniania płatności. Owszem, ludzie też, ale ludzie nie oczeku­ją, żeby przed wyrównaniem rachunków dłużnik najpierw umarł.

Wzrok padł na drugiego syna, wymalowaną na de posągu syl­wetkę z ustami znieruchomiałymi w zdumionym „O”. Ptaclusp pod­jął decyzję.

— Chyba mam już dość piramid — rzekł. — Przypomnij mi, chłopcze. Jeśli jakoś się stąd wydostaniemy, żadnych więcej pira­mid. Skostnieliśmy. Pora rozwinąć interes.

— Od wieków ci to powtarzam, tato! — zawołał IIb. — Mówiłem, parę porządnych akweduktów będzie dla nas...

— Tak, tak. Pamiętam. Tak. Akwedukty. Wszystkie te łuki i w ogóle. Doskonale. Nie mogę sobie tylko przypomnieć, gdzie się wkłada sarkofag.

— Tato!

— Nie zwracaj na mnie uwagi, synu. Chyba tracę rozum. Nie mógł przecież naprawdę widzieć tam mumii i dwóch lu­dzi, niosących młoty...

\* \* \*

Rzeczywiście, to był Chidder.

A Chidder miał statek.

Teppic wiedział, że dalej, na wybrzeżu, szeryf Al Khali mieszka w baśniowym pałacu Rhoxie, który podobno został w cią­gu jednej nocy wzniesiony przez dżinna, i trafił do mitów i le­gend ze względu na swój przepych[[26]](#footnote-26). „Nienazwana” była jak Rhoxie na wodzie, tylko bardziej. Jej projektant miał chyba kompleks winorośli, gdyż wszystkie złocone spiralne filary i kosztowne draperie udekorował winnymi gronami, pomalowanymi złotą farbą. Wykorzystał zresztą wszystko, by statek wyglądał mniej jak statek, a bardziej jak buduar skrzyżowany z bardzo podejrzanym typem teatru.

Trzeba było wprawnego w odkrywaniu ukrytych detali oka skry­tobójcy, by dostrzec, jak niewinnie przepych maskuje smukłość ka­dłuba, oraz że po dodaniu razem objętości kabin i ładowni, wciąż pozostawało bardzo dużo miejsca. Woda wokół tego, co Ptraci na­zwała zaostrzonym końcem, marszczyła się dziwne, lecz absurdem byłoby podejrzenie, że tak wyraźnie handlowy statek ma ukrytą pod wodą ostrogę. Albo że zaledwie pięć minut pracy siekierą może zmienić ten nawodny alkazar w coś, co może uciec niemal przed wszystkimi, którzy pływają po wodzie, i sprawić, że tych kilku, którzy potrafią to dogonić, bardzo tego pożałuje.

— Robi wrażenie — przyznał Teppic.

— To wszystko tylko na pokaz — zapewnił Chidder.

— Tak, widzę.

— Chciałem powiedzieć, że jesteśmy biednymi kupcami. Teppic pokiwał głową.

— Zwykle mówi się: „biednymi, ale uczciwymi kupcami” — za­uważył.

Chidder uśmiechnął się jak prawdziwy kupiec.

— Myślę, że na razie zostaniemy przy „biednych”. Ale mów, co u ciebie? Kiedy ostatnio się widzieliśmy, wyjeżdżałeś, żeby zostać królem w jakimś miejscu, o którym nikt nigdy nie słyszał. I kim jest ta piękna młoda dama?

— Ma na... — zaczął Teppic.

— Ptraci — powiedziała Ptraci.

— Jest pod... — zaczął Teppic.

— Z pewnością jest księżniczką królewskiej krwi — przerwał mu gładko Chidder. — Sprawi mi niezmierną przyjemność, jeśli zgodzi się... jeśli oboje się zgodzicie zjeść dzisiaj ze mną kolację. Prosta marynarska strawa, niestety, ale radzimy sobie jakoś, radzimy.

— Ale nie efebiańska? — upewnił się Teppic.

— Okrętowe suchary, solone mięso, takie rzeczy — zapewnił Chidder, nie spuszczając wzroku z Ptraci. Nie spuszczał go zresztą od chwili, kiedy weszła na pokład.

Potem się zaśmiał. Był to stary, znajomy śmiech Chiddera, nie to, że pozbawiony wesołości, ale wyraźnie pod kontrolą wyższych ośrodków mózgowych.

— Cóż za niezwykły przypadek — zauważył. — Tym bardziej że odpływamy o świcie. Mogę wam zaproponować zmianę odzieży? Oboje wyglądacie na, hm... znużonych podróżą.

— Proste, marynarskie odzienie, jak przypuszczam — mruknął Teppic. — Jakie przystoi skromnemu kupcowi. Popraw mnie, jeśli się mylę.

W rzeczywistości Teppica odprowadzono do niewielkiej kajuty, wyposażonej starannie i bogato, jak złote jajo. Na łóżku czekały już liczne stroje. Lepsze trudno by znaleźć gdziekolwiek na brzegach Okrągłego Morza. Owszem, wszystkie wydawały się używane, ale do­kładnie wyprane i fachowo pozszywane, tak że prawie nie było widać rozcięć po sztychach miecza. Teppic przyjrzał się hakom w ścianie i nieco jaśniejszym łatom na drewnie. Sugerowały, że kiedyś wisiały tu różne rzeczy, niedawno pospiesznie usunięte.

Wyszedł na wąski korytarz i spotkał Ptraci. Wybrała czerwoną dworską suknię, jakie były modne w Ankh dziesięć lat temu, z bufia­stymi rękawami, szeroką krynoliną i krezą rozmiaru koła młyńskiego.

Teppic dowiedział się czegoś nowego: że atrakcyjne kobiety ubrane w kilka pasów gazy i parę łokci jedwabiu wyglądają jednak na bardziej godne pożądania niż okryte od stóp po szyję.

Ptraci zakręciła się na próbę.

— Tam jest mnóstwo podobnych rzeczy — oznajmiła. — Czy tak ubierają się kobiety w Ankh-Morpork? To jakby nosić na sobie dom. Można się spocić.

— Słuchaj, chodzi o Chiddera — szepnął z naciskiem Teppic. — To dobry chłopak i w ogóle, rozumiesz, ale...

— Jest bardzo uprzejmy — zgodziła się.

— No... Tak. Jest — westchnął zniechęcony Teppic. — To stary przyjaciel.

— Jak miło.

Ktoś z załogi zmaterializował się na końcu korytarza, skłonił się i wskazał im mesę. Zachowywał się jak stary sługa, choć wrażenie to psuła nieco siatka blizn na twarzy oraz kilka tatuaży, przy któ­rych ryciny z „Zamkniętego pałacu” wyglądałyby jak ilustracje pod­ręcznika dla majsterkowiczów. Napinając bicepsy, potrafił robić z nimi takie rzeczy, że całe tawerny godzinami podziwiały zafascynowa­ne. Nie wiedział jeszcze, że od najgorszych chwil życia dzieli go le­dwie kilka minut.

— Naprawdę bardzo mi przyjemnie — zapewnił Chidder, nalewa­jąc wina. Skinął na człowieka z tatuażami. — Możesz podać zupę, Alfonzie.

— Chiddy, chyba nie jesteś piratem? — zapytał wprost Teppic.

— To cię martwi? — Chidder uśmiechnął się leniwie. Nie tylko ta sprawa martwiła Teppica, jednak ona właśnie prze­biła się na czołową pozycję. Kiwnął głową.

— Nie, nie jesteśmy piratami. Po prostu wolimy, hm, unikać biu­rokracji, jeśli to tylko możliwe. Sam wiesz. Chcemy zaoszczędzić lu­dziom kłopotu dowiadywania się o wszystko, co robimy.

— Ale wszystkie ubrania...

— Ach... Piraci często nas atakują. Właśnie dlatego ojciec ka­zał zbudować „Nienazwaną”. Zawsze ich zaskakuje. W dodatku ta działalność jest moralnie słuszna. Zabieramy ich statek, łupy, a więź­niowie, jeśli są tacy, zostają uratowani i dostarczeni do domu po ce­nach konkurencyjnych.

— A co robicie z piratami? Chidder zerknął na Alfonza.

— To zależy od perspektyw zatrudnienia — wyjaśnił. — Ojciec za­wsze mówi, że kiedy szczęście odwróci się od człowieka, trzeba mu podać pomocną dłoń. Pod pewnymi warunkami, naturalnie. A jak ci idzie królowanie?

Teppic opowiedział. Chidder słuchał uważnie, kołysząc winem w kieliszku.

— Więc tak to wygląda — mruknął. — Słyszeliśmy, że szykuje się wojna. Dlatego odbijamy o świcie.

— Trudno mieć do ciebie pretensje.

— Nie; chcemy zorganizować handel. Z obydwoma stronami, oczywiście, ponieważ jesteśmy całkowicie bezstronni. Broń produko­wana na tym kontynencie jest naprawdę wstrząsająca. Wręcz niebez­pieczna. Też powinieneś płynąć z nami. Jesteś bardzo cenną osobą.

— Nigdy w życiu nie czułem się bardziej bezwartościowy — wy­znał ze smutkiem Teppic.

Chidder spojrzał na niego zdziwiony.

— Przecież jesteś królem!

— Niby tak, ale...

— Królem państwa, które formalnie wciąż istnieje, ale jest nie­osiągalne dla śmiertelników?

— Niestety tak.

— I możesz wydawać prawa co do, na przykład, waluty i po­datków?

— Chyba mogę, ale...

— I nie wierzysz, że jesteś cenny? Wielkie nieba, Tęp, nasi księ­gowi potrafią pewnie wymyślić pięćdziesiąt różnych sposobów, że­by… Ręce mi wilgotnieją na samą myśl o tym. Przede wszystkim oj­ciec poprosi chyba o przeniesienie tam naszego głównego biura.

— Chidder, przecież ci tłumaczyłem — przypomniał Teppic. — Wiesz dobrze. Nikt nie może się tam dostać.

— To bez znaczenia.

— Bez znaczenia?

— Owszem, ponieważ nasze biuro w Ankh przekształcimy w fi­lię i będziemy płacić podatki tam, gdzie jest zarząd. Gdziekolwiek by to było. Potrzebujemy tylko oficjalnego adresu, sam nie wiem, Aleja Piramid albo coś w tym stylu. Posłuchaj mnie i niczego nie obiecuj, dopóki ojciec nie da ci miejsca w radzie nadzorczej. Zresz­tą jesteś królem, a to zawsze robi wrażenie.

Chidder mówił bez przerwy, a Teppic czuł, jak jego ubranie staje się coraz gorętsze.

Więc tak się to odbywa... Traci się królestwo i nagle jest warte więcej, bo staje się rajem podatkowym, a człowiek trafia do rady nadzorczej, cokolwiek to oznacza, i wszystko ma być w porządku...

Ptraci rozładowała sytuację, chwytając za ramię Alfonza, który akurat podawał bażanta.

— Kongres Przyjaznego Psa i Dwóch Małych Biskwitów! — zawo­łała, studiując skomplikowany tatuaż. — Rzadko się go dzisiaj spo­tyka. Czyż nie pięknie przedstawiony? Widać nawet jogurt.

Alfonz znieruchomiał, a potem się zarumienił. Czerwień roz­lewała się po wielkiej, poznaczonej bliznami głowie niby wschód słońca na łańcuchu górskim.

— A co masz z drugiej strony?

Alfonz, który wyglądał, jakby wśród jego przeszłych zawodów znalazł się i taran oblężniczy, wymamrotał coś i bardzo zawstydzony pokazał jej rękę.

— To właściwie niestosowne dla dam... — wyszeptał. Piraci niczym ciekawy badacz odgarnęła ciemne włosy; Chidder przyglądał się jej z otwartymi ustami.

— Aha... Znam to — rzuciła swobodnie. — To ze „130 dni Pseudopolis”. Fizycznie niemożliwe.

Wypuściła rękę Alfonza i wróciła do jedzenia. Po chwili spojrza­ła na Teppica i Chiddera.

— Nie zwracajcie na mnie uwagi — powiedziała wesoło. — Rozma­wiajcie.

— Alfonz, idź proszę i włóż jakąś koszulę — polecił chrapliwie Chidder.

Alfonz wycofał się. Wytrzeszczając oczy, patrzył na swoją rękę.

— Ehm... Co to ja, tego, mówiłem? — zastanowił się Chidder. — Przepraszam. Zgubiłem wątek. Ehm. Może jeszcze wina, Tęp?

Ptraci nie tylko wykoleiła pociąg jego myśli, ale także wyrwała tory, spaliła stacje i przetopiła mosty na złom. Dlatego też posiłek przesunął się do pasztetów, świeżych brzoskwiń, kandyzowanych morskich jeżowców i luźnych wspomnień o starych dobrych cza­sach w gildii. Te czasy mięły trzy miesiące temu, a zdawało się, że to całe życie. Zresztą trzy miesiące w Starym Państwie były całym ży­ciem.

Po pewnym czasie Ptraci ziewnęła i poszła do swojej kajuty, po­zostawiając dwóch przyjaciół z kolejną butelką wina. Chidder spo­glądał za nią z lękliwym zachwytem.

— Czy tam, u ciebie, dużo jest takich jak ona? — zapytał.

— Nie wiem — przyznał Teppic. — Całkiem możliwe. Zwykle leżą po całym pałacu, machają wachlarzami i obierają winogrona.

— Jest zadziwiająca. Całe Ankh wzięłaby szturmem, wiesz? Z ta­ką figurą i umysłem jak... — Chidder zawahał się. — Czy ona...? To znaczy, czy wy dwoje...?

— Nie — zapewnił Teppic.

— Jest bardzo atrakcyjna.

— Tak.

— Coś w rodzaju połączenia tancerki ze świątyni i piły taśmo­wej.

Wzięli kielichy i wyszli na pokład, gdzie nieliczne światła mia­sta bladły wobec blasku gwiazd. Woda była spokojna, gładka, niemal oleista.

Teppicowi powoli zaczynało się kręcić w głowie. Pustynia, słoń­ce, dwie lśniące warstwy efebiańskiej retsiny na ściankach żołądka i butelka wina razem pokonywały jego synapsy.

— Muszę przyznać — wymamrotał, opierając się o reling — że do­brze sobie radzisz.

— Nie narzekam — odparł Chidder. — Handel jest całkiem cieka­wy. Tworzenie rynków zbytu, rozumiesz. Ostra konkurencja w sek­torze prywatnym. Powinieneś popłynąć z nami. Tu leży przyszłość, jak mawia mój ojciec. Nie wśród magów i królów, ale wśród ludzi in­teresu, którzy mogą ich wynająć. Bez urazy.

— Tylko my zostaliśmy. — Teppic spojrzał w głąb kieliszka. — Z ca­łego królestwa. Ja, ona i wielbłąd, który cuchnie jak stary dywan. Starożytne królestwo zaginęło.

— Dobrze, że nie nowe — pocieszył go Chidder. — Przynajmniej częściowo się zamortyzowało.

— Nie masz pojęcia, jak tam jest... To jak cała wielka piramida. Ale odwrócona wierzchołkiem w dół, rozumiesz? Cała historia, przodkowie, wszyscy ludzie zbiegający się do mnie. Do mnie na sa­mym dole.

Wziął od Chiddera butelkę i osunął się na zwój liny.

— Skłania do myślenia, co? — powiedział. — Wszędzie pełno jest takich zaginionych królestw i miast. Choćby Ee z Wielkiego Nefu. Całe państwa zniknęły. I gdzieś tam są. Może ludzie tam też zaczę­li się paprać w geometrii? Jak myślisz?

Zachrapał.

Po chwili Chidder zatoczył się, upuścił butelkę za burtę — plu­snęła; przez kilka sekund bąbelki zakłócały gładź wody — i chwiej­nym krokiem ruszył do łóżka.

\* \* \*

Teppic śnił.

W swoim śnie stał gdzieś wysoko, ale chwiał się, bo utrzymy­wał równowagę na ramionach swojej matki i ojca; niżej niewyraźnie dostrzegał swoich dziadków, a jeszcze niżej przodków ciągnących się daleko i na boki w ogromnej — tak jest — ogromnej ludzkiej piramidzie o podstawie przesłoniętej chmurami. Słyszał płynący w górę gwar poleceń i instrukcji.

Jeśli nic nie zrobisz, to jakby nigdy nas nie było.

— To tylko sen — powiedział sobie i wyszedł z niego do pałacu, gdzie niski, smagły człowieczek w przepasce biodrowej siedział na kamiennej ławie i jadł figi.

— Oczywiście, że to sen — zgodził się. — Cały świat jest snem Stwórcy. Wszystko to tylko sny, różne rodzaje snów. Mają ci coś prze­kazać. Na przykład: nie jedz homara tuż przed pójściem spać. Takie rzeczy. Miałeś już ten o siedmiu krowach?

— Tak. — Teppic rozejrzał się. Wyśnił całkiem niezłą architek­turę. — Jedna z nich grała na puzonie.

— Za moich czasów paliła cygaro. To dobrze znany sen, dzie­dziczony po przodkach.

— A co oznacza?

Człowieczek wydłubał z ust pestkę.

— Nie mam pojęcia — odparł. — Oddałbym prawą rękę, żeby się dowiedzieć. Przy okazji, chyba się jeszcze nie znamy. Jestem Khuft. Założyłem to królestwo. Dobra figa ci się przyśniła.

— Ty też mi się śnisz?

— No jasne. Mój słownik zawierał osiemset słów. Czy myślisz, że umiałbym tak rozmawiać? Jeśli spodziewasz się pomocnej rady od przodka, zapomnij o tym. To sen. Nie mogę ci powiedzieć nic, cze­go byś sam nie wiedział.

— Jesteś założycielem?

— Zgadza się.

— Myślałem... myślałem, że jesteś inny...

— Niby jak?

— No wiesz... jak na posągu... Khuft niecierpliwie machnął ręką.

— To tylko reklama — wyjaśnił. — No bo popatrz na mnie. Czy wy­glądam patriarchalnie?

Teppic zmierzył go krytycznym spojrzeniem.

— Nie w tej przepasce — przyznał. — Jest trochę tego, podarta.

— Jeszcze długie lata można ją nosić — zaprotestował Khuft.

— Chociaż przypuszczam, że tylko tyle zdążyłeś chwycić, kiedy uciekałeś przed prześladowaniami. — Teppic chciał okazać zrozu­mienie.

Khuft sięgnął po kolejną figę i zerknął na niego z ukosa.

— A to niby jak? — zapytał znowu.

— Byłeś prześladowany — wyjaśnił Teppic. — Dlatego uciekłeś na pustynię.

— A, tak. Masz rację. Tak było. Prześladowali mnie z powodu wiary.

— To straszne. Khuft splunął.

— Jak nie wiem co. Wierzyłem, że ludzie nie zauważą gipso­wych zębów u kupionych ode mnie wielbłądów, dopóki nie wyjadę z miasta.

Chwilę trwało, nim ta informacja dotarła do mózgu Teppica, jednak w końcu jej się udało — z mocą bloku betonu spadającego w ruchome piaski.

— Byłeś przestępcą? — nie dowierzał chłopiec.

— Przestępca to brzydkie słowo. Sam wiesz — rzekł chudy przo­dek. — Wolę „przedsiębiorca”. Wyprzedziłem swój czas i stąd kło­poty.

— I uciekłeś?

— Pozostawanie w okolicy nie byłoby dobrym pomysłem.

— I tak Khuft, pasterz wielbłądów, zgubił drogę w pustyni, i otworzyła się przed nim, jako dar Bogów, Dolina Płynąca Miodem i Mlekiem — zacytował głuchym głosem Teppic. — Zawsze myślałem, że to strasznie słodkie — dodał.

— Stałem tam, konając z pragnienia, wielbłądy Hałasowały jak wściekłe, rżały o wodę, a w następnej chwili: zziuut, i jest dolina wielkiej rzeki, trzciny, hipopotamy, wszystko. Znikąd. Niemal mnie stratowały, tak się spieszyły do wody.

— Nie! To było inaczej! Bogowie doliny zlitowali się nad tobą i wskazali ci drogę, prawda?

Chłopiec umilkł, zaskoczony błagalnym tonem własnego głosu. Khuft parsknął.

— Ach tak? Przypadkiem potknąłem się na środku pustyni o sto mil rzeki, której nikt jakoś wcześniej nie zauważył? Łatwo przeoczyć sto mil rzecznej doliny na środku pustyni. Fakt, że nie zamierza­łem zaglądać darowanemu wielbłądowi w zęby, domyślasz się chyba. Sprowadziłem rodzinę i resztę chłopaków. Nie oglądałem się za siebie.

— W jednej chwili jej nie było, a w następnej już tak?

— Tak jest. Trudno uwierzyć, co?

— Nie — mruknął Teppic. — Właściwie nie. Khuft dźgnął go pomarszczonym palcem.

— Zawsze uważałem, że to wielbłądy wszystko załatwiły — oświad­czył. — Uważałem, że tak jakby przywołały ją na miejsce, niby że tak jakby tam była potencjalnie, ale nie całkiem, potrzebowała odrobi­ny wysiłku, żeby się stać rzeczywista. Zabawne te wielbłądy.

— Wiem.

— Dziwniejsze niż bogowie. Coś się stało?

— Przepraszam — powiedział Teppic. — Wszystko to tak nagle na mnie spadło... No wiesz, myślałem, że pochodzimy z prawdziwego królewskiego rodu. Że jesteśmy bardziej królewscy niż ktokolwiek inny.

Khuft wydłubał pestkę figi spomiędzy dwóch poczerniałych pieńków, które — jako że tkwiły mu w ustach — prawdopodobnie by­ły zębami. Potem splunął.

— To już zależy od ciebie — oznajmił i zniknął.

Teppic ruszył przez nekropolię; cienie piramid jak zęby piły sięgały w noc. Niebo było wygiętym ciałem kobiety, a bogowie stali na horyzoncie. Nie wyglądali jak bogowie, których od tysięcy lat malowano na ścianach. Wyglądali gorzej. Wyglądali na starszych od Czasu. W końcu prawie nigdy nie mieszali się w sprawy ludzi. Choć przysłowiowe w tym względzie są inne istoty.

— Co mogę zrobić? Jestem tylko człowiekiem — powiedział gło­śno Teppic.

Ktoś odpowiedział: Nie cały ty.

\* \* \*

Teppica obudziły wrzaski mew.

Alfonz miał już koszulę z rękawami i minę człowieka, któ­ry postanowił już nigdy, ale to nigdy jej nie zdejmować; pomagał kilku innym marynarzom rozwinąć jeden z żagli „Niena­zwanej”. Spojrzał w dół na Teppica w jego linowym łożu i skinął mu głową.

Płynęli. Teppic usiadł i zobaczył nabrzeże Efebu, przesuwające się wolno w szarym brzasku.

Wstał niepewnie, jęknął, złapał się za głowę, rozpędził i skoczył przez reling.

\* \* \*

Heme Krona, właściciel stajni „Wielbłądy To Nasza Spe­cjalność”, mrucząc pod nosem, obszedł Ty Drania dooko­ła. Obejrzał mu kolana. Na próbę kopnął lekko w stopę. Szybkim ruchem, który całkowicie Ty Drania zaskoczył, otworzył pysk i zbadał wielkie, żółte zęby. Potem szybko odskoczył.

Ze stosu w kącie wyjął sporą deskę, zanurzył pędzel w garnku czarnej farby i po chwili namysłu napisał TYLKO JEDEN WŁAŚCI­CIEL.

Po krótkim zastanowieniu dodał: MAŁY PRZEBIEG. Właśnie malował ŚWIETNY BIEGACZ, kiedy Teppic wszedł chwiejnym krokiem i zdyszany oparł się o framugę. Kałuże wody formowały mu się wokół stóp.

— Przyszedłem po mojego wielbłąda — wysapał. Krona westchnął.

— Wczoraj powiedziałeś, że wrócisz za godzinę — przypomniał.

— Muszę cię obciążyć za całodniowe wyżywienie, zgadza się? Dodat­kowo czesanie i czyszczenie stóp, pełna obsługa. Razem pięć cerców, emirze.

— Aha... — Teppic poklepał się po kieszeni. — Posłuchaj — rzekł.

— Wyjeżdżałem z domu w pośpiechu. I, rozumiesz, chyba nie mam przy sobie gotówki.

— Jasna sprawa, emirze. — Krona wrócił do deski. — Jak się pisze ROCZNA GWARANCJA?

— Obiecuję, że każę ci przysłać pieniądze — zapewnił Teppic.

Krona rzucił mu pogardliwe spojrzenie człowieka, który zna już wszystkie sztuczki: osły z nowym owłosieniem, słonie z gipsowy­mi kłami, wielbłądy z przyklejonymi garbami. I który zna mroczne głębie ludzkiej duszy, gdy przychodzi jej robić interesy.

— Wymyśl coś lepszego, radżo — podpowiedział. — Na to nikt się nie nabierze.

Teppic sięgnął pod tunikę.

— Mogę ci dać ten cenny nóż — zaproponował. Krona rzucił tylko okiem i parsknął.

— Przykro mi, emirze. Nic tego. Nie ma zapłaty, nie ma wiel­błąda.

— Mogę ci go podać ostrzem do przodu — oświadczył zrozpa­czony Teppic, wiedząc, że zwykła groźba może doprowadzić do usunięcia go z gildii. Zdawał sobie także sprawę, że jak na groźbę,

nie była specjalnie udana. Gróźb nie było w programie szkoły gildii.

U Krony za to byli — siedzieli na balach słomy na tyłach stajni — dwaj potężni mężczyźni, którzy właśnie zaczęli przejawiać zainte­resowanie rozmową. Wyglądali jak starsi bracia Alfonza.

Każdy warsztat czy przechowalnia pojazdów w multiversum ma takich ludzi. Nigdy właściwie nie są stajennymi, mechanikami, klientami czy obsługą. Ich funkcje są zawsze niejasne. Gryzą słom­ki albo palą papierosy, nie rzucając się w oczy. Gdyby było tam coś takiego jak gazety, pewnie by je czytali albo przynajmniej oglądali obrazki.

Zaczęli uważnie obserwować Teppica. Jeden z nich podniósł dwie cegły i zaczął podrzucać je niedbale.

— Jesteś jeszcze młody, widzę — rzekł łaskawie Krona. — Dopie­ro zaczynasz życie, emirze. Nie chcesz kłopotów.

Podszedł bliżej.

Wielka, kosmata głowa Ty Drania przesunęła się w jego stro­nę. W głębi umysłu kolumny cyfr raz jeszcze pomknęły w górę.

— Naprawdę bardzo mi przykro, ale muszę odzyskać swojego wielbłąda — oświadczył Teppic. — To sprawa życia i śmierci.

Krona skinął na dwóch mężczyzn o nieokreślonych funkcjach.

Ty Draniu kopnął. Ty Draniu miał bardzo stanowcze opinie na temat ludzi pakujących mu ręce do pyska. Poza tym widział cegły, a każdy wielbłąd wie, co z tego może wyniknąć. To był dobry kopniak, z palcami szeroko rozsuniętymi, potężny i myląco powolny. Oderwał Kronę od ziemi i przerzucił go w sam środek augiaszowe-go stosu tego, co zostało po zamiataniu stajni.

Teppic podbiegł, mocno odbił się nogami od ściany, chwycił zakurzoną sierść Ty Drania i ciężko wylądował mu na grzbiecie.

— Bardzo przepraszam — zwrócił się do widocznej części Krony. — Naprawdę każę wysłać ci pieniądze.

Ty Draniu kręcił się wkoło. Towarzysze Krony trzymali się z da­leka od przecinających powietrze stóp wielkości talerzy.

Teppic pochylił się i syknął do machającego wściekle ucha:

— Wracamy do domu.

\* \* \*

Pierwszą piramidę wybrali przypadkowo. Król spojrzał na kartusz przy wejściu.

— Błogosławiona jest Królowa Far-re-ptah — odczytał po­słusznie Dii. — Władczyni Niebios, Pani...

— Babcia Pooney — powiedział król. — Może być. — Dostrzegł ich zdumione twarze. — Tak ją zawsze nazywałem, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Rozumiecie, nie umiałem wymówić Far-re-ptah. Bierzmy się do roboty. Przestańcie się gapić i rozwalcie wejście.

Gern niepewnie zważył w ręku młot.

— To przecież piramida, mistrzu — zwrócił się błagalnie do Dila. — Nie powinno się ich otwierać.

— A co proponujesz, chłopcze? Wbijemy nóż kuchenny w szcze­linę i będziemy podważać?

— Zrób to, Gern — polecił Dii. — Tak będzie dobrze. Gern wzruszył ramionami, splunął w dłonie — które zresztą i bez tego były dostatecznie wilgotne — i uderzył.

— Jeszcze raz — rozkazał król.

Wielka kamienna płyta zadźwięczała trafiona młotem, ale była z granitu, więc wytrzymała. W dół opadło kilka okruchów zaprawy, a potem wróciło echo, odbijając się tam i z powrotem wzdłuż mar­twych alejek nekropolii.

— Jeszcze raz.

Bicepsy Gerna poruszały się niczym żółwie w misce smaru.

Tym razem w odpowiedzi zabrzmiał huk, jaki mogło spowodo­wać ciężkie wieko, spadające na kamienie bardzo daleko od wej­ścia.

Stali w milczeniu, nasłuchując cichego szurania z wnętrza pira­midy.

— Mam uderzyć jeszcze raz, sire? — zapytał Gern.

Obaj zamachali rękami, żeby się nie odzywał.

Szuranie zbliżyło się.

I nagle ruszył kamień. Raz czy dwa się zaklinował, ale wciąż su­nął powoli, obracając się wokół jednej krawędzi, tak że z drugiej strony pojawiła się ciemna szczelina. Dii zauważył ciemniejszy cień wśród czerni.

— Kto to? — zapytał cień.

— To ja, babciu — odparł król.

Cień stał nieruchomo.

— Co? Młody Pootle? — upewnił się podejrzliwie. Król unikał wzroku Dila.

— Tak, babciu. Przyszliśmy cię wypuścić.

— Kim są ci ludzie? — zapytał gniewnie cień. — Nic nie mam, młody człowieku — zwrócił się do Gerna. — Nie trzymam pieniędzy w piramidzie. I możesz odłożyć tę broń, wcale się nie boję.

— To słudzy, babciu — wyjaśnił król.

— Mają jakieś zaświadczenia? — upewniła się starsza dama.

— Ja za nich zaświadczam, babciu. Przyszliśmy cię wypuścić.

— Tłukłam się godzinami — poskarżyła się zmarła królowa, wy­chodząc na światło dnia. Wyglądała tak samo jak król, tyle że jej bandaże były bardziej szare i zakurzone. — W końcu musiałam się położyć. Nikt się o ciebie nie zatroszczy, kiedy już umrzesz... Do­kąd idziemy?

— Wypuścić pozostałych — wyjaśnił król.

— Doskonały pomysł.

I królowa ruszyła krok w krok za wnukiem.

— Więc to jest kraina umarłych... — wymruczała. — Nie wygląda tu lepiej niż po tamtej stronie. — Szturchnęła Gerna pod żebro. — Ty też jesteś martwy, młody człowieku?

— Nie, psze pani — odparł uczeń tonem kogoś balansującego na linie ponad otchłanią szaleństwa.

— Umieranie nie jest tego warte, pamiętaj.

— Tak, psze pani.

Król przeszedł starożytnym chodnikiem do następnej pira­midy.

— Tę znam — oznajmiła królowa. — Stała już za moich czasów. Król Ashk-ur-men-tep, Trzecie Imperium. Po co ten młot, młody człowieku?

— Mam nim uderzać w drzwi, psze pani — odparł Gern.

— Nie trzeba pukać. On zawsze jest w domu.

— Mój pomocnik chce rozbić pieczęcie, proszę pani — wtrącił usłużnie Dii.

— A ty kim jesteś? — chciała wiedzieć królowa.

— Nazywam się Dii, o królowo. Mistrz balsamista.

— Balsamista, tak? Parę moich ściegów wymaga poprawki.

— Będzie to zaszczyt i honor, o królowo.

— Owszem. Na pewno. — Skrzypiąc, odwróciła się do Gerna. — Wal, młody człowieku! — zawołała.

Zachęcony Gern machnął młotem, który przemknął po dłu­gim łuku, minął nos Dila i z dźwiękiem podobnym do głosu kuro­patwy roztrzaskał pieczęć na kawałki.

To, co się wynurzyło, gdy opadł kurz, nie było ubrane według najnowszej mody. Bandaże zbrązowiały, zetlały, a Dii z profesjo­nalną troską zauważył, że zaczynają przecierać się na łokciach. Kiedy przemówiło, brzmiało to jak otwieranie starożytnych sarko­fagów.

— Obudziłem się — powiedziało. — Y nie było światła. Yest li to krayna umarłych?

— Jak się zdaje, nie — odparła królowa.

— Y to wszystko?

— Szkoda się męczyć z umieraniem, co? Starożytny władca pokiwał głową, ale ostrożnie, jakby się bał, że może mu odpaść.

— Coś — rzekł — zrobić z tym trzeba.

Odwrócił się do Wielkiej Piramidy i wyciągnął to, co kiedyś by­ło ramieniem.

— Któże śpi tam? — zapytał.

— Właściwie to jest moja — wyjaśnił Teppicymon, podchodząc bliżej. — Chyba się jeszcze nie znamy, nie zostałem jeszcze złożony. Mój syn ją dla mnie zbudował. Wbrew moim życzeniom, możesz mi wierzyć.

— Yest to straszliwa rzecz — oświadczył starożytny król. — Czułem yey budowę. Nawet we śnie śmierci yą czułem, fest tak wielka, że świat można w niey złożyć.

— Chciałem być pochowany w morzu — westchnął Teppicymon. — Nienawidzę piramid.

— Wcale nie — zaprotestował Ashk-ur-men-tep.

— Wybacz, ale nienawidzę — zapewnił łagodnie król.

— Ależ wcale nie. Co czuyesz teraz to ledwie delikatna niechęć. Kiedy poleżysz w takiey przez lat tysiąc — powiedział starożytny — wtedy zaczniesz poymować znaczenie nienawiści.

Teppicymon zadrżał.

— Morze — szepnął. — To najlepsze miejsce. W nim się rozpły­wasz.

Razem ruszyli do następnej piramidy. Gern prowadził; jego twarz była obrazem, prawdopodobnie namalowanym późną nocą przez artystę, który natchnienie kupował na receptę. Za nim szedł Dii z dumnie wypiętą piersią. Zawsze miał nadzieję, że zajdzie wyso­ko, i oto teraz spacerował z królami.

No, może raczej powłóczył nogami z królami.

\* \* \*

Nastał kolejny piękny dzień na pustyni. Dni zawsze tu by­ły piękne, jeśli pod tym określeniem rozumieć tempera­turę jak w piekarniku i piasek, w którym można by piec kasztany.

Ty Draniu biegł szybko, głównie po to, żeby jak najkrócej doty­kać stopami ziemi. Przez moment, kiedy wspinali się na wzgórza poza pociętą ścieżkami, porośniętą drzewami oliwkowymi oazą wo­kół Efebu, Teppic miał wrażenie, że widzi „Nienazwaną” jako maleń­ki punkcik na lazurowym morzu. Ale mógł to być tylko odbłysk słoń­ca na fali.

A potem przekroczyli grzbiet i znaleźli się w krainie żółci i ochry. Przez chwilę jeszcze karłowate drzewka broniły się przed piaskiem, ale piasek zwyciężył i pomaszerował tryumfalnie naprzód, wydma za wydmą.

Pustynia była nie tylko gorąca, ale i cicha. Nie latały tu ptaki, nie słyszało się szelestu zajętych życiem stworzeń organicznych. No­cą brzęczały może owady, ale teraz tkwiły zakopane w piasku dla ochrony przed żarem. Żółte niebo i żółty piasek stały się komorą bezechową, w której dyszenie Ty Drania rozbrzmiewało jak odgłos machiny parowej.

Teppic wiele się nauczył od dnia, gdy po raz pierwszy opuścił Stare Państwo, a właśnie miał się nauczyć czegoś jeszcze. Wszyscy specjaliści zgadzają się, że kiedy przekracza się rozpaloną pustynię, bardzo ważne jest noszenie kapelusza.

Ty Draniu wszedł w rozkołysany kłus, który dobry wielbłąd wy­ścigowy potrafi utrzymywać godzinami.

Po kilku milach Teppic zobaczył kolumnę pyłu za najbliższą wydmą. W chwilę później znalazł się na tyłach głównych sił armii efebiańskiej; żołnierze otaczali pół tuzina bojowych słoni, a ich pióropusze powiewały w gorącym podmuchu. Dla zasady głośnymi okrzykami pozdrowili przejeżdżającego Teppica.

Słonie bojowe! Teppic jęknął. Tsort także używał słoni bojo­wych. Słonie bojowe były ostatnio w modzie. Nie nadawały się wła­ściwie do niczego prócz rozdeptywania własnych żołnierzy, kiedy nieodmiennie wpadały w panikę, więc wojskowe umysły po obu stro­nach zareagowały na to hodowlą większych słoni. Słonie robiły wra­żenie.

Z niewiadomych powodów większość słoni ciągnęła wielkie wo­zy wyładowane drewnem.

Jechali dalej, a słońce wznosiło się coraz wyżej, aż — i to było niezwykłe — nad horyzontem zaczęły wirować niebieskie i fioleto­we plamki.

Zdarzyło się jeszcze coś dziwnego: wielbłąd zdawał się biec po niebie. Być może zjawisko to miało związek z głośnym dzwonieniem w uszach Teppica.

Powinien się zatrzymać? Ale wtedy wielbłąd może spaść...

Dawno minęło południe, gdy wreszcie Ty Draniu wbiegł chwiej­nie w gorący cień skalnej przewieszki, jaka kiedyś znaczyła granicę doliny, i bardzo powoli osunął się na piasek. Teppic stoczył się z grzbietu.

Oddział Efebian spoglądał ponad wąskim pasem gruntu na po­dobny liczebnie oddział Tsortian po drugiej stronie. Od czasu do czasu, dla zachowania pozorów, któryś z nich wymachiwał włócznią.

Kiedy Teppic otworzył oczy, zobaczył nad sobą przerażające spi­żowe maski pochylonych żołnierzy Efebu. Ich metalowe wargi zaci­skały się w grymasie straszliwej pogardy. Lśniące brwi marszczyły się w śmiertelnym gniewie.

— Dochodzi do siebie, sierżancie — odezwał się któryś. Metalowa twarz, przywodząca na myśl wściekłość żywiołów, zbli­żyła się i przesłoniła pole widzenia.

— Wyjechaliśmy sobie bez kapelusza. Zgadza się, synu? — zapy­tała serdecznym głosem, głucho rezonującym w metalowej puszce. — Żeby jak najszybciej zmierzyć się z wrogiem, co?

Niebo kręciło się wokół Teppica, ale jedna myśl wypłynęła na patelnię umysłu, przechwyciła kontrolę nad strunami głosowymi i wychrypiała:

— Wielbłąd!

— Powinni cię zwolnić za takie traktowanie zwierzęcia. — Sier­żant pogroził chłopcu palcem. — Nie widziałem jeszcze żadnego w takim stanie...

— Nie dawajcie mu pić!

Teppic usiadł gwałtownie; wielkie dzwony biły głośno, a gorą­ce i ciężkie fajerwerki wybuchały pod czaszką. Głowy w hełmach zwróciły się ku sobie.

— Bogowie... Wielbłądy musiały mu zrobić coś strasznego — mruknęła jedna z nich.

Teppic wstał chwiejnie i zataczając się, poczłapał po piasku do Ty Drania, który usiłował rozwiązać skomplikowane równania, ja­kie pozwolą mu stanąć na nogach. Wywiesił język i nie czuł się do­brze.

Nieszczęśliwy wielbłąd nie jest wstydliwą istotą. Nie wysiaduje sa­motnie w barach nad drinkami. Nie dzwoni do starych przyjaciół, żeby się im wypłakać. Nie wpada w depresję, nie pisuje długich, smętnych poematów o Życiu i jakie jest okrutne, kiedy ogląda sieje z pustego mieszkania. Nie wie nawet, co to jest zgryzota.

Wielbłąd ma tylko parę płuc jak miechy i głos jak stado osłów rżniętych piłą łańcuchową.

Teppic szedł mimo ryku. Ty Draniu podniósł głowę i kręcił nią w jedną i w drugą stronę, wykonując triangulację. Przewra­cał dziko oczami, aż zdawało się, że patrzy na Teppica przez noz­drza.

Splunął.

Próbował splunąć.

Teppic chwycił uprząż i szarpnął mocno.

— No już, ty draniu — powiedział. — Tam jest woda. Czujesz ją. Musisz tylko wymyślić, jak się tam dostać.

Odwrócił się do żołnierzy. Przyglądali mu się z wyrazem zdu­mienia, z wyjątkiem tych, którzy nie zdjęli hełmów i przyglądali mu się z wyrazem metalicznego szału bojowego.

Teppic wyrwał któremuś bukłak, wyjął korek i wylał wodę na piasek, tuż przed drgającym nosem wielbłąda.

— Tam jest rzeka — syknął. — Wiesz, gdzie to jest, musisz tylko tam dojść.

Żołnierze rozejrzeli się nerwowo. Podobnie jak kilku Tsortian, którzy podeszli, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Ty Draniu stanął na drżących nogach i zaczął obracać się wko­ło. Teppic ściskał uprząż.

...niech d równe 4, myślał desperacko Ty Draniu. Niech a-d równe 90. Niech nie-d równe 45...

— Potrzebny mi kij! — zawołał Teppic, mijając sierżanta. — One nigdy niczego nie rozumieją, dopóki nie przyłoży im się kijem! Dla wielbłąda to jak interpunkcja!

— Miecz może być?

— Nie!

Sierżant zawahał się i podał Teppicowi włócznię.

Chłopiec chwycił ją za grot, odzyskał równowagę, po czym z roz­machu uderzył w bok wielbłąda, wznosząc chmurę kurzu i sierści.

Ty Draniu znieruchomiał. Uszy obróciły mu się jak anteny ra­darowe. Potem, gdy Teppic chwycił go za sierść i podciągnął się na grzbiet, ruszył truchtem.

...Myśl fraktalami...

— Hej, jedziesz prosto na... — zaczai sierżant.

Zapadła cisza. I trwała bardzo długo.

Sierżant poruszył się niepewnie. Potem spojrzał za skałę, na Tsortian, i pochwycił wzrok ich dowódcy. Z tym niepotrzebującym słów zrozumieniem, cechującym wszystkich centurionów i sierżan­tów, ruszyli ku sobie wzdłuż skały, aż zatrzymali się przy ledwie wi­docznym pęknięciu.

Tsortiański sierżant przejechał po nim dłonią.

— Można by przypuszczać, że zostanie tu, no wiecie, wielbłądzia sierść albo co... — powiedział.

— Albo krew — dodał Efebianin.

— To pewnie jedno z tych, no, niewytłumaczalnych zdarzeń.

— Aha. No tak, to by się zgadzało. Obaj wpatrywali się w kamień.

— Jak miraż — podpowiedział uprzejmie Tsortianin.

— Jeden z nich... no tak.

— Zdawało mi się też, że słyszałem mewę.

— To przecież bez sensu. Nie spotyka się ich tutaj. Tsortianin odchrząknął grzecznie i zerknął na swoich ludzi. Przysunął się bliżej.

— Przypuszczam, że reszta waszych wojsk będzie tu pewnie już wkrótce — powiedział.

Efebianin zrobił pół kroku do przodu, a kiedy się odezwał, mó­wił półgębkiem, gdy oczy najwyraźniej zajęte były oglądaniem ka­mieni.

— Zgadza się — potwierdził. — Wasi też, jeśli wolno spytać?

— Tak. I myślę, że będziemy musieli was zmasakrować, jeśli na­si zjawią się tu pierwsi.

— Wcale się nie dziwię. U nas podobnie. Ale nie ma na to rady.

— Tak to już bywa — zgodził się Tsortianin. Efebianin pokiwał głową.

— Zabawny ten świat, jeśli się nad nim zastanowić.

— Trafiliście w sedno, nie ma co. — Sierżant poluzował napier­śnik, zadowolony, że przez chwilę może odpocząć w cieniu. — Jak z racjami po waszej stronie? — zapytał.

— Och, wiecie, jak to jest. Nie można narzekać.

— Całkiem jak u nas.

— Bo jak się zacznie narzekać, to są jeszcze gorsze.

— Tak jak nasze. A nie macie przypadkiem fig po waszej stro­nie? Zjadłbym figę.

— Przykro mi.

— Tak tylko spytałem.

— Mamy sporo daktyli, gdyby się wam na coś przydały.

— Dzięki, ale daktyli nam nie brakuje.

— Trudno.

Dwaj mężczyźni stali jeszcze przez chwilę, pogrążeni w myślach. Potem Efebianin wcisnął na głowę hełm, a Tsortianin poprawił pas.

— No to tyle.

— No to tyle.

Wyprostowali ramiona, wysunęli podbródki i odmaszerowali. Po chwili wykonali zwrot i wymieniwszy najlżejszy z zakłopotanych uśmiechów, wrócili do swoich oddziałów.

**CZĘŚĆ IV**

**Księga 101 godziwych rozrywek dla chłopców**

Teppic spodziewał się...

...czego?

Może plaśnięcia ciała o skalę. A może, choć znalazło się to na samej granicy jego oczekiwań, widoku Starego Państwa.

Nie spodziewał się chłodnej, wilgotnej mgły.

Współczesna nauka wie doskonale, że istnieje o wiele więcej wymiarów niż klasyczne cztery. Naukowcy twierdzą, że te dodatko­we zwykle nie wpływają na normalny świat, gdyż są małe i zwinięte w sobie. Oznacza to, że wszechświat zawiera więcej cudów, niż mo­żemy kiedykolwiek zrozumieć, albo też — co bardziej prawdopodob­ne — naukowcy wymyślają to wszystko w miarę potrzeby.

Multiversum wszakże pełne jest wymiarków, zaułków kreacji, gdzie istoty wyobraźni mogą brykać do woli, bez groźby zderzenia z poważną teraźniejszością. Czasami, kiedy dryfują przez dziury w rzeczywistości, naruszają nasze universum i stają się źródłem mi­tów, legend oraz oskarżeń o pijaństwo i zakłócanie porządku.

I do jednego z takich wymiarów wbiegł — przez trywialną po­myłkę w obliczeniach — Ty Draniu.

Legenda była niemal dokładna. Sfinks naprawdę czaił się na granicy królestwa. Nie precyzowała tylko, o jakiej granicy mowa.

Sfinks jest istotą nierealną. Istnieje wyłącznie dlatego, że kie­dyś ktoś go sobie wyobraził. Doskonale wiadomo, że w nieskończo­nym wszechświecie wszystko, co możemy sobie wyobrazić, musi gdzieś istnieć. A że wiele z tych rzeczy nie powinno się pojawiać w uporządkowanych ramach czasoprzestrzennych, zostają we­pchnięte do bocznych wymiarów. Może to w pewnym stopniu wyja­śnić chroniczny zły humor Sfinksa, chociaż stworzenie z ciałem lwa, łonem kobiety i skrzydłami orła z pewnością cierpi na kryzys tożsa­mości i niewiele trzeba, żeby je rozzłościć.

Dlatego właśnie Sfinks wymyślił Zagadkę.

W najrozmaitszych wymiarach zapewniła mu ona przyzwoitą rozrywkę i niezliczone posiłki.

Teppic nie wiedział o tym, gdy prowadził Ty Drania przez fale mgły, ale chrzęszczące pod nogami kości dostatecznie wyraźnie in­formowały o zasadniczych szczegółach sytuacji.

Zginęło tu wielu ludzi. Rozsądnie byłoby zatem przyjąć, że ci ostatni widzieli szczątki wcześniejszych, a zatem posuwali się ostroż­nie. I nic im to nie dało.

Czyli nie ma sensu się skradać. Poza tym niektóre majaczące we mgle skały miały bardzo niepokojące kształty. O tamta, na przy­kład, wyglądała zupełnie jak...

— Stój! — zawołał Sfinks.

Ciszę zakłócały jedynie opadające krople skondensowanej mgły i czasem syczenie Ty Drania, próbującego wyssać wilgoć z powietrza.

— Jesteś sfinksem — stwierdził Teppic.

— Nie sfinksem, ale Sfinksem — poprawił go Sfinks.

— O rany... W domu mamy mnóstwo twoich posągów. — Teppic spojrzał wyżej, a potem jeszcze wyżej. — Myślałem, że jesteś mniejszy — dodał.

— Ukorz się, śmiertelniku — przykazał Sfinks. — Stanąłeś bowiem przed istotą mądrą i straszną. — Zamrugał. — Dobre są te posągi?

— Nie oddają ci sprawiedliwości — przyznał szczerze Teppic.

— Tak myślisz? Ludzie często źle przedstawiają nos. Podobno najlepszy mam prawy profil i... — Sfinksowi przyszło do głowy, że zbacza z zasadniczego tematu. Chrząknął surowo. — Zanim tędy przejdziesz, śmiertelniku — rzekł — musisz rozwiązać moją zagadkę.

— Dlaczego?

— Co? — Sfinks zamrugał. Nie był przygotowany na takie pytania. — Dlaczego? Dlaczego? Dlatego że... Hm... Dlatego, chwileczkę, tak, dlatego że jeśli nie, to odgryzę ci głowę. Tak, to chyba było to.

— Dobrze — zgodził się Teppic. — Jak ona brzmi? Sfinks odchrząknął z dźwiękiem, jakby pusta ciężarówka zawra­cała w kamieniołomie.

— Co rano chodzi na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?

Teppic rozważył problem.

— Trudna jest — mruknął po chwili.

— Najtrudniejsza.

— Urn.

— Nigdy nie zgadniesz.

— Aha.

— Czy mógłbyś zdjąć ubranie, póki myślisz? — poprosił Sfinks. — Nitki strasznie mi wchodzą w zęby.

— Nie chodzi o jakieś zwierzę, któremu odrastają nogi i które...

— Nie, to fałszywy trop.

— Hm...

— Nie masz najmniejszego pojęcia, prawda? — Sfinks wysunął pazury.

— Jeszcze się zastanawiam — przypomniał Teppic.

— Nie masz szans.

— To fakt.

Teppic spojrzał na szpony. To właściwie nie jest zwierzę drapież­ne, pocieszał się. Stanowczo zostało nadmiernie wyposażone. Poza tym łono będzie mu przeszkadzać, nawet jeśli mózg nie będzie.

— Odpowiedź brzmi: „Człowiek” — oznajmił Sfinks. — A teraz nie próbuj walczyć, to wprowadza do krwi niesmaczne związki chemiczne. Teppic cofnął się przed groźną łapą.

— Zaraz, zaraz! — zawołał. — Jak to człowiek?

— To łatwe. Rankiem jako dziecko raczkuje, stoi na dwóch no­gach w południe, a wieczorem jako starzec chodzi o lasce. Dobra jest, nie?

Teppic przygryzł wargę.

— Mówimy tu o jednym dniu? — spytał z powątpiewaniem. Zapadła długa, krępująca cisza.

— To jest to, jak mu, takie powiedzenie, no, metafora. — Sfinks jeszcze raz spróbował ataku.

— Zaraz, zaraz. Jedną chwilkę — zawołał Teppic. — Chcę wszyst­ko dokładnie wyjaśnić. To chyba uczciwe, prawda?

— Zagadka jest w porządku! Świetna zagadka. Opowiadam ją od pięćdziesięciu lat, od kociaka... — Zastanowił się. — Od pisklaka — poprawił.

— Bardzo dobra zagadka — zapewnił go Teppic. — Głęboka. Po­ruszająca. Całe ludzkie życie w jednym zdaniu. Ale musisz przyznać, że to wszystko nie zdarza się człowiekowi w jeden dzień.

— No nie — zgodził się Sfinks. — Ale w danym kontekście rzecz jest oczywista. Element dramatycznej metafory jest obecny we wszystkich zagadkach — dodał tonem kogoś, kto usłyszał to zdanie dawno temu i dość mu się podobało, choć nie aż tak, żeby nie zjeść jego autora.

— To prawda. Ale... — Teppic przykucnął i wygładził skrawek mokrego piasku — ...czy ta metafora jest wewnętrznie spójna? Po­wiedzmy, dla przykładu, że przeciętna długość życia człowieka wy­nosi siedemdziesiąt lat. Zgoda?

— Zgoda...

Sfinks mówił tonem człowieka, który wpuścił do domu akwizytora i teraz z żalem spogląda w przyszłość, gdyż bez wątpienia cze­ka go kupno polisy ubezpieczeniowej.

— Dobrze. Czyli... Czyli w południe będzie miał trzydzieści pięć lat, tak? Biorąc pod uwagę, że większość dzieci umie już chodzić w wieku roku, dwóch lat, wzmianka o czterech nogach nie odpowia­da prawdzie. Przecież większą część poranka spędzamy na dwóch. Zgodnie z twoją analogią... — Przerwał i wykonał kilka obliczeń po­ręczną kością udową. — Zgodnie z twoją analogią na czterech no­gach spędzamy tylko około dwudziestu minut zaraz po północy. Najwyżej pół godziny. Mam rację? Bądź uczciwy.

— No, niby tak...

— Na tej samej zasadzie nie będziesz używał laski o szóstej po po­łudniu, bo będziesz miał zaledwie, zaraz, pięćdziesiąt dwa lata. — Tep­pic pisał szybko. — Właściwie nie będziesz się rozglądał za jakimkol­wiek sprzętem ułatwiającym chodzenie co najmniej przed wpół do dziesiątej. Wszystko to przy założeniu, że całe życie upływa w ciągu jednego dnia, co jest, jak już zapewne wspomniałem, śmieszne. Przy­kro mi. Niby wszystko się mniej więcej zgadza, ale całość nie pasuje.

— No dobrze. — Sfinks był wyraźnie zirytowany. — Ale co ja mam z tym zrobić? Nie mam innych zagadek. Ta jedna zawsze mi wystar­czała.

— Trzeba ją trochę przerobić i tyle.

— Jak to przerobić?

— Żeby była bardziej realistyczna.

— Hmm... — Sfinks poskrobał się szponem w grzywę. — Niech będzie — zgodził się bez przekonania. — Mógłbym, powiedzmy, zapy­tać: Co to jest, co chodzi na czterech nogach...

— Metaforycznie ujmując — wtrącił Teppic.

— Na czterech nogach, metaforycznie ujmując, rankiem, na dwóch nogach...

— Nazwanie tego rankiem to lekka przesada. To tuż po półno­cy. Owszem, formalnie rzecz biorąc to już ranek, ale tak naprawdę ciągle jeszcze wczorajsza noc. Jak myślisz?

Wyraz paniki przemknął po obliczu Sfinksa.

— A jak ty myślisz? — wykrztusił.

— Spójrzmy, do czego doszliśmy, zgoda? Co, metaforycznie uj­mując, chodzi na czterech nogach tuż po północy, na dwóch no­gach przez większą część dnia...

— Pomijając wypadki — wtrącił Sfinks, rozpaczliwie chcąc poka­zać, że też wnosi swój wkład.

— Dobrze, na dwóch nogach, pomijając wypadki, przynajmniej do kolacji, po czym chodzi na trzech nogach...

— Słyszałem o ludziach, którzy używają dwóch lasek.

— Rzeczywiście. Co powiesz na to: a następnie chodzi dalej na dwóch nogach lub używając dowolnych urządzeń ułatwiających cho­dzenie, jakie sobie wybierze?

Sfinks przemyślał propozycję.

— Taak — przyznał z powagą. — To chyba wyczerpuje wszystkie możliwości.

— Więc? — spytał Teppic.

— Co więc? — nie zrozumiał Sfinks.

— Więc jaka jest odpowiedź.

Sfinks spojrzał na niego lodowato i odsłonił kły.

— Nic z tego — rzeki. — Nie złapiesz mnie na to. Bierzesz mnie za durnia? To ty masz podać odpowiedź.

— A niech to — mruknął Teppic.

— Myślałeś, że dam się nabrać, co?

— Przepraszam.

— Liczyłeś, że wszystko mi się pomiesza, prawda? — Sfinks uśmiechnął się.

— Zawsze warto spróbować.

— Nie mam do ciebie pretensji. Więc jaka jest odpowiedź? Teppic poskrobał się po nosie.

— Nie mam pojęcia — wyznał. — Chyba że... będę strzelał na śle­po, rozumiesz... powiem: „Człowiek”. Sfinks spojrzał gniewnie.

— Byłeś tu już kiedyś, prawda? — zapytał oskarżycielskim tonem.

— Nie.

— W takim razie ktoś wypaplał, tak?

— Kto mógł wypaplać? Czy ktokolwiek zgadł rozwiązanie?

— Nie!

— Sam widzisz. Nie mogli mi powiedzieć. Pazury Sfinksa z irytacją zgrzytnęły o skałę.

— Chyba powinieneś już iść — warknął.

— Dziękuję — odparł Teppic.

— Byłbym wdzięczny, gdybyś nikomu nie powtarzał. Proszę — dodał zimno Sfinks. — Nie psuj zabawy innym gościom.

Teppic wdrapał się na kamień, a potem na grzbiet Ty Drania.

— Możesz na mnie liczyć — obiecał i uderzył wielbłąda piętami. Nie mógł nie zauważyć, że Sfinks bezgłośnie porusza wargami, jak­by próbował rozwiązać jakiś problem.

Ty Draniu przebiegł najwyżej dziesięć sążni, gdy za nimi roz­legł się wściekły ryk. Chociaż raz zapomniał o etykiecie, nakazują­cej wielbłądowi przynajmniej raz oberwać kijem, zanim cokolwiek zrobi. Wszystkie cztery stopy uderzyły o piasek i pchnęły.

Tym razem wyliczył prawidłowo.

\* \* \*

Kapłani tracili cierpliwość.

Nie chodziło o to, że bogowie byli im nieposłuszni. Bogo­wie ich ignorowali. Jak zawsze zresztą. Wielkiego talentu wymagało przekonanie boga Djelibeybi, by był posłuszny. Kapłani musieli wykazywać się refleksem. Na przykład, kiedy ktoś zepchnął głaz z urwiska, szybka prośba do bogów, by upadł na ziemię, mogła z pewnością liczyć na spełnie­nie. Podobnie, bogowie gwarantowali zachód słońca i pojawienie się gwiazd. Każda modlitwa o to, by palmy rosły z korzeniami w zie­mi i liśćmi u góry, była łaskawie wysłuchiwana. Ogólnie rzecz bio­rąc, każdy kapłan, któremu na tym zależało, mógł osiągnąć wysoki procent sukcesów.

Jednakże czym innym było ignorowanie przez bogów, gdy byli dalecy i niewidzialni, a czymś całkiem innym, gdy spacerowali po okolicy. Człowiek wychodził na durnia.

— Dlaczego nie słuchają? — powtarzał najwyższy kapłan Tęga, Koniogłowego Boga Rolnictwa. Ronił łzy. Ostatnio widziano Tęga, jak siedział na polu, wyrywał kukurydzę i chichotał.

Innym kapłanom nie wiodło się lepiej. Rytuały, pozbawione znaczenia przez czas, wypełniły atmosferę pałacu niebieskim dy­mem; upieczono tyle rozmaitej trzody, że można by zaradzić klę­sce głodu, ale bogowie wciąż zachowywali się tak, jakby Stare Państwo było ich własnością, a jego mieszkańcy nędznymi owa­dami.

Tłum wciąż czekał przed pałacem. Religia rządziła krajem pra­wie przez siedem tysięcy lat. Przed oczami każdego z kapłanów prze­wijały się barwne obrazy tego, co się stanie, jeśli ludzie choćby przez moment pomyślą, że przestała rządzić.

— I tak Diosie — zakończył Koomi — zwracamy się do ciebie. Co każesz nam teraz czynić?

Dios siedział na stopniach tronu i ponuro wpatrywał się w pod­łogę. Bogowie nie słuchali. Wiedział to. Wiedział to najlepiej ze wszystkich. Tyle że nigdy nie miało to znaczenia. Człowiek wykony­wał właściwe ruchy i znajdował odpowiedź. To rytuał był ważny, nie bogowie. Bogowie mieli pełnić funkcję megafonu, bo w przeciw­nym razie kogo ludzie zechcieliby słuchać?

Próbował myśleć rozsądnie, a jego dłonie wykonywały gesty Ry­tuału Siódmej Godziny — dłonie kierowane neuronowymi instruk­cjami tak sztywnymi i niezmiennymi jak kryształy.

— Próbowaliście wszystkiego? — zapytał.

— Wszystkiego, co nam poradziłeś, o Diosie — potwierdził Ko­omi. Odczekał, aż większość kapłanów spojrzy na niego, po czym dodał nieco głośniej: — Gdyby był tu król, wstawiłby się za nami.

Pochwycił wzrok kapłanki Sarduk. Nie omówił z nią tego, zresz­tą co tu było do omawiania. Ale miał wrażenie, że znalazł w niej bratnią, przepraszam, siostrzaną duszę. Niezbyt lubiła Diosa, ale mniej od innych się go obawiała.

— Mówiłem wam, że król nie żyje — przypomniał Dios.

— Tak, słyszeliśmy. A jednak nigdzie nie ma ciała, o Diosie. Mi­mo to wierzymy ci, gdyż to wielki Dios przemawia; nie dajemy po­słuchu złośliwym plotkom.

Kapłani milczeli. Złośliwe plotki także? A ktoś wspominał już przecież o pogłoskach, prawda? Stanowczo działo się coś podejrza­nego.

— Zdarzało się to wiele razy w przeszłości — wtrąciła we właściwej chwili kapłanka. — Kiedy coś groziło królestwu albo rzeka nie wzbie­rała, król szedł wstawić się u bogów. Był wysyłany, by wstawić się u bogów.

Cień satysfakcji w jej głosie świadczył wyraźnie, że mówi o po­dróży w jedną stronę.

Koomi aż zadygotał z rozkoszy i grozy. O tak. To były czasy. Daw­no temu kilka państw eksperymentowało z koncepcją króla ofiarne­go. Kilka lat balów i rządów, potem ciach... i wolna droga dla kolej­nej administracji.

— W czasie kryzysu mógłby wystarczyć wysoko urodzony mini­ster stanu — mówiła dalej kapłanka.

Dios podniósł głowę; twarz odbijała agonię jego ścięgien.

— Rozumiem — powiedział. — A kto wtedy będzie najwyższym kapłanem?

— Bogowie wybiorą — rzekł Koomi.

— Nie wątpię — mruknął kwaśno Dios. — Powątpiewam jedynie w mądrość ich wyboru.

— Umarły może przemówić do bogów w podziemnym świecie — oznajmiła kapłanka.

— Ale bogowie są tutaj — przypomniał Dios, walcząc z mrowie­niem w nogach, upierających się, że o tej porze powinny kroczyć głównym korytarzem w drodze na Rytuał Pod Niebem. Jego ciało krzyczało o ukojenie za rzeką. A gdy już będzie za rzeką, nigdy tu nie powróci... Ale zawsze to sobie mówił.

— Pod nieobecność króla najwyższy kapłan pełni jego obowiąz­ki. Czyż nie tak, Diosie? — zapytał Koomi.

Tak. Tak zostało zapisane. Niczego nie można zmienić, gdy już zostało zapisane. Sam to zapisał. Dawno temu.

Dios zwiesił głowę. To gorsze niż kanalizacja, gorsze niż wszyst­ko. A jednak, jednak... Popłynąć za rzekę...

— Dobrze więc — oświadczył. — Mam tylko jedno ostatnie ży­czenie.

— Tak? — Głos Koomiego nabrał specyficznej barwy; był już gło­sem najwyższego kapłana.

— Chcę zostać złożony w... — zaczął Dios, ale przerwał mu po­mruk tych kapłanów, którzy widzieli, co się dzieje po drugiej stro­nie. Wszystkie oczy zwróciły się ku dalekiej, mrocznej ziemi.

Brzegiem maszerowały legiony królów Djelibeybi.

\* \* \*

Szli chwiejnie, ale szybko pokonywali teren. Były ich całe plutony, bataliony. Nie potrzebowali już Gemowego młota. — To ta marynata — mówił król, patrząc, jak pół tuzina przodków ręcznie wyrywa pieczęć z gniazda. — Wzmacnia mięśnie.

Niektórzy co bardziej starożytni popadali w przesadny entu­zjazm i atakowali same piramidy. Potrafili nawet przesunąć kamien­ne bloki wyżej niż własny wzrost. Król wcale się im nie dziwił. To straszne być martwym i wiedzieć, że jest się martwym i uwięzionym w ciemności.

Nigdy nie wsadzą mnie do czegoś takiego, obiecał sobie.

Wreszcie, jak fala, dotarli do jeszcze jednej piramidy. Była niedu­ża, niska, ciemna, w połowie przykryta nawianym piaskiem. Ściany nie były nawet murowane, a składały się ze z grubsza tylko ociosanych głazów. Najwyraźniej powstała, zanim w królestwie dopracowano tech­nikę budowlaną. Była ledwie czymś więcej niż stosem kamieni.

Wyryte w pieczęci na drzwiach, głębokie i kanciaste, hieroglify Królestwa Ur głosiły: KHUFT KAZAŁ MNIE ZBUDOWAĆ. PIERWSZY.

Kilku przodków stanęło dookoła.

— Ojej — mruknął król. — Nie posuwajmy się za daleko.

— Pierwszy — szepnął Dii. — Pierwszy w królestwie. Wcześniej ni­kogo tu nie było, tylko hipopotamy i krokodyle. Siedemdziesiąt wie­ków patrzy na nas z wnętrza tej piramidy. Starsza niż wszystko...

— Tak, tak, to prawda — przyznał Teppicymon. — Ale nie należy popadać w przesadę. Był człowiekiem, tak samo jak my.

— I Khuft, pasterz wielbłądów, spojrzał w dolinę... — zaczął Dii.

— Po siedmiu tysiącach lat zechce spojrzeć na nią po raz wtó­ry — oświadczył stanowczo Ashk-ur-men-tep.

— Mimo wszystko... — wtrącił król. — To rzeczywiście nieco...

— Wszyscy umarli są równi — przerwał Ashk-ur-men-tep. — Dalej, młody człeku. Przywołaj go.

— Kto? Ja? — zdziwił się Gern. — Ale on był Pierw...

— Tak, już o tym mówiliśmy — westchnął Teppicymon. — Działaj. Wszyscy się niecierpliwią. On też, jak przypuszczam.

Gern wzniósł oczy do nieba i zamachnął się młotem. I kiedy miał już zatoczyć nim łuk, wymierzony w pieczęć, Dii skoczył do przodu. Gern zakręcił się w miejscu w nadrywającym pachwiny wy­siłku, by uniknąć przyłożenia młotem w głowę swego mistrza.

— Jest otwarta! — zawołał Dii. — Patrzcie! Pieczęć można odsunąć!

— Chcesz rzec, że on wyszedł?

Teppicymon podszedł i chwycił drzwi piramidy. Otworzyły się bez oporu. Potem zbadał kamienie pod nimi. Choć piramida była stara i niemal zasypana, ktoś zadał sobie trud, by oczyszczać prowadzą­cą do niej ścieżkę. A kamienie były wytarte, jakby przez wiele stóp.

Nie był to — z samej natury rzeczy — normalny stan piramidy. Cała koncepcja polegała wszak na tym, że kiedy ktoś już trafił do środka, to tkwił w środku.

Mumie obejrzały najwyraźniej często używane wejście i trzesz­czały do siebie w zdziwieniu. Jeden z najstarszych, który ledwie trzy­mał się cało, wydał dźwięk jakby chrząszcz kołatek wreszcie pokonał gnijące drzewo.

— Co powiedział? — zainteresował się Teppicymon.

— Rzecze, iż jest to niesamowite — przetłumaczyła mumia Ashk-ur-men-tepa.

Zmarły król pokiwał głową.

— Zajrzę do środka — postanowił. — Wy dwaj, żywi, pójdziecie ze mną.

Dii zmartwiał.

— Daj spokój, człowieku — rzucił Teppicymon, otwierając drzwi.

— Bierz przykład ze mnie. Ja się nie boję. Pokaż, że jesteś mężczyzną. Jak my wszyscy.

— Ale musimy mieć światło — zaprotestował Dii. Najbliższe mumie cofnęły się gwałtownie, gdy Gern posłusznie wyjął z kieszeni pudełko z hubką i krzesiwem.

— Potrzebujemy czegoś, co się pali.

Mumie odstąpiły dalej, mrucząc coś do siebie.

— Tu są pochodnie — zawołał Teppicymon lekko stłumionym głosem. — Ale trzymaj ją ode mnie z daleka, chłopcze.

Piramida okazała się mała, bez labiryntu i pułapek: zwyczajny kamienny korytarz, prowadzący w górę. Przerażeni balsamiści, w każdej chwili oczekując, że zaatakuje ich bezimienna groza, po­dążyli za królem do pachnącej piaskiem, niewielkiej kwadratowej komory. Sklepienie było czarne od sadzy.

W środku nie znaleźli sarkofagu ani trumny, ani żadnej grozy nazwanej czy bezimiennej. Na środku podłogi, na wysuniętym blo­ku leżała poduszka i koc.

Ani jedno, ani drugie nie wyglądało na szczególnie wiekowe. Poczuli niemal rozczarowanie.

Gern wyciągnął szyję i rozejrzał się dookoła.

— Całkiem tu miło — uznał. — Wygodnie.

— Nie — rzekł Dii.

— Hej, panie królu, proszę tu popatrzyć! — Gern podszedł do ściany. — Tutaj! Ktoś tu coś wydrapywał. Proszę spojrzeć na te wszyst­kie kreski na całej ścianie.

— I na tej — zauważył król. — I na podłodze. Ktoś tu coś liczył. Każde dziesięć jest przekreślone, widzicie? Ktoś liczył jakieś rzeczy. Mnóstwo rzeczy.

Cofnął się.

— Jakie rzeczy? — Dii zajrzał mu przez ramię.

— Bardzo dziwne — wymruczał król i pochylił się. — Ledwie moż­na odczytać inskrypcje pod spodem.

— Umiecie to przeczytać, panie królu? — zapytał Gern, okazując, zdaniem Dila, całkiem zbędny entuzjazm.

— Nie. To któryś ze starożytnych dialektów. Nie poznaję ani jed­nego błogosławionego hieroglifu. I chyba nie ma dziś wśród żywych nikogo, kto potrafiłby je odczytać.

— Ta straszne — stwierdził Gern.

— Rzeczywiście — westchnął król. Milczeli ponuro.

— Ale może spytalibyśmy kogoś z umarłych? — zaproponował Gern.

— Ee... Gern... — wykrztusił Dii i cofnął się o krok.

Król klepnął ucznia w plecy, aż ten zatoczył się do przodu.

— Znakomity pomysł! — zawołał. — Przyprowadzimy tu któregoś w najdawniejszych przodków. Tylko... — Zmartwił się. — To na nic. Nikt ich przecież nie zrozumie.

— Gern! — Dii coraz szerzej otwierał oczy.

— Nie, królu, to żaden problem. — Gern cieszył się nowo odkry­tą wolnością myśli. — Z prostego powodu: przecież każdy kogoś ro­zumie i wystarczy ich poustawiać po kolei.

— Sprytny chłopak! Sprytny chłopak!

— Gern!

Obaj spojrzeli na Dila ze zdumieniem.

— Dobrze się czujecie, mistrzu? — spytał uczeń. — Bardzoście zbledli.

— Po... — jąkał się Dii, zesztywniały z przerażenia.

— Co, mistrzu?

— Po... Popatrz na po...

— Chyba powinien się położyć — uznał król. — Znam takich jak on. Artystyczne typy. Bardzo nerwowi. Dii nabrał tchu.

— Popatrz na tę piekielną pochodnię, Gern! — krzyknął. Spojrzeli.

Bez Hałasu, zmieniając czarny popiół w suchą trzcinę, pochod­nia płonęła wstecz.

\* \* \*

Stare Państwo rozciągało się przed Teppikiem i było cał­kiem nierealne.

Spojrzał na Ty Drania, który zanurzył pysk w strumyku i wydawał dźwięk jak ostatnia kropla w kartoniku soku[[27]](#footnote-27). Ty Draniu wyglądał całkiem realnie. W takim wyglądzie wielbłądy nie mają so­bie równych. Ale pejzaż wydawał się mglisty i niepewny, jakby nie do końca się zdecydował, czy ma tu być, czy nie.

Z wyjątkiem Wielkiej Piramidy. Przysiadła niedaleko, realna jak szpilka przykłuwająca motyla do gabloty. Udawało jej się wyglądać niezwykle wręcz materialnie, jakby wysysała materialność z otoczenia.

Wreszcie tu trafił. Czymkolwiek to było.

Jak można zabić piramidę?

I co się stanie, jeśli się uda?

Pracował, opierając się na hipotezie, że wtedy wszystko wsko­czy na miejsce. W pulę utylizowanego czasu Starego Państwa.

Przez jakiś czas przyglądał się bogom. Zastanawiał się, czym właściwie są i dlaczego jakoś nie ma to znaczenia. Wydawali się nie bardziej rzeczywiści niż ziemia, po której stąpali, załatwiając wła­sne, niezrozumiałe sprawy. Świat był niczym więcej niż snem, a Teppic miał wrażenie, że stracił zdolność zdziwienia. Gdyby obok prze­szło siedem krów tłustych, nie zwróciłby na nie uwagi.

Dosiadł Ty Drania i ruszył wolno drogą. Pola po obu stronach były zdeptane.

Słońce wreszcie zachodziło: bogowie nocy i wieczoru zyskali przewagę nad bogami dnia, ale walka trwała długo. A jeśli pomyśleć o tym wszystkim, co teraz czeka słońce — zostanie zjedzone przez boginię, przewiezione łodzią pod światem i tak dalej — istniała spo­ra szansa, że już się nie pokaże.

Teppic nie spotkał nikogo na dziedzińcu przed stajnią. Ty Dra­niu poczłapał spokojnie do boksu i delikatnie wyciągnął źdźbło sia­na. Wymyślił coś ciekawego na temat dystrybucji biwariantnych.

Teppic klepnął go w bok, unosząc jeszcze jedną chmurę ku­rzu, i wbiegł na szerokie schody, prowadzące do właściwego pała­cu. Nie znalazł ani strażników, ani sług. Ani żywej duszy.

Wśliznął się do własnego pałacu jak złodziej w środku dnia. Najpierw skręcił do warsztatu Dila. Był pusty i wyglądał, jakby nie­dawno pracował tu włamywacz o bardzo szczególnych gustach. Sa­la tronowa pachniała jak kuchnia, w dodatku taka, z której wszyscy kucharze uciekli w panice.

Pogięta złota maska władców Djelibeybi potoczyła się do kąta. Teppic podniósł ją i pchnięty nagłym impulsem, poskrobał ostrzem jednego ze swych noży. Złoto złuszczyło się, odsłaniając srebrzystoszary metal.

Tak podejrzewał. W kraju zwyczajnie zabrakłoby złota. Maska wy­dawała się ciężka jak ołów, ponieważ była z ołowiu. Ciekawe, czy kiedykolwiek była złota, który z przodków dokonał zamiany i ile pira­mid tym opłacił. To prawdopodobnie znaczący symbol tego czy owe­go. Może nawet nie symbol czegokolwiek, ale symbol sam w sobie.

Jeden ze świętych kotów schował się pod tronem. Kiedy Teppic wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać, położył uszy po sobie i parsk­nął. Przynajmniej to się nie zmieniło.

Wciąż nikogo. Teppic wyszedł na taras.

Tutaj stali ludzie: wielki, milczący tłum, w gasnącym, szarym świetle spoglądający za rzekę. Flotylla łodzi i promów odbijała wła­śnie od brzegu.

Powinniśmy budować mosty, pomyślał. Ale zawsze twierdzili­śmy, że nie wolno zakuwać rzeki w kajdany.

Lekko przeskoczył balustradę, wylądował na ubitej ziemi i ru­szył w stronę tłumu.

Wiara zebranych tu ludzi uderzyła go z pełną mocą.

Mieszkańcy Djelibeybi mieli może sprzeczne wyobrażenia na temat bogów, ale wiara w królów trwała niezachwianie od tysięcy lat. Teppic miał wrażenie, że wchodzi do kadzi alkoholu, że ten wle­wa mu się do wnętrza, aż iskry strzelają z palców, że podnosi się w ciele i zalewa umysł, niosąc nie wszechmoc, ale poczucie wszech­mocy, silne wrażenie, że chociaż w tej chwili nie wie wszystkiego, kiedyś już wiedział i wkrótce dowie się znowu.

Tak samo czuł się w Ankh, kiedy dopadła go boskość. Ale wtedy była ulotna. Teraz stalą na mocnym fundamencie prawdziwej wiary.

Usłyszał szelest i spojrzał w dół, na zielone pędy strzelające z su­chego piasku wokół jego stóp.

Niech to kraina umarłych pochłonie, pomyślał. Naprawdę je­stem bogiem.

To bardzo krępujące.

Przecisnął się przez tłum na sam brzeg i stanął w gęstniejącej kę­pie kukurydzy. Ludzie zauważyli; najbliżsi padali na kolana. Krąg na­bożnie klękających rozszerzał się wokół Teppica jak fale na wodzie.

Przecież nie chciałem tego! Chciałem tylko, żeby ludziom ła­twiej się żyło z kanalizacją. Chciałem coś zrobić z zaniedbanymi dzielnicami miejskimi. Chciałem, żeby czuli się swobodnie, chcia­łem zapytać, czy są zadowoleni z życia. Myślałem też, że szkoły to niezły pomysł, żeby nie padali na twarze i nie czcili kogoś tylko dla­tego, że ma zielono koło nóg.

I chciałem jakoś poprawić architekturę...

Światło znikało z nieba, jakby rozżarzona stal stygła powoli; pi­ramida wydawała się jeszcze większa niż poprzednio. Jeśli trzeba za­projektować coś, co daje bardzo wyraźne wrażenie masy, piramida jest właściwym wyborem. Otaczały ją małe figurki, nierozpoznawalne w szarym zmierzchu.

Teppic rozejrzał się i wśród klęczącego tłumu zobaczył kogoś w mundurze straży pałacowej.

— Hej, ty! Wstawaj! — rozkazał.

Człowiek spojrzał na niego przerażony, ale wstał posłusznie.

— Co się tu dzieje?

— O królu, władco...

— Chyba nie mamy czasu — przerwał mu Teppic. — Wiem, kim jestem. Chcę wiedzieć, co się tu wydarzyło.

— O królu, widzieliśmy chodzących umarłych! Kapłani popły­nęli, żeby z nimi rozmawiać.

— Umarli chodzili?

— Tak, o królu.

— Mówimy o nieżywych ludziach?

— Tak, o królu.

— Aha. No cóż, dziękuję. To było treściwe. Niespecjalnie infor­macyjne, ale treściwe. Zostały jeszcze jakieś łodzie?

— Kapłani zabrali wszystkie, o królu.

Teppic widział, że tak jest w istocie. Mola pod pałacem, zwykle obstawione łodziami, były puste. Kiedy spojrzał na wodę, ta wypu­ściła dwoje oczu i paszczę, przypominając, że pływanie w Djelu jest czynnością tak rozsądną, jak przybijanie mgły do muru.

Zerknął na tłum. Każdy z obecnych przyglądał mu się wycze­kująco, przekonany, że król wie, co należy zrobić.

Teppic stanął twarzą do rzeki, wyciągnął przed siebie ręce, zło­żył je, po czym rozsunął delikatnie.

Rozległ się chlupot i wody Djelu rozstąpiły się przed nim. Lu­dzie westchnęli zdumieni, ale ich zdumienie było niczym wobec za­skoczenia kilkunastu krokodyli, próbujących nerwowo pływać w dziesięciu stopach powietrza.

Teppic zbiegł na brzeg i pobrnął przez głębokie błoto, odska­kując przed machającymi wściekle ogonami krokodyli spadających ciężko na dno.

Djel wznosił się po obu stronach jak dwie oliwkowe ściany, tak że Teppic biegi jak przez wilgotny, mroczny zaułek. Tu i tam leżały odłamki kości, stare tarcze, połamane włócznie, wręgi łodzi. Przeskakiwał i omijał odpadki stuleci.

Tuż przed nim wielki krokodyl wypłynął sennie ze ściany wody, zwinął się wściekle w powietrzu i runął w błoto. Teppic nadepnął mu na paszczę i szedł dalej.

Z tyłu kilku co bystrzejszych obywateli, widząc przed sobą oszo­łomione potwory, zaczęło się rozglądać za kamieniami. Krokodyle były niekwestionowanymi władcami Djelu od czasów prehistorycz­nych, ale jeśli w ciągu kilku minut można by wyrównać trochę ra­chunki, z pewnością warto spróbować.

Ryki rzecznych potworów, rozpoczynających właśnie długą po­dróż, która doprowadzi je do damskich torebek, rozległy się za ple­cami Teppica, kiedy wychodził już na drugi brzeg.

\* \* \*

Szereg przodków ciągnął się przez komorę, przez ciemny korytarz i dalej. Szepty wędrowały w obie strony: suchy od­głos, jakby wiatr szeleścił starymi papirusami. Dii leżał na piasku, a Gern chustką wachlował mu twarz.

— Co oni robią?

— Odczytują inskrypcję — wyjaśnił uczeń. — Powinniście to wi­dzieć, mistrzu! Ten, który czyta, jest już właściwie...

— Tak, tak, wystarczy. Dii usiadł z wysiłkiem.

— Ma ponad sześć tysięcy lat! Jego wnuk go słucha i powtarza swojemu wnukowi, a ten swojemu...

— Tak, wszystko...

— A Khuft-także-Rzekł-do-Pierwszego, Co-Możemy-Ofiarować-Tobie, Który-Wskazałeś-Nam-Słuszną-Drogę — powtarzał Teppicymon[[28]](#footnote-28), stojący na końcu szeregu. — A-Pierwszy-Przemówił, Zbuduj-dla-Mnie-Piramidę, Bym-w-Niej-Spocząl, i-Zbuduj-ją-w-Tych-Wy-miarach, by-Była-Właściwa. I-Tak-Się-Stało, a-Imię-Pierwszego-Brzmiało...

Ale imienia nie było. Tylko gwar podniesionych głosów, sprze­czek i starożytnych przekleństw, sunących wzdłuż linii zasuszonych przodków niczym iskra po prochowej ścieżce. Aż wreszcie dotarły do Teppicymona, który eksplodował.

\* \* \*

Sierżant efebiańskiej armii, pocący się spokojnie w cieniu, zobaczył to, czego po części się spodziewał i w całości oba­wiał. Na horyzoncie pojawiła się kolumna kurzu. Główne siły Tsortu dotarły na miejsce pierwsze.

Wstał, z miną zawodowca skinął głową swojemu odpowiedni­kowi po drugiej stronie granicy, po czym spojrzał na garść ludzi słu­żących pod jego rozkazami.

— Potrzebny mi posłaniec, żeby tego, no... posłać wiadomość do miasta — oznajmił.

Las rąk wystrzelił w górę. Sierżant wybrał młodego Promptera, o którym wiedział, że tęskni za mamą.

— Biegnij jak wiatr — przykazał. — Chociaż pewnie nie muszę ci tego mówić. A potem... potem...

Bezgłośnie poruszał wargami. Słońce przypiekało skały w go­rącym, wąskim przesmyku; kilka owadów brzęczało w przydrożnych kolczastych krzewach. Na wojskowej akademii nie było ćwiczeń ze Słynnych Ostatnich Słów.

Skierował spojrzenie w stronę domu.

— Posłańcze, powiedz Efebowi... — zaczął. Żołnierze czekali.

— Co? — zapytał po chwili Prompter. — Powiedzieć Efebowi co? Sierżant odprężył się, jakby ktoś wypuścił z niego powie­trze.

— Powiedz Efebowi: Co was zatrzymało? — odparł. Od ich strony horyzontu zbliżała się druga kolumna kurzu. Tak już lepiej. Jeśli ma tu być masakra, to powinny w niej uczestniczyć obie strony.

\* \* \*

Przed Teppikiem rozciągało się miasto umarłych. Po Ankh-Morpork, jego niemal dokładnym przeciwieństwie (w Ankh nawet łóżka żyły), było to chyba największe mia­sto na Dysku. Ulice miało najwspanialsze, architekturę najbardziej majestatyczną i budzącą szacunek.

Co do liczby mieszkańców, nekropolia przewyższała inne mia­sta Starego Państwa, ale tutejsi rzadko wychodzili i nie było co ro­bić w sobotnie wieczory.

Aż do dzisiaj.

Dzisiaj ulice były zatłoczone.

Ze szczytu wygładzonego wiatrami obelisku Teppic spoglądał na przechodzące pod nim szare i brązowe, miejscami lekko zielon­kawe armie. Królowie byli demokratami. Po opróżnieniu piramid, grupami wzięli się za pomniejsze grobowce i teraz nekropolia mia­ła swoich kupców, swoją szlachtę, a nawet swoich rzemieślników. Co nie znaczy, że dało się ich odróżnić.

Wszyscy jak jeden trup zmierzali do Wielkiej Piramidy. Wyrasta­ła jak wrzód nad mniejszymi, starszymi budowlami. I wszyscy wyglą­dali na bardzo czymś rozgniewanych.

Teppic zeskoczył lekko na szeroką, płaską powierzchnię mastaby, podbiegł na krawędź, przeskoczył na ozdobnego sfinksa — nie bez chwili wahania, ale ten akurat wydawał się całkiem nieruchomy — a stamtąd już tylko rzut kotwiczką dzielił go od niższych pozio­mów piramidy schodkowej.

Sporne słońce przebijało promieniami milczący pejzaż, a Tep­pic skakał z posągu na posąg, zygzakując wysoko ponad sunącą w dole armią.

Gdzie stąpnął, zielone pędy pojawiały się na chwilę w pęknię­ciach starożytnych głazów, po czym więdły i znikały.

To właśnie to, szeptała krew, opływając jego ciało. Tego się uczy­łeś. Nawet Mericet nie mógłby ci nic zarzucić. Pędzić w cieniach ponad milczącym miastem, biec jak kot, znajdować chwyty tam, gdzie nawet gekon mógłby stracić głowę... A u celu — ofiara.

Owszem, ofiarą jest miliardtonowa piramida, podczas gdy do tej pory największym klientem inhumacji był Patricio, trzycetnarowy Despota Quirmu.

Jako drabiny użył monumentalnej iglicy, na której płaskorzeź­bami utrwalono dokonania króla zmarłego przed czterema tysiącami lat. Pamięć o nim przetrwałaby dłużej, gdyby niesiony wia­trem piasek nie starł imienia władcy. Fachowo rzucona kotwiczka, zaczepiona o wyciągnięte palce dawno zapomnianego monarchy, umożliwiła lot po długim, łagodnym łuku, wprost na szczyt gro­bowca.

Biegnąc, wspinając się, pospiesznie wbijając haki w pomniki zmarłych, Teppic wciąż zbliżał się do celu.

\* \* \*

Punkciki światła wśród skał znaczyły linie przeciwnych ar­mii. Choć wrogość obu imperiów trwała długo, oba prze­strzegały pradawnej tradycji, zakazującej prowadzenia wo­jen nocą, w czasie zbiorów i podczas deszczu. Wojna jest dostatecz­nie poważna, by oszczędzać ją na specjalne okazje. Nierozsądny po­śpiech redukuje ją do farsy.

Po zmroku z obu stron dobiegły odgłosy zawansowanych prac ciesielskich.

Mówi się, że generałowie zawsze są gotowi jeszcze raz stoczyć ostatnią wojnę. Minęły tysiące lat od ostatniej wojny Tsortu z Efebem, ale generałowie mają dobrą pamięć i tym razem byli przygo­towani.

Po obu stronach granicy nabierały kształtu drewniane konie.

\* \* \*

**—**Poszedł — zameldował Ptaclusp IIb, zsuwając się po ka­miennym rumowisku.

— Najwyższy czas — mruknął jego ojciec. — Pomóż mi zwinąć brata. Jesteś pewien, że nie zrobimy mu krzywdy?

— Jeśli zrobimy to ostrożnie, to nie poruszy się w czasie, to zna­czy dla nas w poprzek. Czyli czas dla niego nie płynie, więc nic nie może mu się stać.

Ptaclusp wspomniał dawne czasy, kiedy budowanie piramid po­legało na zwyczajnym układaniu jednego bloku na drugim, i trze­ba było tylko pamiętać, żeby na wierzch kłaść mniej niż pod spód. A teraz oznaczało złożenie w kant jednego z synów.

— No dobrze — zgodził się niezbyt pewnie. — Ruszajmy stąd.

Wspiął się po gruzach i wysunął głowę akurat wtedy, gdy przed­nia straż umarłych wyłoniła się zza rogu najbliższej niewielkiej pi­ramidy.

Jego pierwsza myśl brzmiała: to jest to. Przyszli z reklamacją.

Starał się, jak mógł. Nie zawsze łatwo jest trzymać się budżetu. Może nie każda belka dokładnie odpowiadała rysunkom, może jakość wewnętrznych tynków nie zawsze zgadzała się ze specyfikacją, ale...

Nie mogą wszyscy się skarżyć. Nie tylu naraz...

Ptaclusp IIb pojawił się obok. Szeroko otworzył usta.

— Skąd oni wszyscy się wzięli? — zapytał.

— Ty jesteś ekspertem. Ty mi wytłumacz.

— Wszyscy są umarli?

Ptaclusp przyjrzał się pierwszym szeregom.

— Jeśli nie, to niektórzy są ciężko chorzy — stwierdził.

— Uciekajmy!

— Gdzie? Na piramidę?

Wielka Piramida wyrastała za nimi, brzęcząc cicho. Ptaclusp spojrzał na nią niepewnie.

— Co się stanie dzisiaj wieczorem? — spytał.

— Słucham?

— No, czy ona... czy zrobi to, co zrobiła... jeszcze raz? IIb wytrzeszczył oczy.

— Nie wiem.

— A możesz sprawdzić?

— Tylko czekając. Nie jestem nawet pewien, co takiego zrobiła.

— Spodoba nam się to?

— Nie przypuszczam, tato. Ojej!

— Co takiego?

— Popatrz tam.

W stronę umarłych, kryjąc się za Koomim niczym ogon za ko­metą, szli kapłani.

\* \* \*

We wnętrzu konia było gorąco i ciemno. A także ciasno. Czekali spoceni.

— Co teraz będzie, sierżancie? — dopytywał się młody Prompter.

Sierżant ostrożnie przesunął stopę. Panująca tu atmosfera na­wet u sardynki wywołałaby atak klaustrofobii.

— No cóż, chłopcze... Znajdą nas, rozumiesz, i będą pod wra­żeniem, więc pociągną nas do miasta, a kiedy zapadnie ciemność, wyskoczymy i wszyscy oni pójdą pod miecz... Albo miecz spadnie na nich. Jedno albo drugie. A potem zdobędziemy miasto, spali­my je i posypiemy grunt solą. Pamiętasz chyba, chłopcze, pokazywa­łem ci w piątek.

— Aha.

Wilgoć ściekała z czół. Kilku ludzi próbowało układać listy do domu, kreśląc rysikami na topniejących woskowych tablicz­kach.

— A co potem, sierżancie?

— Potem, chłopcze, wrócimy do domu jako bohaterowie.

— Aha.

Starsi żołnierze siedzieli spokojnie, wpatrzeni w drewniane ścia­ny. Prompter wiercił się niespokojnie, wciąż czymś zmartwiony.

— Mama powiedziała, że mam wrócić z tarczą albo na niej, sier­żancie — wyznał.

— Świetnie, mały. To się nazywa duch bojowy.

— Ale nic nam się nie stanie, prawda? Prawda, sierżancie? Sierżant wbił wzrok w duszną ciemność. Po chwili ktoś zaczął grać na harmonijce.

\* \* \*

Ptaclusp odwrócił głowę i nagle jakiś głos tuż przy uchu szepnął:

— Jesteś budowniczym piramid, prawda? Jakaś postać przyłączyła się do nich w tej mysiej dziurze, postać ubra­na w czerń i poruszająca się tak, że stąpnięcie kota brzmiałoby przy jej kroku jak orkiestra dęta.

Ptaclusp przytaknął, niezdolny wykrztusić słowa. Jak na jeden dzień, przeżył już dosyć wstrząsów.

— A więc ją wyłącz. Wyłącz natychmiast. IIb przysunął się bliżej.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Mam na imię Teppic.

— Tak samo jak król?

— Tak. Właśnie tak jak król. A teraz ją wyłącz.

— To przecież piramida! — zaprotestował IIb. — Nie można wy­łączyć piramidy!

— Więc zmuście ją, żeby odpaliła.

— Próbowaliśmy wczoraj w nocy. — IIb wskazał strzaskany wierz­chołek. — Tato, odwiń Dwa-a.

Teppic przyjrzał się płaskiemu księgowemu.

— To coś w rodzaju plakatu, tak? — zapytał po chwili. IIb spojrzał pod nogi. Teppic dostrzegł ten ruch i także spu­ścił głowę: stał po kostki w zielonych pędach.

— Przepraszam — mruknął. — Nie mogę się ich pozbyć.

— To może być straszne — przyznał gorączkowo IIb. — Wiem, miałem kiedyś kurzajkę. Nie dało się jej ruszyć.

Teppic pochylił się nad popękanym wierzchołkiem.

— To coś. — Wskazał palcem. — Do czego to służy? Widzę, że jest pokryte metalem. Po co?

— Musi mieć ostry czubek dla flary — wyjaśnił IIb.

— I to wszystko? To złoto, prawda?

— Elektrum. Stop złota i srebra. Kamień szczytowy musi być zro­biony z elektrum.

Teppic oderwał folię.

— Nie jest cały z metalu — zauważył spokojnie.

— No tak — zająknął się Ptaclusp. — Więc... Odkryliśmy, że folia działa równie dobrze.

— A może być coś tańszego? Na przykład stal?

Ptaclusp machnął ręką. Ten dzień nie był udany, równowaga psychiczna stała się tylko dalekim wspomnieniem, ale wciąż pewne fakty uznawał za niepodważalne.

— Nie wytrzymałaby dłużej niż rok czy dwa — odparł. — Z powo­du rosy i w ogóle. Straciłaby ostrość. Stal wystarcza najwyżej na dwie­ście, trzysta razy.

Teppic wsparł głowę na piramidzie. Była zimna i brzęczała; po­przez wibracje słyszał cichy, coraz wyższy odgłos. Wznosiła się nad nim wysoko. IIb mógłby wyjaśnić, że jej ściany są nachylone pod kątem 56°, a efekt zwany perspektywą powoduje, że wydaje się wyż­sza niż w rzeczywistości. Użyłby pewnie również słów takich jak kąt widzenia i wysokość wirtualna.

Czarny marmur był gładki jak szkło. Murarze dobrze wykona­li swoją pracę. Szczeliny między płytami ledwie pozwalały na wci­śnięcie noża. Ale pozwalały.

— A jeden raz? — zapytał.

\* \* \*

Koomi w roztargnieniu obgryzał paznokcie. — Ogień — rzekł. — To ich zatrzyma. Są łatwopalni. Albo wo­da. Pewnie by się rozpuścili.

— Niektórzy niszczyli piramidy — przypomniał kapłan Jufa, Kobrogłowego Boga Papirusu.

— Ludzie zawsze powracają z martwych w fatalnym humorze — dodał inny.

Koomi z rosnącym zdumieniem obserwował nadciągającą armię.

— Gdzie jest Dios? — zapytał.

Stary najwyższy kapłan został wypchnięty przed grupę.

— Co mam im powiedzieć? — zapytał go Koomi.

Błędem byłoby stwierdzenie, że Dios się uśmiechnął. Nieczę­sto musiał wykonywać taką czynność. Ale przy kącikach ust pojawi­ły mu się zmarszczki, a powieki do połowy przesłoniły oczy.

— Możesz im powiedzieć — odparł — że nowe czasy wymagają nowych ludzi. Możesz powiedzieć, że najwyższa pora ustąpić miej­sca młodszym, z nowymi pomysłami. I jeszcze, że są staromodni. Wszystko to im powiedz.

— Zabiją mnie!

— Czyżby aż tak im zależało na twoim wiecznym towarzystwie? Zastanawiam się.

— Wciąż jesteś najwyższym kapłanem!

— Dlaczego nie chcesz z nimi rozmawiać? — zapytał Dios. — Nie zapomnij dodać, że choćby wrzeszczeli i kopali, zostaną siłą wcią­gnięci w Wiek Kobry. — Wręczył Koomiemu swoją laskę. — Czy jak tam się nazywa to stulecie.

Koomi czuł na sobie spojrzenia zebranych braci i sióstr. Od­chrząknął, poprawił szatę i spojrzał na mumie.

Wykrzykiwały coś — jedno słowo powtarzane bez przerwy. Nie rozpoznał go, ale chyba rozpalało w nich gniew.

Podniósł laskę, a rzeźbione drewniane węże wydały się niepo­kojąco żywe w słabym świetle słońca.

Bogów Dysku — co tutaj oznacza powszechnie uznanych bogów, którzy naprawdę istnieją w Dunmanifestin, wolno stojącej Walhalli na niewiarygodnie wysokiej centralnej górze Dysku, gdzie spę­dzają czas, obserwując nieważne wyczyny śmiertelników albo zbie­rając podpisy pod petycją mówiącą, że napływ Lodowych Gigantów wpłynął na obniżenie cen nieruchomości w niebiańskich regionach — otóż bogów Dysku zawsze fascynowała nieprawdopodobna zdol­ność ludzi do wypowiadania niewłaściwych słów w niewłaściwych chwilach. Nie chodzi tu bynajmniej o takie proste pomyłki jak „To całkiem bezpieczne” albo „Te, które warczą, nie gryzą”, ale o krót­kie i proste zdania, wtrącane w trudnej sytuacji z podobnym efek­tem, jaki wywołuje stalowy pręt upuszczony w wirnik sześćsetmegawatowej turbiny parowej przy trzech tysiącach obrotów na minutę.

Koneserzy ludzkiej skłonności do używania pedału gazu za­miast języka, zgadzają się, że po otworzeniu sędziowskich kopert, Hoot Koomi ze swym wspaniałym wystąpieniem „Opuście to miej­sce, ohydne cienie” będzie kandydatem w kategorii najgłupszego powitania wszech czasów.

Przedni szereg przodków zatrzymał się, popychany do przodu przez tych, którzy za ich plecami nie wiedzieli, co się stało.

Król Teppicymon XXVII, który za ogólną zgodą poprzednich dwudziestu sześciu Teppicymonów został ich rzecznikiem, kołysząc się, wyszedł naprzód i podniósł drżącego Koomiego za ramiona.

— Co powiedziałeś? — spytał.

Koomi zamknął oczy. Otwierał i zamykał usta, ale głos rozsąd­nie odmówił współpracy.

Teppicymon przysunął obandażowaną twarz do szpiczastego kapłańskiego nosa.

— Pamiętam cię — warknął. — Widziałem, jak włóczysz się po pa­łacu. Najpaskudniejszy kapelusz, jaki w życiu widziałem; tak sobie wtedy myślałem.

Spojrzał na pozostałych.

— Wszyscy jesteście kapłanami, tak? I przyszliście przeprosić, tak? Gdzie jest Dios?

Przodkowie postąpili o krok, mrucząc głośno. Kiedy ktoś jest martwy od setek lat, nie ma skłonności do wielkodusznych gestów wobec ludzi, którzy zadbali, żeby dobrze się bawił. Pośrodku grupy wybuchło zamieszanie, gdy młodsi koledzy powstrzymywali króla Psam-nut-kha, który przez pięć tysięcy lat mógł oglądać tylko we­wnętrzną powierzchnię pokrywy sarkofagu.

Teppicymon zwrócił się znów do Koomiego, który jakoś ni­gdzie nie odszedł.

— Ohydne cienie, tak?

— Ee... — odpowiedział Koomi.

— Postaw go. — Dios wyjął laskę z bezwładnych palców Koomie­go. — Jestem Dios, najwyższy kapłan. Skąd się tu wzięliście?

Głos miał całkowicie spokojny i rozsądny; pobrzmiewały w nim tony zatroskanej, ale niewątpliwej pewności siebie. Tego głosu fara­onowie Djelibeybi słuchali przez tysiące lat, ten głos regulował upływ dni, nakazywał rytuały, rozcinał czas na starannie odmierzo­ne fragmenty, tłumaczył ludziom wolę bogów. To był głos władzy; poruszył pradawne wspomnienia i sprawił, że zrobili zakłopotane miny i zaczęli przestępować z nogi na nogę.

Jeden z młodszych faraonów wyrwał się do przodu.

— Ty draniu — wychrypiał. — Pochowałeś nas i pozamykałeś ko­lejno, a sam żyłeś nadal. Ludzie myśleli, że imię przechodzi z poko­lenia na pokolenie, ale to zawsze byłeś ty. Ile masz lat, Dios?

Zapadła cisza. Nikt nawet nie drgnął. Wiatr unosił obłoczki kurzu.

Dios westchnął.

— Nie chciałem tego — zapewnił. — Zawsze było tyle pracy. Nigdy nie wystarczało godzin. Wyznam, że nie zdawałem sobie sprawy, co się dzieje. Myślałem, że się odświeżam, nic więcej. Niczego nie podejrzewałem. Zauważałem mijające rytuały, ale nie lata.

— Pochodzisz z długowiecznej rodziny, co? — spytał ironicznie Teppicymon.

Dios wpatrywał się w niego, bezgłośnie poruszając ustami.

— Rodzina — szepnął w końcu. — Rodzina. Tak, musiałem prze­cież mieć rodzinę. Ale wiecie, zupełnie jej nie pamiętam. Pamięć odchodzi pierwsza. To dziwne, ale piramidy jej nie zachowują.

— I to mówi Dios, kronikarz przypisów do historii?

— Ach... — Najwyższy kapłan uśmiechnął się lekko. — Pamięć gaśnie w głowie. Ale jest przecież wszędzie wokół. Każdy zwój, każ­da księga...

— To przecież historia królestwa, człowieku!

— Tak. Moja pamięć.

Król uspokoił się trochę. Czysta lękliwa fascynacja łagodziła wściekłość.

— Ile masz lat? — zapytał.

— Myślę... Myślę, że siedem tysięcy. Ale czasem wydaje mi się, że o wiele więcej.

— Naprawdę siedem tysięcy lat?

— Tak — potwierdził Dios.

— Jak człowiek może to wytrzymać? — zdumiał się król. Dios wzruszył ramionami.

— Siedem tysięcy lat mija po jednym dniu dziennie. Powoli, krzywiąc się z bólu, przyklęknął na jedno kolano i w drżących dłoniach podniósł laskę.

— O królowie — rzekł. — Zawsze żyłem tylko po to, by służyć. Nastąpiła długa chwila niezwykle krępującego milczenia.

— Zniszczymy piramidy — oznajmił Far-re-ptah, przeciskając się do przodu.

— Zniszczycie królestwo — orzekł Dios. — Nie mogę na to po­zwolić.

— Jako mówca umarłych — odparł Far-re-ptah — oświadczam, że tylko wtedy będziemy wolni.

— Ale królestwo będzie wtedy tylko jeszcze jednym małym kra­jem — odparł Dios i ku swemu przerażeniu przodkowie dostrzegli łzy w jego oczach. — Wszystko, co jest nam drogie, zostanie rzucone w fale czasu. Niepewne. Bez przewodnika. Zmienne.

— Więc niech samo próbuje szczęścia — zdecydował Teppicymon. — Odsuń się, Dios.

Dios podniósł laskę. Węże wokół niej rozwinęły się i syknęły na króla.

— Nie ruszajcie się — rozkazał.

Czarna błyskawica uderzyła między przodków. Dios w zdumie­niu spojrzał na laskę: nigdy przedtem tego nie robiła. Ale przez sie­dem tysięcy lat kapłani w głębi serca wierzyli, że laska Diosa potra­fi władać tym i następnym światem.

W nagłej ciszy zabrzmiał cichy brzęk, jakby gdzieś wysoko ktoś wbił nóż między dwie płyty z czarnego marmuru.

\* \* \*

Piramida pulsowała pod palcami, a marmur był śliski jak lód. Nachylenie nie pomagało we wspinaczce tak, jak tego oczekiwał.

Najważniejsze, powtarzał sobie, to nie patrzeć w górę ani w dół, ale prosto przed siebie, na marmur, dzieląc nieosiągalną wysokość na możliwe do pojęcia kawałki. Jak czas. W ten sposób przeżywamy nieskończoność: zabijamy ją, łamiąc na małe części.

Teppic słyszał krzyki w dole i raz zerknął przez ramię. Pokonał dopiero jedną trzecią wysokości, ale widział stąd tłum za rzeką: sza­rą masę z białymi plamami uniesionych twarzy. Bliżej blada armia umarłych stała naprzeciw szarej grupki kapłanów z Diosem na cze­le. Toczyła się jakaś dyskusja.

Słońce zawisło na horyzoncie.

Wyciągnął rękę, natrafił na kolejną szczelinę, znalazł chwyt...

\* \* \*

Dios spostrzegł wyglądającego z gruzów Ptacluspa i posłał dwóch kapłanów, żeby go przyprowadzili. IIb przyszedł z ojcem, niosąc pod pachą starannie zwiniętego brata. — Co robi chłopak? — zapytał Dios.

— O Diosie, powiedział, że odpali piramidę — odparł Ptaclusp.

— Jak może tego dokonać?

— Panie, mówił, że zanim słońce zajdzie, nakryje ją wierzchoł­kiem.

— Czy to możliwe? — Dios zwrócił się do architekta. IIb zawahał się.

— Chyba tak.

— I co się wtedy stanie? Powrócimy do zewnętrznego świata?

— No... To zależy, czy efekt wymiarowy się zazębi, a także czy jest stabilny w każdym ze stanów, czy też przeciwnie, piramida dzia­ła jak napięta guma...

Zająknął się i umilkł pod groźnym spojrzeniem Diosa.

— Nie wiem — przyznał w końcu.

— Powrót do zewnętrznego świata — szepnął Dios. — Nie nasze­go świata. Naszym światem jest Dolina. Naszym jest świat porząd­ku. Ludzie potrzebują porządku.

Podniósł laskę.

— To mój syn! — krzyknął Teppicymon. — Nie waż się niczego próbować! To król!

Szeregi przodków zafalowały, ale nie zdołały przełamać czaru.

— Ehem... Diosie — odezwał się Koomi. Dios odwrócił się, marszcząc brwi.

— Czyżbyś coś mówił? — zapytał groźnie.

— Tego... Bo jeśli to król, no, to ja... znaczy my... sądzimy, że mo­że powinieneś pozwolić mu skończyć. Nie sądzisz, że to dobry pomysł?

Laska Diosa podskoczyła i kapłani poczuli, jak zimne więzy unieruchamiają im ręce.

— Swoje życie ofiarowałem królestwu — rzekł Dios. — Oddawałem je wiele razy. Wszystko, czym jest, ja stworzyłem. Nie zawiodę go teraz. I wtedy zobaczył bogów.

\* \* \*

Teppic przesunął się o kolejne kilka stóp i delikatnie się­gnął w dół, żeby wyrwać nóż z marmuru. To nie może się udać. Wspinaczka na nożach jest dobra na krótkie, trudne przejścia, a nawet wtedy źle widziana, gdyż sugeruje, że człowiek wybrał niewłaściwą trasę. Nie nadaje się do takich podejść, chyba że ma się nieograniczony zapas noży.

Raz jeszcze zerknął przez ramię, gdy na ścianie piramidy zami­gotały dziwne, kanciaste cienie.

Od zachodzącego słońca, gdzie toczyli swoją wieczną sprzecz­kę, powracali bogowie.

Zataczali się i potykali na polach i wśród trzciny. Zmierzali do piramidy. Choć niemal bezrozumni, zgadywali, czym jest. Może na­wet pojmowali, co chce zrobić Teppic. Trudno było rozpoznać wy­raz na ich zwierzęcych obliczach, ale wyglądało na to, że są bardzo zagniewani.

\* \* \*

**—**Spróbujesz nad nimi zapanować, Dios? — zapytał król. — Powiesz im, że świat powinien być niezmienny? Dios spoglądał na stwory, które popychając się, brnęły przez rzekę. Miały zbyt wiele zębów, zbyt wiele wywieszonych języ­ków. Te ich części, które były ludzkie, zapadały się w mule. Lwio-głowy Bóg Sprawiedliwości — Put, przypomniał sobie Dios — używał wagi jak cepa, by pobić któreś z bóstw rzeki. Chefet, Psiogłowy Bóg Metalurgii, warczał i bez wyboru atakował innych swoim młotem. Chefet, pomyślał Dios; bóg, którego stworzył, aby był dla ludzi przy­kładem w sztuce filigranu i drobnego piękna.

Przecież udało się. Wziął włóczęgów z pustyni i pokazał im wszystko, co pamiętał ze sztuk cywilizacji i tajemnic piramid. Ale to, co zaistniało, nie było tym, co sobie zaplanował.

Chefet, Chefet, myślał. Twórca pierścieni, tkacz metalu. A te­raz wyrwał się nam z głów i patrzcie, jak paznokcie wyrastają mu w szpony...

Nie tak go sobie wyobrażałem.

— Stójcie! — zawołał. — Rozkazuję wam się zatrzymać! Będziecie mi posłuszni! Zmuszę was!

Są także niewdzięczni.

Król Teppicymon poczuł, że unieruchamiająca go moc słab­nie — to Dios całą swoją uwagę poświęcił problemom eklezjastycznym. Zobaczył maleńką sylwetkę w połowie piramidy. Zobaczył, jak się zachwiała.

Pozostali przodkowie też to widzieli i jak jeden trup zgadli, co trzeba zrobić. Dios mógł zaczekać.

To właśnie jest rodzina.

\* \* \*

Teppic usłyszał trzask pękającej rękojeści pod stopą i za­wisł na jednej ręce. Nad sobą wbił jeszcze jeden nóż, ale... nie, nic z tego. Nie dosięgnie. Miał wrażenie, że ręce stały się krótkimi kawałkami mokrego powrozu. Jeśli rozłoży ramiona i nogi, może wyhamuje zjazd...

Spojrzał w dół i zobaczył, jak mumie zbliżają się do niego ogromną falą, załamującą się w górę.

Przodkowie zdobywali ścianę piramidy w milczeniu, jak wino­rośle; każdy nowy szereg stawał na ramionach poprzedniej genera­cji, a młodsi wspinali się po nich. Kościste palce chwyciły Teppica, a fala wspinaczy rozdzieliła się wokół niego, i teraz był na wpół po­pychany, na wpół ciągnięty coraz wyżej. Podobne do skrzypienia sarkofagów głosy rozlegały się wokół i dodawały otuchy.

— Dobra robota, chłopcze — sieknęła rozsypująca się mumia, podnosząc go na ramię. — Przypominasz mi mnie, jeszcze za życia. Do ciebie, synu.

— Mam go! — zawołał trup powyżej, bez wysiłku podnosząc Teppica na wyciągniętej ręce. — To się nazywa rodzinna współpraca, mały. Najlepsze życzenie od pra-pra-pra-pra-wuja, chociaż nie są­dzę, żebyś mnie pamiętał. W górę!

Inni przodkowie wyprzedzali Teppica i podawali go sobie z rąk do rąk. Pradawne palce ściskały go jak stal i wnosiły coraz wyżej. Pi­ramida stała się węższa.

W dole Ptaclusp obserwował ich pilnie.

— Co za siła robocza — szepnął. — Przecież ci na dole podtrzymu­ją cały ciężar.

— Tato — odezwał się IIb. — Lepiej uciekajmy. Bogowie są coraz bliżej.

Ptaclusp zignorował ostrzeżenie.

— Myślisz, że można by ich zatrudnić? Są martwi, więc nie bra­liby dużych pensji. I jeszcze...

— Tato!

— ...coś w rodzaju „Zbuduj to sam”...

— Mówiłeś, że żadnych więcej piramid, tato. Już nigdy. A teraz chodź!

Teppic wdrapał się na szczyt piramidy, podtrzymywany przez ostatnich dwóch przodków. Jednym z nich był jego ojciec.

— Nie sądzę, żebyś miał okazję poznać swoją prababcię — po­wiedział, wskazując niższą obandażowaną postać. Skinęła Teppicowi głową.

Chłopiec otworzył usta.

— Nie ma czasu — przerwała mu. — Świetnie sobie radzisz.

Zerknął na słońce, które — jak stary zawodowiec — tę właśnie chwilę wybrało, by opaść poniżej horyzontu. Bogowie przekroczy­li rzekę i ich marsz spowalniała już tylko skłonność do przepycha­nia się między sobą. Szli już między budowlami nekropolii. Kilkoro zebrało się w miejscu, gdzie został Dios.

Przodkowie wycofali się, zsunęli z piramidy tak szybko, jak przedtem się wspięli. Teppic został sam na paru stopach kwadrato­wych kamienia.

Błysnęły pierwsze gwiazdy.

Zobaczył białe sylwetki przodków, którzy rozbiegli się we wła­snych sprawach i z zadziwiającą prędkością sunęli w stronę szerokiej wstęgi rzeki.

Bogowie porzucili Diosa, tego dziwnego małego człowieczka z kijem i zgrzytliwym głosem. Najbliższy z nich, potwór z głową kro­kodyla, wbiegł na plac przed piramidą, zobaczył Teppica i wycią­gnął łapę. Teppic szukał noża, zastanawiając się, który będzie odpo­wiedni na boga...

A wzdłuż Djelu piramidy zaczynały wypalać swoją skromną re­zerwę nazbieranego czasu.

\* \* \*

Kapłani i przodkowie uciekli, kiedy zadrżała ziemia. Na­wet bogowie wyglądali na zaskoczonych. IIb chwycił ojca za rękę i odciągnął od piramidy. — Chodź! — wrzeszczał mu do ucha. — Kiedy odpali, musimy być jak najdalej stąd. Inaczej będziesz się kładł do łóżka na wieszaku! Wokół nich kilka piramid zapaliło swe flary — cienkie, chwiej­ne, ledwie widoczne o zmierzchu.

— Tato! Mówiłem, że musimy uciekać!

Ptaclusp dał się ciągnąć po kamieniach, wciąż wpatrzony w ogromną sylwetkę Wielkiej Piramidy.

— Ktoś jeszcze tam został. Popatrz. — Wskazał palcem samotną postać na placu.

IIb wytrzeszczył oczy.

— To tylko Dios, najwyższy kapłan — stwierdził. — Pewnie ma ja­kiś plan, ale lepiej nie mieszać się w sprawy kapłanów; czy już mo­żemy iść?

Krokodylogłowy bóg odwrócił pysk w jedną i w drugą stronę, starając się skupić wzrok na Teppicu — a przecież nie mógł korzystać z dwuocznego widzenia. Z tak małej odległości jego ciało było lek­ko przejrzyste, jakby ktoś naszkicował wszystkie linie i znudził się, za­nim przyszło do kolorowania. Bóg nadepnął na niewielki grobo­wiec i zmiażdżył go na proszek.

Nad Teppikiem zawisła łapa niczym grono kajaków z pazurami. Piramida drżała, a kamień pod stopami był ciepły, lecz rozsądnie nie przejawiał żadnej chęci do odpalenia.

Łapa opadała. Teppic przyklęknął i desperacko oburącz pod­niósł nad głową nóż.

Światło błysnęło na klindze i wtedy właśnie Wielka Piramida wystrzeliła flarę.

Z początku robiła to w absolutnej ciszy, posyłając w górę igłę oślepiającego ognia, który całe królestwo zmienił w szachownicę czarnego cienia i białego światła, ognia, który mógł obserwatorów zmienić nie tylko w słup soli, ale w pełny zestaw przypraw do wybo­ru. Eksplodował jak sprężyna zegara słonecznego; cichy jak światło gwiazd i jaskrawy jak supernowa.

Dopiero kiedy przez kilka sekund zalewał nekropolię swoim niemożliwym blaskiem, nadszedł dźwięk, a był to dźwięk, który prze­wija się przez kości, wciska do wszystkich komórek ciała i próbuje, nie bez sukcesów, wywrócić je na lewą stronę. Był zbyt potężny, by nazwać go hukiem. Istnieją dźwięki tak głośne, że nie pozwalają się usłyszeć, i to właśnie był jeden z nich.

W końcu zdecydował się opuścić skalę kosmiczną i stał się po prostu najgłośniejszym dźwiękiem, jaki ktokolwiek w życiu słyszał.

I nagle umilkł, wypełniając powietrze mrocznym, metalicznym brzękiem nieoczekiwanej ciszy. Światło zgasło, przetykając noc błę­kitem i fioletem powidoków. Nie była to cisza i ciemność konkluzji, ale przerwy, niby moment równowagi, gdy rzucona kula straciła już przyspieszenie, ale grawitacja nie zwróciła jeszcze na nią uwagi, więc przez jedną krótką chwilę myśli, że najgorsze już za nią.

Tym razem zapowiedzią był ostry gwizd z nieba i wir powietrza, który stał się lśnieniem, płomieniem, flarą z trzaskiem palącą się w dół, do piramidy, w masę czarnego marmuru. Palce błyskawic strzeliły na boki, uziemiając się w pomniejszych grobowcach, aż wę­że białego ognia przeskakiwały z piramidy na piramidę po całej ne­kropolii, a powietrze wypełnił smród palonego kamienia.

Pośrodku tej burzy ogniowej Wielka Piramida uniosła się kilka cali na strumieniu jasności, i obróciła o dziewięćdziesiąt stopni. Prawie na pewno był to szczególny rodzaj złudzenia optycznego, które zachodzi nawet wtedy, kiedy nikt nie patrzy.

Potem, z pozorną powolnością i niezwykłą powagą eksplodo­wała.

To niemal zbyt proste określenie. Oto, co się działo: rozpadła się z godnością na odłamki wielkości domów, dryfujące delikatnie coraz dalej od siebie, w absolutnym spokoju frunące nad nekropo­lią. Niektóre uderzały o inne piramidy, leniwie i jakby niechcący je niszcząc, a potem odbijały się w ciszy, aż orząc ziemię, hamowały za niewielkimi górami gruzu.

Dopiero wtedy zagrzmiał huk. I trwał bardzo długo.

\* \* \*

Szary pył okrył królestwo.

Ptaclusp wyprostował się i ostrożnie ruszył przed siebie, ma­cając drogę. Zatrzymał się, kiedy wpadł na kogoś. Zadrżał na samą myśl o istotach, które niedawno widział w tej okolicy, choć myśl ta nie przyszła mu łatwo, gdyż coś chyba uderzyło go w głowę...

— To ty, chłopcze? — zapytał.

— To ty, tato?

— Tak — zapewnił Ptaclusp.

— To ja, tato.

— Cieszę się, że to ty, synu.

— Widzisz coś?

— Nie. Tylko kurz i mgłę.

— Dzięki bogom. Już myślałem, że to ja.

— Ale to przecież ty, prawda? Sam mówiłeś.

— Tak, tato.

— Co z twoim bratem?

— Mam go w kieszeni, tato.

— To dobrze. Miejmy nadzieję, że nic mu się nie stało.

Szli wolno naprzód, omijając ledwie zauważalne kawały budowli.

— Coś wybuchło, tato — powiedział IIb. — Myślę, że to piramida.

Ptaclusp potarł czubek głowy, gdzie dwie tony latającej skały zbliżyły się na jedną szesnastą cala do przygotowania go na złożenie w jednej z własnych piramid.

— To pewnie ten przeceniony cement, co go kupiłem od Mercaz Efebu...

— Myślę, że to coś gorszego niż słabe spojenia, tato. Myślę, że coś o wiele gorszego.

— Wyglądał jakby miał za dużo piasku...

— Powinieneś usiąść, tato — zaproponował delikatnie IIb. — Tu masz Dwa-a. Trzymaj się go.

Ruszył dalej sam. Wspiął się na płytę z czegoś, co podejrzanie przypominało czarny marmur. Potrzebował, jak uznał po namyśle, kapłana. Powinni się przecież czasem na coś przydać i teraz nade­szła właściwa chwila, żeby któryś się znalazł. Dla pocieszenia, na przykład, albo żeby tłuc jego głową o kamień.

Zamiast kapłana znalazł kogoś na czworakach, kaszlącego gło­śno. Pomógł mu wstać... tak, to stanowczo był ktoś, IIb obawiał się przez moment, że jednak coś... i usadził na kawale prawie na pew­no marmuru.

— Jesteś kapłanem? — zapytał, grzebiąc wśród gruzu.

— Jestem Dii, mistrz balsamista — przedstawiła się postać.

— Ptaclusp IIb, parakosmiczny archi... — IIb uświadomił sobie nagle, że przez jakiś czas architekci nie będą tu popularni. Popra­wił się szybko. — Jestem inżynierem. Dobrze się czujesz?

— Nie wiem. Co się stało?

— Myślę, że eksplodowała piramida.

— Czy zginęliśmy?

— Nie przypuszczam. W końcu chodzisz i rozmawiasz, prawda? Dii drgnął.

— To o niczym nie świadczy, możesz mi wierzyć. Co to jest inży­nier?

— Budowniczy akweduktów — wyjaśnił szybko IIb. — Wchodzą w modę.

Dii wstał niezbyt pewnie.

— Chcę się napić — oznajmił. — Poszukajmy rzeki. Najpierw znaleźli Teppica.

Obejmował niewielki, ścięty kawałek piramidy, który przy lą­dowaniu wyrył średniej wielkości krater.

— Znam go — stwierdził IIb. — To ten chłopak, który był na czub­ku piramidy. To śmieszne. Jak mógł przeżyć coś takiego?

— I dlaczego z kamienia wyrasta cała ta kukurydza? — zdziwił się Dii.

— Może kiedy jest się w samym środku tiary, działa jakiś rodzaj efektu... — IIb myślał głośno. — Taki obszar spokoju albo co... Jak w centrum wiru...

Odruchowo sięgnął po woskową tabliczkę, ale powstrzymał się. Człowiekowi nie było przeznaczone rozumienie rzeczy, którymi się zajmował.

— Zginął? — zapytał.

— Nie patrz na mnie — odparł Dii i odstąpił. W myślach wyliczał dostępne teraz dla siebie zawody. Tapicerka wydawała się obiecu­jąca. Przynajmniej fotele nie wstają i nie chodzą za człowiekiem, który je wypchał.

IIb pochylił się nad ciałem.

— Patrz, co on ma ręku! — zawołał, delikatnie odginając palce. — Kawałek stopionego metalu. Po co mu on?

...Teppic śnił.

Widział siedem krów tłustych i siedem krów chudych, a jedna z nich jeździła na rowerze.

Widział śpiewające wielbłądy, a pieśń wyrównywała zmarszczki rzeczywistości.

Widział palec piszący na ścianie piramidy: Wyjście jest łatwe. Po­wrót wymaga (ciąg dalszy na następnej ścianie)...

Obszedł piramidę do miejsca, gdzie palec kontynuował: wysił­ku woli, ponieważ jest o wiele trudniejszy. Dziękuję za uwagę.

Teppic przemyślał to i przyszło mu do głowy, że coś jeszcze po­zostało do zrobienia — coś, czego jeszcze nie robił. Nigdy wcześniej nie wiedział jak, ale teraz zrozumiał, że to tylko liczby ustawione w szczególny sposób. Wszystko, co magiczne, jest tylko metodą opi­su świata słowami, których nie może zignorować.

Stęknął z wysiłku.

Przez chwilę miał wrażenie prędkości.

Dii i IIb rozejrzeli się niepewnie, gdy długie promienie światła błysnęły we mgle i zabarwiły pejzaż kolorem starego złota.

I wzeszło słońce.

\* \* \*

Sierżant ostrożnie uchylił klapę w końskim brzuchu. Kie­dy spodziewany rój włóczni się nie zmaterializował, rozka­zał Prompterowi spuścić sznurową drabinkę, zszedł po niej i w porannym chłodzie spojrzał na pustynię.

Nowy rekrut podążył za nim i teraz przeskakiwał z nogi na nogę na piasku, który niemal mroził, ale w porze obiadu będzie parzył.

— Tam — rzekł sierżant. — Widzisz linie Tsortian, chłopcze?

— Wygląda mi to na szereg drewnianych koni, sierżancie — stwierdził Prompter. — Ten na końcu jest na biegunach.

— To na pewno oficerowie. Ha... Ci Tsortianie muszą nas uwa­żać za prostaczków. — Sierżant potupał nogami, odetchnął kilka ra­zy świeżym powietrzem i wrócił do drabinki.

— Wchodzimy, chłopcze! — zawołał.

— A po co musimy tam siedzieć? Sierżant zatrzymał się z nogą na szczeblu.

— Użyj zdrowego rozsądku, chłopcze. Przecież nie przyjdą tu i nie wciągną naszych koni do miasta, jeśli zobaczą nas na zewnątrz, prawda? To chyba jasne.

— Jest pan pewien, że przyjdą? — spytał Prompter. Sierżant zmarszczył brwi.

— Słuchajcie, żołnierzu — rzekł. — Każdy, kto jest tak durny, by wierzyć, że pociągniemy mnóstwo ich koni pełnych żołnierzy do naszego miasta, z pewnością jest dostatecznie tępy, żeby pociągnąć nasze do swojego. QED.

— QED, sierżancie?

— To znaczy: właź na tę przeklętą drabinkę. Prompter zasalutował.

— Proszę o zgodę na przeproszenie na moment, sierżancie!

— Przeproszenie kogo?

— Przeproszenie na moment — powtórzył zdesperowany Promp­ter. — Znaczy, w koniu jest strasznie ciasno, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

— Będziesz musiał się nauczyć trochę nad sobą panować, mój chłopcze, jeśli chcesz zostać w oddziałach konnych. Wiesz o tym?

— Tak, sierżancie — potwierdził smętnie Prompter.

— Masz minutę.

— Dziękuję, sierżancie.

Gdy zamknęła się nad nim klapa, Prompter podszedł do jednej z masywnych nóg konia i wykorzystał ją w celu, do jakiego nie była projektowana.

I kiedy patrzył swobodnie przed siebie, zatopiony w tej kontem­placji zeń, jaka możliwa jest tylko w takich chwilach, rozległo się ci­che puknięcie i nagle otworzyła się przed nim cała rzeczna dolina.

Takie rzeczy nie powinny się zdarzać rozsądnym młodzieńcom. Zwłaszcza takim, którzy muszą sami prać swoje mundury.

\* \* \*

Bryza od morza dmuchała w głąb królestwa, niosąc suge­stię... nie, nie niosąc sugestii, ale raczej wrzeszcząc o soli, skorupiakach i nasłonecznionych plażach. Kilka dość zdzi­wionych morskich ptaków krążyło nad nekropolią, gdzie wiatr skra­dał się pomiędzy gruzami i pokrywał piaskiem pomniki starożyt­nych władców. Ptaki jednym ruchem jelita mówiły więcej, niż zdo­łał wyrazić Ozymandias.

Wiatr niósł też chłodny, przyjemny powiew. Ludzie naprawiają­cy spowodowane przez bogów szkody odczuwali przemożną chęć, by wystawić do niego twarze, jak ryby w stawie odwracają się do stru­mienia czystej, świeżej wody.

Nikt nie pracował w nekropolii. Większość piramid straciła w eksplozjach górne poziomy i teraz stały, dymiąc lekko, jak nie­dawno wygasłe wulkany. Tu i tam na piasku leżały płyty czarnego marmuru. Jedna z nich o mało co nie ścięła sępiej głowy Hata, Bo­ga Niespodziewanych Gości.

Przodkowie zniknęli. Nie zgłosił się nikt, kto chciałby ich szukać.

Koło południa od strony delty nadpłynął statek pod pełnymi żaglami. Nie był to zwykły statek. Zdawało się, że brnie w wodzie jak tłusty i bezbronny hipopotam, i dopiero kiedy ktoś obserwował go przez dłuższy czas, dostrzegał, że zadziwiająco szybko pokonuje odległość. Rzucił kotwicę przed pałacem.

Po chwili spuścił na wodę szalupę.

\* \* \*

Teppic siedział na tronie i patrzył, jak życie w królestwie z wolna układa się znowu, niczym stłuczone zwierciadło, które posklejane odbija to samo stare światło na nowe i nieoczekiwane sposoby.

Nikt nie był pewien, na jakiej podstawie zasiadł na tronie, ale też nikt nie był zainteresowany jego zajęciem. Z ulgą wysłuchiwali poleceń wydawanych stanowczym, pewnym głosem. Zadziwiające, ja­kich rozkazów ludzie słuchają, jeśli tylko użyje się stanowczego, pew­nego głosu. Tym bardziej że do takiego właśnie głosu królestwo by­ło przyzwyczajone.

Poza tym wydawanie poleceń nie pozwalało na myślenie. O ży­ciu, na przykład, albo co się stanie potem. Ale przynajmniej bogowie znowu odeszli w nieistnienie, dzięki czemu o wiele łatwiej bę­dzie w nich wierzyć. No i trawa nie rosła mu już pod stopami.

Może uda mi się poskładać królestwo od nowa, myślał. Ale co potem z nim zrobię? Gdyby tylko udało się znaleźć Diosa... On za­wsze wiedział, co robić. To była jego główna zaleta.

Strażnik przecisnął się do tronu przez grupę kapłanów i ary­stokracji.

— Przepraszam bardzo, wasz sire — powiedział. — Jakiś kupiec chce cię widzieć. Mówi, że to pilne.

— Nie teraz, człowieku. Delegaci armii tsortiańskiej i efebiańskiej przybywają tu za godzinę, a wiele spraw musimy przedtem za­łatwić. Nie mogę przyjmować każdego sklepikarza, który akurat tę­dy przejeżdża. A co on właściwie sprzedaje?

— Dywany, wasz sire.

— Dywany?

Wkroczył Chidder, uśmiechnięty jak połówka arbuza. Za nim maszerowało kilku członków załogi. Przeszedł przez salę, zerkając na freski i kotary. Ponieważ był Chidderem, prawdopodobnie je wyceniał. Kiedy stanął przed tronem, wykreślał już pewnie podwój­ną linię pod łączną sumą.

— Miłe miejsce — pochwalił, zamykając w dwóch słowach na­gromadzoną przez siedem tysięcy lat sztukę architektoniczną. — Nie zgadniesz, co nam się przytrafiło. Płynęliśmy sobie wzdłuż brze­gu, aż tu nagle zjawiła się rzeka. W jednej chwili klify, w następnej delta. Zabawne, pomyślałem. Założę się, że gdzieś tam jest Teppic.

— Gdzie Ptraci?

— Pamiętałem, że skarżyłeś się na brak dawnych wygód, więc przyniosłem ci ten oto dywan.

— Pytałem, gdzie jest Ptraci.

Marynarze odsunęli się na boki, a uśmiechnięty Alfonz przeciął sznurki i pociągnął brzeg dywanu. Ten rozwinął się na podłodze. Wypadły z niego kłęby kurzu, mole, a na końcu Ptraci, która toczy­ła się jeszcze kawałek, aż uderzyła głową o but Teppica.

Pomógł jej wstać i spróbował strzepnąć kurz z włosów. Chwia­ła się lekko i nie zwracała na niego uwagi.

— Mogłam tam umrzeć! — krzyknęła do Chiddera bez tchu, czerwona ze złości. — Wiele innych stworzeń umarło, sądząc po za­pachu! I jeszcze to gorąco!

— Mówiłaś, że coś takiego udało się królowej, jak jej, Ram-Jam-Hurrah czy jakoś inaczej — uspokajał ją Chidder. — Nie miej do mnie pretensji. W domu wystarcza zwykle naszyjnik albo coś w tym stylu.

— Założę się, że miała przyzwoity dywan — burknęła Ptraci. — A nie coś, co przez pół roku leżało w brudnej ładowni.

— Miałaś szczęście, że w ogóle jakiś się znalazł. To był twój po­mysł.

— IIa — rzekła Ptraci. Spojrzała na Teppica. — Dzień dobry — po­wiedziała. — To miała być zaskakująca niespodzianka powitalna.

— Udała się — zapewnił z przekonaniem Teppic. — Naprawdę się udała.

\* \* \*

Chidder leżał na sofie wystawionej na rozległą werandę pałacową, a trzy podręczne kolejno obierały dla niego wi­nogrona. Dzban piwa stał w cieniu. Chidder uśmiechał się przyjaźnie.

W pobliżu, na kocu, Alfonz leżał na brzuchu i czuł się bardzo zakłopotany. Przełożona Kobiet odkryła, że poza tatuażami na ra­mionach, jego plecy są prawdziwą ilustrowaną historią egzotycz­nych praktyk, przyprowadziła więc dziewczęta, żeby się czegoś na­uczyły. Alfonz krzywił się czasem, gdy jej wskazówka kłuła w jakiś wyjątkowo interesujący szczegół, a palce wcisnął głęboko w swoje wielkie, poznaczone bliznami uszy, aby nie słyszeć chichotów.

Na drugim końcu werandy, gdzie na podstawie niepisanej umowy wszyscy zostawili ich w spokoju, usiedli Teppic i Ptraci. Roz­mowa nie szła im najlepiej.

— Wszystko się zmieniło — powiedział. — Nie chcę być królem.

— Ale jesteś królem — odparła. — Nie możesz tego zmienić.

— Mogę. Na przykład mogę abdykować. To całkiem proste. A kiedy już przestanę być prawdziwym królem, będę mógł sobie iść, gdzie zechcę. Skoro jestem królem, to słowo króla jest prawem, a zatem mogę abdykować. Jeśli dekretem potrafimy zmieniać płeć, tym łatwiej zmienimy stanowisko. Znajdą jakiegoś krewnego do tej pracy. Muszę ich mieć dziesiątki.

— Do pracy? Zresztą mówiłeś, że jest tylko twoja ciotka.

Teppic zmarszczył brwi. Ciotka Cleph-ptah-re, jeśli się dobrze zastanowić, nie byłaby monarchą potrzebnym królestwu do nowe­go startu. Miała liczne niewzruszone poglądy w wielu kwestiach, jednak większość z nich dotyczyła obdzierania żywcem ze skóry lu­dzi, którzy jej się nie spodobali. Oznaczało to na początek prawie wszystkich w wieku poniżej trzydziestu pięciu lat.

— Na pewno znajdzie się ktoś inny — rzekł z przekonaniem. — To nie powinno być trudne, zawsze jakoś mieliśmy więcej arystokracji niż potrzeba. Wystarczy znaleźć kogoś, kto ma sny o krowach.

— Aha, ten o tłustych krowach i chudych krowach? — zapytała Ptraci.

— Tak. Jest rodowy.

— Jest irytujący. To wiem na pewno. Jedna stale się uśmiecha i gra na trombicie.

— Dla mnie wyglądało to jak puzon.

— To ceremonialna trombita. Wystarczy dobrze się przyjrzeć.

— Pewnie każdy widzi ją trochę inaczej. To nieistotne. — Wes­tchnął i spojrzał na rozładunek „Nienazwanej”. Przywiozła chyba większą od oczekiwanej liczbę puchowych materacy, a po trapie schodziło kilku zdziwionych ludzi, dźwigających skrzynki z narzę­dziami i kawałki rur.

— To nie będzie łatwe — ostrzegła Ptraci. — Nie możesz przecież powiedzieć: „Wszyscy śniący o krowach, wystąp”. Ty by zdradziło twój plan.

— Ale nie mogę czekać, aż ktoś przypadkiem o tym wspomni, prawda? Bądź rozsądna — rzucił gniewnie. — Ilu ludzi akurat przy mnie powie: Wiesz co, miałem wczoraj taki śmieszny sen o krowach? To znaczy poza tobą.

Spojrzeli na siebie zaskoczeni.

\* \* \*

**—**I jest moją siostrą? — nie dowierzał Teppic. Kapłani przytaknęli. Koomiemu pozostawili wytłumacze­nie tego dokładniej. Przed chwilą spędził dziesięć minut z Przełożoną Kobiet, przeglądając zapisy.

— Jej matka była, tego, faworytą twojego zmarłego ojca — wyja­śnił kapłan. — Bardzo się interesował jej wychowaniem, jak wiesz, i tego... jak się zdaje... tak. Oczywiście, może być twoją ciotką, kon­kubiny nie radzą sobie dobrze z papierkową robotą. Ale najprawdo­podobniej siostrą.

Patrzyła na niego ze łzami w oczach.

— To chyba żadna różnica, prawda? — szepnęła. Teppic zwiesił głowę.

— Owszem — powiedział. — Myślę, że to jest różnica. Naprawdę. — Podniósł wzrok. — Ale możesz być królową — dodał. Spojrzał groź­nie na kapłanów. — Prawda? — oznajmił stanowczo.

Kapłani porozumieli się wzrokiem. Potem popatrzyli na Ptraci, która stała samotna i ramiona jej drżały. Słaba, wyszkolona w ceremoniach pałacowych, przyzwyczajona do słuchania pole­ceń...

Kiwnęli głowami.

— Będzie idealna — ocenił Koomi. Odpowiedział mu pomruk poparcia.

— No widzisz — pocieszył ją Teppic. Spojrzała na niego gniewnie. Cofnął się.

— Będę się zbierał — oświadczył. — Niczego nie muszę pakować. Wszystko w porządku.

— Tak po prostu? — zdziwiła się. — To wszystko? Nie masz zamia­ru niczego powiedzieć?

Zawahał się w połowie drogi do drzwi. Mógłbyś zostać, tłuma­czył sobie. Ale nic by z tego nie wyszło, a skończyłoby się paskudnym bałaganem. W końcu pewnie podzieliłbyś królestwo między nią i sie­bie. To, że los zetknął nas razem, nie znaczy jeszcze, że miał rację. Zresztą, trzeba iść naprzód.

— Wielbłądy są ważniejsze niż piramidy — powiedział. — Zawsze powinnaś o tym pamiętać.

Rzucił się do drzwi, gdy ona szukała czegoś, czym mogłaby w niego cisnąć.

\* \* \*

Słońce bez żadnych żuków dotarło aż do południa. Koomi stanął u tronu niczym Sępiogłowy Bóg Hat. — Wasza Wysokość ucieszy się, zatwierdzając mnie na stano­wisku najwyższego kapłana — powiedział.

— Co? — Ptraci siedziała z brodą wspartą na dłoni. Drugą ręką machnęła na niego. — A tak. Oczywiście. Bardzo dobrze.

— Po Diosie, niestety, nie znaleziono śladu. Sądzimy, że stał bar­dzo blisko Wielkiej Piramidy, kiedy... odpaliła. Ptraci wpatrywała się w przestrzeń.

— Mów dalej — poleciła.

— Oficjalna koronacja wymaga jeszcze pewnych przygotowań

— poinformował, chwytając złotą maskę. — Jednakże wasza łaskawość z zadowoleniem będzie nosić maskę władzy od teraz, jako że wiele spraw wymaga rozwiązania. Zerknęła na maskę.

— Nie włożę tego — oświadczyła spokojnie. Koomi uśmiechnął się.

— Wasza łaskawość z zadowoleniem będzie nosić maskę władzy — powtórzył.

— Nie — odparła Ptraci.

Uśmiech Koomiego wykrzywił się nieco w kącikach, gdy naj­wyższy kapłan zmagał się z nową koncepcją. Był przekonany, że Dios nigdy nie miewał takich kłopotów.

Rozwiązał problem, omijając go. Omijanie dało mu dobrą po­zycję w życiu i nie zamierzał teraz z niego rezygnować. Ostrożnie położył maskę na stołku.

— Jest Pierwsza Godzina — oznajmił. — Wasza wysokość zechce poprowadzić Rytuał Ibisa, a potem łaskawie udzielić audiencji do­wódcom militarnym Tsortu i Efebu. Obaj proszą o zgodę na prze­marsz ich wojsk przez królestwo. Wasza wysokość odmówi. O Dru­giej Godzinie nastąpi...

Ptraci wyprostowała się i zabębniła palcami po poręczach tro­nu. Potem nabrała tchu.

— Mam zamiar wziąć kąpiel — rzuciła. Koomi zachwiał się lekko.

— Jest Pierwsza Godzina — powtórzył, niezdolny do wymyślenia czegoś innego. — Wasza wysokość zechce poprowadzić...

— Koomi!

— Tak, o szlachetna królowo?

— Zamknij się.

— ...Rytuał Ibisa... — jęknął Koomi.

— Jestem pewna, że potrafisz go poprowadzić. Wyglądasz na człowieka, który sam załatwia swoje sprawy. Od razu widać — doda­ła zgryźliwie.

— ...dowódcy Tsortu...

— Powiedz im... — zaczęła Ptraci i urwała. — Powiedz im — po­wtórzyła już spokojniej — że mogą przejść. Niejeden albo drugi, ale obaj, rozumiesz. Obaj.

— Ale... — Rozumowanie Koomiego dogoniło wreszcie jego słuch. — Ale wtedy obaj trafią na przeciwną stronę.

— Tak jest. A później możesz zamówić parę wielbłądów. W Efebie jest kupiec, który może je sprzedać. Tylko najpierw obejrzyj im zęby. Aha, i poproś jeszcze kapitana „Nienazwanej”, żeby mnie odwiedził. Zaczął mi tłumaczyć, co to jest „wolny port”.

— W kąpieli, o królowo? — spytał słabym głosem Koomi.

Nie mógł nie zauważyć, jak głos jej się zmieniał z każdym wypo­wiadanym zdaniem, jak powłoka wychowania złuszczała się pod pal­nikiem dziedzictwa.

— Nic w tym złego — mruknęła. — I dopilnuj kanalizacji. Jak ro­zumiem, rury są najważniejsze.

— Na ośle mleko? — zapytał Koomi, teraz już całkiem zagubio­ny na pustyni[[29]](#footnote-29).

— Zamknij się, Koomi.

— Tak, o królowo — odparł żałośnie kapłan. Chciał zmian. Ale też chciał, żeby wszystko zostało tak jak dawniej.

\* \* \*

Słońce bez niczyjej pomocy zsunęło się do horyzontu. Dla pewnych ludzi dzień okazał się całkiem udany. Czerwone promienie oświetlały trzech męskich członków rodu Ptacluspów, pochylonych nad planami...

— To się nazywa most — wyjaśnił IIb.

— Coś podobnego do akweduktu? — upewnił się Ptaclusp.

— Raczej na odwrót. Woda płynie dołem, a my chodzimy górą.

— Oj... królowi... królowej się to nie spodoba. Rodzina królew­ska zawsze była przeciwna skuwaniu świętej rzeki kajdanami mo­stów, tam i tym podobnie.

IIb uśmiechną! się tryumfalnie.

— Sama to zasugerowała — oznajmił. — A nawet łaskawie spytała, czy zadbamy o miejsca, z których ludzie mogliby rzucać kamienia­mi w krokodyle.

— Tak powiedziała?

— Powiedziała: duże, kanciaste głazy.

— A niech mnie... — szepnął Ptaclusp. — Dobrze się czujesz? — spytał drugiego syna.

— Świetnie, tato.

— Żadnych... — Ptaclusp zastanowił się. — Żadnych bólów gło­wy ani nic?

— W życiu nie czułem się lepiej — zapewnił IIa.

— Bo nie spytałeś o koszt — wyjaśnił Ptaclusp. — Pomyślałem, że może wciąż czujesz się pła... słabo.

— Królowa zechciała łaskawie poprosić, żebym zajął się królewski­mi finansami — odparł IIa. — Mówi, że kapłani nie potrafią dodawać.

Niedawne przeżycia nie pozostawiły na nim żadnych śladów, z wyjątkiem pozazdroszczenia godnej skłonności do myślenia pro­stopadłego do wszystkich pozostałych. Teraz siedział cały w uśmie­chach, a jego umysł konstruował już tabele taryf, opłat portowych i złożony system podatku od wartości dodanej, który wkrótce miał nieprzyjemnie zaszokować kupców z Ankh-Morpork.

Ptaclusp myślał o milach dziewiczego Djelu bez żadnego mo­stu. Pod ręką miał masę ociosanego kamienia — miliony ton. I nigdy nie wiadomo, może na którymś z tych mostów znajdzie się miejsce na jeden czy drugi posąg. Miał taki w zanadrzu.

Objął synów za ramiona.

— Chłopcy — rzekł z dumą — to naprawdę wygląda kwantowo.

\* \* \*

Zachodzące słońce świeciło też na Dila i Gerna, choć w tym wypadku czyniło to pośrednio, przez szyb oświetle­niowy w pałacowej kuchni. Trafili tu bez żadnych konkret­nych powodów. Po prostu pusty warsztat wyglądał bardzo ponuro.

Kucharze omijali ich, rozpoznawali bowiem otaczający obu balsamistów obłok nieprzeniknionego smutku. Zresztą ten zawód ni­gdy nie przyciągał towarzystwa i nawet w najlepszych czasach balsamiści z trudem zawierali znajomości. A kucharze musieli prze­cież szykować bankiet koronacyjny.

Siedzieli obaj wśród krzątaniny i spoglądali w przyszłość nad dzbanem piwa.

— Myślę — odezwał się Gern — że Glwenda przekona jakoś ojca.

— Dobrze trafiłeś, chłopcze — mruknął ze znużeniem Dii. — W tym jest przyszłość. Ludziom zawsze będzie potrzebny czosnek.

— Potwornie nudny ten czosnek — oświadczył Gern z niezwykłą u siebie irytacją. — I nie poznaje się nowych ludzi. To właśnie lubi­łem w naszej pracy. Wciąż nowe twarze.

— Nie będzie więcej piramid — stwierdził bez gniewu Dii. — Tak powiedziała. Wykonaliście dobrą robotę, mistrzu Dilu, powiedzia­ła, ale zamierzam wciągnąć ten kraj, choćby się bronił, w nowy Wiek Nietoperza.

— Kobry — poprawił Gern.

— Co?

— To Wiek Kobry. Nie Nietoperza.

— Wszystko jedno — burknął Dii.

Spoglądał smętnie w głąb swego kufla. W tym cały problem, uznał. Trzeba się nauczyć pamiętać, jakie mamy stulecie.

Zerknął na tacę kanapek. Były ostatnio modne. Każdy o nich... Podniósł oliwkę i obrócił ją w palcach.

— Warn pewnie trudniej jest rzucić dawną pracę — dodał Gern i osuszył kufel. — A założę się, że byliście dumni, mistrzu... to zna­czy Dilu. No wiecie, kiedy wasze szwy tak świetnie trzymały.

Nie spuszczając wzroku z oliwki, Dii jak we śnie sięgnął do pasa i chwycił jeden z małych nożyków do szczególnie trudnych operacji.

— Pewnie było wam przykro, kiedy wszystko się skończyło — cią­gnął Gern.

Dii odwrócił się, żeby mieć lepsze światło. Oddychał ciężko, całkowicie skoncentrowany.

— Ale poradzicie sobie — mówił Gern. — Najważniejsze, to o tym nie myśleć.

— Odłóż gdzieś tę pestkę — rzucił Dii.

— Słucham?

— Odłóż gdzieś tę pestkę!

Gern wzruszył ramionami i wyjął mu ją z palców.

— Dobrze. — Głos aż wibrował; Dii znalazł nowy cel. — A teraz podaj mi czerwoną paprykę...

\* \* \*

Słońce świeciło też na deltę, maleńką nieskończoność trzcin i piasku, gdzie Djel składał muł całego kontynentu. Ptaki brodzące szukały pożywienia w zielonym labiryncie łodyg, a miliardy komarów zygzakowały nad mętną wodą. Tutaj przynajmniej czas zawsze upływał, a delta dwa razy dziennie oddy­chała świeżą, czystą wodą przypływu.

Właśnie teraz nadchodzi; jego spieniony wierzchołek sączy się między trzcinami.

Tu i tam rozwijają się starożytne bandaże, falują przez chwilę jak niewiarygodnie stare węże, po czym bez wielkich ceremonii roz­puszczają się bez śladu.

\* \* \*

TO NIEZGODNE Z REGUŁAMI.

— Przepraszamy. To nie nasza wina. ILU WAS TAM JEST? — Obawiam się, że ponad tysiąc trzystu.

NO DOBRZE. USTAWCIE SIĘ PORZĄDNIE W KOLEJCE.

\* \* \*

Ty Draniu przyglądał się pustemu żłobowi. Reprezentował sobą podmatrycę w uogólnionej wiązce „sia­na”, mieszczącej dowolne wartości pomiędzy zerem a K W środku nie było siana. Mógł nawet zawierać jego wartość ujem­ną, ale dla pustego żołądka różnica między zerem siana i rninus-sianem nie była specjalnie istotna.

Nieważne, jak długo przeliczał, zawsze otrzymywał taki sam wy­nik. Było to równanie klasycznej prostoty. Reprezentowało pewną ele­gancję, której jednak w obecnej sytuacji nie potrafił należycie docenić.

Ty Draniu czuł się wykorzystywany i źle traktowany. Nie było w tym jednak nic dziwnego, gdyż jest to normalny stan wielbłądzie­go umysłu. Klęczał cierpliwie, a Teppic pakował juki.

— Ominiemy Efeb — rzekł Teppic, zwracając się do wielbłąda. — Pojedziemy nad Okrągłe Morze, choćby do Quirmu, albo przekro­czymy Ramtopy. Tam jest ciekawie. Może nawet rozejrzymy się za ja­kimiś zaginionymi miastami? To by ci się spodobało, co?

Błędem jest próba rozweselenia wielbłąda. Równie dobrze moż­na by wrzucać bezy do czarnej dziury.

Brama stajni otworzyła się nagle. Stanął w niej kapłan. Wyglą­dał na zdenerwowanego. Kapłani ostatnio wykonywali wiele pole­ceń, do których nie byli przyzwyczajeni.

— Ehm... — zaczął. — Jej wysokość rozkazuje ci nie opuszczać królestwa.

Odchrząknął.

— Czy będzie odpowiedź? — zapytał. Teppic rozważył sprawę.

— Nie — odpowiedział. — Raczej nie.

— W takim razie powiem jej, że zjawisz się przy niej natychmiast, dobrze? — spytał kapłan z nadzieją.

— Nie.

— Tobie łatwo tak mówić — mruknął skwaszony kapłan i odszedł. Kilka minut później na jego miejscu stanął mocno zaczerwie­niony Koomi.

— Jej wysokość żąda, byś nie opuszczał królestwa — oznajmił. Teppic dosiadł Ty Drania i lekko trzepnął go kijem.

— Ona nie żartuje — ostrzegł Koomi.

— Jestem tego pewien.

— Wiesz przecież, że będzie musiała rzucić cię świętym kroko­dylom.

— Ostatnio jakoś ich nie widuję. Jak się miewają? — Teppic uśmiechnął się i jeszcze raz klepnął wielbłąda.

Wyjechał na ostry blask słońca i ruszył ulicami po ubitej ziemi, którą czas zmienił w powierzchnię twardszą niż kamień. Spacerowa­ło tu wielu ludzi i żaden nie zwrócił na niego uwagi.

To było cudowne uczucie.

Przejechał wolno drogą do granicy i nie zatrzymał się, póki nie stanął na urwisku. Dolina rozpościerała się za nim szeroko. Gorący pustynny wiatr szeleścił w krzakach syfacji, kiedy uwiązał Ty Drania w cieniu, wspiął się wyżej na skałę i spojrzał za siebie.

Dolina była stara, bardzo stara. Można by wręcz uwierzyć, że istniała pierwsza i przyglądała się, jak wokół niej powstaje reszta świata. Teppic położył się z głową wspartą na rękach.

Oczywiście, uczyniła się starą. Przez tysiące lat delikatnie usu­wała nurty przyszłości. A teraz zmiana trafiła ją niczym ziemia tra­fiająca jajko.

Wymiary są prawdopodobnie bardziej skomplikowane, niż przypuszczają ludzie. Zapewne czas także. A zapewne i ludzie, choć ludzie bywają bardziej przewidywalni.

Obserwował obłok kurzu wznoszący się przed pałacem, sunący przez miasto, przez wąską szachownicę pól uprawnych, znikający na moment w kępie palm niedaleko urwiska i pojawiający się zno­wu u stóp zbocza. Zanim jeszcze cokolwiek zobaczył, wiedział, że gdzieś tam w środku jest rydwan.

Zsunął się na dół i usiadł przy drodze. Rydwan pojawił się wresz­cie, zahamował kawałek dalej, zawrócił z trudem w wąskim prze­smyku i podjechał bliżej.

— Co będziesz robił? — krzyknęła Ptraci, wychylając się przez barierkę.

Teppic skłonił się.

— I żadnych takich — warknęła.

— Lubisz być królową? Zawahała się.

— Tak — przyznała w końcu. — Lubię...

— Oczywiście — zgodził się Teppic. — Masz to we krwi. W daw­nych czasach ludzie walczyliby jak tygrysy. Bracia przeciwko sio­strom, kuzyni przeciwko wujom... Potworne.

— Ale przecież nie musisz odchodzić! Jesteś mi potrzebny!

— Masz doradców — przypomniał spokojnie Teppic.

— Nie o to mi chodziło — mruknęła. — Zresztą jest tylko Koomi, i jest marny.

— Masz szczęście. Ja miałem Diosa, a on był dobry. Koomi świetnie się nada. Wiele się nauczysz, nie słuchając, co ma do po­wiedzenia. Daleko można zajść z niekompetentnymi doradcami. Poza tym jestem pewien, że Chidder ci pomoże. Ma mnóstwo po­mysłów.

Zarumieniła się.

— Przedstawił kilka, kiedy byliśmy na statku.

— Sama widzisz. Wiedziałem, że między wami wybuchnie to jak pożar...

Krzyki, płomienie, uciekający ludzie...

— A ty wracasz do pracy skrytobójcy? — spytała złośliwie.

— Chyba nie. Inhumowałem piramidę, panteon i całe stare kró­lestwo. Warto chyba spróbować czegoś innego. Przy okazji, nie za­uważyłaś przypadkiem zielonych pędów, wyrastających wszędzie, gdzie stąpniesz?

— Nie. To przecież bzdura.

Teppic odetchnął. A zatem wszystko się skończyło.

— Nie pozwól, żeby trawa rosła ci pod stopami — poradził. — To bardzo ważne. A nie widziałaś ostatnio jakichś mew?

— Mnóstwo ich dzisiaj lata. Nie zauważyłeś?

— Tak. To chyba dobrze.

Ty Draniu przysłuchiwał się jeszcze chwilę tej szczególnej cich­nącej, urywanej rozmowie między dwojgiem ludzi przeciwnej płci, którzy myślą o czymś zupełnie innym. Z wielbłądami jest łatwiej. Samica musi tylko sprawdzić metodologię samca.

Ucałowali się po bratersku, jeśli wielbłąd może osądzać takie rzeczy. Decyzja została podjęta.

W tym miejscu Ty Draniu stracił zainteresowanie i postanowił raz jeszcze zjeść swoje śniadanie.

\* \* \*

POCZĄTEK...

W dolinie panował spokój. Rzeka o dziewiczych jeszcze brzegach wiła się leniwie między kępami trzciny i papiru­su. Hipopotamy wynurzały się z głębiny i zanurzały znowu niczym jaja we wrzątku.

Wilgotną ciszę przerywał z rzadka plusk ryby albo syk kro­kodyla.

Przez długi czas Dios leżał w błocie. Nie był pewien, skąd się tu wziął ani dlaczego jedna połowa jego ubrania jest porwana, a druga — nadpalona. Niewyraźnie przypominał sobie głośny Hałas i uczucie wielkiej prędkości, choć równocześnie stał nieruchomo.

W tej chwili nie oczekiwał żadnych odpowiedzi. Odpowiedzi impli­kują pytania, a pytania nigdy do niczego dobrego nie prowadzą. Pytania psują wszystko. Błoto było chłodne i kojące; na razie nie musiał wiedzieć nic więcej.

Zachodziło słońce. Nocne drapieżniki podchodziły do Diosa i jakiś zwierzęcy instynkt podpowiadał im, że nie jest wart kłopo­tów, jakie przyniesie odgryzienie mu nogi.

Słońce wzeszło ponownie. Gęgały czaple. Mgła wypłynęła znad wody i zniknęła, gdy niebo zmieniło barwę z błękitnej na spiżową.

Czas toczył się dla Diosa z cudownym brakiem wydarzeń, aż na­gle obcy głos przerwał ciszę, wykonując coś w rodzaju cięcia jej na kawałki zardzewiałym nożem.

Dźwięk ten przypominał ryk osła rżniętego piłą łańcuchową. Był tym dla melodii, czym pudełko daktyli jest dla motocrossu. Mi­mo to, kiedy włączyły się inne głosy, podobne, ale odmienne, w roz­maitych poszarpanych tonacjach i popękanych nutach, ogólny efekt okazał się dziwnie atrakcyjny. Kusił. Pociągał. Zasysał.

Hałas osiągnął szczyt, jedną czystą nutę stworzoną z ciągu dysharmonii. A potem, na ułamek sekundy głosy rozbiegły się, każdy po innym wektorze...

Drgnęło powietrze, zamigotało słońce.

Na dalekich wzgórzach pojawiło się kilkanaście wielbłądów, wy­chudzonych i zakurzonych, pędzących w stronę wody. Ptaki pode­rwały się spomiędzy trzcin. Leniwe jaszczury zsuwały się cicho z pia­sku. Po chwili brzeg stał się masą wzburzonego mułu, gdy stwory o wielkich kolanach przepychały się z nosami w wodzie.

Dios usiadł i spostrzegł leżącą obok laskę. Była trochę przypa­lona, ale cała. Zauważył coś, na co nigdy przedtem nie zwrócił uwa­gi. Przedtem? Było jakieś przedtem? Z pewnością był sen, coś w ro­dzaju snu...

Oba węże trzymały w pyskach własne ogony.

Ze wzgórz, za wielbłądami, prowadząc za sobą obdartą rodzinę, schodził mały, smagły człowieczek z kijem w ręku. Wyglądał na zgrzanego i bardzo zdziwionego.

Wyglądał właściwie jak ktoś, komu przyda się dobra rada i roz­sądny przewodnik.

Dios znów spojrzał na laskę. Wiedział, że jest bardzo ważna. Ale nie pamiętał, dlaczego. Pamiętał tylko, że jest ciężka, a jednocześnie trudno ją odłożyć. Bardzo trudno odłożyć. Lepiej wcale jej nie podnosić, uznał.

Albo może podnieść tylko na chwilę, żeby im wytłumaczyć, dlaczego bogowie i piramidy są takie ważne. Potem ją odłoży. Na pewno.

Westchnął, poprawił resztki swej szaty, by dodać sobie godno­ści, i wspierając się na lasce, wyszedł im naprzeciw.

1. Na przykład zakopanie w piasku i złożenie w nim jaj. [↑](#footnote-ref-1)
2. Prawa do oddychania, na początek. [↑](#footnote-ref-2)
3. Dost. „Dziecię Djel”. [↑](#footnote-ref-3)
4. Była to jednak całkiem spora żaba. Przedostała się do kanałów wentylacyjnych i przez długie tygodnie nie pozwoliła nikomu zasnąć. [↑](#footnote-ref-4)
5. Mówi się, że życie w Ankh-Morpork jest tanie. To, oczywiście, poważna pomyłka. Życie bywa czasem bardzo kosztowne; to śmierć można dostać za darmo. [↑](#footnote-ref-5)
6. Nadymacz otrzymywany jest z głębinowej ryby najeżki, Singularis minutia gigantica, która odstrasza wrogów, nadymając się do rozmiaru wielokrotnie przewyższającego normalny. Podany człowiekowi zmusza każdą komórkę ciała do próby zwiększenia ob­jętości około 2000 razy. Efekt jest nieodmiennie śmiertelny i bardzo głośny. [↑](#footnote-ref-6)
7. Brama Gildii Skrytobójców jest zawsze otwarta. Mówi się, że to dlatego, iż Śmierć nigdy nie zamyka interesu, ale prawdziwym powodem jest to, że zawiasy zardzewiały przed wiekami i nikt jakoś nie postarał się ich oczyścić. [↑](#footnote-ref-7)
8. Niedoletnie wino powstaje z winogron należących do specyficznej odmiany flo­ry — roślin zeszłorocznych — rosnącej tylko w silnym polu magicznym. Normalne rośli­ny rosną po zasadzeniu, natomiast rośliny zeszłoroczne odwrotnie. I chociaż niedoletnie wino wywołuje oszołomienie tak jak zwykłe, jednak jego działanie na system tra­wienny wywołuje niezwykłą reakcję, której skutkiem jest przesunięcie nieuniknionego kaca w przeszłość, do punktu o kilka godzin poprzedzającego moment wypicia wina. Stąd zresztą wzięło się powiedzenie „przez cierpienie do gwiazd”. [↑](#footnote-ref-8)
9. Kiedy Gildia Złodziei w Roku Agresywnego Leniwca ogłosiła strajk generalny, liczba przestępstw wzrosła dwukrotnie. [↑](#footnote-ref-9)
10. Jedna z dwóch\*\* legend o powstaniu Ankh-Morpork mówi, że dwaj osieroce­ni bracia, którzy zbudowali miasto, zostali odnalezieni i wykarmieni przez hipopotama (dosł. *orjeple*, choć niektórzy historycy uważają, że chodzi o błędne tłumaczenie słowa *orejaple*, oznaczającego rodzaj przeszklonej szafki, w której trzyma się drinki). Osiem he­raldycznych hipopotamów stoi szeregiem na moście, głowami w stronę morza. Mówi się, że jeśli kiedykolwiek zagrozi miastu niebezpieczeństwo, uciekną.

    \*\* Druga legenda, zwykle pomijana przez mieszkańców, mówi, że w jeszcze daw­niejszych czasach, aby przetrwać zesłany przez bogów potop, grupa mędrców zbudo­wała ogromną łódź. Zabrali do niej po parze każdego gatunku zwierząt żyjących wów­czas na Dysku. Po kilku tygodniach zwały nawozu zaczęły grozić zatopieniem łodzi. Mę­drcy — tak głosi legenda — przechylili ją na burtę i nazwali to miejsce Ankh-Morpork. [↑](#footnote-ref-10)
11. Jak wiele kultur nadrzecznych, Djelibeybi nie przejmowało się takimi trywial­nymi drobiazgami jak lato, wiosna czy zima. Kalendarz królestwa opierał się wyłącznie na potężnym pulsie Djelu. Stąd trzy pory roku: Pora Zbiorów, Pora Wylewu i Pora Sie­wu. Jest to podział logiczny, łatwy do zapamiętania i praktyczny, przyjmowany z niechę­cią jedynie przez kwartety wokalne\*\*.

    \_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_\_

    \*\* Ponieważ człowiek czuje się idiotycznie, śpiewając „Dziewczyny, bądźcie dla nas dobre na Porę Wylewu”. Dlatego. [↑](#footnote-ref-11)
12. Dosl. „Dhar-ret-kar-mon”, czyli „ścinki stopy”. Niektórzy uczeni uważają, że cho­dzi raczej o „Dar-rhet-kare-mun”, dosl. „dmuchawa do zdzierania farby”. [↑](#footnote-ref-12)
13. Szambonurek: budowniczy i czyściciel doiów kloacznych. Profesja bardzo cenio­na w Ankh-Morpork, gdzie poziom wód gruntowych zwykle pokrywa się z poziomem sa­mego gruntu. Zawód ten cieszy się powszechnym szacunkiem. W każdym razie, kiedy idzie szambonurek, wszyscy ustępują mu z drogi, przechodząc na drugą stronę ulicy. [↑](#footnote-ref-13)
14. Chrapliwy szept podczas pracy jest źle widziany, gdyż na budowie się nie śpi, a tym bardziej nie chrapie. [↑](#footnote-ref-14)
15. Dosl. „Kiedyś znów tu będę”. [↑](#footnote-ref-15)
16. Konieczne jest tu pewne wyjaśnienie. Gdyby obcy ambasador na dworze św. Ja­kuba przybrał się (w szczerym zamiarze okazania szacunku) w melonik, miecz, półpancerz z wojny domowej, saskie portki i jakobińską fryzurę, wywołałby podobną reakcję. [↑](#footnote-ref-16)
17. Młodsi skrytobójcy, zwykle ubodzy, mają bardzo zdecydowane poglądy na temat moralności bogactwa — do czasu kiedy staną się starszymi skrytobójcami, zwykle bardzo bogatymi. Wtedy zaczynają nabierać przekonania, że niesprawiedliwość ma jednak swoje zalety. [↑](#footnote-ref-17)
18. Rzeźbiarze musieli w pełni wykorzystywać swoją wyobraźnię. Zmarły król obda­rzony był wieloma wspaniałymi cechami, jednakże dokonywanie bohaterskich czynów do nich nie należało. Jego wyniki to: Liczba wrogów rozbitych w puch pod kołami jego rydwanu: 0. Liczba tronów zdeptanych butem: 0. Liczba razy, kiedy opasywał świat jako kolos: 0. Jednak z drugiej strony: Rządy terroru: 0. Liczba razy, kiedy jego własny tron został zdeptany butami najeźdźców: 0. Rewolucje: 0. Kosztowne krucjaty, w których brał udział: 0. Jego życie zakończyło się wynikiem remisowym, ze wskazaniem na króla. [↑](#footnote-ref-18)
19. Nigdy nie ufaj gatunkowi, który ciągle się uśmiecha. Na pewno coś knuje. [↑](#footnote-ref-19)
20. Znany jako największy wielbłądzi matematyk wszech czasów. Odkrył matema­tykę przestrzeni ośmiowymiarowej, leżąc z zamkniętymi nozdrzami podczas gwałtow­nej burzy piaskowej. [↑](#footnote-ref-20)
21. Efekt uzyskiwany przez destylację jąder niewielkiej nadrzewnej odmiany niedź­wiedzia w wymiocinach wieloryba, z dodatkiem garści różanych piątków. Ta wiedza prawdopodobnie nie poprawiłaby Teppicowi nastroju. [↑](#footnote-ref-21)
22. To oczywiście bardzo luźne tłumaczenie, jako że Ptaclusp nie znal słów oznacza­jących „lód”, „szyby samochodowe” czy „hotele”. Jednakże *zygzak, orzeł, orzeł, amfo­ra, linia falista, kaczka* tłumaczy się dosłownie jako „prasa do okryć nóg barbarzyńców”. [↑](#footnote-ref-22)
23. Dla tych, którzy nie dysponują taką logiczną podbudową, najszybszym zwierzę­ciem\*\* na Dysku jest wyjątkowo neurotyczna Wieloznaczna Puzuma, która porusza się tak szybko, że w polu magicznym Dysku osiąga prędkość podświetlną. To znaczy, że kie­dy ktoś zobaczy puzumę, już jej tam nie ma. Większość samców puzumy ginie młodo z powodu ostrego zapalenia stawu skokowego, wywołanego bardzo szybkim bieganiem za samicami, których tam nie ma i — oczywiście — osiąganiem masy samobójczej, zgod­nie z teorią względności. Reszta ginie od zasady nieoznaczoności Heisenberga, ponie­waż niemożliwe jest, by równocześnie wiedziały, kim są i gdzie są. Powoduje to naprze­mienną utratę koncentracji, co oznacza, że puzuma osiąga poczucie tożsamości jedynie w stanie spoczynku — zwykle około pięćdziesięciu stóp w rumowisku, jakie pozostało z góry, z którą przed chwilą zderzyła się z prędkością podświetlną. Plotka głosi, że pu­zuma jest wielkości lamparta i ma wyjątkowe futro w czarno-białą kratę. Jednakże egzem­plarze zbadane przez mędrców i filozofów Dysku skłaniają raczej do stwierdzenia, że w stanie naturalnym puzuma jest płaska, bardzo cienka i martwa.

    \*\* Najszybszym owadem na Dysku jest mól książkowy oznaczony numerem .303. Wyewoluowali w magicznych bibliotekach, gdzie konieczna jest duża szybkość jedzenia, pozwalająca uniknąć wpływu radiacji taumaturgicznych. Dorosły mól książkowy .303 po­trafi przegryźć się przez półkę książek tak szybko, że rykoszetuje od ściany. [↑](#footnote-ref-23)
24. Rola Słuchaczy nigdy nie została właściwie doceniona. Wiadomo jednak, że lu­dzie zwykle nie słuchają. Czas, kiedy mówi ktoś inny, wykorzystują, by się zastanowić, co powiedzą potem. Prawdziwi Słuchacze zawsze cieszyli się szacunkiem wśród kultur oral­nych i byli cenieni ze względu na wielką rzadkość i wartość. Bardów i poetów można dostać po dziesięciu za krowę, ale dobrego Słuchacza trudno znaleźć, a w każdym razie trudno znaleźć dwukrotnie. [↑](#footnote-ref-24)
25. Mylił się. Natura nie znosi zakłóceń wymiarowych, więc oddziela je sprawnie, że­by nie denerwowały ludzi. Natura, trzeba przyznać, nie znosi wielu rzeczy, w tym próż­ni, statków o nazwie „Marie Celeste” i kluczy dociskowych do wiertarek elektrycznych. [↑](#footnote-ref-25)
26. Jest zatem potocznie nazywany Pałacem Dżinna. [↑](#footnote-ref-26)
27. No wiecie. Ta, do której nie można dosięgnąć słomką. [↑](#footnote-ref-27)
28. Choć nie od razu, oczywiście, ponieważ wiadomości zmieniają się w miarę powtarzania. Niektórzy z przodków nie potrafili poprawnie wymawiać stów, inni chcieli pomóc i dopowiadali to, co uznawali za pominięte. Wiadomość, jaką początkowo otrzy­mał Teppicymon, zaczynała się od słów „Przykuta do łóżka, ciotka cierpiała pragnienie”. [↑](#footnote-ref-28)
29. Cywilizacja używająca mniej precyzyjnego języka powiedziałaby po prostu „za­gubiony”. [↑](#footnote-ref-29)